DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XV.

LWÓW,
Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XV.

I. Żywoty Świętych:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Przypowieści:

Tom XV. Nr. 1.

1. lipca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Elżbieta Drużbacka.

Miasto polskie Tarnów stoi na gościńcu, który idzie z Rzeszowa do Krakowa, a wystawił go polski bogaty pan, Jan Tarnowski. Otóż w tem mieście jest klasztor z zakonnikami, a w kościele stoi tam przy ścianie kamień, na którym taki napis stoi:

„Tu leży pochowana Drużbacka Elżbieta, umarła roku pańskiego 1763.“

Otóż raz był tam jeden profesor z swymi szkolarzami, oprowadzał ich po całym kościele, pokazywał im ołtarze, obrazy, organy i przyszedł z nimi do tego kamienia i kazał jednemu szkolarzowi przeczytać ten napis ale bez myłki i zająknienia. Szkolarz ten Sobuś Toporek przeczytał dobrze ten cały napis, potem podumał trochę i powiada tak:

— A proszę też pana profesora, co to była za jedna ta Drużbacka? juźci była ona jakaś dobra i pobożna, kiedy ma w kościele taki kamień z napisem?

Na to powiada mu profesor:

— Widzisz mój Sobusiu! że naszą Polskę zabrał Prusak, gdzie jest miasto Poznań i ten zabrany polski kraj zowie się Poznańskie, toż w tym polskim kraju pod Prusakiem urodziła się ta pobożna Drużbacka. Po ojcu nazywała się ona Kowalską, zwyczajnie jak się zowie każde dziecko po swoim ojcu.

A Sobuś ciekawy poderwał i powiada:

— A jak to? a na cóż tu stoi napisane Drużbacka, a nie Kowalska Elżbieta?

Na to rzecze pan porofesor:

— Bo widzisz Sobusiu! to tak jest. Jak się chłopak zostaje po ojcu, to się zawsze nazywa jak jego rodny ojciec, a znowu jak dziewka wyda się za kogo, no! to wtedy nazywa się nie po ojcu ale po swoim mężu. Tak i ta Elżbieta nazwana tu nie po swoim ojcu, ale po swoim mężu, co się zwał Drużbacki.

Na to gada Sobuś:

— To prawda! ale kiedy ona rodziła się za granicą naszej polskiej Galicyi, aż tam w kraju Poznańskim pod Prusakiem, to dlaczegoż ona tu pochowana u nas?

Pan profesor gada na to:

— Bo widzisz! polski kraj był wielki — ma go dziś dużo Moskal niewiara pod sobą, ma go dosyć Prusak, a znowu ma Galicyę całą nasz cesarz, a dawno było to wszystko pod jednym królem polskim, co siedział sobie w Gnieznie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie i w Warszawie, zwyczajnie jak pan jaki siedział raz tu, raz tam, jak mu się spodobało. Otóż tak samo wolno było i Polakom jeździć po całym kraju i nikt cię nie pytał o zaświadczenie twoje i siedział każdy do upodobania tam, gdzie mu wypadło najlepiej. A wszędzie były bogate dwory, a po dworach ludzi rozmaitych, co nie miara, i mogłeś sobie siedzieć gdzie we dworze, jak chciałeś. Otóż taki bogaty dwór był w Galicyi w miasteczku Sieniawie i tam poszła ta Elżbieta za młodu i siedziała. Ba! ale to jeszcze nie dosyć na tem, bo ci nie tylko dano jeść i pić we dworze, coś chciał, ale jak padło, to ci sprawili wesele huczne, dali za-

darmo wiano i odwieźli na miejsce na jakie gospodarstwo. Tak się też porobiło i z tą Elżbietą. We wsi Rzemieniu niedaleko Rozwadowa był niejaki pan Drużbacki, i ten upodobał sobie tę Elżbietę, ożenił się z nią i zabrał ją z Sieniawskiego dworu do Rzemienia i tam sobie siedzieli oboje cicho, spokojnie, pracowali na gruncie i chwalili Boga.

A jeden szkolarz odzywa się:

— Aha! to to z tej racyi zowie się ona Drużbacką ni to nie po ojcu, jeno po mężu swoim! Ale jak to się zwał ten pan bogaty we dworze Sieniawskim, co tam było zawsze dużo rozmaitych ludzi i każdy tam dostał swoje, a nawet sprawiał i wesela drugim?

Pan profesor mówi na to:

— Ten pan bogaty nazywał się książe Czartoryski, do którego należało dużo wsi w Galicyi. A tę Elżbietę lubił strasznie ten pan Czartoryski za to, że miała dobry rozum, miała dużo nauki w głowie, umiała wiele ciekawości z pamięci opowiadać, umiała na dobrze poradzić i nieraz przegadała i dziesięciu chłopów swoim rozumem, a jak sobie gdzie w kąciku usiadła i trochę podumała w swej głowie, to ci potem pisała i pisała bez ustanku, a jakoś się jej na papierku składały słowa do słowa, litery do liter, że jak to kto odczytał głośno, to się zdawało, że on czyta jaką pieśń pobożną, gdzie się zawsze na końcu słowo do słowa składa i zgadza. Dla takiego jej rozumu dobrego lubił ją każdy we dworze, a po całym polskim kraju gadał każdy:

— Oto! mi dopiero mądra dziewka, nie trza i chłopa — a gdzie się to wyuczyła tego wszystkiego! co to za ochota u niej do czytania i pisania i przesiedziałaby tydzień przy książce bez jedzenia i spania! Toż dla takiego rozumu dobrego wydała się zawczasu i miała potem swój dwór we wsi Rzemieniu koło Rozwadowa i Ulanowa.

A Sobuś zapytał:

— A z jakiej racyi nie leży ona pochowana tam w swojej wsi, jeno aż tu w Tarnowie?

— Bo widzisz, gada pan profesor, umarł jej mąż tam w jej wsi i ona strasznie płakała i nie mogła nigdy bez pła-

czu wielkiego przejść koło grobu męża, a na co we dworze gdzie popatrzyła, to ją brał taki żal za serce i ogarniał taki płacz, że i za godzinę nie mogła i słowa przemówić. Toż zdała wieś Rzemień na krewniaków nieboszczyka męża, co miała rozdała ubogim po wsi, sprawiła święcone rzeczy do kościoła, postawiła krzyż na grobie męża, pożegnała się z całą wsią i poszła tu do Tarnowa do tego klasztoru na życie pokutne.

A Sobuś zasmucony powiada na to:

— A nie byłoby jej lepiej wrócić nazad do dworu do Sieniawy, gdzie ją tak wszyscy lubili?

A pan profesor rzecze mu:

— Mogła ona i tam wrócić, ale widzisz, dawno była w polskim kraju taka pobożność, że jak matki wychowały dziatki, to nie szły na poniewierkę ani nie leciały za zabawami i figlami głupiemi, jeno zostawiały wszystko w porządku, dzieci w zgodzie, a same szły do klasztoru, brały ubiór zakonny na siebie i tam się gotowały na śmierć pobożną i na straszny sąd Boży. Jeźli która miała dużo dobrego rozumu i dobrą naukę, to układała książki pobożne, pieśni pobożne, albo pisała dobre rady dla matek, jak mają chować dzieci, czego uczyć, jak Bogu i ludziom służyć, albo szyła ornaty dla biednych kościołów, koszulki dla sierot, a gdzie był blisko szpital, to odwiedzała chorych, albo jak była jaka szkoła to tam po modlitwie szła i uczyła dzieci na dobrych książkach.

Toż tak samo zrobiła i ta pobożna Elżbieta Drużbacka. Nie zmarnowała ani szeląga z pracy swojej, obróciła to na dobre, a sama poszła do klasztoru tego w Tarnowie i tu gotowała się na śmierć pobożną. A jak się pomodliła rano, jak chorych odwiedziła w mieście, jak okryła, nakarmiła sierotki i pouczyła na książce, to wtedy siadała koło stolika i napisała o pokucie św. Magdaleny, o królu Dawidzie, o św. Janie Chrzcicielu, jak go niesprawiedliwie zabili źli ludzie i przeróżne pieśni pobożne i znowu takie ładne rzeczy, że dziś jeszcze czytają Polacy wszyscy jej mądre i ładne słowa i uczą się ztąd dużo dobrego. A była ona jeszcze młoda, jak przyszła tu do tego klasztoru, mogła była wydać się drugi raz, mogła

była jeszcze użyć tego świata, a przecież nie zrobiła tego, bo wiedziała, że na świecie wszystko się przeje człowiekowi, że i lata przejdą, a jak nie zrobi kto nic dobrego drugim za życia, jak się nie nauczy nic dobrego, to cóż zabierze na tamten świat i za cóż będzie mu Bóg płacił na wieki? Otóż widzicie dzieci! że nie za pieniądze, które kto złoży, ani za grunt, który kto kupi, ani za jedzenie i zabawy, jeno za rozum dobry, za dobrą naukę, za dobre uczynki pamiętają nas drudzy ludzie długie, długie lata po naszej śmierci, a Bóg znowu płaci niebieską koroną. Tak się stało i z tą pobożną i mądrą Drużbacką Elżbietą.

A szkolarze gadali na to:

— To na prawdę godziło się, że ta pobożna i mądra pani ma tu taki kamień z napisem, i to jeszcze w samym kościele i że o niej gadają Polacy wszyscy, jak o jakiej świętej.

A pan profesor dodał:

— I wy tak samo róbcie moje dzieci, uczcie się za młodu, słuchajcie rodziców i starszych, a jak wyrośniecie róbcie dużo dobrego dla drugich i żyjcie pobożnie, a ludzie was będą długo pamiętać i Bóg da wam tak długie życie, jak tej Drużbackiej Elżbiecie która przeżyła 78 lat, była na wielkim dworze, a żyła pobożnie, była żoną pobożną, dobrą Polką, a umarła ładnie i zostawiła dobre pamiątki po sobie tu w Tarnowie, w Rzemieniu i w całej Polsce.

A szkolarze zmówili paciorek za jej duszę pobożną, rozeszli się do domu i opowiadali to każdemu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

Jako szewcy tęgą sztuką
Za Kilińskim wroga tłuką,
O tem wiedzą w całym świecie,
Bo nikt tego nie wymiecie

Ani z serca ni z pamięci
Co kraj polski cały święci.
Lecz niech i to będzie wzorem
Jak rzeźnickim tną toporem.

Jak się niegdyś uwijali,
Za rzeźnikięm na Moskali,
Posłuchajcie: rzecz to prosta,
A uczciwa bo ojczysta,
Polak każdy z niej korzysta,
A na Moskwę będzie chłosta.
Więc słuchajcie o rzeźniku,
Co uciesznie sprawiał jatki,
Był szlachetny, zacny, rzadki,
I Moskali bił bez liku!

I. Przygoda z burmistrzem.

Był to rycerz z bożej łaski
Wiedział dobrze, co podjezdna,
A nazywał się Morawski,
I był sobie rzeźnik z Gniezna.
— Bić Moskala! krzyczał wszędzie,
Bo źle będzie, oj źle będzie!
Więc nie dziwo, że go za to
Lubią wrogi jak psy dziada,
Bo Morawski tnie bogato,
A tnie wszędzie gdzie się nada!
W Wielkopolsce ćma Moskali,
Bo konfederacya barska *)
Tęgo siecze, dzielna, dziarska,
Więc się kurty strasznie bali,
A tu bracia sprzymierzona,
Z ciurów Moskwy Polskę czyści,
Chociaż Polska w bolu kona,
Bo się w królu zdrada iści.
Bo król baba z carską psiarnią,
Zgodnie sobie ręce ściska,
A tam polskie żołnierzyska
Krew najdroższą w boju marnią!
Więc i rozpacz więc i biada,
Kiedy z góry idzie zdrada.

Więc tłuc tylko, co się zmieści,
Tłuc i rąbać wrogów wściekle
By się pomścić na tem piekle,
Co piecze jarzmem boleści!
Bo i milej sercu wtedy,
Gdy ojczystej mści się biedy,
I ma choćby tę nadzieję,
Że krew mści się, co się leje...
Więc Morawski, pan Antoni
Miał w swem życiu tę zasadę:
„Bić i tłuc wrogów gromadę
A nie tchórzyć! niech Bóg broni!“
A w Poznaniu Moskal siedział
I okrótnym knutem rządził,
Więc gdy o nim się dowiedział,
Za stosowną rzecz osądził:
Wziąć za barki pana brata
I oddać go w ręce kata!
Więc też szpiegów rozesłano
I do rządu go wezwano.
Te moskiewskie, twarde rządy
Chcą z rzeźnikiem odbyć sądy,
On też poszedł: rzecz najczystsza,
Poszedł zaraz do burmistrza.
A pan burmistrz człek grubijański,
Bo moskiewski więc pogański,
Widząc przed sobą rzeźnika
Z góry na niego wykrzyka:
— Gadaj zaraz ty hultaju
Poco wszczynasz bunt po kraju?
My ci tutaj kurtę skroim,
Że ci się Polski odechce,
Skoro cię nasz knut połechce!
Więc się przyznaj do wszystkiego,
I o łaskę proś z pokorą.
Lecz Morawski rzekł: — Nic z tego!

---

*) Kiedy Moskale zaczęli już gospodarować sobie w Polsce, a ostatni król polski Stanisław August, zamiast łączyć się z narodem, podchlebiał się Moskwie — zawiązali co najlepsi Polacy, którzy miłowali swą ojczyznę, tak zwaną konfederacyę, co znaczy tyle co połączenie się i zbratanie, i przysięgli z Polski wypędzić Moskali.

Ze mną sprawa nie tak sporo!
— Oskarżonyś jest hultaju,
Rzecze Moskal zapieniony:
Że buntujesz nasze strony,
Jakieś ciągle figle broisz,
I urzędu się nie boisz,
Gadaj zaraz szelmo Lachu,
O jak teraz drżysz ze strachu!
— Nie drzę panie, ja nie drżałem
Nigdy w mojem życiu całem.
Ze mną panie dosyć trudno:
Toż wam powiem wszystkim w oczy
Że wasz naród dziki, smoczy,
I ma duszę jak czart brudną,
Wam się pierwej ztąd wynosić
I o łaskę grzecznie prosić!
Burmistrz zadrżał od wściekłości
I zapienił się ze złości:
— A rzeźniku! buntowniku!
W kancelaryi tyle krzyku,
Ja połamię w tobie kości!
Tak klnąc wściekle nogą tupie
I wciąż wrzeszczy słowa głupie,
Kijem sobie ciągle macha,
Chce zastraszyć pana Lacha!
Więc Morawski myśląc sobie,
Że tu nie czas do zabawy,
W krótkim a tęgim sposobie
Wnet do swojej wziął się sprawy.
Nie czekając, co los zdarzy,
Do Moskala duchem skoczy,
I tak palnie go po twarzy,
Aż pan burmistrz zmrużył oczy!
Gdy mu się tak świat omroczył
Rzeźnik wnet na miasto skoczył!

II. Pan Morawski wyprawia się na Moskala.

W mieście całem miał poszanę,
Bo był poczciw i rzetelny,
Imię jego wszędy znane,
Bo ci to był człowiek dzielny.
Więc obiega wszystkie jatki,
Choć już Moskal wziął go w czaty,
Chcąc uzbierać do gromadki
Same braty dzielne chwaty.
Aby byli z nim gotowi
Skroić kurtę Moskalowi.
Biega, zmawia, zbiera, wiedzie,
I sam stawa im na przedzie.
— Szkoda czasu i atlasu
Pojedziemy bić do lasu.
Co tam panie że zawieja,
I że Moskal dogna w lesie,
Kiedy w sercu gra nadzieja,
Mogę jeszcze na podjeździe
Spłatać figla Moskalowi,
Więc przy swojem stanę gnieździe,
A wy bądźcie mi gotowi!
Rzekł gromadzie i wyrusza:
Dalej z nimi podjezdnego!
A w niejednym drgnęła dusza,
Bo nie jeden czekał tego...
Oj nie jeden tego czekał,
Rychło pójdzie w bój z Moskalem,
Czy był szewcem czy kowalem,
Czy toporem mięso siekał.
Wszystko jedno, by miał rękę
Co udźwignie stali kawał,
Dobry taki, w szereg stawał
I wychodził na wojenkę.
Więc Morawski nie pobłądził
I regiment tak urządził:
Ten z siekierą, ten z toporem,
Tamten z rożnem, ten z obuchem,
A on pierwszy dzielny duchem,
Górą, przodem, chwałą, wzorem!
Więc się wzięli do roboty
I za miasto hejże razem!
Kto miał stanął ze żelazem,
A nie gorsze też i młoty,
Więc znalazły się i kosy
I strzelbina jaka taka:

Pójdą ciosy w niebogłosy,
Aż zawyje wróg sobaka!
A pan burmistrz tam narzeka
Gdzie się podział winowajca?
Rewiduje, krzyczy czeka,
Lecz nie może nic dojść zdrajca!
A moskiewskich wójsk oddziały,
Jak rozbitki z skargą spieszą,
Że za miastem tęgo czeszą,
Że tam powstał bunt zuchwały!
Więc depesza po depeszy
Niesie skargi na podjazdy,
Że tam zbito kilku z jazdy,
Że tam znowu zginął pieszy,
Tam gdzieś zginął patrol cały;
„A to panie bunt zuchwały!
Słychać w lesie palne bronie.“
Więc do lasu szlą obławy.
Ale wszystko niszczy opór,
Bo nie pokpi nigdy sprawy
Morawskiego dzielny topór.
Zuch to panie, żołnierz chwacki
Nic nie zrobią mu patrole,
Bo jak palnie im z zasadzki
To jak śledzie leżą w dole!
To mi rzeźnik, to mi brat
To mi Polak, to mi chwat!

(Dalsza historya w przyszłym numerze.)

Stara historya o rycerzu Toporczyku

i o dwóch jego braciach.

Za panowania króla Bolesława, sławną była liczna rodzina Toporczyków. Chłopy jak dęby silne, rosłe a niewiasty gładkie i wdzięczne, tak, że wszyscy możniejsi panowie ubiegali się o to, ażeby połączyć się z Toporczykami. Król Bolesław wiele ich poważał i zwykle starsi mężowie zasiadali w radzie monarszej, młodzi zaś walczyli ilekroć razy mężny król wiódł wojnę jaką z sąsiadami.

Z rozkazu królewskiego po ogłoszonej wojnie przeciwko cesarzowi niemieckiemu, zbierało się ze wszystkich stron liczne rycerstwo, a pomiędzy niem widziałeś kilku Toporczyków, którym dowodził Żegota, głowa tej rodziny. Wszyscy zakuci w żelazne zbroje, ogromne hełmy i ciężkiemi mieczami zbrojni, otoczeni przytem licznym orszakiem przyjaciół i sług, wesoło wybierali się na wyprawę. Znana była Polakom potęga cesarza niemieckiego, ale nie trwożyli się przed nią, bo znali także męztwo i doświadczenie wojenne króla Bolesława i wiedzieli dobrze, że pobici nie będą, a jeszcze mnóstwo zdobyczy z niemieckich krain nawiozą.

Równo z stopieniem śniegów wyruszyło rycerstwo Bolesławowe na Szlązk, kędy już wtargnął cesarz Henryk i srodze kraj pustoszył. Wojsko jego wprawne do wypraw i dobrze uzbrojone, było bardzo liczne i trzy razy tak wielkie jak króla Bolesława. Więc też król polski nie chciał narażać swoich na niepewną bitwę i unikał spotkania się z cesarzem — tylko szedł za nim zdala, urywając po trochu i niszcząc oddziały, które wychodziły za żywnością i furażem.

Tak zeszła wiosna, nastało lato a z niem srogie upały. Tłumy wojowników niemieckich tłoczyły się w ciasnym obozie, gdzie z gorąca i złej strawy wybuchnęły choroby. Żywności też brakowało cesarzowi, a żołnierze tracili siły. Kilka razy cesarz chciał się spotkać z Bolesławem i stoczyć walną bitwę ale za ukazaniem się zastępów cesarskich niknęły wojska Bolesławowe w nieprzejrzanych gęstwinach puszcz, a Niemcy musieli z niczem powracać do obozu.

Nakoniec cesarz widząc, że nic wskurać nie może, a tylko daremnie wojsko traci, nakazał powrót do domu. Ciągnęły niemieckie wojska spustoszonym krajem i doznawały srogich cierpień głodu i złośliwych chorób. Nakoniec doszli do szerokiej rzeki, przez którą trzeba było się przeprawiać. Z trudnością zebrał cesarz łodzie i statki do przeprawy potrzebne, ale zaledwie przepłynęły pierwsze oddziały, zrobił się ogromny wrzask, a z lasów do koła wypadły zastępy Bolesławowe, uderzając gwałtownie na wojowniki cesarskie. Uparcie wrzała bitwa, bo Niemcom coraz nowe siły z za rzeki przypływały na pomoc. Noc dopiero rozłączyła walczących a armia cesarska do połowy zmniejszona, uszła ostatecznej klęski. Bolesław zaś dokonał swego, bo wyparł z kraju cesarza a zebrawszy znaczną zdobycz, wracał do stolicy.

Toporczykowie dzielnie popisywali się w tej bitwie, mnóstwo nieprzyjaciół legło od ich oręża, ale głowa domu, Żegota Toporczyk zginął w boju. Widziano jak go otoczył tłum nieprzyjaciół, jak wywijał dzielnie toporem — skoczyli mu swoi na pomoc, ale zamieszanie i ciemność zapadającego wieczoru nie dozwoliły wybawić Żegoty z rąk wrogów, znać jego dusza poszła już na służbę innego pana, a ciało musiało być

bardzo porąbanem, albo może wpadło do rzeki, bo go nie można było znaleźć.

Wesoło wracały szeregi królewskie, ale smutek panował w oddziale Toporczyków, żałobne szarfy okrywały ich chorągiew, a cały zastęp prowadził pan Nawoj, brat stryjeczny nieboszczyka Żegoty, a teraz głowa tej potężnej rodziny.

Ośm lat szybko ubiegło. Kraj odetchnął po wojnie niemieckiej. Król Bolesław gdzieindziej odniósł zwycięztwa i roznosił sławę swojego panowania.

W zamku Toporczyków wesoło i gwarnie: zewsząd zjeżdża się rycerstwo strojnie przybrane z żonami i córkami. Sprosił ich Nawoj, pan licznych włości odziedziczonych po Żegocie. Wielka uroczystość ma się odbywać w tych wyniosłych murach. Nawoj zaręcza się z Nałęczówną, bogatą dziedziczką. Brama zamkowa stoi na oścież otworem, a marszałek dworu ze srebrną laską w ręku przyjmuje gości i kłania się nizko każdemu i wskazuje komnaty, które zająć mają.

Opat Tyniecki, jeden z najpierwszych dostojników duchownych w kraju, przybył na zamek Toporczyków, aby zrękowinowe poświęcić pierścienie. Obrzęd odbył się pięknie, po czem w ogromnej sali, przy stołach uginających się od sreber, a oświeconych setkami świec jarzących, zasiadło mnóstwo gości. Służba nosi niezliczone potrawy, nalewa stare miody w srebrne puchary. Piją biesiadnicy za zdrowie narzeczonych, a na wysokiem wzniesieniu siedzi opat Tyniecki i od czasu do czasu przemawia do zgromadzenia, a każdy połyka niemal słowa jego, tak są mądre i tak przemawiające do serca.

Wtem otworzyły się drzwi sali a na progu ukazał się pielgrzym z długą brodą, z głową szerokim kapturem okrytą, w wytartej szacie ciemnej z szerokiemi rękawami i kijem wysokim w ręku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał uroczystym głosem przychodzień.

— Na wieki wieków Amen — odpowiedziało na raz kilkanaście osób.

— Pokój temu domowi! mówił pielgrzym. Pokój wam wszystkim! — Zmiłujcie się nad ubogim pielgrzymem i użyczcie gościnności.

— Zostań — rzekł Nawoj — a dodał z cicha: przeklęte włóczęgi, darmozjady.

Pielgrzym szedł prosto ku stołowi i zajął przy nim miejsce nie mówiąc słowa.

— Mógłbyś usiąść przy niższym końcu stołu, zawołał Nawoj. Miejsce które zająłeś przeznaczonem jest dla dostojnych rycerzy, a nie dla pierwszego lepszego przybłędy.

— Zająłem to miejsce, odrzekł pielgrzym poważnie, gdyż mi się z prawa należy, bom i ja niegdyś dźwigał miecz, hełm i zbroję rycerską.

— Zuchwały włóczęgo, krzyknie Nawoj, musisz mi tego dowieść, coś powiedział, albo cię każę za bramę wyrzucić!

I widząc uporczywe milczenie pielgrzyma, wzniół rękę do góry, aby służbie wydać rozkazy, ale panowie siedzący przy nim, przypomnieli mu prawa gościnności, którym uchybiać jedno było, co narażać się na hańbę u wszystkich.

— Uspokój się, zawołał młody rycerz do siedzącego obok pielgrzyma. Pan domu zapomniał się. Pozostań na swojem miejscu.

Na co ów donośnym zawołał głosem:

— Inaczej się tu działo za Żegoty Toporczyka, prawego pana tego domu. Pielgrzyma szukającego przytulku pod jego dachem, nigdy on nie pytał jakim prawem miejsce przy jego stole zajmuje.

Na te słowa zerwał się Nawoj ze swego miejsca i gromko zawołał:

— Dziś panem tego zamku jest Nawoj Toporczyk, a nie obrażaj go, bo pomimo praw gościnności, może cię zuchwalcze posłać na tamten świat, ażebyś poszukał Żegoty i jego prosił o przytułek.

Po tych groźnych słowach głuche milczenie zaległo salę, ale wnet przerwał je pielgrzym, który powstał i zawołał:

— A któż ci powiedział Nawoju, że twój stryjeczny brat Żegota nie żyje?

Nawoj zadrzał, a pielgrzym dalej mówił:

— Rozpościerasz się w jego zamku jak w swoim, któż wie czy wkrótce prawy pan nie powróci i nie zażąda od ciebie, abyś z jego własności zdał rachunek.

— Kto ci pozwolił pod moim dachem mówić tak zuchwale i obrażać naczelnika rodziny Toporczyków — czy ci życie już zbrzydło?

— Życie moje należy do Boga, a prawo mówienia do ciebie Nawoju nadaje mi ten pierścień. To rzekłszy zdjął z palca wielki pierścień, na którym był wyryty topor.

Poznali go wszyscy, był to pierścień Żegoty.

Nawoj na widok pierścienia zadrgnął, jak gdyby na węża nastąpił, ale wnet odzyskał moc nad sobą i zawołał:

— Zkąd masz ten pierścień, zapewne ściągnąłeś go z palca poległemu bratu mojemu na polu bitwy.

— Nawoju, rzekł zwolna i dobitnie pielgrzym. Spojrzyj na mnie i powiedz, czy mię nie poznajesz. I zrzuciwszy kaptur odsłonił twarz licznemi bliznami pokrytą.

Nawoj zbladł, przez kilka chwil nie mógł ust otworzyć, ale wreszcie wzmogłszy się, wyrzekł cichym prawie głosem:

— Nie, nie poznaję cię.

— Przypatrz się dobrze, prawda że twarz moją porąbały miecze nieprzyjacielskie, ale przecież nie zmieniłem się tak, iżby mię poznać nie było można. Przypatz się Nawoju.

— Nie poznaję, rzekł Nawoj powtórnie.

— Ja jestem Żegota Toporczyk twój brat!

Na te słowa porwali się wszyscy z miejsc swoich i otoczyli pielgrzyma.

— W bitwie onej pamiętnej, mówił pielgrzym, zapuściłem się daleko w pogoni za nieprzyjacielem. Tłum wrogów zewsząd mię otoczył. Broniłem się dopóki mi sił starczyło, ale w końcu upadłem pod ciosami. Kiedy z omdlenia przyszedłem do siebie, ujrzałem się w niewoli u nieprzyjaciół. Cztery miesiące życie moje było w niebezpieczeństwie. Nakoniec wyzdrowiałem, ale musiałem ciężką znosić niewolę u niemieckiego książęcia. W tym roku dopiero, za uratowanie życia owemu księciu zostałem udarowany wolnością.

Przed dwoma niedzielami powróciłem do ojczyzny. Dowiedziałem się, że ty Nawoju objąłeś moje zamki i włości. Przybyłem tu tajemnie, chcąc się przypatrzyć jak też gospodarujesz. Gdybyś rządził po ludzku, byłbym cię zostawił w posiadaniu mojej własności, a sam w klasztorze życia dokonał. Ale ty Nawoju uciskasz kmieci moich i tuczysz się ludzką krzywdą i łzami. Zezwolić na to nie mogę i przyszedłem dopomnieć się o moje. Nawoju powróć mi moją własność!

— Nędzny oszuście, zakrzyknął Nawoj, powtarzaj komu innemu baśnie twoje, niechaj w nie uwierzy, ale nie kłam przed tymi ludźmi. Tyś skradł, skradł powtarzam mojemu bratu pierścień, którym się świadczysz. Możeś nawet zamordował nieszczęśliwego Żegotę. Hej żołnierze pochwyćcie tego oszusta.

Żołnierze zbrojni rzucili się ku pielgrzymowi, ale ten wydobywszy z zanadrza krzyż zawołał:

— Przysięgam na Przenajświętsze Ciało i Krew Pana Naszego Jezusa Chrystusa, żem ja jest Żegota Toporczyk!

Nawoj zgrzytnął zębami i zawołał grzmiącym głosem:

— Imajcie tego oszusta!

Wtedy rzekł ów pielgrzym:

— Czy jest jeszcze u was ten koń, na którym brat twój do boju jechał? Jeżli jest, to ten stary koń pozna pana swego!

Kazano wyprowadzić owego starego konia, i oto patrzcie, zaraz to wierne zwierzę podbiegło do pielgrzyma i poczęło rżeć radośnie i łeb swój do jego piersi tuliło.

Wonczas rzekł pielgrzym:

— Nawoju, koń mój stary mnie poznaje, a ty brat rodzony poznać mnie nie chcesz?

Ale Nawoj jedno bardziej jeszcze pobladł i zawołał na żołnierzy.

Żołnierze powtórnie rzucili się aby Żegotę pochwycić, ale kilkunastu rycerzy dobywszy mieczy, otoczyło go w koło, zasłaniając przed napaścią. Poczem jeden z nich najstarszy wiekiem zawołał:

— Rycerzu Nawoju! nie masz prawa imać tego pielgrzyma i wtrącać go do lochów. Jeżli on jest bratem twoim

albo nie — niechaj to król Bolesław rozsądzi. My bierzem go pod swoją opiekę i nie dozwolim jednego włosa strącić z jego głowy.

— Zamykać bramy zamku, krzyknął rozjuszony Nawoj. Bronicie oszusta, więc i wy jesteście złoczyńcami! Imać ich wszystkich i wtrącić w lochy.

Próżno żołnierze chcieli wykonać rozkaz swego pana. Rycerstwo mieczem utorowało sobie drogę do bramy zamkowej uprowadzając Żegotę.

We dwa miesiące potem król w Poznaniu odbywał sądy, kędy ze wszech stron mnogi lud zbiegał się, aby otrzymać sprawiedliwość królewską. Przed monarchą stawił się Żegota Toporczyk, prosząc o powrócenie mu włości przez Nawoja zabranych. Król poznał dawnego towarzysza broni przycisnął go do swego serca, i wysłał natychmiast rozkazy, aby Nawoj oddał wsie i zamki Żegocie. Poczem obróciwszy się raz jeszcze do Toporczyka, rzekł:

— Miły Żegoto, to com dla ciebie uczynił, jest tylko sprawiedliwość; ale jabym rad wynagrodzić długie lata twej niewoli i rany które odniosłeś walcząc z nieprzyjacielem; powiedz co dla ciebie uczynić mogę, a uczynię z chęcią.

— Miłościwy królu, mam z łaski Bożej i twojej wszystkiego podostatkiem, nic mi więcej nie potrzeba, o jedną tylko łaskę proszę cię panie.

— Mów a wszystko uczynię. Może chcesz kary surowej na twego stryjecznego brata?

— Niech Pan Bóg ich ukarze, jeśli zasłużyli, odpowiedział Żegota. Inną mam prośbę do ciebie. Oto imie Toporczyków łakomstwem splamione zostało. Nie tylko Nawoj, ale i inni krewniacy wyparli się mnie dla zagarnięcia włości moich. Proszę cię więc miłościwy królu, pozwól mi innego nazwiska i innej używać pieczęci. Ludzie mnie nie poznali, tylko jeden stary koń bojowy. Niech go zamiast Toporu noszę w pieczęci.

Zezwolił król na to, a odtąd pieczęć Nawoja miano starego konia nosiła.

RÓŻNOŚCI.

Mądre sztuczki słonia. Opowiadaliśmy wam już o słoniu, a teraz jeszcze opowiemy wam niektóre szczegóły o wielkiej zmyślności i pojętności tego zwierzęcia: Słoń bardzo się przywiązuje do człowieka, który go karmi i utrzymuje. Słoń sprowadzony raz do Warszawy dla pokazywania go za pieniądze, gdy dozorca, karmiący go zwykle, zachorował obłożnie, dostał tęsknoty, zesmutniał, i nie chciał przyjąć żadnego pożywienia: odrzucał nawet podawane mu łakotki, które najwięcej lubił, a po upływie kilku dni, gdy dozorca nie wracał, tęsknota ta przybrała groźniejsze objawy. Słoń nie pozwalał przystąpić do siebie. Umieszczony w wieży dawniejszego kościoła Bernardynek, gdzie dziś nowy Zjazd się zaczyna, starannie był strzeżony; z obawy nieszczęśliwego jakiego wypadku, zatoczono nawet armaty ostro nabite, dla dania ognia, w razie, gdyby słoń zdołał się z wieży wydobyć. Stan słonia coraz się pogorszał, a dozorca jego chorobą złożony, bolał nad ulubionym zwierzem a zwlec się nie miał siły; — wreszcie słoń wpadłszy w zupełne szaleństwo i życie w niem zakończył.

Słoń jest niezmiernie pojętnym; — krótki przeciąg czasu wystarcza mu do zrozumienia znaków i rozkazów swego pana, które z rzadką wykonywa roztropnością, i z pewnem niejako zastanowieniem. Po kilku tygodniach nauki, nietylko zgina kolana dla dogodności pragnących wsiąść na niego, ale nadto głaszcze trąbą ulubione sobie osoby, i kłania się wskazanym przez pana. Matki Indyanki zostawiają dzieci swoje pod strażą i opieką domowego słonia. Ten je pilnuje, kołysze i z troskliwością matki czuwa nad niemowlęciem. Lubi bardzo ozdoby i widoczną okazuje radość, kiedy go okrywają świetnemi kobiercami, lub w błyszczące stroją zaprzęgi.

Kiedy posiadacz słonia chce go zniewolić do wykonania jakiego trudnego zadania, do którego zwierz naturalny wstręt okazuje, natenczas przyrzeka dać mu araku, lub innego ulubionego przysmaku — Słoń wtedy podwaja usiłowań: ale broń Boże czynić sobie w takim razie igraszkę z dobrej jego wiary — nie minie kłamcy sroga zemsta zawiedzionego zwierzęcia, jakkolwiek nie jest z natury okrutnym, ani mściwym. W jednem miejscu zdarzył się z tego powodu następujący wypadek. Właściciel słonia, za wydobycie znacznego z rzeki ciężaru, obiecał był słoniowi za powrotem do domu, butelkę araku. Słoń ciężar wydobył, ale właściciel obietnicy nie dotrzymał, — czem obrażony i zagniewany słoń, silnem uderzeniem trąby pozbawił go życia. Żona zabitego przytomna wypadkowi, w pierwszem uniesieniu żalu, rzuca mu pod nogi dwoje pozostałych dzieci, wołając: „Kiedyś mi zabił męża, to i mnie i dzieciom odbierz życie!“ —

Na te słowa i znaki boleści, słoń łagodzi się nagle, jak gdyby pojmował jej wyrazy i cierpienie, a nadto jakby chciał wynagrodzić zrządzone złe, obejmuje starszego chłopczyka trąbą, wkłada go na grzbiet, uznając go tym sposobem za swego pana, i odtąd jemu tylko staje się posłusznym.

W innem znów mieście, słoń przechodząc ulicą, zwykł był wkładać trąbę otwartem okienkiem, do mieszkania znajomego sobie krawca, który go był przynęcił rozmaitemi łakotkami; ale wreszcie znudziły się krawcowi te datki; aby się więc uwolnić od natrętnego gościa, gdy trąba słonia pokazała się w otworze okienka, krawiec w miejsce zwykłych łakoci, ukłuł go igłą. Słoń cofnął się natychmiast, ale postanowił się zemścić; — w parę dni gdy krawiec siedział zgarbiony nad robotą, ukazała się trąba słonia, a z niej zaczęły się wylewać strumienie wody, które krawca nie mało nabawiły strachu i szkody.

Jak z jednej strony pamiętnym jest słoń doznanych uraz, tak z drugiej znowu czuje wdzięczność za okazywaną mu przychylność — W mieście Podiszery w Indyach wschodnich, był żołnierz, który upodobawszy sobie jednego słonia, darzył go często miarką araku. Otóż pewnego razu żołnierz ten podchmielony, unikając kary więzienia, schronił się był pod słonia, i zasnął; patrol szukając winnego odkrył jego schronienie, ale żadną miarą wydobyć go ztamtąd nie mógł, tak słoń swą trąbą silny stawił opór. Żołnierz głębokim snem ujęty przebył tam noc całą, nazajutrz wytrzeźwiony, spostrzegł z przestrachem, gdzie się znajduje; wtedy słoń zgadując jego przerażenie, uspokaja go głaskaniem trąby, i cało wyjść mu pozwala.

Skóra słonia tak jest gruba i twarda, że jej kula karabinowa nie przebije; i chcąc go ubić, potrzeba, ażeby kula przez oko lub ucho weszła do mózgu, ale gdy strzał podobny jest nadzwyczaj trudny, dlatego też i polowanie bardzo jest niebezpiecznem; rozdrażniony bowiem zwierz rzuca się wtedy oślep na myśliwców, i którego tylko dosięgnąć zdoła, trupem go kładzie. Mięso słonia jest twarde i niesmaczne, nie bywa też używane na pokarm. Celem polowania na słonie są głównie kły, które sowicie podjęte trudy i niebezpieczeństwa wynagradzają. Waga jednego kła dochodzi czasami do sto funtów. Słonie żywo schwytane płacą bardzo drogo — cena ich do wielkości i piękności, od trzech do dziesięciu tysięcy talarów dochodzi.

Słoń ma słuch i węch wyborny, i bardzo lubi słuchać muzykę lub wąchać woniejące kwiaty, lubi też mocne trunki, oraz rozmaite słodycze i łakotki.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 2.

11. lipca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Berek Joselowicz,

szef szwadronu w wojsku polskiem.

Weszło to u nas w zwyczaj, że żydów uważają za najpodlejszych i najgorszych ludzi. Wszędy, a już to najbardziej po wsiach panuje przeciw nim nienawiść a każdym żydem pomiataliby nieraz ludzie, gdyby mogli, jak nieboskiem stworzeniem. Jest to wada wielka i nie przystoi nam chrześcianom.

Już to ja wiem dobrze, że dużo a prawie najwięcej jest żydów takich, co się nie boją Pana Boga i obdzierają i szachrują chrześcian — ale ztąd jeszcze nie wynika, żeby wszyscy żydzi byli pijawkami i oszustami. Są między nimi tak jak między nami źli i dobrzy, więc też dla złej połowy nie trzeba pogardzać dobrą. Tymczasem dzieje się u nas, że choćby żyd był poczciwy, to go ludzie nienawidzą, dlatego tylko jednego, że jest żydem. Jest to źle bardzo i sprzeciwia się nauce Chrystusowej.

Jeżeli żyd oszust i ladaco, to za to nim pogardzaj, że oszust i ladaco, ale nie za to, że jest żydem. Bo musicie wie-

dzieć najpierw, że choć żyd nie jest tej samej co my wiary, to jeszcze nie nadaje wam to prawa, aby nim pomiatać. Żałować go tylko trzeba, że dotąd w serce jego nie wniknęło światło wiary — a zresztą sam on za swą niewierność odpowie kiedyś przed Bogiem. A choć on niewierny, to przecież Zbawiciel nasz nakazał, abyśmy i niewiernych nawet za bliźnich naszych uważali.

Dlatego też pogardzajmy tylko takimi żydami, co oszukują lud i zdzierają go bez sumienia, a poczciwych szanujmy jako naszych rodaków. Zresztą zamiast wykrzykiwać na żydów, wolelibyśmy naśladować ich zalety. Oto raczej naśladujmy ich skrzętność i pilność, ich skromność i wstrzemięźliwość, ich oszczędność i przemysł, a przy tem i to braterstwo, jakie jest między nimi.

Powoli, za jakich lat sto, będą żydzi za bożą pomocą lepsi niż dziś, bo wszystko z czasem na lepsze się zmienia, a nasi synowie i wnucy doczekają się tego, że żydzi staną się Polakami, przestaną szwargotać po niemiecku i nauczą się kochać tę polską ziemię, która ich żywi. Do tego już idzie powoli, i już teraz po większych miastach żydzi noszą się i mówią po polsku, nazywają się Polakami i dzieci swe po polsku wychowują. To też w Bogu nadzieja, że tak kiedyś będzie jak w Francyi albo w Niemczech, gdzie już żyda nie odróżnisz od innych krajanów po niczem, ani po ubiorze, ani po mowie, ani po nauce — jeno tylko po ich religii.

Na dowód, że i między żydami bywają dzielni ludzie i dobrzy Polacy, że i między nimi są tacy, którzy kochają naszą polską ziemię i gotowi dla niej poświęcić nawet i życie — opowiem wam tu o jednym żydzie polskim, który się nazywał Berek Joselowicz. Zdziwujecie się pewnie bardzo, gdy wam powiem, czem był ten Berek Joselowicz. Oto był on żołnierzem nie lada, co z własnej ochoty poszedł bić się z wrogami Polski i odznaczył się wielką walecznością, za co też został szefem czyli komendantem całego szwadronu konnicy. Macie ztąd naukę, że i w żydzie, skoro tęgi i dzielny, jest także odwaga i waleczność, tak jak i w każdym innym człowieku.

Berek Joselowicz urodził się na Litwie, w miasteczku Kretyndze, przed stu laty. Był on sobie zrazu takim żydkiem jak każdy inny, jeno że miał dużo miłości do tej polskiej ziemi, na której się urodził. Berek był ubogi a pracując na chleb dla dzieci i żony trudnił się faktorstwem. Jako faktora używał go też i biskup Massalski. Było to właśnie na końcu panowania ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, kiedy to Moskale zaczęli już gospodarować sobie w Polsce, jakby na własnem śmieciu, a Polacy chwycili za szablę, aby ich wygonić z kraju. Właśnie już i pan Kościuszko przybył był do Polski i objął komendę w wojnie z Moskalami. W całym kraju była tedy ruchawka i wszystko gotowało się do walki z natrętnym wrogiem.

Wiedział o tem i Berek, bo go to wszystko obchodziło, i razu jednego, gdy go biskup Massalski przywołał dla jakiegoś interesu, tak się nieśmiało odezwał:

— Przepraszam jaśnie wielmożnego xiędza biskupa, że się śmiem zapytać, jak tam z naszą sprawą stoi?

— Z jaką sprawą? — zapytał biskup.

— Nu z polską, z wojną przeciw Moskalom? — odpowiedział z ukłonem Berek.

Biskup się uśmiechnął z zadziwienia, bo dotąd wiedział, że żydów faktorów nie obchodziła wojna jeno interes i zapytał:

— A cóż ciebie to obchodzi?

— Jakto — odpowiedział Berek Joselowicz — albo ja nie na polskiej ziemi się urodził?

— Aleś ty żyd!

— To nic nie znaczy. Ja jestem żydowskiej wiary ale jestem Polakiem i tak kocham moją ojczyznę, jak jej może niejeden katolik nie kocha.

Zdziwił się biskup i uśmiechnął się, jakby nie dowierzał — a Berek kłaniając się rzecze:

— Jaśnie wielmożny xiądz biskup się uśmiecha, ale niebawem usłyszy jaśnie wielmożny xiądz biskup, że i żyd umie poświęcić się dla ojczyzny.

I odszedł Berek, a biskup wnet zapomniał o tej rozmowie. Aż tu naraz dowiaduje się, że Berek wyprosił sobie pozwo-

lenie na uformowanie osobnego szwadronu żołnierzy z samych żydów. Istotnie tak było, Berek uzyskał pozwolenie na werbunek i napisał odezwę do żydów, aby zapisywali się na ochotników. Niezadługo znalazł Berek wielką liczbę takich żydów młodych, co się nie bali wojny a uważali się za Polaków i wkrótce miał pod swoją komendą cały szwadron konnicy żydowskiej, w czem mu pomagał bardzo drugi żyd prawy i dzielny, nazwiskiem Józef Aronowicz.

Z tym swoim szwadronem udał się Berek do obozu polskiego, który właśnie stał naprzeciw Moskalów. Zrazu to się niektórzy śmieli i przedrwiwali, co też to będą za ułani żydowscy, ale Berek nic sobie z tego nie robił, jeno mówił:

— Niech się zdrowi śmieją, jak przyjdzie do bitwy i ognia, to ja z moimi żydami pokażę, że umiemy bić Moskali!

I istotnie dotrzymał słowa i pokazał, bo szwadron żydowski bił się z moskiewskiem wojskiem z wielką walecznością i nie bał się najstraszniejszego ognia, jeno szturmował na wroga wśród gradu kul armatnich.

Sam Berek walczył najdzielniej, był on zawsze na przodzie i zagrzewał do boju swych żołnierzy. Sam Berek był kilka razy ranny, a syn jego Józef, który z nim razem walczył, tak się bił dzielnie, że w jednej bitwie z Moskalami odniósł ośmnaście ran.

Widząc to komenda polska, jak walecznie Berek Joselowicz bije się z wrogiem, mianowała go rotmistrzem i szefem tego żydowskiego szwadronu i przyznała jemu i jego dzielnym żołnierzom wszystkie honory wojskowe. Ale też Berek z swoim żydowskim szwadronem dowiódł, że zasługuje na to, bo gdy potem po nieszczęśliwym końcu wojny Moskale zdobywali Warszawę, on z swoimi żołnierzami żydami bronił się na szańcach do ostatniego tchu z największą walecznością i tak wytrwale, że z całego szwadronu tylko on sam i kilkanaście ludzi ocalało z życiem.

Kiedy już Polskę rozdarto na kawałki, Berek Joselowicz krył się przed Moskalami, boby go byli zakatowali tak jak innych walecznych i szlachetnych Polaków — ale później skoro tylko rozpoczęły się wojny Napoleona, on chwycił znowu za

szablę i bił się wraz z innymi Polakami pod tym wielkim cesarzem francuzkim. Kiedy cesarz Napoleon utworzył z kawałeczka polskiej ziemi tak zwane Xsięztwo Warszawskie, w którem panował król saski, wkroczyli Austryacy, którzy wówczas prowadzili wojnę z Napoleonem, do tego Xięztwa polskiego. Polacy się bronili walecznie i dowiedli pod Raszynem, co to znaczy żołnierz polski. Otóż w tej wojnie uwijał się i Berek Joselowicz z swoim oddziałem i bił się dzielnie z austryackiem wojskiem.

Razu jednego dowiedział się, że w miasteczku Kocku, pod Lublinem, znajduje się oddział huzarów austryackich, postanowił więc w nocy uderzyć na nich z swoimi żołnierzami. Ale ktoś uprzedził huzarów i ci zrobili w Kocku zasadzkę na niego. Kiedy Berek Joselowicz wpadł z swoim oddziałem do Kocka, strzelili huzary z zasadzki, a kula trafiła konia Berkowego. Koń poczuwszy ranę rzucił się w szalonym pędzie na prócz i uniósł Berka między kolce drzewa, przygotowanego do spławu. Tak go dopadli huzary i zarąbali na miejscu.

Wielki żal był po tym dzielnym rotmistrzu żydzie, i opłakiwali zgon jego wszyscy wojskowi polscy, jako zgon walecznego żołnierza. Stało się to nawet przysłowiem, że jak kto w bitwie został zarębany lub w jakiej innej nagłej przygodzie zakończył życie, to mówiono: Zginął jak Berek pod Kockiem. A jak znany był Berek z swego wojackiego męztwa i waleczności, to najlepiej ztąd poznacie, że po jego śmierci ułożono spiewkę o nim i jego czynach. Było w tej spiewce opowiedziane, jak zginął w owej zasadzce, a piosnka tak się kończyła:

W tym przypadku huncwockim
Zginął Berek pod Kockiem.

Jeden z znakomitych i sławnych panów polskich, hrabia Stanisław Potocki, miał na zgromadzeniu w Warszawie mowę pochwalną o Berku, w której oddał cześć jego waleczności, jego mężnym czynom i jego śmierci w boju. Król saski zaś, który panował Polakom w Xięztwie Warszawskiem, wyznaczył dla matki walecznego Berka tysiąc złotych rocznej pensyi na całe życie.

Syn Berka Joselowicza, Józef, poszedł za przykładem swego ojca. Kiedy w roku 1831 wybuchło w Polsce powstanie, zbierał także ochotników na Moskala a potem musiał uchodzić za granicę, gdzie życie zakończył.

Taka jest historya o Berku, walecznym żydzie i szefie szwadronu.

Wojtek ze Smolnicy.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Ciąg dalszy.)

III. Pan Morawski zostaje rotmistrzem.

Pod Poznaniem Moskal stoi,
Bo chorągiew sprzysiężeńców
Samych młodych zapaleńców,
Tęgo sztuczki wrogom stroi.
Więc się trudno i opędzić,
Bo nie lubią wroga szczędzić.
Od Poznania więc do Gniezna
Rozstawiono gęste czaty,
Ale rzeźnik strachu nie zna,
Posiłkuje braciom pilnie,
I straż sprząta nieomylnie.
Co się który wróg nawinie,
To ucieknie, albo zginie!
A Moskal się dziwi, boi,
A Morawski swoje broi!
Broi, broi, rok już cały,
Sam na siebie mógłby przysiądz,
Że Moskali sprzątnął z tysiąc.
Choć nie szukał za to chwały.
Więc pany konfederaty
Same dziwią się okrutnie,
Kto tak bije rezolutnie,
I tak zręcznie sprząta czaty.
Regimentarz ich naczelny,
Co starostą był na Gławie,
I w ojczystej słynął sprawie,
Słysząc wieści o rzeźniku,
Co tak zwinnie wrogów sprząta,
I po kraju wciąż się krząta,
Choć nie robi z tego krzyku:
Pisze grzecznie i serdecznie
Do rotmistrza swej komendy,
By rzeźnika szukać wszędy
I wynaleźć go koniecznie.
Więc adjutant Kosobudzki,
Człek stateczny, dobry, ludzki,
Jak się weźmie ze swojemi
Po gnieźnieńskiej kręcić ziemi,
Za Morawskim, gdzie wieść niesie,
Aż rzeźnika znalazł w lesie.
Więc donosi wnet staroście,
Że wie, gdzie jest pan Morawski.
Pan starosta rozkaz pisze,
By dzielnemu rzeźnikowi,
Wieźli patent towarzysze
Jako panu rotmistrzowi.
On tam właśnie w tejże chwili
Kiedy nad nim tak radzili,
Bez tytułu i patentu
Oddział Moskwy zbił do szczętu.
I gdy z swymi syt zwycięztwa
Odpoczywał sobie w lesie,
Pan adjutant cześć mu niesie,
Cześć dla ducha i dla męztwa.

IV. Pan Morawski kropi Moskali.

Pan Morawski rycerz dziarski,
Tęgi wojak, rotmistrz barski,
Jedzie sobie do Poznania,
I tam znowu swoich braci
Pod komendę swoją zgania.
Uszykował ich i jechał
Na swój zwykły posterunek,
A po drodze się uśmiechał,
Że dla biedy ma ratunek.
Jedzie słucha, czy gdzie zdala
Nie doleci głos Moskala.
Jedzie a klnie do miljona,
Bo już godzin kilka zjechał,
A los mu się nie uśmiechał,
Chociaż wodzem był szwadrona.
Wtem straż przednia mu powiada,
Że się w baczność mieć wypada.
— Ha odżyła dusza we mnie,
Dalej bracia Toporczyki
Dalej siekać na zraziki!
A nie swarzyć się daremnie,
Do ordynku ciachu, ciachu!
Będzież Moskal miał tu strachu!
Hurra bracia manowcami,
Bijmy wroga toporami!
W gęstwie lasu wróg naciera,
Strzał po strzale z rusznic pada,
Wroga znaczna znać gromada;
Będzie jatka, bój się zwiera!
Więc Morawski z ogniem w duszy
Jak nie weźmie, jak nie ruszy:
Dalej rzezać po swojemu,
Nie żałując cięć żadnemu,
Jak się zwinie swoją sztuką
Jak Moskalom nożem w oczy
Zamaluje, jak podskoczy...
To tak za nim bracia tłuką,
Że Moskale zobaczyli,
Iż się strasznie pomylili,
Bo nie staczać im tam boju,
Gdzie rzeźnicki topór wali,
I nie prosić tam pokoju,
Gdzie z Morawskim bracia stali.
Więc kwitując ze zwycięztwa,
Krzycząc pardon oniemieli,
I gdy dobrze w skórę wzięli,
Dalej w nogi — pełni męztwa!
A Morawski w tej potrzebie
Zbił dziesięciu sam na siebie,
Bo mu niczem za kark schwycić,
I kozaka ściągnąć z konia,
I nie prędko się nasycić,
Choć ucieka wróg przez błonia.
On się z lasu wymknie jeszcze,
Pogna za nim w pole czyste...
I tam wzbudzi serca dreszcze,
I poczesne da siarczyste.
Jeden tylko, jeden sam,
Pędzi dalej wroga tam.
To mi rotmistrz to mi chwat,
To mi rzeźnik to mi brat!
Potem do swych w lasek wrócił
Na biwaki, na placówkę,
I czekając na frycówkę,
Dawną piosnkę sobie nucił:
„Sam tu zuchy, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!“

V. Jaką sztukę pan Morawski płata Moskalom.

Lecz mu smutno, że z daleka
Od Poznania, gdzie się wścieka,
Ren*) w moskiewskie tuląc kleszcze.
Ej Ren ptaszek, zbójca' Ren,
Popamiętał go i ten!
Więc się rzeźnik sztuczki imał,
Bo bez Rena nie wytrzymał,
Nie wytrzymał drżąc z pragnienia,
By się dobrze dać we znaki,
Gdyż to w nim był zapał taki,

*) Ren, tak się nazywał moskiewski jenerał.

Taka żyłka do brojenia.
Więc się odział wnet siermięgą,
I krakuskę na skroń wdział,
I siarczyście minę tęgą
W chłopskim stroju rotmistrz miał.
Więc Morawski w chłopskiej szacie
Do Poznania sobie wali,
Myśląc nad tem, jak Moskali,
Ma przywitać w polskiej chacie.
Ale myśli nie natężył,
Bo rzeźnicki zmysł zwyciężył:
„Ja ze swoją taratatką
W samem mieście stanę jatką,
I nie małe me wesele,
Gdy z konceptem przedam cielę."
Jak pomyślił, tak i zrobił,
Cielę sobie przysposobił,
I tak czekał przy sprzedaży,
Aż się kupiec Moskal zdarzy.
Więc się zdarzył: kuchta Rena
W targ i zgoda — i już płaci,
A w Morawskim drgnęła wena,
Że konceptu nie utraci.
Targ się udał więc wesele,
Kuchta do dom niesie cielę,
I gdy pierwszą rozciął ćwiartkę,
Taką przy niej znalazł kartkę:
„Kłania się Morawski,
Przedał ci to cielę,
I znalazł Moskali,
Kpów tutaj nie wiele."
Kuchta dał kartkę Renowi:
— *Szto to budiet*, *smotry panie*,
Ja tu naszoł to pysanie.
— *A ty durak!* — Ren mu powie
Znaju toho buntowszczyka
Toho szelmę i reźnika!
Więc on tutaj był dziś w mieście,
Dwieście mi kozaków weźcie.
Po sto pałek dam w nagrodę,
Jeśli umknie — hurra dzieci,
Hurra chłopcy moje młode
Order weźmie, kto doleci!"
Tak Ren wściekły gromi, krzyczy,
I szle pogoń za rzeźnikiem,
Za zuchwałym *buntowszczykiem*,
Szle aż dwustu z swojej dziczy.
Pogoniła czwałem chmura
Wrzeszcząc, krzycząc: hurra, hurra!
I nahajki zaświstały
I jak niegdyś hord tatarskich,
Dzikie tłuszcze uganiały!
„Hej w tem siole już coś dzwoni
Pewno tu ten rzeźnik jest,
Kto go schwyci, weźmie *chrest!*"
I leciała wrogów chmara,
Jako niegdyś ćma tatara,
A Morawski dzielny chwat,
Ze sprzedaży swojej rad,
Do obozu spieszy znów,
Z Rena drwiąc i z jego kpów!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Karabela pradziada.

W naszej Polsce jest dużo wsi takich, które zamieszkane są przez samą drobną i ubogą szlachtę, która tak pracuje i gospodaruje jak każda inna wiejska gromada, jeno że każdy mieszkaniec jest szlachcicem i cała wieś jakąś pieczęcią szlachecką się pieczętuje. Tacy wieśniacy nazywają się u nas

szlachcicami chodaczkowymi a ich sioło zaściankiem szlacheckiem.

Za dawnych czasów, kiedy szlachectwo miało swój walor, takie zaścianki szlacheckie miały swoje rozmaite prawa a mieszkańcy ich jeździli na wojnę i na sejmiki, zaś powstawały te szlacheckie wsie z tego, że król polski wszystkich członków gromady, która się w jakiej wojnie odznaczyła pobiciem wroga lub jakim innym walnym czynem, mianował odrazu szlachcicami.

Otóż w jednym takim szlacheckim zaścianku, który się nazywał Wyżyn, mieszkał pewien stary i zamożny szlachcic pan Antoni Wyżyński. Był to kmieć badzo poczciwy i szanowany, a nie tylko własna gromada ale i wsie sąsiednie czciły w nim wielką sumienność i prawość. Otóż ten pan Wyżyński miał dwóch synów po dwóch żonach Fraciszka po pierwszej, Macieja po drugiej.

Pan Antoni miał już górą lat siedmdziesiąt a obaj jego synowie już w dojrzałych urośli byli chłopów, kiedy w Polsce wybuchło przeciw Moskwie powstanie w roku 1831. Na wiadomość o tem stary Antoni Wyżyński mało że skóry nie wyskoczył, kręcił się i wiercił starowina jak nie swój a gdyby nie siedm dziesiątek lat na barkach, pewnieby był pierwszy pospieszył na Moskala.

Nad jego łóżkiem wisiała stara krzywa szabla, co ją nazywali dawnemi czasy Polacy karabelą, a która zapamiętała jeszcze tureckie wojny i wyszczerbiła się na niejednym łbie pogańskim. Sam pan Antoni Wyżyński odziedziczył ją po swym ojcu, a ojciec jego po dziadzie i ztąd też stara ta krzywa szabla nazywała się karabelą pradziada.

Tak jak dziad pana Antoniego chodził z tą karabelą jeszcze pod Wiedeń z Sobieskim, uwijał się z nią sam pan Antoni pod Kościuszką przeciw Moskalom — a gdy i teraz dowiedział się o powstaniu, westchnął jeno, popatrzył na starą krzywą szablę nad łóżkiem i mówił:

— Hej, hej, gdybym to miał choć dziesięć lat mniej i zdrowe kości, zaraz bym siadał na koń i chwytał za tę karabelę a jechał pierwszy na wroga!

Kiedy tak sobie stary wzdychał, przypadł mu raz do nóg syn Franciszek i rzecze:

— Ojcze! pobłogosław mnie, bo pójdę na wojnę!

Stary spłakał się z rozczulenia, ucałował syna w czoło i rzekł:

— Idź synu w Imię Boże! Ja cię błogosławię dłonią starca! Twój brat Maciej zostanie przy roli, abyś ty miał gdzie schronić głowę, wracając z wojny, a ja oprócz swego błogosławieństwa dałbym ci i tę starą szablę moją, ale dziś już takiej broni nie używają żołnierze, a zresztą, kto wie, może i o naszą wieś zawadzą wrogi, a ja wtenczas chwycę sam za tę szablę i razem z panami gromadą uderzę na Moskala!

Pożegnał się z płaczem Franciszek, uściskał i ucałował ojcu staremu nogi i ręce, uściskał brata i wybrał się na wojnę. Jak poszedł tak przepadł! Już i wojna się skończyła, żołnierze ranni i zdrowi popowracali do domu ale Franciszek nie powrócił. Stary Antoni czekał i czekał na syna a nie doczekał się starowina, zmarł z zgryzoty i żalu, a majątek objął drugi syn Maciej.

Już na grobie starego Antoniego dwa razy zazieleniła się murawa, a Franciszka jak nie ma, tak nie ma.

Na mieniu ojcowskiem gospodarował młodszy brat Maciej. Był to człek chciwy majątku i pieniędzy i z sercem nieczułem — zapomniał o bracie całkiem, nawet się o niego nie spytał, co się z nim stało, czy poległ, czy gdzie żyje, a ludzie coś przebąkiwali z cicha, że Maciej cieszył się z tego, że Franciszek nie wrócił, bo się ojcowskim dobytkiem z nikim dzielić nie potrzebował.

Tak minęło trzy lata, kiedy naraz zjawił się w chacie nieboszczyka Antoniego Wyżyńskiego jakiś wynędzniały człowiek w żołnierskim płaszczu, z złocistym krzyżykiem na piersiach i z wielką blizną od rany przez czoło. Nieznajomy żołnierz wszedł do chaty i przywitał się po nabożnym zwyczaju:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków! — odpowiedział Maciej i pobladł jak chusta.

Poznał on w żołnierzu swego brata Franciszka.

Zrazu przemogło jakoś w Macieju serce braterskie, przywitał się z bratem dobrze, ugościł go jak przynależy i wysłuchał jego opowiadania. Franciszek zapłakał po ojcu, a potem opowiadał, jak się bił przez całą wojnę, jak był w największym ogniu w pięciu bitwach i Bóg go ocalił, ale przy szturmie Warszawy wzięli go Moskale do niewoli i trzymali przez całe trzy lata przy robocie w fortecy i dopiero teraz go wypuścili.

Franciszek długo opowiadał bratu i sąsiadom, którzy się zbiegli przywitać go po długiem niewidzeniu, swe wszystkie przygody żołnierskie, aż zmęczony położył się spać i przespał po długich trudach pierwszą spokojną noc pod strzechą ojcowską.

Na drugi dzień ledwie wstał, już brat zawołał go do komory i mówi mu:

— Powiedz że mi kochany bracie, co z sobą robić myślisz?

— A cóż, kochany Maćku, zostanę z wami pod ojcowskim dachem...

Maciej się skrzywił niechętnie i mówił:

— Kiedy bo widzisz Franciszku, że u nas bieda wielka, a ten majątek po ojcu ledwie dla mnie i dla moich dzieci wystarczy...

Zabolało serce Franciszka na te słowa, ale nie dał tego poznać po sobie, jeno mówi:

— No już to ja wam darmo chleba jeść nie będę, pomogę za to we wszystkiem w gospodarstwie, bo chwała Bogu, człek jeszcze zdrowe kości wyniósł z wojny.

— Kiedy bo widzisz kochany bracie — rzecze niedobry Maciej — ojciec przy śmierci o tobie nic nie wspominał, jeno mi cały majątek zapisał...

— Jakto! — zawołał Franciszek — więc mój ojciec miałby o mnie zapomnieć! Ha niech i tak będzie, ale przecież choć na jakiś czas musisz mi dać przytulisko jakie...

Maciej mruknął coś z niechęcią pod nosem. Franciszek to zauważał, przejrzał niegodziwe serce brata i mówi:

— Widzę, żeś mi nie rad bracie! Nie będę ci się też natrącał! Kiedy ojciec chciał, abyś ty miał cały majątek, to ojca wola święta! A powiedz że mi prawdę, czy nie przekazał mi nieboszczyk ojciec choć jakiej pamiątki?

— A prawda — rzekł na to Maciej — zostawił ci tę starą szablę krzywą, co wisiała nad jego łóżkiem.

— A więc daj mi ją bracie. Pójdę w świat znowu i potrafię sobie jakoś między ludźmi zapracować na życie.

Maciej pobiegł na strych, bo nie szanując pamiątki po ojcu, rzucił był starą szablę gdzieś między stare żelaziwa i śmiecie. Kiedy przyniósł szablę, Franciszek chwycił ją w ręce, pocałował i począł ją oglądać ze łzą oka, bo mu się na jej widok przypomniał ojciec nieboszczyk.

Ta stara karabela była ogromna, taka, jaką by dziś już nie lada kto potrafił wywijać! Była ogromnie szeroka, a pochwa jej była ze skóry, wybijana posrebrzanemi gwoździkami. Franciszek oglądnąwszy karabelę, chciał ją wyciągnąć z pochwy, aby się przekonać czy też mocno zardzewiała. Pociągnął tedy za rękojeść silnie i wydobył gołą szablę, ale razem z ostrzem wyleciał na wierzch jakiś papier z szerokiej skórzanej pochwy.

Franciszek podniósł ten papier, rozwinął go i począł czytać. Papier ten musiał być ważnej treści, bo Franciskowi aż ręka zadrżała.

— Macieju — zawołał na brata — czyś miał ty sumienie?

— Co mówisz? — odpowiedział Maciej — nie rozumiem cię.

— Czy wiesz, kto ten papier zapisał?

— Nie wiem.

— Zapisał go nasz nieboszczyk ojciec, krótko przed śmiercią.

— I cóż tam stoi? — zapytał niespokojnie Maciej i pobladł mocno.

— Oto przeczytam ci. Słuchaj!

I Franciszek począł czytać. Na papierze stały te słowa: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ponieważ uważam, że mój syn Maciej jest chciwej duszy i niemiłosiernego serca, a zatem gotów po mojej śmierci pokrzywdzić mego drugiego

syna, który jest na wojnie, a zatem spisuję tu moją ostatnią wolę, jako cały majątek mój w ziemi i w gotówce przekazuję memu synowi Franciszkowi — jednakże zostawiam to jego sercu, aby ile jego wola, dał z tego część jakąś Maciejowi.“

Widać stary napisawszy taki testament schował go umyślnie do pochwy karabeli, a potem umierając nagle, nie powiedział ludziom, gdzie się ten papier znajduje.

Gdy Franciszek przeczytał papier, stanął Maciej blady jak trup i oczu nie śmiał podnieść na brata. Franciszek zaś w te odezwał się słowa:

— Bracie, niegodnie sobie postąpiłeś! Gdybym był mściwym, mógłbym cię teraz wypędzić z ojcowskiej chaty, wydać cię wraz z żoną i dziećmi na pastwę nędzy. Ale ja nie chcę odbierać ci tej mamony, którą tak pokochałeś, żeś dla niej o sumieniu, o woli ojca i o bracie twym zapomniał. Patrz oto co zrobię!

I Franciszek chwycił ów papier i rzucił go na ogień, który palił się na kominie.

Papier spalił się czerwonym płomieniem, ale jeszcze bardziej zaczerwieniła się od wstydu twarz Macieja...

Gdy papier spłonął, Franciszek chwycił za swą torbę i zakładając czapkę rzekł:

— Bywaj zdrów bracie! Pójdę w świat i znajdę tam przytułek! Nie bój się niczego! Nie powiem nikomu o tem, co się stało, a nie zobaczymy się z sobą nigdy!

I ze łzą w oku ruszył ku drzwiom.

Tymczasem w sercu Macieja gotowało się gwałtownie. Sumienie odezwało się w nim nagle a szlachetność Franciszka, który dobrowolnie wyrzekł się całego majątku, tak go rozczuliła i poruszyła, że łzy polały mu się po twarzy.

Rzucił się za Franciszkiem i padając przed nim na kolana, zawołał z płaczem:

— O zostań bracie, nie odchodź! Twoja dobroć i szlachetność przekonała mnie dopiero jasno, jaki byłem niegodziwy i podły! Bracie, drogi Franciszku! Przebacz mi, przebacz i zostań, gdyż inaczej umrę z wstydu i frasunku!

Franciszek widząc płaczącego brata u nóg swoich, podniósł go i przebaczył mu z serca. Obaj uściskali się serdecznie. Franciszek został w chacie i obaj bracia wspólnie pracowali na swej ojcowiznie...

A stara karabela pradziada, którą Franciszek tak ślicznie odczyścił, że świeciła się jak zwierciadło, wisiała teraz nad łóżkiem żołnierza a nad nią wisiał i ten złocisty krzyżyk, który Franciszek otrzymał za waleczność... A w każdą rocznicę śmierci nieboszczyka Antoniego, dziatki Macieja zbierają kwiaty, i stroją stare szablisko!

I w chacie obu braci panowały odtąd szczęście i zgoda! Oby wszystko złe tak dobrze się kończyło!

Kiedy jest prawy czas do żniwa?

Nie zaszkodzi gospodarzy naszych tem pytaniem zatrudnić. Zbyt często bowiem mało zważają na to, aby zbiór ziemiopłodów, mianowicie zboża w właściwym czasie się odbył; żeby z ziarna nic nie zginęło, celem uzyskania nagrody za pracę, nawóz i nasienie, i żeby wartość zbioru stanowiła odpowiedni dochód. Już kiedy samo zżęcie w odpowiednim czasie i z oględnością zostanie wykonanem, znajdzie gospodarz o wiele znaczniejszy zysk z swojej roli.

Zwykle żniwo przy wszystkich ziemiopłodach zaczyna się później niż potrzeba. Ztąd wielka szkoda dla gospodarza, jeżeli go zaniedba. Przy zbożach zazwyczaj wyczekują, aż ziarno do zupełnej dojrzałości przyjdzie. Zaczynają żąć, gdy ziarno zupełnie stwardło, tak iż między zębami jak szkło się kruszy, a słoma całkiem zbielała i łamie się. Pospolicie wieśniak uważa zboże za zupełnie dojrzałe, gdy, jak to przy życie i jęczmieniu bywa, kłosy się schyliły; przy roślinach olejnych zaś, gdy kolor utracą i pękają. Przy tem jeszcze sąsiad ogląda się na sąsiada, i mniema, że ma dosyć czasu, kiedy drugi nie zaczął. Tymczasem ziarno przejrzeje, tak iż przy miernym wietrze wypada. Gdy się potem żnie, wypada jeszcze więcej ziarna, i kłosy odłamują się. Na domiar szkody, wykonywają się i dalsze roboty

żniwowe bez uwagi i oszczędności, tak że jeszcze raz tyle niszczeje, i czasem połowa ziarna na polu zostaje. Widzimy to nieraz, gdy po porzewróceniu ścierniska, gęsty zasiew na zagonach wyrasta. Tym sposobem gospodarz traci często cały czysty dochód i więcej.

Zdarzają się wprawdzie przeszkody przez niepogodę, ale i tu oględny gospodarz będzie umiał zapobiedz niepotrzebnej stracie. Nie potrzebuje do tego nic więcej, tylko ażeby wszystkich sił jakie ma, z uwagą w prawym czasie i odpowiednio użył. Więc gdy się czas żniwa zbliża, powinien bacznem okiem na swe ziemiopłody patrzeć; w tym porządku jako dojrzewają, często i nawet kilka razy dziennie próby ich dojrzałości czynić, ażeby rznięcie w sam czas przedsięwziąć.

Kolor słomy i ziarna mniej jest znaczącym. Jednakże trzeba baczyć na czas, gdy słoma zielona zażółknie. Przy ziarnku trzeba dozierać, skoro takowe ścisnąwszy je palcami, przy pszenicy i owsie nie jest mlecznem, przy życie i jęczmieniu zaś nie jest wodnistem, ale mocno klajstrowate, tak iż się nie daje rozmazać. Wtedy jest prawdziwy czas do żęcia, chociażby słoma i ziarno zielonawe jeszcze były. Przy jęczmieniu w tym czasie brzegi brunatnieją.

Czas zbierania lnu i konopi, jeżeli chcemy mieć włókno dobre jest, gdy łodyga zażółknie. Jeżeli chcemy mieć nasienie trzeba wyczekać dojrzałości. Jeżeli chcemy mieć oboje, nasienie i włókno, trzeba te rośliny zbierać, gdy ziarno już jest zupełnie rozwinięte ale jeszcze nie dojrzałe; ponieważ włókno jest tem gorsze, czem dojrzalsze ziarno. Przy zupełnej dojrzałości włókno jest drzewiaste, łamie się i traci wartość.

Do zupełnej dojrzałości dojdą potem zżęte rośliny na pokosach, w rzędach lub w lekko związanych snopkach, i tu należy czekać, aż ziarno będzie należycie twardem, a słoma suchą i łomną. Potem dopiero ma się zwozić, co znowu powinno się odbywać z przezornością i oszczędnością.

Przez wczesne żniwo otrzymujemy nietylko lepszą, pożywniejszą słomę na paszę, ale także ziarno piękniejsze, mączniejsze, obfitsze w olej, a zatem i cenniejsze, na miarę wydatniejsze, i nie kurczące się tak, jak gdy na pniu dojrzeje. Wcześnie zżęte zboże kupują także handlarze chętniej, i płacą je lepiej.

M.

RÓŻNOŚCI.

Straszna burza. Z Nowego Sącza piszą: W sobotę dnia 29. czerwca o godzinie pól do trzeciej po południu nawidziła nas straszliwa burza. Tego dnia również jak dwa dnie poprzednie, słońce okropnie przypiekało. Zboże jeszcze zielone, w owych dwóch dniach zupełnie zżółkło, liście jarzyn zeschły, bo wiatr palił ogniem. Skwar był niesłychany, a wszystko co żyje, cały dzień siedziało ukryte po dziurach, ulice puste, miasto jak wyludnione. Już o godzinie drugiej z południa ujrzano na zachodzie brudnoszarawą chmurę, w której ciągle wrzało, a ogniste węże nieustannie ją przeszywając, zapowiadały nam straszliwego gościa. I w istocie skutek okazał, że obawy nasze nie były płonne. Ciągnąc on od Limanowy na Tkaninę, Trzetrzewinę, Biczyce, Chełmiec w prostym kierunku, zmłócił bez litości tegoroczne plony i wpadł z wściekłością na nasz na wzgórku stojący Sącz, tak gwałtownie, że nie podobna było zapobiedz zniszczeniu, choćby zamknięciem drzwi i okien. Zawył też straszliwie wśród miasta, miotając tumany kurzu i gęstym gradem wielkości średniej orzecha włoskiego, a w szalonym wichrze wszystkie nam wysypał okna. Tylko pięć minut trwała burza, ale kto nie był świadkiem tego strasznego widoku, ten nie pojmie dokładnie przestrachu i przerażenia naszego. Wystawcie sobie wycie wichrów, tumany kurzu pod obłoki wzbite, miotane w twarz i oczy przelęknionym i uciekającym ludziom, zupełną ciemność wśród dnia, tysiące ognie z chmur, łamanie się piorunów w niezliczone echa, wnet głuche jakby podziemne, wnet z przerażającym trzaskiem, szum sypiącego się gradu, trzeszczenie dachów, a wśród tego okrótne bicie okiennicami, drzwiami i oknami — brzęk szyb i wyrywanych okien, nawiew lodu i wody do izb, przy czem łom konarów z drzew jakby pod ogniem kartaczowym, jeszcze więcej dodawało okropności. Dodać do tego jeszcze krzyk rozpaczliwy, bieganie tam i sam, nawoływanie — płacz dzieci, powszechna wrzawa — a będzie mały obraz sądu ostatecznego. I nie dość na tem; burza pociągła jeszcze na nasze łany zbożowe, zwaliła i wytłukła na lichą mierzwę i skręciła się ku stronie północno-wschodniej na Puszyn i Mogilno. Ale wywarłszy całą złość swoją na Sączu, nie wiele tam poszkodziła. Zważone jedno ziarno gradu okazało pół łuta ciężkości. Grad padał krótko, ale i to wystarczyło, aby po sobie nieobliczone pozostawić skutki; zmiótł on bowiem cały plon, a pasmo od Kaniny do Sącza dwie mile długie a pół ćwierci mili szerokie, kędy owe burze przeleciały, zamienione w czarny szlak, wsie bez dachów, a chaty odarte i bez okien. Tak to całoroczna nadzieja rolnika została w kilku minutach zniszczoną! Kamienie rozpalone przemieniły w okamgnieniu grad w parę, ale w zagłębinach leżał grad całą godzinę. Zaraz też telegrafowano do Krakowa, Tarnowa i Bochni o przysłanie szklarzy, którzy szkodę na 4000 złotych obliczają. Dzisiaj miasto nasze wygląda jakby po ataku nieprzyjacielskim. Dachy pouszkadzane, nigdzie całej nie ujrzysz szyby, ulice szkłem wyścielone, domy jak trupie czaszki. A pola? Istny obraz zniszczenia. To też targ nasz tygodniowy, na który zbierają się ludzie z okolicznych wiosek, przedstawiał ogromną scenę płaczu i narzekania; mało kto targował, bo wszyscy tylko o stracie i o zupełnem zniszczeniu mówili!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 3.

21. lipca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz Puławski.

Do tych wielkich mężów polskich, którzy czynami swemi szlachetnemi i miłością ojczyzny zasłużyli sobie na wieczną cześć u naszego narodu a nawet u świata całego, należy także Kazimierz Puławski, sławny bohater i wojownik polski. Kilka razy wspominaliśmy wam już pokrótce o tym wielkim Polaku — teraz zaś podajemy wam opis jego życia.

Kiedy moskiewska caryca Katarzyna przez rozmaite konszachty posadziła na tron polski smutnej pamięci Stanisława Augusta, poczęli Moskale broić na naszej ziemi jakby w własnej chacie. Król Stanisław August, jak już wiecie, był ladaco i niezdara, i zamiast przewodzić narodowi przeciw Moskalom, pochlebiał się podle carycy moskiewskiej. Gdy Moskale pozwalając sobie coraz bardziej poczęli dopuszczać się gwałtów najszkaradniejszych, przebrała się miarka cierpliwości narodu i utworzył się związek co najlepszych Polaków, którzy przysięgli albo zginąć albo moskiewskim bezprawiom raz na zawsze koniec położyć.

Pierwszym co o takim związku Polaków pomyślał, był Józef Puławski, starosta rawski, ojciec owego Kazimierza, o którym wam tu opowiedzieć chcemy. Józef Puławski zgromadził wszystkich tych przyjaciół i znajomych, o których wiedział że miłują swą ojczyznę, i tak niebawem zebrała się mnoga ilość Polaków, którzy z bronią w ręku przysięgli oczyścić Polskę z Moskali. Ten związek Polaków przeciw Moskalom, gospodarującym w Polsce, nazywał się Konfederacją barską od miasteczka Baru, w którym pierwsze porozumienie się odbyło.

Stało się to d. 29. Lutego 1768. Naczelnikiem tej konfederacji obrano Michała Krasińskiego, a naczelnikiem zebranego wojska został ów Józef Puławski. Zaraz z początku Józef Puławski zgromadził wszystkich trzech swych synów: Kazimierza, Franciszka i Antoniego i ci wszyscy trzej przysięgli walczyć do ostatniej kropli krwi wraz z swym ojcem w obronie Polski i wolności.

Na wieść o zawiązanej konfederacji spieszyło ze wszystkich stron Polski mnóstwo Polaków i zapisywało się do wojska konfederackiego, a tak niebawem zgromadziła się w Barze niemała ilość walecznych żołnierzy polskich.

Gdy się dowiedzieli Moskale o konfederatach, zaraz wysłali na nich wojska pod Bar, ale Polacy pobili ich na głowę i rozpędzili na wszystkie strony. Ale Moskale wnet zgromadzili wielkie siły, a król polski Stanisław August zamiast pomagać szlachetnym zamiarom konfederatów, występywał przeciw nim jako wróg i za buntowników ich ogłosił. Bronili się konfederaci i bili się walecznie, udając się pod opiekę Najświętszej Panny — ale siła wroga i zdrada króla przemagały i tak udało się Moskalom zdobyć Bar, gdzie było główne siedlisko konfederacji barskiej.

Józef Puławski musiał z cząstką swego wojska uchodzić z Polski, przeszedł Dniestr i udał się na ziemię turecką. Ale Moskale i tam ścigali sędziwego tego starca. Przekupili tureckiego ministra a ten zdradą kazał go pojmać i wrzucił go do więzienia w Stambule. Tu skończył żywot swój zacny i szlachetny Józef Puławski. Skonał w tureckiem więzieniu. Przed

śmiercią napisał jeszcze kartkę do synów swoich, których na Boga i na swoje błogosławieństwo zaklinał, aby zostali do śmierci wierni swej ojczyźnie.

Choć pierwszy założyciel i główny naczelnik konfederatów tak marnie zginął w niewoli tureckiej, przecież sprawa konfederatów nie upadła, a Józef Puławski znalazł następcę w swym synie Kazimierzu. Dzielny i waleczny Kazimierz pomścił krwawo na Moskalach niedolę swego ojca. Walczył on z wrogiem z niesłychaną walecznością, i zadawał Moskalom klęskę po klęsce. Kazimierz Puławski był wojownikiem jakich mało na świecie, umiał przewodzić wojskiem jak najlepszy jenerał, a bił się także jak prosty żołnierz. Był on przytem prawy i szlachetny, nabożny i wstrzemięźliwy, a nie było broni, którą by tak dzielnie nie władał, że równego w tem nie miał w całej Polsce może.

Jeszcze za życia ojca pobił był Kazimierz ogromnie Moskali pod Berdyczowem i mnóstwo zabrał im jeńców — później kiedy rzeczy poszły gorzej, cofnął się z konfederatami nad Dniestr, a ścigany i otoczony przez okropną ćmę Moskali, bronił się dzielnie przeciw przemocy i przerznął się szczęśliwie przez wojsko moskiewskie.

Następnie udał się Kazimierz Puławski na Litwę i tam pobił Moskali pod Brześciem i pod Słonimem a z Litwy cofnął się do Galicji, bijąc się nieustannie po drodze z Moskalami, w których to walkach poległ brat jego Franciszek. Choć Moskale zewsząd w okropnej liczbie naciskali na Kazimierza Puławskiego, nie dał im się przecież pobić, ale przeciwnie zadawał im ciągłe porażki.

Udał się w góry karpackie i ztąd robił wycieczki na Moskali, którzy jak ognia bali się Kazimierza. Od Karpat przerznął się do Krakowa, wypędził ztamtąd Moskali, a słysząc że Moskale otoczyli Częstochowę, gdzie jest sławny obraz cudownej Matki Boskiej, pospieszył w pomoc. Moskale uciekli natychmiast a Puławski zajął Częstochowę i zamknął się w niej z swymi konfederatami. Francuzi słysząc o takich sławnych czynach Puławskiego wysłali mu na pomoc pieniądze i oficerów, a jeden dzielny pułkownik, rodem Węgier, zebrał 300

górali polskich, wieśniaków, i pospieszył na pomoc Puławskiemu do Częstochowy.

Bronił się tedy Kazimierz Puławski przeciw Moskalom w Częstochowie, choć ich pod jenerałem Drewiczem okrutna moc się zgromadziła i robił na nich wycieczki, bijąc ich na każdym kroku. W tych swoich zwycięztwach pobił Kazimierz Puławski dwa razy jenerała moskiewskiego Suwarowa i zabrał mu mnogo jeńca i armat. Moskaliska stali a stali pod Częstochową a dobyć jej nie mogli, aż król pruski ówczesny, zdrajca niegodziwy, przysłał Moskalom na pomoc armaty. Ale Puławski byłby się bronił długo jeszcze Moskalom, lecz żal mu było świętego miejsca, że je Moskale kulami armatniemi zniszczą, więc opuścił Częstochowę, mówiąc:

— Gdyby to nie było tak święte miejsce, nie opuściłbym go, tubym się bronił do upadłego i w gruzach bym się zagrzebał. Wiem że wojsko byłoby mi dotrwało, ale nie trzeba świętego tego grodu na ostateczną zgubę i zemstę kacerską narażać.

Kiedy Kazimierz Puławski opuścił Częstochowę i rozpatrzył się po Polsce, ujrzał, że źle rzeczy stoją. Pewnie też każdy z was dziwić się będzie, czemu Polacy mimo swej waleczności nie mogli sobie dać rady z Moskalami i czemu pan Puławski i konfederaci ustępywać musieli, choć tyle razy odnieśli zwycięztwo nad wrogiem?

Nie trudno na to odpowiedzieć, kochani bracia! Oto najpierw sam monarcha polski, Stanisław August, zdrajca wierutny trzymał z Moskalem, a zacnych konfederatów co chcieli krwią swoją serdeczną okupić szczęście dla ojczyzny, ogłosił za buntowników — więc też nie dziw, że ta zdrada króla musiała wielce szkodzić dobrym chęciom. Dalej własne nieszczęsne wady Polaków sprowadzały klęskę na Polskę i więcej jej zaszkodziły, niż wszyscy nieprzyjaciele. Bez tych wad Polska do dziś dnia byłaby była mocarstwem wielkiem i wolnem — a były to wady następujące: lekkomyślność, nieostrożność, opieszałość, a przedewszystkiem brak jedności i pochopność do zwady i kłótni między panami.

Przeciw tym wadom nieszczęśliwym i taki wielki wojownik jak Kazimierz Puławski nic pomódz nie mógł, więc też opuścił

Polskę, swą ojczyznę. Wyjechał za granicę, z wielkim bolem serca i gorzkie łzy lejąc, i postanowił wyczekiwać tam chwili, kiedy by można znowu powrócić i w dobrej porze wziąć się do skóry moskiewskiej.

Tak tedy tylko z jednym przyjacielem i sługą wyjechał pan Puławski za granicę, przejechał kraje bawarskie, saski, i w końcu udał się do Turcji, a wszędzie go przyjmowano z wielkiemi honorami, bo sława pana Puławskiego rozniosła się po całym świecie. Ciekawiście zapewne, czemu Polacy tak chętnie udawali się do Turcji, w kraj pogański? Oto czynili to z miłości ojczyzny. Musicie bowiem wiedzieć, że Moskal z Turkiem od wiek wieków są jak pies z kotem, zawsze sobie nieprzyjaźni — więc też biedni wygnańcy myśleli, że wraz z Turkami będą mogli bić Moskali. Jakoż właśnie kiedy pan Kazimierz Puławski przybył do Turcji, wydali byli Turcy wojnę Moskalowi a Puławski zebrawszy Polaków co było pod ręką, utworzył mały oddział polski i miał się z nim bić przeciw Moskalom.

Ale Turcy pokpili sprawę i uciekli przed moskiewskiem wojskiem haniebnie, tylko jedna garstka Polaków biła się z nimi, póki mogła. Wrócił tedy Kazimierz Puławski z niczem do Francji. A właśnie podówczas zaszła taka historja. W Ameryce, na drugiej półkuli świata, panowali nad Amerykanami Anglicy. Ale że poczynali sobie niesłusznie z Amerykanami a Amerykanie są tęgim narodem, który lubi wolność, więc powstała wielka wojna i Amerykanie uwzięli się wypędzić z swojej ziemi Anglików. Po stronie Ameryki byli wszyscy zacni ludzie całego świata — bo każdy poczciwy człowiek powinien ciągnąć za tym, co chce wolności i bije się z swym ciemięzcą. Otóż z całego świata jechali ochotnicy do Ameryki, aby tam pomagać Amerykanom do wypędzenia Anglików.

Owoż kiedy Kazimierz Puławski przybył do Francji, bawił tam właśnie pewien sławny Amerykanin, który przyjechał tam po pomoc dla swoich rodaków. Ten Amerykanin nazywał się Franklin i był to ten sam, co wynalazł te żelazne pręty do ściągania piorunów i tem właśnie światu niezmierne zrobił dobrodziejstwo.

Kazimierz Puławski myślał sobie, że lepiej iść bić się za dobrą, choć cudzą sprawę, niż gnuśnieć we Francji, i umyślił pojechać do Ameryki i tym sposobem rozerwać tęsknotę do ojczyzny. Mawiał bowiem tak Puławski:

— W narodzie polskim jest obrzydzenie do wszelkiej tyranji, więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest, jak gdyby nasza własna sprawa. Zmówił się tedy z tym Franklinem i pojechał na pomoc Amerykanom. I tam już wiedziano o nim, jako o sławnym wojowniku. Przyjęli go też Amerykanie z wielką radością i zaraz go zrobili jenerałem. Kazimierz Puławski, kiedy na okręcie płynął do Ameryki, musiał się uczyć po angielsku, bo tym językiem mówią Amerykanie, a najpierwsze słowo którego się nauczył, było to słowo *forward*, co oznacza po polsku: naprzód, bo też słowo naprzód było zawsze hasłem dla polskich żołnierzy.

W Ameryce zastał Puławski kilku Polaków, bo już podówczas nasi rodacy zaczęli się rozpraszać po całym bożym świecie. Spotkał się tam także z panem naczelnikiem Kościuszką, który jak już wiecie, także się bił za wolność w Ameryce, nim przybył do Polski wypędzać Moskali.

W wojnie amerykańskiej dokazywał Kazimierz cudów odwagi i waleczności, a Amerykanie kochali i czcili go z całej duszy. Naraz wysłali go wraz z innemi wojskami do zdobywania fortecy Sawanna, w której zamknęli się byli Anglicy. Kazimierz Puławski na czele swego oddziału leciał pierwszy na ogień i padł od kuli angielskiej. Jeden Polak konfederat, nazwiskiem Rogowski, co był wiernym przyjacielem Puławskiego, z nim razem pojechał do Ameryki i z nim razem szturmował do fortecy Sawanna, tak opisał ten nieszczęsny wypadek, w którym poniósł śmierć Kazimierz Puławski:

„Kiedy Amerykanom jakoś się nie wiodło, Puławski widząc, że między okopami jest duża luka, postanowił z nami Polakami i z małym oddziałem amerykańskiej kawalerji puścić się obces tą drogą, wpaść w środek miasta i tym sposobem zrobić Anglikom strachu a Amerykanom uciechę. Wezwawszy Pana Boga na pomoc, krzyknął *forward* (naprzód!), a my za nim w dwieście koni kopnęliśmy się galopem, że aż ziemia

się trzęsła. Pierwsze dwie minuty szło wyśmienicie, lecieliśmy jak na stracenie, ale gracko, po polsku — dopiero gdyśmy mijali armaty, między którymi był ten wyłom, wstrzymał nas ogień krzyżowy i zamięszał się oddział, jak woda puszczona z wysoka, gdy na zamkniętą śluzę natrafi. Ja patrzę! o chwilo boleśna i niezapomniana nigdy! Puławski leży na ziemi! Poskoczę co żywo i zsiadam z konia, myśląc że nie szkodliwie ranny; — aż tu wielkie nieszczęście! Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew bucha także, znać od innego strzału. Gdym przyklęknął i zaczął go podnosić, wymawiał umierającym głosem: „Jezus, Marja, Józef“, więcej nic nie słyszałem, nie widziałem, bo karabinowa kula śliznęła mi się po czaszce, krew mi oczy zalała i omdlałem zupełnie. Poczciwi żołnierze amerykańscy, zachęceni przez Polaka Jerzmanowskiego, rejterując się ku swoim unieśli Puławskiego, mnie i innych rannych. Pod wieczór gdy przyszedłem do przytomności, opowiadano mi, że pan Kazimierz żył jeszcze blisko godziny, ale gadał tylko słowa przerywane — to o Polsce, to o przyszłości! Dał także znak, aby mu podano krucyfiks z ukrzyżowanym Chrystusem, który do ust z nabożeństwem przycisnąwszy, ducha wyzionął.“

Tak zginął ten wielki wojownik i sławny Polak na obcej ziemi. Ci co go znali, tak go opisywali: Puławski kochał gorąco Pana Boga, ojczyznę swoją i rodaków swoich, odważny był niesłychanie i choć miernego wzrostu, w ręce miał siłę niesłychaną — a na szable bił się jak nikt! Sam nigdy sprawy nie zaspał ani prześlepił, to też był surowym w służbie i bratu by rodzonemu nie przepuścił wojskowej winy. O siebie nie dbał zgoła, zapominający o sobie a wylany dla innych, tak że z każdym ostatnią koszulą byłby podzielił się chętnie.

Cztery dni przed śmiercią miał pan Puławski taki dziwny wypadek. Był smutny bardzo i zamyślony. Jego przyjaciel Rogowski, pyta go, co mu jest?

— Ot panie bracie — rzecze na to Puławski — wczoraj gdzieś zgubiłem szkaplerze! Niedobry to znak!

A trzeba wiedzieć że Puławski, jak wszyscy rycerze barscy nosił szkaplerze pobłogosławione przez samego nuncjusza papiezkiego, gdy tenże odwidzał konfederatów w Częstochowie,

zasmuciła go więc strata onych świętości, które jako prawowierny katolik z wielkiem nabożeństwem nosił.

Rogowski pocieszał go jak mógł i chciał mu dać jeden z swoich szkaplerzy, ale Puławski rzekł:

— Nie, nie chcę cię pozbawiać tej tarczy niebieskiej. Jeślić taka wola Pana Boga, że tu przyjdzie nałożyć głową, jakże ja grzeszny człowiek wyrokowi takiego Pana mam się opierać!

Otoż tu macie pokrótce opowiedziany żywot pana Puławskiego. Miejcie imię jego w sercu w świętej pamięci, bo jak widzicie, był to sławny i cnotliwy Polak!

I jakżebyśmy my Polacy zapomnieć mieli o tym naszym wielkim rodaku, kiedy nazwę jego czczą na drugiej półkuli świata Amerykanie. Lud amerykański wspomina dotąd imię Kazimierza Puławskiego z szacunkiem wielkim i wdzięcznością. Niedaleko tej fortecy Sawanna, przy której poległ Puławski, wybudowali Amerykanie nowe miasto i nazwali je na cześć bohatera **Puławski**. Zaś mnóstwo jest tam okrętów, które imię to noszą na pamiątkę wielkiego człowieka. I w samem mieście Sawanna jest wielki pomnik na cześć Puławskiego!

Takich to synów miała nasza ojczyzna!

Wojtek ze Smolnicy.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Ciąg dalszy.)

VI. Obrona kościoła.

I tak sobie w swej sukmanie
Przez znajome wracał sioła,
Lecz gdy słyszał, jak z kościoła
Dzwon do modłów na lud woła,
Gdy usłyszał cudne granie,
Co w tysiące dźwięków spływa
I ku niebu serce zrywa;
Gdy usłyszał pieśń co płynie
Przed ołtarze Pana Boga
Z skargą na los i na wroga,
Rozrzewniony wszedł w świątynię.

Lud pobożny kornie klęczał,
I modlitwą płakał, jęczał,
Z serc tysiąca pieśni brzmiały:
„Wybaw Boże lud z niewoli!
Który twojej pragnie chwały
A dziś jęczy w strasznej doli!“
I Morawski co bił wroga,
I Moskali był morderca,
Dlatego, że kochał Boga
Z całej duszy, z głębi serca,
Kląkł i pieśni z ludem spiéwał,
A choć nie był miękkiej duszy
I nie prędko go coś wzruszy —
Strumień łez mu z oczu spływał.
I modlił się naród cały:
Pieśń do niebios z serc płynęła,
Które swiętą wiarą drżały,
Że ojczyzna nie zginęła!
A wtem nagle w drzwiach kościoła,
Straszna wrzawa pieśń przerywa,
I ktoś trwożnie się odzywa:
„Otoczeniśmy do koła!“
Rozpaczliwy jęk porusza
Ciszę trwogi i boleści,
I okropnym ciosem wieści,
I okropnym dreszczem wzrusza.
„Nie ma rady, lud bezbronny,
Ćma kozaków do okoła,
Więc skon czeka nieuchronny,
Bo nikt oprzeć się nie zdoła.“
Lecz Morawski nie zrozpaczył,
Gdy przyjaciół swych obaczył,
Lecz co duchu do drzwi goni
I moc całą spędza ludu,
A sam dalej do rozumu,
Zkądby tutaj dostać broni.
„Ha na chórze w skrzyni starej;
Był tam szturmak z dawnych czasów,
Co pamięta jeszcze Sasów,
Jest! nie traćmy bracia wiary!
Jest i proch i garść siekańców,
To dość na tych bisurmańców!“
Więc zawoła na lud śmiele;
„Dalej bracia w imię Boga!
Nic nie zrobi nam w kościele,
Nie lękajcie' się tak wroga!
Pan Bóg z nami Marja matka,
Hura dalej, czem kto może,
Bij! zabijaj! w imię Boże,
I zabijaj do ostatka!“
A po takiej dzielnej radzie
Jak powita swych Moskali,
I z szturmaka im wypali,
Tak piętnastu trupem kładzie,
Więc też wnet kozactwo tchórzy.
„Lewo w tył“ — przed takim strzałem
Nie czekając chwili dłużej,
„W nogi!“ z swojem męztwem całem,
Klnąc i wrzeszcząc uciekali,
Aż kurzawy straszna chmura,
Po nich wzniosła się jak góra.
A Morawski szturmak chwali —
I lud wrócił przed ołtarze,
I z pokorą padł na twarze.
Dziękczynienia modlą święta,
Czcić opatrzność niepojętą.
Wróg z szatanem, naród z Bogiem,
Niema strachu więc przed wrogiem.
A złożywszy Panu cześć,
O Morawskim nieśli wieść,
Chwaląc dzielny strzał i męztwo,
I cudowne to zwycięztwo!

Morawski sobie tymczasem
Do obozu spieszy lasem
I z Moskali się naśmiewa,
I wesołą piosnkę spiewa:
„Sam tu zuchy, sam tu smyki,
Proszę proszę na zraziki!“
To mi rzeźnik to mi brat,
To mi rotmistrz, to mi chwat!

VII. Zasadzka.

Ale w kraju był czas smutny:
Bo nadchodził czas okrutny.

Król zdradziecki ponoś już
Jak niewieściuch, podlec, tchórz,
Krew ostatnią z Polski sączył,
I z Moskalem się połączył.
Więc boleśne biegły wieści,
Smutnej treści, strasznej treści.
Po miasteczkach radzą, gwarzą,
Co tu robić, co sposobić,
Jak by tu Moskali pobić.
Więc z panami, kapłanami,
Wszystkie miasta i lud cały
Pójdą na bój z Moskalami,
Na bój krwawy, straszny, śmiały.
Wieści o tem doszły w las,
I Morawski zadrżał cały:
— Teraz — woła — nadszedł czas,
Czas zwycięztwa i czas chwały!
Trzeba tylko ze swoimi,
Wejść w stateczną zmowę, radę,
Więc do Gniezna dzisiaj jadę."

Więc pojechał — a w sukmanie —
Bo tej sukni nie zdejmował,
Pojechał — bo go przejmował,
Głos, co wołał o powstanie.
W Gnieźnie znał zacnego księdza,
Więc do niego się zapędza,
Złożyć swe uszanowanie.
Ksiądz poczciwy, pleban stary
Kochał pana Morawskiego,
Bo w nim widział dużo wiary
Dużo cnoty, mało złego,
Więc Morawski szedł do niego:

— A pan rotmistrz! a witamy!
Ale cicho i ostrożnie,
Wrogi sierdzą się wielmożnie,
Oj nieszczęścia wiele mamy,
Więc ukradkiem i cichaczem,
Pogadamy o niedoli,
O tem co najbardziej boli,
Po cichutku i zapłaczem.

Więc z rotmistrzem się prowadzą,
Do alkierza do kryjówki,
I tam o czemś długo radzą.
Wtem rozstawione placówki
Rotmistrzowi niosą wieści,
Że kozaków ze trzydzieści
Dom plebana otoczyło,
I że ich się trzech zbliżyło
Aż do samej księdza celi....
Inni kordon rozciągnęli.

— Skryj się bracie! — ksiądz zawoła —
Tu cię znaleźć nikt nie zdoła!

— Wstydź się księże! rotmistrz rzeknie,
Kryć się, tchórzyć, to niepięknie!

I zaledwie rzekł te słowa,
Wnet do sieni sam pospieszył,
I kozaka tak rozgrzeszył,
Że mu z karku spadła głowa.
Na ulicy zaś Moskale,
Dwie kompanje rozstawili,
I armaty zatoczyli —
Jak do boju, jak na wale.
Więc Morawski gdy to zoczył,
Zdołu oknem z domu skoczył.
I napotkawszy kozaka,
Co na koniu drzał sobaka,
Tak mu palnął pozdrowienie,
Aż się z siodła na ziem zwalił,
I ostatnie wydał tchnienie,
I rotmistrza tem ocalił.
Bo Morawski na koń siada,
Pędzi cwałem do placówki,
A po drodze sobie gada:
„Będzie mięso na zrazówki."
Pędzi cwałem a do koła,
Tłum Moskali ogłupiały
I z przestrachu oniemiały
Ni się ruszyć z miejsca zdoła.
Pogłupieli, oniemieli,
Więc znów nogi zapas wzięli!

A Morawski z pożegnaniem,
Że był siły przeogromnej,
Skłonił się z uszanowaniem
I zrobił im figel skromny!
Kiedy już był na ulicy,
Naprzód cztery sprzątnął czaty,
Potem cztery wziął armaty,
I powrzucał do piwnicy.
Narobiwszy huku, trzasku,
Jechał sobie zdrów do lasku.

A Renn w swojej zaciekłości,
Co o mało nie pękł z złości,
Tak się wściekał i przeklinał,
Że dwunastu swych żołdaków,
(Co mu o tem wieść przynieśli)
Na dwanaście przybił pniaków,
I sam łby im poucinał!
A Morawski już za miastem....
To mi rzeźnik, to mi brat,
To mi rotmistrz, to mi chwat!

(Dokończenie nastąpi.)

Święty Jakób.

(W dzień 25. Lipca.)

W świętej Ziemi, kędy to chodził za życia sam Pan Jezus, nauczał, cuda robił, i gdzie umarł, zmartwychwstał i do nieba wstąpił, było jedno takie morze, nazwane galilejskie, 3 mile długie a 2 mile szerokie, gdzie w około na brzegach rędzinnych stały miasta i wsie przeróżne. Ludzie też tamtejsi mieli żyzne grunta, siali pszenicę, jęczmień, ryż, a znowu jeździli czasami na wodzie i łapali przeróżne ryby. A że byli to ludzie dobrzy i ochotni do wszystkiego dobrego i miłosierni jeden dla drugiego i niesłychanie uczynni, toż tam między nimi lubił przesiadywać sam Pan Jezus, tam też wybrał sobie pierwszych Apostołów.

Otóż raz widział Pan Jezus, jak koło miasta Kafarnaum łapali ryby św. Piotr i Andrzej — a gdy się z nimi rozpoznał, zwyczajnie jak każdy dobry przystaje zaraz do dobrego, toż na słowo Pana Jezusa przystali zaraz św. Piotr i Andrzej do Niego. A był tam znowu jeden gazda i rybak, co się zwał z żydowska Zebedeusz. Był to żydek dobry, pracowity, miłosierny, uczynny i miał taką samą do siebie podobniutką kobiecinę. A dał im Bóg dwoje dzieci — starszy zwał się Jakóbek, a młodszy Jaś; byli to więc rodni bracia.

Zamłodu wyuczyli się na książkach swoich, bo ojciec stał o to strasznie i cieszył się z tego, kiedy jego dzieci w kościele

modliły się na książce i umiały na pamięć psalmy spiewać. A jak dzieci wróciły do domu z nabożeństwa, to ojciec i matka głaskali dzieci po głowach mówiąc im:

— Tak! tak! moje dziateczki, kiedy robić, to robić z ochotą, a znowu kiedy czas do modlitwy, to się pomodlić z serca, abyście myślały zawsze o Bogu i były ochotne do wszystkiego dobrego, a unikały złego.

Otoż Jakóbek i Jaś znali każdą robotę koło domu, na polu, w ogrodzie i wiedzieli jak się z wodą obchodzić, jak i kiedy najlepiej ryby łapać. Toż było im zwyczajne przy każdej robocie zaśpiewać sobie coś pobożnego, a jak na czółna powsiadali z ojcem i najemnikami, to była wtedy radość niesłychana, robili wiosłami, gadali sobie wesoło, opowiadali różności o rybach, nie raz zaspiewali sobie psalm pobożny, a jak jeszcze nałapali ryb dosyć, to wtedy dziękowali Bogu, małe rybki wybierali prędko, nie męczyli ale zaraz do wody rzucali, a wielkie kładli do wody zimnej, aby to biedactwo nie męczyło się bez wody i nie ginęło z pragnienia wielkiego. A jak ich ojciec posłał do miasta z rybami czy to żywemi czy suszonemi, to sprzedawali sumiennie bez krzywdy i cygaństwa jakiego, a w domu oddali ojcu co do krajcarka jednego, bo sobie mówili zawsze tak:

— Nie trza krzywdzić nikogo nigdy, a broń Boże! swego ojca i matkę, bo za rodziców karze Bóg najbardziej każde złe dziecko. A Bóg patrzy na nas z góry, toby nas ukarał za każde cygaństwo.

Gdy znowu widzieli ubogiego, to mu z wolą ojca dobrego podarowali i rybę i krajcar swój, a jak ich kto prosił, by go przewieźli na czółnie, to mu to zrobili darmo za Bóg zapłać.

Toż takich dobrych chłopaków lubił każdy, a ludzie gadali ojcu i matce:

— O z tych dzieci będą kiedyś dobrzy ludzie, i wy będziecie mieli chwałę i doczekacie szczęścia wielkiego.

I stało się, jak ludzie przepowiadali! bo kto za młodu dobry, będzie i na stare lata taki — a dobrzeto mówią ludzie:

Czem garneczek nawrze, tem tchnie i skorupa z niego.

Otoż raz łapali oni z ojcem ryby na morzu galilejskiem, a Pan Jezus szedł sobie z św. Piotrem i Andrzejem. A wiedział On, że Jakóbek i Jaś byli ochotni do dobrego — i na jedno słowo pozwolił im dobry ojciec przystać do Pana Jezusa, aby się przy Nim wyuczyli wszystkiego. Odtąd zostali Jakób i Jan uczniami Pana Jezusa.

Pan Jezus lubił bardzo św. Jakóba, wziął go z sobą na górę Tabor, aby widział przemienienie cudowne Pana Jezusa, wziął go znowu do domu Jaira przełożonego przy kościele, aby widział na żywe oczy, jak Pan Jezus wskrzesił umarłą córkę, wziął go potem po ostatniej Wieczerzy na górę oliwną do Ogrojca, aby widział, co to źli ludzie wyrabiali z Panem Jezusem przy pojmaniu, a w końcu był on przy Wniebowstąpieniu Pana Jezusa. Sam zaś ojciec św. Jakóba i matka przepadali za Panem Jezusem i z ochotą oddali pod Jego opiekę swoje dzieci, bo matka dobra tak sobie gadała:

— Lepiej, że moje dzieci służą Bogu, niż marnemu światu, bo świat raz przeminie, a Bóg zawsze zostanie — czyja dusza trzyma z Bogiem, to ta wygra zawsze prędzej, niż ta, która trzyma z marnym światem — a miałoby się moje dziecko zmarnować w domu, to woli iść do szkoły do samego Pana Jezusa, niech się tam poduczy, jak trza pracować na szczęście i zbawienie drugich ludzi.

I ojcowie choć starzy oboje, pracowali sami w domu, a ich oba synowie poszli na Apostołów.

Toż raz przyszła matka dobra do dzieci, aby ich jeszcze przed swoją śmiercią zobaczyć, aby się dowiedzieć, jak się sprawują, a gdy jej powiedziano, że ich lubi bardzo sam Pan Jezus za ochotę wielką do dobrego, to ona padła na kolana przed Panem Jezusem i prosiła za dziećmi:

— Zrób to Panie moim synom, aby oni siedzieli kiedyś przy Tobie po prawej i lewej stronie w Królestwie Twojem!

A Pan Jezus odpowiedział na to:

— Na to trza sobie samemu u Boga zasłużyć, kto chce być kiedy w niebie.

I zostawiła ona dzieci swoje przy Panu Jezusie, bo wiedziała dobrze, że rola, majątek, świat cały nie zbawi duszy

niczyjej, jeno dobre uczynki, miłowanie Boga i ludzi zbawią każdą duszę, choćby był kto i najuboższym.

I tak się też stało. Po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa był św. Jakób bardzo czynnym w mieście Jerozolimie i koło tego miasta po wsiach — wszędzie opiekował się ubogimi, zbierał dla nich jałmużnę u bogatych, nauczał, nawracał, i znali go ludzie w Jerozolimie z jego miłosierdzia, dobroci, łagodności, z jego nauki i pobożności.

Potem poszedł on do innego miasta Samaryi, tam razem z drugimi Apostołami nawracał, fundował pierwsze parafije chrześcijańskie z tych żydów, którzy się ochrzcili i w Pana Jezusa uwierzyli, i chciał pójść do swoich krajanów, gdzie za młodu z nimi ryby łapał i na roli pracował przy ojcu, ale dowiedział się, że w Jerozolimie ukamienowali źli ludzie św. Szczepana za wiarę w Pana Jezusa i kazali ścigać i zabijać wszędzie Apostołów i nawróconych, toż pomyślał sobie:

— Mój Boże! to ja miałem dobrego ojca i matkę, nie było mi źle przy nich, tam miałem co jeść, czem się okryć i mogłem sobie żyć cicho i szczęśliwie, a ja porzuciłem to wszystko dobrowolnie, zrzekłem się świata i poszedłem na głód, biedę i poniewierkę wielką, aby jeno uczyć drugich, dla ubogich jałmużnę zbierać, nawracać i pracować moją nauką dla zbawienia swojaków, a oni mieliby mię za to kamienować i ścigać i wygnaliby mię nawet z tego kraju, gdzie ja się urodził, ha! z takimi krajanami niema tu co robić, trza pójść choćby na koniec świata, gdzie mię oczy zaprowadzą!

I rozpłakał się św. Jakób, poszedł nad brzeg morza, wsiadł na okręt kupiecki i pojechał kilka set mil aż na drugi koniec świata, do kraju pogańskiego, aż za krajami Francuza, gdzie dziś siedzą Hiszpany i tam nawracał pogan, tam fundował swoją szkołę taką, że się schodzili do niego a on uczył ich i wyuczył kilku tak, że zostali biskupami. Ale mu było zawsze żał i ckliwo za rodakami swymi, toż zostawił w Hiszpanji swoich biskupów i parafije, a sam znowu powrócił do Jerozolimy, darował z serca tym, co ukamienowali św. Szczepana, i znowu zaczął nawracać tak ochotnie żydów, że źli ludzie zbuntowali się na niego i nastawali na jego życie. A był wtedy w Jero-

zolimie niedobry król żydowski Herod Agrypa, ten dla przypodobania się niedobrym ludziom, kazał św. Jakóba złapać i bez żadnego sądu kazał mu tak głowę uciąć, jak to zrobili pierwej o jakie 10 lat św. Janowi Chrzcicielowi.

Ale między złymi samymi trafi się i dobry! Otóż kat, który prowadził św. Jakóba na śmierć, tak się jakoś rozżalił nad męką niewinną św. Jakóba i nad jego niesprawiedliwą karą, że się nawrócił do Pana Jezusa, prosił św. Jakóba, aby go ochrzcił i rozgrzeszył, a św. Jakób darował mu wszystko, co mu pierwej złego ten kat wyrabiał i powiedział mu:

— Daruję ci bracie wszystko, bądź spokojny! I potem ten sam kat razem z św. Jakóbem był zabity.

A działo to się roku pańskiego 44go po narodzeniu Pana Jezusa, a 11 lat po śmierci Pana Jezusa, a 7 lat po ukamienowaniu św. Szczepana.

Otoż św. Jakób Apostoł był z Apostołów wszystkich najpierwszy zabity w mieście Jerozolimie w czasie świąt Wielkanocnych u żydów i tam pochowany. Gdy się o jego okrutnej śmierci dowiedzieli Hiszpanie, których św. Jakób nawracał, toż powiadali tak:

— Kiedy źli ludzie zabijają świętych swoich nauczycieli, toć niegodni oni są, aby tam leżały kości tych św. męczenników — i przyjechali do Jerozolimy i zabrali z wielką pobożnością ciało św. Jakóba, zawieźli je do swego kraju, tam w mieście Kompostelli wyfundowali wielki kościoł i w tym kościele leży ciało św. Jakóba, a pobożni ludzie z całego świata idą tam na odpusty do tego cudownego miejsca. A było to ciało św. Jakóba przeniesione z Jerozolimy do Hiszpanji dnia 25. Lipca i dlatego to przypada zawsze teraz z końcem Lipca św. Jakóba Apostoła.

Dla nas Polaków pobożnych i katolików jest św. Jakób Apostoł nito patronem kraju, bo w dzień św. Jakóba u nas wielkie wszędzie żniwo i radość, że nowy chleb będzie na stole polskim. Toż mamy na to mądrą staropolską gadkę:

Z bożą szkaplerzną Matką,
Na zagon z czeladką!
A na św. Jakóba,
Zacieraj przy żniwie czuba!

Druga pamiątka dla nas Polaków w dzień św. Jakóba jest ta, jak to 1410 roku król polski Wład. Jagiełło brał ostatnie miasto Krzyżakom, co tyle złego narobili Polakom. A znowu uważają gazdowie polscy w dzień św. Jakóba, jaka ma być przyszła zima, na co mają ładną dawną gadkę taką:

Jaki Jakób do południa,
Taka zima do Grudnia!
Jaki Jakób po południu,
Taka zima po Grudniu!

Otoż prośmy tego św. Apostoła, aby nam uprosił co rok dobre żniwa, obronił od gradu i nawalnicy, aby nam uprosił u Boga dobre pobożne życie, dobrą śmierć i chwałę wiekuistą Amen. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

RÓŻNOŚCI.

Zabawa Szkolarzy. We wsi Biskupicach, xiądz Proboszcz i x. Wikary, zacni ludzie, pragnący dobra parafian i ich oświaty, od dawna starali się o założenie szkoły, lecz napotykali na rozmaite trudności ze strony gromad, które nie poznając własnych korzyści, nie chciały się przyczynić. Nareszcie gorliwości p. Naczelnika wielickiego i wytrwałości tych xięży powiodło się że budynek szkolny stanął przed pół rokiem i poświęcony został uroczyście, a przybyły nauczyciel p. Rudnicki człowiek zdolny i mający najlepsze chęci, rozpoczął nauki. Ten nauczyciel urozmaica naukę śpiewem, i tak umiał dzieci zachęcić, że z domu do szkółki uciekały. prosząc ze łzami rodziców aby się mogły zapisać. Popis z kilkomiesięcznej nauki odbył się w sobotę 7. Lipca, dzieci wiele skorzystały, a x. Proboszcz biskupicki wraz z x. Wikarym chcąc ich wynagrodzić a oraz nadal zachęcić sprawili im nazajutrz po popisie zabawę W niedzielę po nabożeństwie nieszpornem udali się szkolarze z nauczycielem, z x. Proboszczem i z x. Wikarym na pobliską łąkę, przybyło także kilka osób z sąsiedztwa i z Wieliczki. Wymyślano różne zabawy dla dzieci, muzyka wiejska grała, panowie i panie tańcowali z młodzieżą szkolną; mieli balony. piłki, kółka, robili ćwiczenia wojskowe, gonitwy. Nie przepomniał x. Proboszcz i o podwieczorku, piwem i plackami uraczeni szkolarze bawili się do późnego wieczora. Rodzice zgromadzonej dziatwy, oraz wiele wieśniaków obojej płci przypatrywali się ochoczej zabawie, a zdaje nam się że się już zaczynają przekonywać, że wszystkie trudy podejmowane, i te koszta do których się przyczyniają, zmierzają do ich szczęścia i do szczęścia ich dzieci. — Daj nam Boże więcej takich kapłanów jak biskupiccy, którzyby dbali jak ci o dobro doczesne i wieczne swoich parafian. Bóg Wam zapłać zacni Duchowni!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 4.

1. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Oszczędność a skąpstwo.

Jedną z najpiękniejszych zalet jest oszczędność — jedną z najbrzydszych wad ludzkich jest skąpstwo.

Oszczędność a skąpstwo! Jakaż to między temi oboma przymiotami leży różnica, choć nieraz ludzie niesłusznie równają je z sobą i skąpego nazywają nieraz oszczędnym, a oszczędnego skąpym.

Oszczędność jest cnotą, skąpstwo jest wadą. Oszczędny zbiera grosz do grosza na to, aby go później mieć na inne potrzeby dla siebie i dla bliźnich — skąpy nie zbiera ani dla siebie ani dla innych, tylko dla ślepej mamony. Oszczędny zaspokaja wszystkie potrzeby w miarę i unika tylko marnotrawstwa, odkładając grosz pozostały na gorsze czasy, — skąpy odmawia sobie wszystkiego, cierpi głód, znosi chłód, byle więcej tylko grosza nagromadził. Z dobytku oszczędnego korzystają ubodzy i krewni, — skąpy nikomu nic nie użyczy, bo nawet sobie żałuje.

Oszczędny zbiera pieniądze na cele pożyteczne, skąpy gromadzi pieniądze tylko dla pieniędzy.

Z oszczędnością łączą się inne cnoty jak: gospodarność, pracowitość, trzeźwość, przezorność — do skąpstwa przywiązane są inne grzechy ciężkie jak: chciwość, brak miłosierdzia, niesumienność, bo skąpy nie zna Boga, dla niego Bogiem pieniądz!

Strzeżcie się skąpstwa, bracia — a bądźcie oszczędni!

Skąpy zawsze jest ubogim, bo zebranego grosza nie tknie za nic w świecie, oszczędny zawsze bogaty, bo miernie wydaje i o przyszłości oględnie myśli.

Z tysiąców skąpca nie będzie nikomu za grosz pożytku — oszczędnego za tysiąc czasem stanie.

W dzisiejszych osobliwie czasach powinniście być oszczędnymi. Biedny nasz kraj i ciężkie czasy, w których żyjemy. Rolnik dziś tylko wtedy utrzymać się może, jeźli rachuje się ściśle z każdym groszem, jeźli nic marnie nie strwoni — jeźli jest oszczędnym. Bez oszczędności czeka każdego niedostatek, dług żydowski, nędza i kij żebraczy w ostatku.

A oszczędność wasza powinna się wszystkiego tyczyć, na każdym kroku wierni jej być macie a ona bogato wam się opłaci.

Nauczcie się być oszczędnymi a nauczycie się także zarazem wielu innych cnót i zalet.

Oszczędzajcie zdrowia — a choroby was ominą.

Oszczędzajcie czasu, a będziecie pracowitymi.

Oszczędzajcie mienia, a nędza w wasze chaty nie zaglądnie.

Nędzarzem jest marnotrawca, nędzarzem jest skąpiec, ale dobry byt jest przy oszczędnym.

„Ziarnko do ziarnka będzie miarka — grosz do grosza dopełnisz trzosa“ — mówią przysłowia nasze, a w nich znajduje się najlepsza nauka jak w naszych ubogich czasach rolnicy czynić mają.

Praca i oszczędność — to są źródła bogactwa, które nigdy się nie wyczerpią i nigdy nie wyschną, bo ciągle przybywają.

Historya o Antonim Morawskim,
rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Ciąg dalszy.)

VIII. Pan Morawski w więzieniu.

Raz w niedzielę po kościele,
Gdy gorąco się pomodlił,
Za ojczyznę co upada,
I za króla co się spodlił; —
Idąc wioską, spotkał dziada,
Siwa broda i twarz blada,
Głos bolesny i wzrok rzewny,
Taki miały wyraz pewny,
Że kto z oka ludzi bada,
Tenby poznał w nim ubóstwo,
I moc serca i cnót mnóstwo.
Tak bo często duszy zdrada,
W zręczną postać się układa,
Więc Morawski tknięty nędzą,
Cisnął szczodrą mu jałmużnę —
I o rzeczy pytał różne:
Zkąd go losy tutaj pędzą,
Co tam w świecie bożym słychać?
Dokąd idzie i tak dalej....
A dziad zaczął ciężko wzdychać,
I kląć z cicha na Moskali.

— Ej mój bracie, to bestyje,
Kraj plądrują nam do szczętu,
A tu naród ledwo żyje,
Pełno płaczu i lamentu.
Ej mój bracie z swojej łaski
Dajcie posłuch żebrakowi,
Jeśli wiecie gdzie Morawski,
To też niechaj mu kto powie,
Że Moskale, choć nie wiedzą,
Gdzie się człek ten dobry kryje,
Strasznie go w tych stronach śledzą
Odszczepieńcy — te bestyje.
Więc niech będzie on ostrożny,
Bo tu Moskal jest wielmożny —
A jakby go pochwycili,
Tożby pewno powiesili.

— Powiesili by mówicie?
Krocset djabłów to nie żarty...
Ten Morawski człek otwarty...
Ot przed sobą go widzicie —
On zaczeka na Moskali,
Aby przyszli tu po niego...
I złapali i związali...
Bo on pragnie dawno tego
Pal ich djabli, gdy się kwapią,
Niech no przyjdą, niech no złapią.
Jużem dawno z bestyjami,
Nie rozmawiał się ochotnie,
Więc im dajcie znać wy sami,
Będę wdzięczen wam stokrotnie.
Powiedzcie im, że się wściekam
Z żalu za ich drogą skórą,
I że w karczmie tej zaczekam,
Na ich miłą kurtę burą —
Idźcie dziadu, idźcie żwawo,
Hej! zraziki znowu będą.
Jużem dawno z mą komendą
Nie zabawiał się tą sprawą.

Dziad się spojrzał nań ciekawie,
Lecz śmiech przeszedł mu szyderski,
Jak gdyby coś krył w tej sprawie...

— Ej!... z was widzę człek rycerski...
Lecz wam radzę się szanować,
Lepiej tak nie ryzykować!

— Co tam gadasz stary dziadu
Chodź do karczmy — palnij wódki.

— Dobrze panie, pić na smutki,
Lecz zacznijcie dla przykładu.

Więc Morawski palnął sobie,
I poczestne dał dziadowi...
A tam w karczmie ci i owi,
Jak zazwyczaj w wolnej dobie. —
Biją, krzyczą... hałas wrzawa,
Dziad nieznacznie młynka kręci,
A Morawski sam zostawa,
Mając tylko na pamięci,
Że z Moskalem będzie sprawa.

Wtem ktoś z boku doń zagada..
— Co tam bracie, w kraju biada,
Niema rady na te smutki,
Ot wypijmy lepiej wódki!

— Zdrowie wasze — i już łyka
Do rotmistrza, do rzeźnika,
Co w sukmanie między nimi,
Był jak gdyby między swymi.
Rotmistrz przyjął, wypił, wznowił,
A wtem znów go ktoś ułowił,
Poczęstował i upajał
I z umysłu tem rozbrajał.

Wtem związany padł Morawski.
Bo karczemna ta gromada:
To moskiewska była zdrada,
Więc go spili, powiązali
I oddali w ręce dziada.
Oj toż będzie radość z niego
Dla Drewicza, dla samego,
Co już dawno się tam wścieka,
I na tego ptaszka czeka.
Hojną weźmie ten nagrodę,
Kto zdradziecko zdał gospodę.

A pan Drewicz ręce sciśnie,
I krwią zemsty w oczach błyśnie.
A Morawski spiący, zpity,
Ani marzył o radości,
Jaką sprawi z swej wizyty,
U moskiewskiej wielmożności.
Więc spał sobie zdrów i chrapał,
A dziad zdrajca, aże sapał
Że takiego ptaszka złapał.

Więc w Poznaniu rozpoczęto
Dziką pastwę nad biedakiem,
Więc do ławy go przypięto,
I do kości ciało rznięto,
Z rozbestwieniem, dzikiem, takiem
Że ci chyba się spomniały
Prześladowań czasy dawne,
Tyranów dzikością sławne,
Co Chrystusa krzyżowały!
Znosił rzeźnik męczarń bole,
I nadzieją trwał do końca —
Wierny ojczyzny obrońca —
Przewidując lepszą dolę:
Bo choć wściekła wrogów psiarnia,
I umęczy i skatuje,
Toć się przecie Bóg zlituje,
Co miłością świat ogarnia.

Knutowali Morawskiego
Pijąc z rozkoszą krew jego.
I te męki długo trwały,
I Morawski mdlał z boleści,
Aż męczeńskiej jego chwały,
Szły po niebie smutne wieści.
Lud się cały tem oburzył,
I oburzył naród w mieście,
Zadrzały serca niewieście,
Trud męczeństwa wszystkich znużył,
Więc się koło niewiast zbiera,
I narada cicha płynie,
Nad męczeństwem bohatera,
Co od knutów Moskwy ginie.

„Hej na pomoc boży ludu!
Choćby przyszło się uniżyć,
I godności swej ubliżyć
Ulżyjmy więźniowi trudu.
Z prośbą spieszmy! brat nasz zmiera,
Nie grzech nam się upokorzyć,
Winniśmy z naszych serc złożyć
Ofiarę dla bohatera!
Dalej za mną bracia moi!
Bóg niech łaski swej użycza,
Jego dobroć niech rozbroi
Serce dzikiego Drewicza.“

Tak najzwinniejsza z miasta
Mówiła Polka — niewiasta
I za nią tłumy pobiegły,
I dom Drewicza obległy —
I póty prośby wznosiły,
I póty nie odstąpiły,
Aż się Drewicz udobruchał,
I prośb łaskawie wysłuchał;
Czy łaskawie, czy z obawy,
Aby miasta nie oburzyć...
O tem tutaj nie chcę wróżyć,
Dość że Drewicz był łaskawy.
Głos miłości do sumienia
Zbrodniarzowi znać zagadał,
I sam poszedł do więzienia,
I łagodniej więźnia badał,
Więc Morawski spoczął trocha,
Po męczeństwie, po torturze,
Rad, że krwawą przeszedł burzę,
I dowiódł, że Polskę kocha.
We więzieniu siadł wygodnem,
Bo pan Drewicz był łagodnym.
Siadł i myślał, jakby znowu
Z Moskalami zacząć psoty.
Chciwy nowego połowu;
Bardziej cierpiący z tęsknoty
Za pochwyceniem Moskala,
Niżeli boleścią blizny,
Co w nim do Matki Ojczyzny,
Miłość wciąż większą rozpala.
Więc rozmyślał ciągle o tem,
Jak by się tym dać we znaki,
Co mu los zrządzili taki,
I takim barczą kłopotem.

„Co tam panie boleść ciała,
Kiedy dusza ocalała. —
Dalej żwawo szukaj rady,
I z dowcipem idź na zwiady.“
Tak podszepnął z cicha duch,
I Morawski znowu zuch,
Nuż się kręcić, szukać, pytać,
Z głupich twarzy wroga czytać —
Czyby można jakim cudem,
Skruszyć kraty ciemnej kaźni,
I połączyć się z swym ludem,
By zagoić to co drażni.
Więc do rady i na zwiady,
Choćby nawet i do zdrady.
I nie długie szły przebiegi,
Zakupione złotem szpiegi
Przez przyjaznych braci z miasta,
Przez korytarz wiodą ciemny,
Kędy wychód był tajemny,
I więzień zmyka — i basta!
Więc gdy czuł się na wolności,
Wnet mu rany się zgoiły,
Sprostowały wszystkie kości,
I stracone wzrosły siły.
Że znów jako wódz naczelny,
Jako rotmistrz bitny, dzielny,
Zbiera czeladź boju chętną,
Szybko, zręcznie, zwinnie, skrzętno,
I przez rozmaite sposoby,
Stawia rotę tejże doby,
I podjezdną sztuką wali
Ukochanych swych Moskali.
Hej! jakże też odżył w chwili,
Gdy mu przyszło ciąć toporem
W tych, co za nim pogonili!

Jak się zwinął, jak w łeb świsnął,
To jak gruszką w ziemię cisnął,
I po drugim ciachu, ciachu,
I po trzecim rąbnął gładko,
Że tam panie z tego strachu,
Jezus Chryste! Marjo matko!
Więc się znowu wypogodził,
Bo toporem rzecz złagodził.
Z tych co za nim pogonili,
Tak się wszyscy ucieszyli,
Że rzeźnik regimentarz
Myślał; że w około cmentarz;
Tak leżeli tam spokojnie,
Po rzeźnickiej strasznej wojnie.
A w Poznaniu, a w więzieniu,
Istna panie wieża Babel,
Wycie wojska, szczęki szabel,
W Drewiczowskiem ryk sumieniu:
Krzyki, piski, lament, wrzawa,
Że się tak pokpiła sprawa.
Drewicz myślał, że choć carem
Jakim małym za to będzie,
Jak przyjedzie z swym towarem,
A tu panie siadł na grzędzie.
„Sukin synie! klął zaciekle,
Ja cię znajdę w samem piekle.“
A Morawski sobie czesze,
I formuje nową rzeszę.
To mi rzeźnik, to mi brat!
To mi rotmistrz, to mi chwat!

(Dokończenie nastąpi.)

Od łyczka do rzemyczka,

czyli

Daj djabłu palec, on za całą rękę chwyci.

Złe, moi drodzy, to jak ziarnko małe. Kiedy małe ziarneczko zakopiesz w ziemię, wyrośnie z niego krzak cały — gdy w sercu zaszczepisz złe choćby małe, w zbrodnię i grzechy urośnie.

Złe, moi drodzy, to jak gałeczka śniegu, którą się dzieciaki bawią. Oto rzucają one gałeczkę z pagórka, a ona tocząc się na dół po śniegu rośnie i rośnie, a gdy się zatrzyma to już z małej gałeczki stała się bryła ogromna.

— Jakto? — zapytacie może — to kiedy człowiek w czem małem przewini, to już poprawić się nie może i nie ujdzie coraz większych grzechów?...

Owszem, może się poprawić, może uniknąć większego złego, ale właśnie o to tu chodzi, aby się istotnie zaraz poprawił. Ale jak się zaraz nie poprawi, to później już nieraz przepadło. Złe popędy są w duszy człowieka tem, co ukąszenie jadowitego

gada w ciele. Gdy jad z rany wypalisz i wymyjesz, będziesz zdrów, gdy zaniedbasz, spuchniesz cały i zginiesz. Sumienie to jak stopa człowiecza. Kiedyś się nie zaprawił jeszcze chodzić boso, to cię lada cierń, lada kamyczek zakole, ale gdy już skóra stwardnieje, to ani czujesz, choćbyś po ostach i krzemykach biegał. Tak też i sumienie: zrazu czułe i bojaźliwe czyni ci wyrzuty, ale kiedy ty tych wyrzutów nie słuchasz, ale przeciwnie zagłuszasz je — to sumienie staje się twarde i bezbożne i nic sobie z niecnoty nie robi....

Napatrzył ja się dzięki Bogu dość na ludzi i widziałem, jak się te słowa na nich sprawdzały. Oto aby długo nie szukać w pamięci, opowiem wam zaraz historję pewnego kmiecia Marcina Szota. Ten Marcin Szot był sobie gospodarzem w jednej wsi w cyrkule jasielskim i wszyscy go tam pamiętają, do dziś dnia. Miał ten Szot dobry dobytek i to, co więcej jeszcze znaczy niż wszelki dobytek, uczciwą sławę. Wszyscy go znali za człowieka rzetelnego, zacnego i trzeźwego — nikt nań w gromadzie całej złego słówka nie śmiał powiedzieć.

Najlepiej się też pokazało, jakie miał zachowanie Szot we wsi, kiedy gromada miała nowego wójta obierać. Właśnie to wtedy poczęło się i nieszczęście Marcina Szota. Jak wiecie, ludzie jak ludzie nie zawsze się we wszystkiem zgadzają — jedni mają takie zdanie, drudzy insze, ot wyraźnie jak to mówią, ile głów tyle rozumów.

Otoż tak było i w onej gromadzie, w której żył Marcin Szot. Jedni chcieli jego za wójta, drudzy znowu ciągnęli za Jakóbem Płotką. I Marcin Szot był dobry i Jakób Płotka nie gorszy, trudno się więc było pogodzić. Gromada podzieliła się na dwię połowy, jedni koniecznie chcą Marcina, drudzy ani rusz bez Jakóba.

Cóż było w tym przypadku robić?... Dwóch wójtów byłoby przecie za wiele na jedną gromadę, trzeba tedy było zostawić to rozumowi ludzkiemu i woli Bożej. Jakoż uczynił tak Jakób Płotka, mówiąc sobie:

— Wybiorą, to wybiorą, nie wybiorą, to nie, alboż to ja jeden w gromadzie, com wart być wójtem?

Nie czynił tedy Płotka żadnych zabiegów, nie uganiał się za honorem ale zdał to wszystko na ludzi i na Boga, bo nie miał ani pychy ani próżności w sercu.

Inaczej jednak stało się z Marcinem Szotem. Jak już powiedziałem był Marcin człekiem poczciwym, ale miał tę wadę, że był bardzo próżnym, to jest lubił wynosić się nad innych i wiele dbał o honory ludzkie. Skoro tedy Marcin widział, że go połowa gromady chce na wójta, tak mu to zawróciło głowę, że o niczem nie myślał jeno o tem i począł okrutnie zwijać się za tem, aby go koniecznie wybrano wójtem. Próżność to wielka wada. Co innego jest chęć dobrej sławy, bo dobrej sławy każdy poczciwy człowiek życzyć sobie powinien — ale pycha i próżność to są dwie drogi, po których zachodzi się nieraz do bardzo złych rzeczy. Urzęda czy to w gromadzie, czy gdzie indziej nie na to są, aby się z nich pysznić, ale na to, aby się około dobra ludzkiego zasługiwać — a sam urząd nie przynosi sławy i honoru, jeno przynosi go sposób, w jaki ty ten urząd sprawujesz.

Nieszczęściem nie myślał tak Marcin Szot. Latał, gadał, traktował, kogo tylko spotkał, aby jeno zostać wójtem. A ponieważ nie mógł jakoś tak zrobić, aby wszyscy za nim, a nie za Jakóbem ciągnęli, więc powziął niechęć do Jakóba i zaczął go nawet nienawidzić, a nienawiść to djabelskie ziarno.

Przyszedł nareszcie dzień wyborów. W szkolnej izbie zeszła się gromada, aby wybrać wójta w przytomności urzędnika. Marcin Szot, który przedtem traktował w karczmie swoich przyjaciół, przyszedł już trochę podpity. Zaczęli ludzie głosować i oto pokazało się, że za Jakóbem Płotką jest większość. Jakób Płotka został obrany wójtem.

Kiedy to ogłosił urzędnik — Marcin Szot aż się zachwiał na nogach, tak mu się markotno zrobiło. Że był bardzo próżny i honorny z natury, więc rozgniewał się okrutnie i myślał sobie w duchu:

— Otom się dopiero wstydu najadł! Teraz się będą ze mnie wszyscy śmiali!

Nie mądra to była myśl, bo z czegoż tu miał być śmiech albo wstyd jaki!

Ale cóż! taka to już bywa każda pyszna natura. Marcina Szota porwała ogromna złość, a kiedy widział jeszcze, że nawet ci, których on raczył i częstował, nie za nim ale za Jakóbem głosowali — nie mógł już pohamować dłużej pijanego języka i zawołał przy całej gromadzie i urzędniku:

— Otoście sobie łotra i złodzieja obrali!

Wszyscy aż zaniemieli z zdziwienia, kiedy te słowa usłyszeli a wszystkim mało włosy na głowie nie stanęły, gdy Marcin taką potwarz na poczciwego Jakóba rzucił. Sam też Marcin, gdyby był zastanowił się nad tem, co powiedział, byłby się był własnych słów przestraszył.

Jakób Płotka zhańbiony tak niesłusznie przy całej gromadzie aż posiniał cały od zgryzoty i rzekł:

— Marcinie, czy masz ty Boga w sercu! Coś ty powiedział? Mnie zna cała gromada i to od nie jednego roku! Odwołaj zaraz te słowa, boś je po pijanemu powiedział!

Ale Marcin ani myślał naprawić krzywdę wyrządzoną Jakóbowi, chwycił za kapelusz i odrzekł:

— Ja nic nie odwołuję, bo ja czy trzeźwo czy po pijanemu mówię prawdę. Com powiedział tom powiedział!

I zatrzasnąwszy drzwi z wielkim stukiem wyleciał z izby szkolnej.

Wtedy Jakób Płotka odezwał się tak do gromady:

— Słyszeliście, jak mnie tu niepoczciwem słowem pokrzywdził Marcin! Nazwał mnie złodziejem i łotrem. Żyję już lat 50, a nikt mi tego jeszcze nie powiedział! Świadczę się Bogiem i wami, jako to ciężka potwarz. Proszę tedy wszystkich przyjaciół Marcina, aby mu wytłómaczyli, żeby mnie przeprosił i swoje obelżywe słowa odwołał, bo inaczej krzywdy mej dopominać się muszę.

Wszyscy przyznali słuszność Jakóbowi, a kilku gospodarzy poszło zaraz do Marcina, aby go nakłonić, żeby przeprosił Jakóba.

— Nie, nie przeproszę — odpowiedział na to Marcin.

— Ale przecież wyrządziliście mu przy ludziach krzywdę — mówią mu ludzie.

— To niech tam będzie.

— Toć przecież on ani złodziej ani łotr, jeno poczciwy człek, jak to wszyscy wiemy.

— To niech sobie będzie, ja go przepraszać nie myślę.

Ludzie zaczęli mu perswadować dalej na rozum, ale Marcin zawsze swoje, zawsze mówi, że toby był wstyd dla niego, gdyby on Jakóba przepraszał i swoje słowa odwoływał.

— Ale Marcinie, zastanówcie się — rzecze mu jeden z gospodarzy — niema w tem żadnego wstydu jeno owszem zasługa i honor, jeźli się komuś naprawi krzywda. Jakób wam chętnie przebaczy, byleście tylko sami zaczęli.

Ale Marcin tak się uparł jak kozieł — i nie można go było przekonać. Jakób zmartwił się tem bardzo, ale że takiej hańby nie mógł przenieść, bo by była przylgnęła do niego na zawsze, więc powiedział, że Marcina zaskarży, jeżeli swej potwarzy nie odwoła.

Znowu ludzie perswadowali Marcinowi, znowu mu radzili, aby załagodził cały spór dobrem słowem — ale daremnie. Mój Boże, jedno poczciwe słówko mogło wszystko naprawić, jeno pycha Marcina temu przeszkadzała! Marcin sam to w duchu uznawał, że popełnił niesprawiedliwość i pokrzywdził Jakóba, na którym żadna plama nigdy nie postała — ale pycha przemogła nad sumieniem.

Nie miał tedy innej rady Jakób, jak tylko zaskarżyć Marcina. Wziął sobie świadków, że go Marcin nazwał złodziejem i łotrem, i wniósł skargę do urzędu. Zawołali Marcina do urzędu i stawili go razem z Jakóbem.

— Czy nazwałeś Jakóba Płotkę łotrem i złodziejem? — zapytał Marcina urzędnik.

Marcin zachmurzył jeno czoło i w swym uporze odpowiedział:

— Nazwałem.

— To jest obraza ciężka — rzecze na to urzędnik — a Jakób na nią nie zasłużył, bo znamy go wszyscy jako zacnego człowieka. Jeżeli tedy nie chcesz być karany, to przeproś tu Jakóba przed urzędem.

— Tak, tak, wielmożny sędzio — rzecze Jakób — ja nie chcę, aby Marcin był karany, jeno chętnie mu przebaczę,

byleby słowa swę odwołał, aby na mojem imieniu plamy nie było.

A uparty Marcin na to:

— Ja go przepraszać nie będę.

— To pójdziesz do aresztu — rzecze urzędnik.

— A za co?

— Za potwarz i zniesławienie.

— Kiedy to nie potwarz — mówi Marcin.

— Jakto nie potwarz? Może to prawda? — pyta urzędnik.

— A jużci że prawda — mruknął zacięty Marcin.

— Więc ty utrzymujesz — mówił dalej urzędnik — że Jakób na prawdę jest złodziejem?

Marcin kiwnął ponuro głową.

— A wiesz ty że na to trzeba dowodów?

— Wiem.

— A masz te dowody?

— Mam — odmruknął w swojem zaślepieniu Marcin, niewiedząc sam co mówi.

— A więc dawaj te dowody! — zawołał urzędnik.

Marcin teraz sam siebie się przestraszył. Zamiast dobrowolnie przeprosić Jakóba, jak należało, jeszcze bardziej go obraził, bo rzekł, że ma dowody. A sam przecież wiedział dobrze, że żadnych dowodów nie ma, bo jakże mógł mieć dowody na kłamstwo?...

Ale Marcin zaciął się i rzekł:

— Ja prześwietnemu sądowi złożę dowody za trzy dni.

Odroczono tedy sprawę na trzy dni, a Marcin wracając z miasta do domu myślał nad tem, co uczynił.

Z strachem poznał, że się posunął w swym uporze za daleko. Wyznał sobie teraz sam, czemu od razu nie przeprosił Jakóba. Byłby już teraz natychmiast prosił o przebaczenie Jakóba, ale teraz już i z urzędem była sprawa.

— Przeproszę Jakóba — myślał sobie przez drogę Marcin — a on z pewnością mi przebaczy, bo już to niema co mówić, poczciwe ma serce — ale co będzie z urzędem? Mam za trzy dni stawać z dowodami, jak nie stanę, to mnie i tak czeka kara albo wstyd? O nie, kiedym już zaczął, to muszę skoń-

czyć, niech się dzieje, co chce.... A tożby mnie urzędnik zhańbił i do aresztu wsadził....

Tak się Marcin przez drogę bił z myślami — i myśli złe zwyciężyły nad dobremi. Zamiast naprawić teraz jeszcze złe — Marcin pofolgował dalej swojej pysze. Sprawa jego pogorszyła się, bo już teraz i z Jakóbem i z urzędem miał do czynienia.

— Trzeba dowody dać! — mruczał sam do siebie Marcin. Ale jakie dowody? Zkądże ja dowiodę Jakóbowi, że on złodziej, kiedy to nie prawda?

I począł Marcin przemyśliwać głęboko a serce jego okryły czarne zamiary. Dał djabłu palec — teraz go on za całą dłoń chwytał.

Gdy Marcin przyszedł do chaty, siadł sobie w kącie i już nie brał się do żadnej roboty ani nie przemówił do żony, jeno dumał a dumał. Upor przemógł w nim serce — sumienie uległo pysze; już by był teraz Bóg wie co uczynił, byle postawić na swojem.

Siedział tak Marcin w chacie i już zmrok zapadał, kiedy wrócił z pola jego parobek, Kuba. Ten Kuba był to chłopak sierota, robotnik pilny i sprytny i z sercem dobrem, jeno że bardzo lekkomyślny, jak to się młodym zwykle zdarza. Kiedy Kuba przywitał się w chacie, Marcin kazał wyjść z niej żonie i dzieciom, zamknął się z Kubą sam na sam i tak mu mówi:

— Kuba, ty wiesz, jakom ci zawsze był po ojcowsku życzliwy.

Kuba pokłonił się i rzecze:

— A jużci że wiem i będę o tem pamiętał, póki życia, gospodarzu.

— Kiedy tak — prawi na to Marcin — to mi musisz zrobić to, o co cię proszę.

— Wszystko dla was zrobię, co tylko w mojej mocy! — zawołał Kuba.

— A więc słuchaj i trzymaj język za zębami. Wiesz o mojej sprawie z Jakóbem. Muszę mu przed sądem udowodnić, że jest złodziejem.

— O Matko miłosierna! — zawołał Kuba, chwytając się za głowę — a jakże wy to gospodarzu zrobicie, kiedy to nie prawda, bo Jakób najpoczciwszy człek na świecie.

— Ty mi w tem pomódz musisz — rzekł na to pochmurnym głosem Marcin. Jeżeli mi dobrze życzysz, to pójdziesz ze mną do urzędu i zeznasz, jakoś wraz ze mną widział na mojem polu Jakóba, jak brał snopki.

— Matko Boża! a kiedy to nie prawda — zawołał Kuba.

Marcin aż sam przed sobą wstydem spłonął ale mówił dalej:

— No to i cóż z tego, to choć tam raz w życiu skłamiesz, to ci djabli głowy nie urwą.

— A jak każą przysięgać? — zapytał z zgrozą Kuba, patrząc na gospodarza przelękniony.

— To przysięgniesz!

— Ale to będzie krzywoprzysięztwo! Gospodarzu mój drogi, co wam Bóg dał, opamiętajcie się, na Boga! nie gubcie duszy! Co wy chcecie zrobić! Przemienienie pańskie!

Marcin pobladł cały jak chusta, krew mu uderzyła do serca, zatrząsł się cały na tę swoją myśl zbrodniczą, ale nie odstąpił od niej.

Wstał z ławki, poszedł do skrzyni i począł tu coś przeglądać. A trzeba wam wiedzieć, że przed rokiem umarła była rodzona siostra Marcina, wdowa, i zostawiła na jego opiekę małą córeczkę. Otoż wdowa ta zostawiła po sobie także kilka prześlicznych sznurów korali, przy których były rozmaite śrebrne medale z wizerunkiem Matki Boskiej. Wdowa umierając dała te korale Marcinowi jako bratu, aby je przechował na pamiątkę i wiano dla jej córki, która dopiero lat cztery miała. Z tej to racji były te korale jakby święte dla każdego, bo były pamiątką po matce i wianem sierotki. Ale Marcin tak się zajadł, że już nie pamiętał o niczem, ani o sumieniu ani o Bogu. Wyciągnął korale z skrzyni, schował je do kieszeni i przystąpił znowu do Kuby.

— Słuchaj Kuba — rzekł — więc mi tego nie uczynisz?

— Przenigdy gospodarzu — zawołał Kuba — a ja wiem, że wy nawet tego na prawdę nie żądacie.

Marcin potarł ręką po czole, jakby chciał myśl swą skupić i odetchnąwszy ciężko tak się odezwał do Kuby:

— Słuchajże Kubusiu, prawda że ty masz kochankę?

Chłopczysko się poczerwienił po same uszy i jeno głowę ku ziemi pochylił, bo też na prawdę przylgnął był całem sercem do Jagusi Mączanki, dziewczyny ślicznej jak malina.

— Ej co też wy tam sobie przypomnieli — rzekł na to kręcąc kapelusz w rękach.

— No ja wiem, wiem — mówi na to Marcin — bardzo dobrze sobie wybrałeś, bo Jagusia to najlepsza i najurodziwsza dziewczyna w całem siole.

Kuba jakby rósł na drożdżach, tak go te słowa głaskały po sercu.

— A prawda, żebyś ty chętnie dał Jagusi piękny jaki podarunek? — mówił dalej zdradliwie Marcin.

— A jużci gospodarzu z całego serca!

— Naprzykład gdybyś jej dał te prześliczne sznurki korali, o! — i Marcin wydobył z kieszeni sieroce korale i mignął niemi w powietrzu.

Potem mówił Marcin dalej:

— Słuchajże chłopcze! Daruję ci te śliczne korale, warte one między braćmi 50 reńskich, a ty je znowu zawiesisz na szyi swojej Jagusi, która się okrutnie z tego będzie cieszyła.

— Oj pewnie — zawołał Kuba — tożbyto ona się z tego cieszyła!

— Otoż ja ci zaraz dam dla Jagusi te pyszne korale wraz z srebrnemi medalikami, ale musisz mi to zrobić, o com cię prosił....

Kuba poczerwieniał i zamyślił się. Kochał on Jagusię z całego serca i już od dawna nad tem myślał, jakby ją jakim pięknym podarunkiem ucieszyć, ale biedaczysko nie miał grajcara przy duszy.... Korale, które mu Marcin obiecywał darować, były dla niego wielką pokusą, bo czegoż by chłopiec nie rad dla swej lubej!

I oto nieszczęściem Kuba uległ tej pokusie.... Zrazu się jeszcze wahał, jeszcze się opierał, ale wkrótce sfolgował, wziął

korale i obiecał Marcinowi zeznawać przed sądem przeciw Jakóbowi.

Tak to z małej przewiny posunął się Marcin do wielkiej zbrodni, bo do srogiego grzechu niewinnego chłopaka pokusił, przekupując go sierocą własnością!...

Trzy dni minęło. Te trzy dni i dla Marcina i dla parobka Kuby były długie jakby trzy lata. Marcin nie jadł i nie spał przez te trzy dni, nie gadał ani do żony ani do dzieci, jeno dumał po dniach i po nocach — a zbladł jak wapno i wysechł jak drzazga.

Nie lepiej też stało się i z Kubą. Zrazu gdy dał owe korale Jagusi i widział, jak się ona niemi serdecznie rozradowała, ucieszył się tem bardziej, ale gdy sobie rozmyślił, co on za ten Judaszowy podarunek ma uczynić, jaki haniebny postępek ma popełnić — włosy mu na głowie stawały, serce mu biło jak młotem, krew mu z twarzy a sen z oczu uciekał...

Przyszedł termin iść do urzędu. Marcin zaprzągł konie, wsadził Kubę jak nie żywego na wóz i pojechał do miasta. Przez drogę obaj milczeli jak kamienie. Osobliwie Kuba smutno się zamyślił.... Zdawało mu się że jedzie na śmierć.... Przypomniał sobie co Bóg nakazuje w swych przykazaniach:

Nie będziesz brał imienia Boga twego nadaremnie!! Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu!!

Czoło Kuby okryło się kroplistym potem.... Popełnić krzywoprzysięztwo, tę straszną, okropną zbrodnię, w której znieważasz fałszywą przysięgą wiarę i imię Stwórcy, za którą Wszechmocny gniewem swym ściga ciebie i twe pokolenie!

Kuba ledwo żywy dojechał do urzędu.

Na zapytanie urzędnika, gdzie są dowody, że Jakób Płotka jest złodziejem, odpowiedział Marcin, że go widział wraz z swym parobkiem Kubą, jak kradł snopki z pola i że obaj na to przysięgną.

Urzędnik zapisał to sobie a potem zapytał Kubę:

— Czy to prawda, co mówi twój gospodarz?

— Prawda — wybełkotał Kuba drżącym głosem, choć sam się przeraził swego brzydkiego kłamstwa.

— Może cię gospodarz podmówił do tego zeznania? — pytał dalej urzędnik.

— Nie! — mówił dalej Kuba, ale ledwie kłamstwo to mógł przez zęby wydusić.

— Więc przysięgniesz na to? — pytał dalej urzędnik.

— Przysięgnę — jęknął nieprzytomny Kuba.

Urzędnik skinął na woźnego a ten przyniósł czarny krucyfiks i zapalił dwie świece.

Gdy Kuba ujrzał czarny krzyż z rozpiętym Zbawicielem, na którego imię święte fałszywie miał przysięgać — przejął go strach okropny i groza, serce bić mu przestało, zęby zaczęły mu dzwonić....

— Więc przysięgniesz? — zapytał raz jeszcze urzędnik.

Wtedy Kuba nie mógł się dłużej powstrzymać, łzy puściły mu się z oczu, padł na kolana i zawołał ze skruchą:

— Nie, nie! nie przysięgnę, bom kłamał, bo to, co na Płotkę zeznałem jest kłamstwem i oszczerstwem!...

Kiedy to usłyszał Marcin, zatrząsł się cały. Trudno opisać co się z nim działo. Widział się teraz zgubionym i zhańbionym.... Z początku strach okropny a potem gorączka i wściekłość go napadły.... Stracił zmysły i przytomność i w obecności urzędników rzucił się jak wściekły na Kubę i począł go dusić....

Rzucili się na Marcina urzędnicy i woźni i ledwie go oderwali od parobka, a potem wynieśli go z kancelarji, bo pokazało się że był bez przytomności.

Zawieziono Marcina do szpitalu. Tam on w okropnej gorączce coś wykrzykiwał i rwał się z łóżka — i tak to przez dni kilka trwało aż nieszczęsny umarł nieprzytomnie.... Zginął marnie, zostawiając wdowę i sierotę po sobie.

Taka jest historja Marcina Szota, który nie chcąc się wczas opamiętać i folgując więcej pysze i zatwardziałości niż sumieniu, zeszedł z uczciwego człowieka na zbrodniarza i jako taki wyzionął ducha!

Niech mu Bóg na tamtym świecie będzie miłosiernym!

Wojtek ze Smolnicy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 5.

11. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kajdany tatarskie.

Będzie temu już dobrze lat kilka, kiedy wybrałem się był do Krakowa, aby obaczyć to stare miasto polskie, niegdyś stolicę królów naszych, i oglądnąć wszystkie te święte pamiątki, które po naszej dawnej sławie pozostały. Nachodziłem się tam i napatrzałem, jak nigdy w życiu, bo gdzie tylko nogą stąpisz w Krakowie, tam zaraz masz jakąś pamiątkę starą, miłą dla serca polskiego.... Oglądnąwszy wszystkie kościoły i pomodliwszy się w nich, jak na dobrego katolika przystało i zapłakawszy nad grobami królów polskich i nad mogiłą Kościuszki, chciałem już wyjeżdżać, kiedy mnie przypadkiem spotkał na ulicy mój dawny dobry znajomy i przyjaciel, Jakób Stolnik, który tam w Krakowie był nauczycielem przy jednej szkółce.

Kiedym się serdecznie powitał i rozgadał z Jakóbem, pyta mnie on:

— Jakto już jedziesz?

— Zostałbym tu rad i wiek cały, — mówię mu na to — bo tu wszystko Polaka za serce chwyta, ale cóż kiedy mi spieszno do domu....

— A widziałeś już wszystko? — pyta mnie Jakób.

— Co mogłem to zwiedziłem.

— A byłeś już na wystawie starożytności? — pyta mnie Jakób.

— A jakaż to jest wystawa?

— Oto widzisz — począł mi tłumaczyć Jakób — jest tu właśnie teraz taka wystawa, na której widzieć można rozmaite stare sprzęty i rzeczy, które po kilkaset lat już mają, a są pamiątkami po dawnych Polakach, naszych dziadach i pradziadach.

Jak mi to tylko powiedział Jakób, tak ja zaraz prosiłem go, aby mnie na tę wystawę zaprowadził i poszliśmy też obaj. Jakób zaprowadził mnie do bardzo wielkiej izby i tu zobaczyłem to na ścianach porozwieszane, to znowu na stołach lub za szkłem poustawiane starożytne sprzęty i różności. Były tu i te bożki gliniane, które Polacy czcili, kiedy jeszcze wiary Chrystusowej nie znali, i stare siekiery z kamienia, z tych czasów kiedy to jeszcze z żelazem ludzie obchodzić się nie umieli, i okrutnie wielkie miecze i spisy, i żelazne ciężkie zbroje, wyraźnie jakby koszule z łańcuchów, w których dawniej rycerze polscy wojowali, a którychby już dziś nikt nie udźwignął, i pancerze stalowe i buławy hetmańskie, i burka z grubego sukna, w której Czarnecki wojował Szweda i Moskala, i stare pieniądze i inne różne różności z dawnych wieków.

Oglądał ja to wszystko z wielką ciekawością a Jakób mi tłumaczył, bo wiedział, co każda rzecz oznacza, z jakiego czasu pochodzi i co się z nią za pamiątka wiąże. Kiedy już miałem odchodzić, zobaczyłem naraz na samym końcu izby duże kajdany z żelaza z ciężkiemi kulami, które wisiały na ścianie koło starych mieczów i toporów.

— A to na jaką pamiątkę są te kajdany? — spytałem Jakóba.

— To są kajdany Gątkowskiego — odpowiedział mi Jakób. O tych kajdanach jest cała cudowna historja.

Ciekawość mnie wielka zdjęła, więc też proszę Jakóba mocno, aby mi był łaskaw opowiedzieć tę cudowną historję.

Jakób jako dobry znajomy i przyjaciel a przy tem człek rozumny nie był od tego i począł mi taką historję opowiadać.

— Przed dawnym, bardzo dawnym czasem żyło w Szołdrzykach ubogie małżeństwo, które miało syna jedynaka. Małżeństwo to nazywało się Gątkowscy, a syn ich Jan. Jaś był bardzo pojętnem i dobrem dzieckiem, a kiedy podrósł, prosił bardzo swoich rodziców, aby go wysłali do Krakowa do szkoły, bo w Krakowie były wtedy sławne na świat cały szkoły, do których z dalekich nawet krajów przybywali młodzieńce.

Rodzice Jasia byli ubodzy, więc nie mieli za co posłać go na naukę do Krakowa, ale matka jego miała w Krakowie brata, który był księdzem. Ten ksiądz obiecał być Janowi pomocnym i wziął go do Krakowa. Jan począł się uczyć pilnie i gorliwie, a był przytem bardzo obyczajnym i pobożnym studentem. Chodził on często do kościoła, a że w bliskości był kościoł św. Jana, więc Jan zazwyczaj chodził się modlić do niego. W tym kościele był znowu cudowny obraz Najświętszej Panny a Jan student powziął wielkie nabożeństwo do Matki Bożej, i modlił się gorąco przed tym jej obrazem, słynącym głośno z łask i cudów. To też Najświętsza Panna jakby się wyraźnie opiekowała biednym studentem, bo ile razy Jan był w smutku lub utrapieniu, zawsze biegał do kościoła i padał na kolana przed tym obrazem, i zawsze doznał pociechy w frasunku, pomocy i ratunku w biedzie i nieszczęściu.

Pod tą opieką Najświętszej Panny ukończył szkoły Jan Gątkowski a gdy wyrósł w chłopa, zaciągnął się do wojska pod chorągiew Stanisława Lubomirskiego. A było to w roku 1629. Właśnie podówczas wybierało się wojsko polskie pod Lubomirskim i sławnym rycerzem Stefanem Chmieleckim na Tatarów pogan, którzy wpadli byli do Polski i okrutne czynili spustoszenia.

Kiedy już Jan Gątkowski miał ruszać z innymi na wojnę, poszedł jeszcze do Kościoła św. Jana i modlił się długo przed cudownym obrazem Najświętszej Panny, prosząc ją o łaskę i pomoc, i oddając się jej pod świętą opiekę.

Zaledwie jednak przyszło po raz pierwszy do bitwy z Tatarami, Jan Gątkowski dostał się do niewoli tatarskiej. Ciężka

*

to była niewola u pogan, jak już o tem wiecie, bo nieraz wam o niej opowiadaliśmy. To też i ten Jan Gątkowski musiał znosić wielkie męczarnie i ciężkie trudy, a Tatarzy kazali mu pracować na polu, przyprzęgając go do taczek i wozów jakby konia. Do tego jeszcze okuli Tatarzy Gątkowskiego w ciężkie kajdany żelazne z wielkiemi kulami, i ledwie tyle jeść mu dawali, że mógł jeszcze oddechać.

Pewnego wieczora, po długiej pracy, Jan Gątkowski pokaleczony i niezmiernie zbity padł jak nieżywy na ziemię i począł płakać gorżko na swoją niedolę. W tym żalu i płaczu serdecznym przyszedł mu na pamięć obraz w kościele św. Jana w Krakowie, przed którym modlił się tyle razy będąc studentem, ukląkł więc i począł się modlić gorąco do Najświętszej Panny. Zaraz też jakaś pociecha wstąpiła w jego serce i zasnął snem spokojnym.

We śnie zdało mu się, że Matka Boża zstąpiła z tego obrazu, przyszła do niego i rzekła mu:

— Idź, jesteś wolny!

Obudził się zaraz Gątkowski, porwał się na równe nogi i o dziwo! patrzy a tu na jego nogach niema już kajdan! Kajdany te cudem opadły z niego i leżały obok na ziemi.

Widząc to cudowne zmiłowanie Boskie Gątkowski umyślił uciekać. Ale przypomniał sobie zaraz, że niedaleko stał na straży Tatar. Chwycił tedy Gątkowski kajdany, aby ich użyć zamiast broni i bić niemi Tatara, gdyby go chciał zatrzymywać, i wyszedł z więzienia.

Przed bramą zastał Tatara, który stał na warcie, i już Gątkowski był na to przygotowanym, że przyjdzie mu z tym poganinem walczyć na śmierć lub życie, ale tymczasem Tatar ów nie zatrzymuje go wcale, ale mówi mu tylko:

— Jeżli chcesz uciekać, to uciekajmy razem, bo mnie się śniło, że mnie Pan Bóg uszczęśliwi, jeżeli pomogę do ucieczki jakiemu biednemu więźniowi.

Zabrał tedy z sobą Gątkowski Tatara i dziękując Najśw. Pannie za to cudowne wybawienie, udał się z nim w ucieczkę. Po długich trudach i najrozmaitszych przeszkodach udało się im obu dostać na polską ziemię, do Tulczyna. Skoro tu

przybył Gątkowski, udał się zaraz z Tatarem do klasztoru Dominikanów. W klasztorze tym Tatar poganin, oświecony łaską Boską, dał się ochrzcić i przyjął wiarę chrześciańską, Gątkowski zaś nie zatrzymując się długo, ruszył do Krakowa, aby złożyć dzięki Najświętszej Pannie za cudowne uratowanie. Przybywszy do Krakowa Gątkowski wstąpił do zakonu, a kajdany owe tatarskie, które był zabrał z sobą, zawiesił jako wotum przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Krakowie.

— Otoż taka to jest historja tych kajdan, które tu wiszą na ścianie — skończył opowiadanie Jakób.

Podziękowałem z serca Jakóbowi za tę piękną historję i spamiętałem sobie ją dobrze, a teraz ją tu dla was wypisałem, jak umiałem.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Dokończenie.)

IX. Sybir.

Więc śród krwawego ucisku,
Miał Morawski tyle zysku,
Że znów kilka sprzątnął głów,
I moskiewskich nabił kpów.
Bo gdzie dorwał, tłukł i siekł,
I tem chociaż się przysłużył,
Że niejeden zdrajca szpieg,
Przed nim oczy swoje zmrużył
Ale Drewicz się pilnował,
I swej straty nie darował.
Oj zawzięty Moskal ten,
Był zaciętszy niźli Renn.
Ten moskiewski pan jenerał,
Co ze złości aż umierał,
Tysiąc ludzi poniewierał,
Na jednego, na rzeźnika,
Co tam sobie laskiem zmyka.
Więc chociaż i męztwo poprze,
I choć uda mu się fryka,
Kiedy człowiek jeden zmyka,
Toć tysiącu się nie oprze.
I nie oparł się Morawski,
I przepadła cała sztuka,
Wróg plądruje wszystkie laski,
I kochanka swego szuka,
Szuka, pieni się ze złości,
I klnie na czem piekło stoi;
Chciwy tylko zemsty swojej,
I nagrody carskiej mości.
Aż też piekło całe razem,
Z nim zawarło sojusz bratni,
I wraz z moskiewskiem żelazem,
Zadało mu cios ostatni.
Wszyscy w kraju powątpili,
Więc się skryli i stchórzyli.

A Morawski jeden sam,
Na placówce stoi tam,
Stał i marzył... albo klął...
Nadszedł Moskal, więc go wziął.
I spełniła się ofiara
I powlekli go do cara.

Carem wtedy była jędza,
Jakie z piekieł czart wypędza,
Więc się bardzo ucieszyła,
I Drewicza całowała,
Krzycząc: hura! chwała! chwała!
Będzie z Polski wnet mogiła,
Jam się jej poiła krwią,
Więc mi chwała za jej grób,
Tu już wierni moi są,
Którym matką Polski trup.
Więc takiego pana brata
Co się jeszcze przy jej skonie
Ważył stawać w jej obronie,
Trzeba uprzątnąć ze świata,
Więc mu trzeba lodów dać
By zagasił ogień swój,
Więc na Sybir jego słać,
Mój Drewiczu, synku mój!

Więc skończona sprawa cała,
Bo caryca tak kazała.
Więc Morawski w Sybir gnany
Kończył żywot krwią oblany,
Ginął, więdnął, licho marnie,
A król bawił się bezkarnie,
Lecz choć w srogie jarzmo wzięty,
Jeszcze płatał im wykręty;
Jeszcze w drodze bity, kłuty,
Kajdanami ostro kuty,
Tyle siły w sobie miał,
Że dwa razy więzy rwał.
I dwa razy swoich braci,
Zaklął do morderczej bitwy,
Gdy mijali krańce Litwy,
Gdzie się z oczów Polska traci.
I nie pokpili się sztuką,
Bo i straże rozbroili,
I pięściami, kajdanami,
Tęgo jeszcze Moskwę tłuką...
Aż się z złości zapienili,
Nad dzielnymi Polakami.
Lecz to był już czyn ostatni,
Przed wrotami wiecznej matki
Pożegnaniem to już było,
Z biedną ojczyzny mogiłą...
Odtąd gnali ich jak psów,
Do sybirskich strasznych lodów...
I — aż kiedyś może znów,
Wstanie mściciel wśród narodów,
Co się pomści braci tej,
Co wymarła tam z rozpaczy,
I wynagrodzi siepaczy.

X. Zakończenie.

Więc tak miły czytelniku,
Wiesz już wszystko o rzeźniku,
Co się swym toporem wsławił,
I Moskali djable dławił.
Ale nie wiesz tego jeszcze,
Jako modlił się on szczerze
Na wygnaniu tam w Sybirze.
Modlił się ranami swemi
Co bolały przypomnieniem,
Modlił się łzami krwawemi,
Co płynęły z ócz strumieniem,
A potem — zaciskał pięści,
Wiarą ducha krzepił jeszcze,
Bo miał to przeczucie wieszcze,
Że Bóg kiedyś nam poszczęści.
Więc się modlił z tą nadzieją,
Że nie upłynie lat wiele,
A w Polsce będzie wesele,
Aż się w niebie roześmieją...
Z tą nadzieją żył w tułactwie,
Tą nadzieją smutnych koił,
Co się tułali z nim w bractwie,
I nią blizny serca goił.

A gdy już gorzka łza bratnia,
Co życie z oka zadmucha
Przyszła do niego ostatnia,
Z tą nadzieją oddał ducha.
Więc tak w śmierci jak i w życiu,
Morawski przez swoje dzieła,
Choć siedział sobie w ukryciu,
Choć dusza jego nie lgnęła
Ani do wielkich honorów,
Ani do sławy — wielkości,
Dowiódł, że ogniem miłości
I za pomocą toporów,
Jeśli się zręcznie poliźnie
Można usłużyć ojczyźnie.
A że cierpiał za ojczyznę,
Więc jest chwały wart — i kwita
Więc kto Polak niech to czyta
I z czcią wielbi każdą bliznę,
Jaką rzeźnik konfederat,
Poniósł w boju za ojczyznę,
I jak Moskwie on był nie rad,
Tak my jemu bądźmy radzi,
Więc i krzyknąć nie zawadzi:
Wiwat rzeźnik konfederat!

Piotr Winiarczyk

mieszczanin z Gniezna.

Za dawnych czasów siedzieli królowie nasi polscy w mieście Gnieznie, gdzieto jest grób św. Wojciecha i gdzie ciało tego męczennika i Apostoła złożył król Bolesław Chrobry na pamiątkę, aby tam Polacy chodzili zawsze na odpusty. A niema ani sto lat temu, jak to miasto i tamten kraj polski naokoło zabrali Prusaki, a jak starzy nasi dziadkowie nazywali tamte swoje kraje Wielkopolską, nito najpierwsze polskie kraje, tak teraz przezwali to Prusaki Wielkiem Xięztwem Poznańskiem.

Otoż w mieście Gnieźnie był pałac królewski, a dalej mieli domy swoje porządne mieszczanie polscy. Między takimi mieszczanami był na przedmieściu jeden bogaty i bardzo pobożny, co się zwał pan Piotr Winiarczyk. Miał ci grunt swój, pasiekę, a do tego jeszcze był doskonałym majstrem na całą okolicę. Jakci się ustroił w Niedzielę po swojemu, to się mu wszystko przy spotkaniu kłaniało, a król polski znał go doskonale i nie raz pogadał z nim o niejednej rzeczy.

A był wtedy królem polskim Przemysław. Było to roku pańskiego 1270, a więc już z okładem 600 lat. Ten Przemysław był wtedy królewicem młodym, a miał stryja w mieście Kaliszu, który był bardzo pobożny i dziś jest u Polaków pra-

wie za świętego uważany. Toż nazywali go Polacy Bolkiem pobożnym, a miałci on i żonę taką, która dziś jest świętą Heleną zwana.

Przemysław królewicz miał wtedy 18 lat i był pod opieką stryja swego. Ten stryj przyjął mu za nauczyciela Xiędza i powiada do niego:

— Oto wyucz mi Xięże mego bratanka doskonale na książkach, aby wiedział najprzód o Bogu i umiał się Boga bać, a potem aby wiedział wszystko o królach polskich i o wszystkich Polakach, aby nic tu nie szwargotał po nijakiemu, ale gadał po swojemu, jak się patrzy, aby nie był Niemcem ale Polakiem, jakim go matka urodziła, aby był potem dobrym królem i ojcem dla Polaków. A trzymaj mi go ostro, dopóki jest zamłody.

Toż Xiądz polski uczył wszystkiego dobrego tego królewica, a stryj znowu rządził sam jego krajami i nie pozwalał z pałacu wychodzić i gadał:

— Ucz się ucz mój bratanku! bo szkoda czasu bożego, a co się za młodu nauczysz, to później jak znalazł — a rozum dobry i nauka więcej znaczą, niż majątek i dukaty!

Toż królewicz Przemysław uczył się i słuchał, ale nie raz było mu nie w smak, że on razem z stryjem nie gazdował i nie rządził w swoich miastach i wsiach. I gadał on do stryja:

— Pozwólcie mi też rządzić razem z wami i mieć jaki krajcar przy sobie! i pozwólcie mi też czasem wieczorem wyjść sobie do miasta na jaką zabawkę i rozrywkę.

A stryj pobożny mu na to:

— Co ci potrzeba, to masz — a grosza nie dam na zabawki, bo to grzech i jabym za to na sądzie odpowiadał, jakbyś ty marnował pracę ojca i matki. We dnie, kiedy Bóg świeci słonkiem, to czas każdemu do roboty, a nie do próżnowania, a w nocy, kiedy Bóg sam gasi światło, to czas do modlitwy i spania, a nie do zbytkowania i latania po mieście. A jak ci będzie 24 lat, to dopiero wtedy ożenisz się i będziesz sobie sam rządził, a ja ci się wyrachuję sprawiedliwie potem z każdego krajcarka twego i oddam ci do jednego szeląga.

I rad nie rad królewicz pozostał w pałacu i uczył się i słuchał, a to mu na dobre wyszło.

Ale znał on się z tym mieszczaninem bogatym i pobożnym Piotrem Winiarczykiem, i lubili się oba strasznie. Otoż raz jakoś mu się bardzo przyjadła ta ostra opieka stryja i duma sobie:

— Na co ja mam tak pokutować u tego stryja! ani mi królować nie da, ani się żenić nie pozwala, ani z domu nigdzie nie puści, a ja przecie wyuczyłem się już dobrze wszystkiego, już potrafiłbym być dobrym królem, i jużby mię nikt na złe nie potrafił naprowadzić — otoż już wiem, co uczynię. Mam ztąd daleko aż nad morzem w kraju Pomorze zwanym, krewnego bogatego xięcia Mestwina pobożnego, otoż tam ucieknę, tam się ożenię i potem wrócę sobie do Gniezna i będę Boga chwalił, Polakom dobrze robił i cóż mi będzie?

I tak sobie dumając w swej głowie zaczął w nocy pakować rzeczy potrzebne, ale jak je wynieść z pałacu do miasta? bo warta stała koło pałacu. Toż zostawił on rzeczy i sam w jednej koszuli wyleciał z pałacu, ominął pocichu wartę i już był w mieście. Ale o północy do kogo tu pójść? Otoż duma sobie:

— Aha! mam go! pójdę prosto do domu Winiarczyka poczciwego, tam zapukam, a on mię na pewne puści i poradzi mi najlepiej.

I tak dumając sobie królewicz zaszedł aż na przedmieście prosto pod ogród i dom Winiarczyka. Aż tu psy zaszczekały. Królewicz zawołał na psy i tak się przybliżył do drzwi i puka.

— A kto tam taki puka tak późno w nocy? zapytał ktoś od Winiarczyka.

— A czy jest w domu Piotr Winiarczyk? pyta królewicz.

— A jużci jest, bo gdzieżby po nocy chodził.

— Proszę was, rzecze królewicz, wstańcie też prędko, i zawołajcie tu samego Piotra, bo go tu koniecznie i bardzo prędko potrzeba.

— A kto wy za jeden, że łazicie po nocy? Ale jak trza to trza, to poczekajcie chwilkę, a ja zawołam pana Piotra.

I niedługo przychodzi sam Piotr Winiarczyk do bramy i ledwo usłyszał głos królewicza poznał go do razu, otworzył bramę i witając królewica pyta:

— A dla Boga świętego! a czy stryj lub stryjanka zachorowali albo co tam takiego?

— Nic złego, mój poczciwy Piotrze! stryj i stryjanka są dobrzy ludzie dla Polaków, jeno dla mnie są za ostrzy, a jabym chciał sam królować. Ale chodzi tu o coś lepszego. Oto mój bogaty krewny na Pomorzu, gdzie miasto Gdańsk stoi, niema dzieci i jest już stary, a Niemcy go podchodzą i zmówili się z Krzyżakami, aby ten staropolski kraj wykpić darmo od niego. Toż uważacie mój Piotrze! ja sobie tak ułożył w nocy, aby po cichu uciec od stryja i dostać się jakoś do tamtego drugiego, a miarkuję sobie, żeby mi może tamten krewny zapisał swój kraj i nie dał go Niemcom cyganom, a jabym się wtedy ożenił gdzie dobrze i miałbym swoją ojcowiznę, a stryj by mi dał swój kraj i byłaby wtedy polska kraina aż po morze.

Piotr Winiarczyk słuchał z uwagą królewica i podobało mu się to, że królewicz myślał zawsze i pamiętał o swej ojcowiznie i chciał dla Polaków dobrze zrobić i dostać dla nich Pomorze i Gdańsk, toż rzecze potem:

— A wieże o tem wasz stryj, że chcecie tam pójść? bo jabym nie chciał, aby się wasz stryj i opiekun gniewał na mnie.

— No! rzecze królewicz, stryj o tem nie wie — ale wy się Piotrze niczego nie bójcie, bo to się nie wyda, a jak wy mi pomożecie, że ja się dostanę do tamtego krewnego xięcia Mestwina, to jak mi Bóg pomoże wrócić szczęśliwie do Gniezna, ja wam to i waszym dzieciom odpłacę stokrotnie.

— No! rzecze Piotr, całując w rękę królewicza, to ja to zrobię, bo powiadają Polacy, gość w dom, to Bóg w dom, a Bóg nakazuje przyjąć swojaka i dać mu poratunek. A prosiłbym pokornie, byście byli łaskawi wleźć do izby mojej, jeno nie chciałbym aby was kto poznał, a potem wypaplał po całem mieście i dowiedziałby się stryj wasz o tem, to bym miał za to biedę jaką.

— Nono! rzecze królewicz, ja zostanę pod chałupą, a wy mi dajcie konie dobre i przewodnika, abym mógł zaraz ale to zaraz jechać.

Piotr Winiarczyk zwinął się co tchu, wybrał swego konia dobrego, osiodłał, dał wór obroku, potem dał płaszcz królewi-

czowi i dał mu dużo dukatów na drogę, sam wsiadł na drugiego konia, i przez miasto wyprowadził pięknie ładnie aż o kilka mil za miasto, potem pożegnał królewicza, zdjął czapkę, podniósł oczy do nieba i powiada:

— Niech Cię Bóg szczęśliwie prowadzi dobra polska duszo! niech ci pomoże, abyś dla Polaków zrobił wszystko dobre i wrócił do Gniezna, a potem był dobrym królem tak jak twoi dziadkowie.

Królewicz podał mu rękę i pojechał w drogę, a Piotr poczciwy stał jeszcze długo i pozierał za królewiczem.

I było potem cicho w Gnieznie, Polacy gadali rozmaicie, jedni dobrze, drudzy źle, a Piotr ani słowa przed nikim nie powiedział. I za rok dopiero przyszło pismo z Gdańska od xięcia Mestwina do stryja królewiczowego Bolka pobożnego, że królewicz jest na Pomorzu, że się żeni z bogatą panią Lukierdą, którą Polacy Ludgardą zwali, że dostanie na wiano dużo kraju i Gdańsk, i że wróci do Gniezna, jeźli się stryj nie gniewa.

Ale Bolko pobożny ucieszył się strasznie na to i zaprosił królewicza z żoną do Gniezna, i obiecał zaraz oddać mu wszystko, a potem podarować mu i swoje kraje koło miasta Kalisza.

Tak więc wrócił w wielkiej paradzie królewicz z żoną młodziutką i ładniutką jak lilia do Gniezna, całe miasto go witało koło bramy z chlebem i solą, czego było u Polaków zawsze najwięcej, a Piotr Winiarczyk był na samym przodzie, ustrojony po swojemu, aż się świeciło wszystko na nim od złota i on to powitał królewicza oracją, aż grzmiało.

A stryj i stryjanka wzięli bratanków młodych za ręce wsadzili do karety malowanej i złotej i powieźli z weselem i muzyką do pałacu. Gdy stryj poznał młodą żonę królewicza, bardzo się cieszył, odtąd była zgoda w pałacu. Aż raz powiada stryj:

— No! teraz kiedy masz żonę mój bratanku, to ja ci oddaję cały polski kraj, rządź sobie sam, ale pamiętaj, abyś był ojcem dla Polaków. A potem radzę ci, napisz sam do Ojca św. i proś, aby cię sam Ojciec św. koronował na króla polskiego, bo wiesz to dobrze, że już dawno nie koronował Oj-

ciec św. królów polskich, odkąd jeden król zabił św. Stanisława. Na to rzecze królewicz:

— Bóg wam zapłać stryju! żeście się dobrze opiekowali moją ojcowizną, żeście i mię dali wyuczyć wszystkiego, żem teraz mądrym Polakiem — ale mam ja tu jeszcze jedną sprawę zrobić z Piotrem Winiarczykiem.

— A to co znowu takiego? pyta stryj.

— Oto! odpowie królewicz, ten Piotr zrobił mi dużo dobrego, a ja mu obiecałem to odpłacić.

I opowiedział królewicz wszystko co do słowa, co to Winiarczyk zrobił mu w nocy, jak go poratował po chrześciańsku, jak go nie zdradził i nie cofnął do pałacu, ale odprowadził na swoim koniu kilka mil sam i dał konia, płaszcz i dukaty na drogę.

A wtedy to dopiero całe miasto wychwalało Piotra, a sam Bolko pobożny i żona jego pobożna Helena i sama żona młodziutka królewicza podziękowali Winiarczykowi za taką dobroć i przysługę, a sam królewicz Przemysław podał mu zapis i rzecze:

— No! to masz tu mój dobry Piotrze zapłatę za twoją wysługę, a ty i twoje dzieci są wolne na wieczne czasy od każdego podatku, forszpanu i kwaterunku wojska i od najmniejszej składki w mieście. A masz tu znowu prawo szlachectwa dla siebie, aby cię miasto szanowało i jak długo żyć będziesz, będziesz do śmierci wójtował na całe miasto.

Piotr Winiarczyk pocałował z dziećmi królewicza Przemysława w rękę za to, potem zaprosił go stryj królewicza na obiad do pałacu, gdzie wygrywała muzyka na wiwat Piotrowi, a po jedzeniu podarowali mu panowie dwa konie prześliczne, a żona królewicza podarowała mu płaszcz złoty, a gdzie się jeno na mieście pokazał, to go witano z honorami. On zaś aż płakał z tej radości, że się przysłużył w biedzie drugiemu, a za to mu Bóg tak odpłacił. Toż na drugi tydzień zaprosił on znowu cały dwór królewski i całe miasto na gościnę do siebie, i na stołach pod gołem niebem dawał jeść i pić, co kto chciał i podawał bogate podarunki gościom swoim. Jak umarł, to na jego pogrzebie było całe miasto z królewskim dworem a dzieci jego miały wieczną pamiątkę po nim, a xięża darmo go z paradą pochowali.

Toż i wy moi kochani tak róbcie, jak ten Piotr Winiarczyk! bądźcie dobrymi katolikami, dobrymi Polakami, kochajcie waszą ojcowiznę, waszą mowę, wasz ubiór polski i zwyczaje waszych dziadków, a pamięć po was zostanie między swojakami dobrymi na wieczne czasy.

Xiądz Wojciech z Medyki.

O wychowaniu dziatek.

Rady dla rodziców.

Gdy dziecię podrasta, zaczyna się czołgać, a wreszcie i na nogi się podnosi, wymaga większej jeszcze uwagi i starań niźli poprzednio. Samo sobie pozostawione, łażąc po kątach, spinając się po stołkach, łatwo sobie może zaszkodzić, już to spadłszy ze stołka, stołu, obaliwszy na siebie sprzęt jaki. Szczególniej jednak uważajcie, aby dzieci takie nie kręciły się koło pieca i wy sami żebyście ich tam nie sadzali, nic łatwiejszego bowiem jako zapalić na sobie przyodziewę, a ztąd śmierć w cierpieniach, albo gorsza jeszcze od niej ciężka choroba w skutek poparzenia, pociągająca za sobą kalectwo. Tysiące dzieci w ten sposób padło ofiarą nieostrożności rodziców, ja sam z własnego doświadczenia mógłbym wam kilka przytoczyć, ale ograniczę się tylko na jednym jako się przed kilku laty we wsi pod Warszawą leżącej, wydarzył. Kobieta wyszła z domu, zostawiając dwoje dzieci: jedno cztero, drugie dwuletnie, i ogień w piecu zapalony. Starsze dziecię przysunęło się do pieca i zapaliło na sobie przyodziewę; gdy go zaczęło parzyć, weszło do kołyski, w której siedziało młodsze dziecko, i na tem suknie się zajęły. Sąsiedzi widząc płomień przez okno, weszli do izby i ogień wprawdzie ugasili, ale biednych dzieci uratować nie zdołali, jedno już było bez życia, a drugie po kilkodniowych cierpieniach zmarło. A matka cóż podówczas robiła? oto, gdy pobiegli jej szukać, aby jej dać znać o nieszczęściu, znaleziono ją pijaną, leżącą bez przytomności w kałuży, w której wracając z karczmy się przewróciła. Upominam was raz jeszcze, uważajcie na dzieci, oparzenie bowiem, choć nie wielkie, które u człowieka starszego dałoby się łatwo wygoić, u dziecka może dać powód do zapalenia mózgu, które prawie zawsze śmiercią się kończy.

Gdy dzieci podrastają, pozwalajcie im niech się bawią na dworze, stosownie do pory czasu przyodziane; bose chodzenie wcale im nie zaszkodzi, niech tylko niepotrzebnie podczas zimnej pory roku nóg nie maczają. Mogą biegać, przewracać się, ale na trawniku albo na piasku, nie zaś na kamieniach, na których przewróciwszy się, łatwo się mogą skaleczyć.

Gdy dzieci bawią się na dworze, dajcie na nie baczność, żeby się nie kręciły koło koni, które je mogą kopnąć, ugryźć, skaleczyć, czasem nawet nieumyślnie, oganiając się od nich. Niech też dzieci będą ostrożnemi, chodząc koło krów, świń, psów, szczególniej obcych, niech ich nie drażnią, bo łatwo mogą zostać skaleczonemi. Nadto, pamiętajcie o tem, że drażnienie zwierząt, dokuczanie im i pastwienie się nad niemi w dziecinnym wieku, zatwardza serce i czyni je na później nieczułem nietylko na cierpienia zwierząt, ale i ludzi. Najwięksi zbrodniarze, będący hańbą ludzkości, którzy za zbrodnie dokonane, pod mieczem katowskim albo na szubienicy życie zakończyli, zaczynali zwykle od pastwienia się nad zwierzętami w dzieciństwie.

Jezeli w pobliżu domu są studnie, doły na ziemniaki itp. nie zasypane, należy je ogrodzić, łatwo bowiem dziecko może wpaść i kalectwa się nabawić.

Kiedy chłopcy podrastają, lubią chodzić kąpać się do rzeki lub stawu; gdy tam idą, zawsze z niemi powinien iść ktoś starszy, łatwo bowiem nieszczęście może się wydarzyć. Jeszcze więcej na chłopców trzeba uważać, gdy w porze zimowej idą na lód się ślizgać, łatwo bowiem jeden drugiego może przewrócić, albo lód się załamać, lubo ślizgania się ostrożnego, pod nadzorem starszych, wcale nie potępiam.

Swawolne chłopcy lubią spinać się po drzewach, wieżach, łazić po dachach, wykręcać gniazda ptakom, wszelkie zabawy tego rodzaju grożą niebezpieczeństwem, łatwo bowiem spadłszy złamać rękę lub nogę, a nawet kark skręcić. Wszelkie zabawy, przy których można się skaleczyć, uderzyć, są niedobremi dla dzieci, tu zaliczam wywracanie koziołków, nieostrożne przeskakiwania rowów, huśtanie się, ciągnienie za ręce, podnoszenie za uszy do góry, zakrywanie oczów z tyłu i t. p. zabawy, mogące za sobą szkodliwe następstwa pociągnąć, ale najzgubniejszym żartem jest niespodziewane wysunięcie stołka, gdy ktoś siada, upadnięcie bowiem takie niespodziewane, a z zamachem, może stać się przyczyną kalectwa na całe życie.

Mocować się, pasować z sobą, chłopcy mogą a nawet to się przyczynia do wyrabiania sił, ale niech to robią w takiem miejscu, gdzie upadnięcie szkody im nie przyniesie, a najlepiej na trawniku.

Wyrabianie sił na świeżem powietrzu, granie w piłkę, bieganie, nietylko nie jest nagannem, ale dla chłopców wiejskich którzy później do pracy sił będą potrzebować, jest koniecznością.

Bawienie się pręcikami, batożkami, kijami, wymaga ostrożności, żeby innym szkody nie przynieść. Szkodliwem też może być bawienie się tak zwanemi fistułami czyli rurami długiemi z drzewa, z których wydmuchuje się gwoździk. Nieostrożne wydmuchnięcie gwoździa, może być przyczyną skaleczenia, a nawet wiem o przypadku, gdzie chłopiec wydmuchnąwszy gwoździk, wybił nim oko człowiekowi właśnie przechodzącemu ulicą. Po drogach, gościńcach, dzieci plątać się nie powinny, łatwo bowiem mogą zostać przejechanemi. Ludzie pilnujący lasów, gajów, miewają w domu zwykle strzelby; niechże ich dzieciom ruszać nie pozwalają, gdyż łatwo nieszczęście może się wydarzyć.

Zabawki jeżeli kupujecie dzieciom, uważajcie aby nie były ostre, kanciaste, a jeżeli są przeznaczonemi dla małych dzieci, nie kupujcież malowanych, zwłaszcza na czerwono i zielono, dzieci bowiem, biorąc zabawki do ust, oblizują farbę, z czego łatwo mogą zachorować.

Gra w karty wprost zdrowiu nie szkodzi, ale z innych względów jest naganną; nie pozwalajcie jej zatem, chłopcom zwłaszcza, że nieraz kłótni i bójki może być powodem.

Jeżeli dzieci w zimie bawiąc się na dworze śniegiem albo biegając ziębną mocno, ręce lub nogi mają zimne jak lód, a jak raki czerwone, nie trzeba ich rozgrzewać przy piecu, w ten sposób bowiem najłatwiej mogą się odmrozić, ale każcie je włożyć w śnieg, lub w zimną wodę, a następnie rozcierać; w ten sposób ciepło powróci a szkody nie przyniesie.

Nie pozwalajcie dzieciom bawić się nad wodą, łatwo bowiem mogą wpaść i utonąć, a w porze zimowej gdy się lód załamie, choćby nie utonęły, mogą się zranić, a nawet samo skąpanie się w zimnej wodzie, może chorobę wywołać.

Wystrzegajcie się straszenia dzieci, opowiadając im powieści o upiorach, czartach, strachach, czarownicach, takie niedorzeczności bowiem, dzieciom w głowach przewracają i robią to, że dziecko potem lada czego się boi.

Dzieci rosnąc potrzebują pożywienia, może nawet więcej niżli człowiek dorosły, głodzić ich zatem nie trzeba, ale też i co chwila jeść nie powinni. Jeżeli dostaną jeść pięć razy na dzień, to zupełnie wystarczy. W pokarmach niema potrzeby przebierać, młody bowiem żołądek lepiej trawi niżli starszy, ale nie dajcie jeść dzieciom tłusto, korzenno, bo to im krew rozpala, a szczególniej nie dajcie im gorzałki. Uważajcie żeby

nie jadły jagód, owoców, nasion, korzeni, których nie znają, łatwo bowiem jadowitą rośliną otruć się mogą.

Po zgrzaniu się, zmęczeniu, przestrzegajcie żeby nie piły zaraz zimnej wody; takie bowiem nagłe oziębienie może stać się przyczyną choroby.

Idąc w takie miejsca gdzie jest dużo ludzi, jak do kościoła, do karczmy, na jarmark, odpust, nie bierzcie z sobą dzieci, szczególniej młodszych, łatwo bowiem mogą je przewrócić, potrącić, a w wielkim natłoku, jak się to zdarza na odpustach w Częstochowie, na Kalwaryi i o zaduszenie na śmierć nie trudno. Niepotrzebnie też brać z sobą dziecię, idąc do umarłych, wyziewy bowiem z ciała zmarłych, szczególniej na choroby zaraźliwe, jeżeli dla nikogo nie są zdrowemi, tem szkodliwszemi muszą być dla dzieci.

Jeżeli dzieciom krnąbrnym, nieposłusznym, przestrogi nie wystarczają, trzeba je ukarać, ale pamiętajcie aby to uczynić po rodzicielsku, ostrożnie, uważając aby im w gniewie krzywdy jakiej nie wyrządzić, bijąc je po głowie, oczach, piersiach; do bicia nie bierzcie lada kija, który się pod rękę nasunie, najlepiej więc różczki brzozowej, która choć bije, nie połamie kości, i nie bijcie bez upamiętania.

Gdy dzieci podrastają, usuwają się coraz więcej z pod oka i nadzoru rodziców, pomagając im zato w pracach koło domu, roli dobytku, albo też idąc w służbę do innych gospodarzy. I teraz rodzice nie powinni dzieci z pod opieki swej wypuszczać, lecz zwracać mają uwagę na ich postępowanie. Szczególniej uważajcie, żebyście ich zbyteczną pracą nie obciążali, nie kazali im dźwigać ciężarów, nosić zboża, kartofli, w dużej ilości na raz, nie wymagajcie od chłopców kilkunastoletnich zaledwie, aby zboże młócili po całych dniach, praca bowiem nad siły w młodym wieku, choć nie od razu, zawsze szkodliwe następstwa za sobą pociąga.

Z zabaw przez młodzież używanych, do najczęstszych należy taniec, ten w miarę użyty nie szkodzi, ale nadużyty, zadługo w noc przeciągnięty, może stać się szkodliwym, zwłaszcza dla młodzieży słabowitej, mającej usposobienia do kaszlu i chorób piersiowych.

Na tem kończę, pragnąc, aby ta nauka przyniosła wam jak najwięcej pożytku i przyczyniła się do zachowania przy dobrem zdrowiu tak was samych, jako też i dzieci waszych, co daj Boże! ***Doktor Ściborowski.***

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 6.

21. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zapis dla synów włościańskich.

Nauka była zawsze dla ludzi skarbem prawdziwym — ale dziś ona jest dla każdego prawie tyle niezbędną, co chleb powszedni. Dawnemi wieki, choć nauka zawsze wysoko była cenioną, to przecież łatwiej się bez niej można było obejść, ale dziś prawie bez nauki żyć nie można. Wszędzie też po całym świecie uznają to ludzie i biorą się pilnie do nauki, kształcą się nietylko młodzi ale i starzy, a wszędy lud wiejski nabiera oświaty, u nas tylko po wsiach panuje jeszcze ciemnota.

Wielu jest jeszcze między ludem wiejskim, którzy nietylko że sami bardzo są ciemni na umyśle, ale do tego nawet uznać nie chcą, że nauka jest potrzebną. ‹Na co mnie chłopu od pługa zda się nauka› — mówi jeden i drugi, i dla tej fałszywej przyczyny nawet swych dzieci uczyć nie da. A tu tymczasem nauka potrzebna jest tak samo wieśniakowi jak i panu. Abyś był cnotliwym i prawym potrzeba ci nauki — bo tylko przez naukę religji poznasz wszystkie twoje chrześcijańskie obowiązki i rozświecisz sumienie prawdziwem światłem. Abyś był dobrym Polakiem — potrzeba ci nauki — bo tylko nauka wskaże ci obo-

wiązki jakie masz dla ojczyzny i dla twoich rodaków. Abyś był bogatym — trzeba ci nauki, bo do mienia prowadzi tylko dobre gospodarstwo, a do dobrego gospodarstwa prowadzi znowu tylko nauka, bez której nie potrafisz wyciągnąć z ziemi twojej ten zysk obfity, jaki ona kryje w sobie.

A jeżeli nauka wiedzie do moralności, pracy, obywatelstwa i mienia — to za ciemnotą znowu idzie w ślad występek i nędza. Dlatego też wołamy i zawsze wołać będziemy do was, abyście oświecali nauką umysły wasze, a jeżeli to dla was już za późno, to abyście się starali dać naukę dzieciom waszym, jeżeli je kochacie i życzycie im dobrej doli na świecie.

Dziś oświata jest łatwiejszą niż za dawniejszych czasów. Wychodzą dla was teraz osobne gazety, drukują się pouczające i piękne książki o moralności, o historji polskiej, o cudach świata, o gospodarstwie — prawie w każdej wsi jest szkółka mała, w każdem mieście szkoła wyższa, a przy jakiem takiem staraniu może dziś każdy zamożniejszy wieśniak wykształcić swego syna na światłego i uczonego gospodarza, a jeżeli mu Bóg dopomoże, to i na urzędnika lub księdza.

Nie brak też i na takich zacnych ludziach a dobrodziejach waszych, co wam pomagają, czem mogą do oświaty i sami wam dają dobrą sposobność do ręki. Przed rokiem donosiliśmy wam, jak to xiądz proboszcz z Wierzchosławic, Neronowicz, umierając, poczynił zapisy dla zapomogi takich wiejskich chłopaków, którzy się pilnie uczą — teraz zaś podajemy wam taki drugi czyn szlachetny do wiadomości.

Oto xsiądz Szczęsny Skibiński, rzymsko-katolicki proboszcz w Zarszynie, przeznaczył kapitał dziesięć tysięcy złotych reńskich z zastrzeżeniem dla siebie pobierania dożywotniego procentu — jako fundusz na utworzenie po jego śmierci stypendjów czyli wsparć dla biednej uczącej się młodzieży chłopskiej pod nazwą: „Stypendja chłopskie fundacji xiędza Szczęsnego Skibińskiego Proboszcza Zarszyńskiego“ pod następującemi warunkami:

1) Zapisany kapitał ma być złożony w kasie Wydziału krajowego galicyjskiego lub tej Władzy, którąby na miejsce tego Wydziału kiedyś ustanowioną była.

2) Kapitał ten podziela się na pięć części po dwa tysiące złr. a każda część stanowi jedno wsparcie (stypendyum).

3) Odsetki czyli procenta od każdego z tych pięciu kapitałów będą się co pół roku odbierać i stypendystom t. j. uznanym za godnych tego wsparcia wypłacać.

4) Te zapomogi czyli stypendja udzielane będą synom ubogich włościan bez różnicy religji, obrządku i narodowości, byle tylko zamieszkałych w tej części dawnej Polski, która obecnie pod panowaniem austrjackiem zostaje, uczęszczającym do publicznych szkół średnich lub wyższych.

Na te stypendja ma być rozpisany konkurs (wezwanie do zgłoszenia się) a rozdanie ich przysłuża galicyjskiemu Wydziałowi krajowemu. Prośby mają być podawane do tegoż Wydziału i zaopatrzone metryką urodzenia, zaświadczeniami szkolnemi i ubóstwa, nakoniec zaświadczeniem przełożonego parafji, podpisanem przez trzech członków gminy — że ojciec ubiegającego się o stypendjum ucznia jest obyczajnym, religijnym i „że wódki i innych upajających trunków nigdy nie pije.“ Najuboższy a względnie sierota ma pierwszeństwo.

5) Jedynie w braku zgłaszających się z stanu chłopskiego udzieli się stypendjum synowi rzemieślnika mieszkającego na wsi.

6) Obdarzeni raz, pobierają stypendjum aż do ukończenia nauk.

7) Gdyby kiedy chciano użyć majątku tej fundacji na inny cel jak fundator uznaje i zapisuje, natenczas cały majątek ma być zwrócony rodzinie fundatora nazwiska Skibińskich do wolnego ich użycia i na zupełną ich własność.

Fundacja ta przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie w bieżącym roku zatwierdzoną została.

Widzicie tedy, że na mocy tego zapisu, pięciu synów włościańskich będzie miało w naukach zapomogę i pobierać będzie po 100 reńskich rocznie, aż do pokończenia szkół. Spamiętajcież sobie nazwisko tego szlachetnego kapłana, xiędza Szczęsnego Skibińskiego, który ludowi wiejskiemu taką po sobie zostawi pamiątkę.

*

Podobny zapis uczynił także zacny pan, hrabia Alfred Potocki z Łańcuta. Ustanowił on 8 zapomóg dla biednych chłopców, którzy się pilnie uczą. Jedna zapomoga wynosi 300 reńskich rocznie, potem są dwie po 250 złr., a dwie po 120 złr. rocznie. Jedną część tych zapomóg przeznaczył hrabia Potocki wyraźnie dla synów wieśniaczych z wsi w dobrach łańcuckich.

Zacni chłopkowie.

Podajemy wam tu piękny wiersz o jednym szlachetnym czynie włościan. Było to za dawnych czasów, kiedy to nasi ojcowie musieli walczyć z poganami. Pewien pan polski, zwany Jaśkiem z Nowego Miasta — pojął był właśnie młodą i piękną żonę, kiedy napadli na Polskę poganie. Ale że każdy Polak zawsze dla dobra ojczyzny wszystko poświęcał, więc i ów Jasiek pożegnał żonę, rozstał się serdecznie z swemi gromadami i pojechał na wojnę. Co się zaś stało, macie tu w wierszu.

Jasiek z Nowego Miasta pojął młodą żonę,
Lecz ledwo, że ją pojął, aż tu na obronę
Ruszyć musiał — bo Tatar pustoszył Podgórze.
Ruszył więc Jasiek w pole — a tu jego Różę
Porwali mu Tatarzy z zamku w Nowem Mieście,
I nie było i śladu po pięknej niewieście.

Mąż biedny po tej stracie Bogu się ukorzył,
Pieszo poszedł do Rzymu i tam śluby złożył:
„Że nie da krwi szlachetnej zaginąć sromotnie,
Ale wybawi żonę, lub też sam ochotnie
Legnie w boju z pogany!“ — Więc siadł i popłynął
Na okręcie do Turcji, i słych o nim zginął.

W Nowem Mieście tymczasem gdy nie było rady,
Same sobą rządziły Jaśkowe gromady,
I pług chodził po polu i statek do Gdańska,
Jakby wszystkiem rządziła jeszcze wola pańska.
Tak rządzili i wójci i mieszczanie w mieście —
Lecz gdy po kilku latach krewni chcieli wreście
Podzielić się fortuną, bo Jasiek nie wraca,
Rzekły chłopy: „Nie damy, bo to pańska praca,

A pan żyje i wróci do ludzi i roli,
Bo gdy krwi katolickiej broni od niewoli,
To Bóg mu dopomoże! Nie damy! Nie damy!“
I wyparli zajazdy i zamknęli bramy.

Kiedy później się w Grodzie wytoczyła sprawa,
Wójci zawsze tak samo: „Kto wie, że nie żyje,
Niech tu przed Chrystem Panem do przysięgi stawa,
Jeśli nie — to oddamy prędzej chyba szyję,
Niż dobro od samego Boga nam zwierzone!“
I nie było co mówić na taką obronę.

Siedm lat upłynęło — aż siódmego roku
Wraca Jasiek samotrzeć — a przy jego boku
Jedzie Pani zakryta na tureckim koniu,
Było to w dzień niedzielny i na miejskiem błoniu
Poznał lud swych dziedziców — a więc zadzwoniono
I cechy z chorągwiami, xiądz z wodą święconą
Wychodzi na spotkanie — a oni oboje
Krzyżem padli przed drzwiami farnego kościoła
I w prochu tak pokornie zanurzyli czoła,
Że lud wszystek skruszony wylewał łez zdroje....
A kiedy po Mszy świętej lud ich odprowadził,
I w zamkowym dziedzińcu poczciwie posadził,
Przyszli wójci poważnie i złożyli karby,
A mieszczanie odnieśli uzbierane skarby:
„Tyś w świecie zrobił swoje, a my doma swoje,
Oto zamek i złoto, bierz panie co twoje.“

Płakał Jasiek, płakali i młodzi i starzy,
Ale pani nikomu nie odkryła twarzy,
A nikt już więcej z ludzi nie widział jej lica,
Bo do klasztoru poszła piękna pokutnica.

Na próżno ją zwracali rodzice i krewni,
Na próżno mąż miłości błagał jak najrzewniej.
„Bo gdy nas Bóg — rzekła — z niewoli wybawił,
I znów w łasce kościoła, jak w domu postawił,
To widać po nas żąda ofiary w tym progu,
I chce byśmy oddali resztę dni już Bogu.“

Jasiek wziął to do serca, złożył swoją zbroję,
I wójtom znów na powrót oddał włości swoje,

Wdział habit trynitarski *), i zawsze w lat parę
Powracał znów do domu i niósł na ofiarę
Co wójci uzbierali, w chrześcijańskiej miłości,
I wykupywał jeńców do późnej starości!

W. P.

Piotr Gałczyk,

prawdziwy syn ojczyzny.

Było to w 1794 roku, prawie wtedy, kiedy nasz kochany Kościuszko przybył do Krakowa, a z tamtąd szedł do Warszawy na Moskali, to wam mówię, że natedy był zapał okrutny i którędy tylko przejeżdżał ten wódz ukochany a rzekł: «Chłopcy pójdźcie za mną na wroga Polski, pójdźcie ratować ojczyznę», to kto w Boga wierzył, a był przy jakiej takiej sile, to porzucał wszystko a szedł za nim z kosą na Moskala. Ten naczelnik coście wiele o nim czytali, kochał ogniście ludek prosty, wiejski, i jako z tej miłości, to się inaczej nie ubierał, tylko z chłopska, to jest w sukmanie białej, a w czapce czerwonej, jaką Krakusy noszą. Tylko aby go rozpoznać, że to on wódz kochany, to miał na piersiach krzyż złoty, co go był zdobył za morzami w Ameryce za to, że tam także bronił wolności i swobody ludu. Otoż nasz kochany Kościuszko szedł tam gdzieś blisko wsi, co jest w Polsce kongresowej, i zowie się Krzemieniówka; a był w tej wsi szwarny chłopek, zwał się Piotr Gałczyk, był się dopiero od roku ożenił, bardzo był dobry gospodarz i porządny człowiek, lubiła go niezmiernie cała gromada, ksiądz proboszcz i dwór.

Osobliwie była o nim mowa, że się z wielkiej miłości ożenił i że sobie pojął kobietę jak się patrzy, i że żyli najprzykładniej w całej wsi ze sobą. Otóż ten Gałczyk doczekał się prawie wtedy wielkiej pociechy, bo mu jego żona dorodnego powiła syna, właśnie wybiegł sobie sprosić kumotrów, ta i przysposobić co z jadła i napoju na chrzciny, po które to rzeczy

*) Trynitarze byli to zakonnicy, którzy zbierali składki i szli w pogańskie kraje wykupywać jeńców chrześciańskich.

szedł do pobliskiego miasteczka. Wchodzi w miasto, patrzy, tam czegoś wielka uciecha i ruch wielki, całe miasto przybrane w świąteczne szaty. Spyta więc co to znaczy? A tu mu powiadają, że to ukochany Kościuszko przyjeżdża i zbiera ochotników na Moskala. I na te słowa nadjechał prawie nieoszacowany polski naczelnik Kościuszko. Kto go znał, i widział kiedy, ten wie, co to za miłość, przyjemność i szczera prawda biła mu z oczów.

Jak go jeno Gałczyk zobaczył, to tak cała dusza i serce jego poleciały za nim, za tym kochanym Kościuszką, że w tej chwili zapomniał o wszystkiem, i o żonie w połogu i o chrzcinach, i o synie i o sprawunkach, tylko żeby miał kosę, toby był leciał za nim do razu. No ale się przecie opamiętał, poskrobał się po głowie, podumał, westchnął głęboko i poszedł z wielkim smutkiem do sklepu, kupił trochę cukru, trochę kawy, świeczek, kilka butelek miodu, ta i wrócił z harną miną do chałupy.

Jak tylko wszedł do izby, to jego kobieta poznała, że ma coś więcej na głowie i na sercu, taki jakiś smutny, mizerny i opadły na duchu zdał się jej.

To też jeno ją pozdrowił słowem bożem, to ona niespokojna zapytała:

— I cóż ci to Piotrusiu, żeś taki jakiś dziwny wrócił z tego miasta? Czy cię jakie nieszczęście spotkało? może ci kto pieniądze wyrwał z kieszeni? choćby i tak, toć się nie trap, ma Pan Jezus więcej z łaski swej, a potem dał ci syna na pociechę, abyś się o marne rzeczy nie frasował. No i cóż? nic mi nie odrzeczesz? czyś się o co na mnie zmarkocił?

No i tak przemawiała do niego poczciwa żona, ale on jeno spojrzał na syna, łzy mu się zakręciły w oczach, ale nie rzekł co mu to takiego na sercu.

Na drugi dzień kumotrowie się zeszli, wzięli dziecko do kościoła, ochrzcili, wrócili, poczęli co było w chałupie przejadać i miodkiem za zdrowie ochrzczonego chłopaka przypijać. Popijał i gospodarz, bo jużci jakże może podziękować kumotrom, ale smutny wzdycha, nic go nie cieszy czegoś. Nareszcie

rozeszli się kumotrowie, a Piotrowie znowu sami, jeno ze swoim synem zostali.

Kobieta zafrasowana, pocznie go znowu pytać co za przyczyna, jego takiego frasunku?

Dopiero Piotrek rozgrzany trochę miodem, a taki tylko prawdę powie, tak zaczął swoją rzecz.

— Ej moja kobieto, kochana żono, otóż ci powiem, że mi do dziwności idzie, bo ta kocham cię, i to dziecko jedyne, co mi go dał Pan Jezus, ale kocham i tę naszą polską ziemię, po której stąpam i co mię wyżywiła, i jakem ujrzał tego kochanego Kościuszkę, co z za morza przyjechał, aby bronić ojczyznę i werbuje naszych na Moskala; to mówię jakem tę ochotę naszych zobaczył i tego kochanego naczelnego, to mi ledwo dusza nie wyskoczy, cobym leciał tam z nimi na Moskala, a tu jak spojrzę na ciebie i na dziecko, to mi was znowu żal, że jakoż ja ciebie tak w połogu odejdę?

Zadumała się na te słowa białogłowa, Polka, krakowianka, jużci ona tak kocha swego Piotrusia, a do tego w chorobie, jak sobie tu dać radę? Ale ona Polka, to o ile kocha swojego, o tyle nie cierpi i nienawidzi Moskali.

Więc zadumała się trochę, ale nie długo, i rzecze:

— Piotruś, tyś zuch i potrafisz tęgo robić kosą, ciebie szkoda, abyś tu ślęczał przy mnie, kiedy drudzy idą, i kiedy potrzeba ratować ojczyznę. Idź i bij dobrze, nic ci się nie stanie, bo mi się dziś piękny sen śnił, jakośmy wszyscy troje, gdzieś w bardzo ślicznych byli pokojach, a tobie się tak kłaniali, jako samemu panu dziedzicowi.

No i poskoczył na tę mowę Pietrek do swojej i począł ją okrutnie całować, i rzekł:

— O mojaśty kochana, jakby kamień spadł z mojego serca bo ja się tego tylko bał, że ty tego nie pozwolisz, i że się zakrzyczysz za mną, ale kiedy ci dał Pan Jezus taką mądrą wolę, to zostańże z Bogiem, ja zaraz pójdę opowiedzieć się swoim, a jutro da Bóg doczekać będę gonił ukochanego naczelnika Kościuszkę i zobaczysz, że mu wstydu nie zrobię. A ty tymczasem poproś sąsiadów, to ci mało wiele pomogą, i módl się codzień do Najświętszej Panny Częstochowskiej, aby

mnie miała w swojej opiece i naszego kochanego wodza Kościuszkę.

I zrobił tak jak powiedział. Na drugi dzień kiedy słońce jeszcze było wysoko, nasz Piotr pożegnawszy się z żoną, i pomodliwszy się przed obrazem Matki Częstochowskiej, wziął kosę na ramię, kilkanaście złotówek do pasa, w torbę włożył koszulę na przewdzianie, kawałek chleba na popas i puścił się do pobliskiego miasteczka, gdzie kiedyś zobaczył Kościuszkę, a ztamtąd dogonił polskich, zameldował się samemu panu naczelnikowi Kościuszce, i stanął odważnie w szeregach nieśmiertelnych obrońców ojczyzny.

Zajrzyjmy teraz do izby Piotrowej, ale czegóż to tam tak cicho, czy tam niema nikogo? Przecież my tam dopiero wczoraj odeszli Piotrową na łóżku, a syna jej w kolebce, a na drugiej stronie w piekarni uwijała się dziewka służąca, co miała staranie o chudobie Piotrów? a dziś niema zaś żywej duszy w chałupie, nawet i stajnia zamknięta na kłódkę jak i chałupa, gdzież się to zaś podziało?

Oto patrzcież w sypialnej izbie samej pani we dworze, gładziuśka i przyjemna, w białej szacie leży na łóżku za czerwoną śliczną kotarą sama dziedziczka, obok niej stoi kołyska na ślicznych biegunach i w niej śpi dziecię, a na drugim końcu komnaty, stoi drugie łóżko, także z pościelą niby śnieg bielutką, i za białą kotarą znowu obok kołyska z dzieciątkiem — z tego białego łóżeczka wychyliła się prawie kobieta, i bierze dzieci do piersi, przypatrzmy się jej kto to? o patrzcie to nasza Piotrowa Gałczykowa, leży sobie, jakby pierwsza szlachcianka. I dla Pana Jezusa co ona tam robi?

Jest tam, gdzie jej teraz przystoi, bo jużcić ona w oczach wszystkich jest szlachcianka, bo mąż jej bije się za ojczyznę, a kto tylko kiedy stawał w Polsce w obronie ojczystej, był dorazu szlachcicem. Lecz jakże się to stało?

Oto tak! Jak jeno Piotr poszedł pod Kościuszkę, to się we dworze o tem dorazu zwiedzieli, i zaraz wszystko ludzie dopowiedzieli i o dobrej i rezolutnej chęci Piotra, i o wielkiej cnocie i miłości ojczyzny Piotrowej, że ona zaś sama wołała

zostać i na wszystko się poświęcić, a nie odmawiała, ale jeszcze doradzała mężowi, pójść bić się z Moskalem.

Tak i pani dziedziczka, co dziwnym trafunkiem, sama także w połogu leżała, a mąż jej był już w szeregach pod Kościuszką od dni kilku, posłała natychmiast swoją szafarkę z wygodną kolaską do Piotrowej, kazała ją do dworu przywieść, i ażeby jej poszacunek jaki się takim polskim kobietom należy pokazać, kazała ją w tym samym pokoju, gdzie sama leżała, umieścić, a zaś żeby Piotrowa o swoją chudobę była spokojną, kazała jej bydełko do dworskiej obory przygnać, i mieć o niem najlepsze staranie, zaś o gospodarstwie całem Piotra kazała pani karbowemu zawiadować. No i tak pędziła Piotrowa na pokojach pańskich, wygodne i bez turbacji życie. Obom tak pani jak Piotrowej chowały się chłopcy pięknie, i jak bywało że pani pozdrowiawszy gdzie wyszła ze dworu, to paniczowi dawała sać Piotrowa, a jak znowu Piotrowej kędy zajrzeć wypadło, to pani dziedziczka wzięła syna jej do piersi i dała posać jakby swojemu.

I tak zeszło kilka miesięcy, żeby nie turbacja o swoich, toby te obie matki były najszczęśliwsze, ale cóż wiele razy jakie listy przyszły, to nasze biedne kobiety, pani i Piotrowa, gdyby krwią takim kolorem się oblały, a potem pobladły, bo one obie jednako swoich mężów kochały i drżały o nich.

Ale przecie dziękując Panu Jezusowi, co przyjdzie list, to pan dziedzic pisze, że się oba z Gałczykiem trzymają dzielnie, osobliwie o Gałczyku to cuda opisywał, jak sztuką zachodził Moskali, i chociaż nie raz i nie dwa razy już ciupnął go który Moskal, to on im przecie tak dokucza i tak ich sztuką podchodzi, że go znają dobrze, a boją się jak djabeł święconej wody, i przezwali go *Lach Czort.*

Cieszy się tą walecznością swojego Piotrowa okropnie, cieszy się pani dziedziczka, cieszy cała gromada we wsi. Nareszcie jednego dnia, przychodzi list, w którym pan donosi, jaką to sztukę Gałczyk Moskalom wyrządził. Jak się już rzekło, że go Moskale znali i dobrze mieli na oku i na niego się gdzie mogli zasadzali.

Takim to sposobem i nasz sławny chłop Głowacki pono i z Gałczykiem odebrali kilkanaście armat Moskalom pod Ra-

ławicami, że jak przypadli z kosami, to się Moskale nie mieli czasu i obejrzeć, a już było po armatach.

Ale wróćmy do Gałczyka, co on to za sztukę wyrządził nieprzyjaciołom?

Oto jak go dnia jednego, już tak obskoczyli, że nie było rady, tak ci mu wytrącili kosę, i porwali do niewoli. No i jak go wzięli, tak dorazu pędzą ku Moskwie, a ztamtąd do okrutnej lodowej Syberji. Aleć nie uszli jak kilka mil od Warszawy, kiedy się zaczął gęsty las; nasi biedni więźniowie byli skuci szli każdy z jednym żołnierzem moskiewskim.

No kiedy już byli w połowie lasu, niewiedzieć jakim sposobem, że Gałczyk dał radę pofolgować kajdanom, i jak się nie rzuci na Moskala, co szedł obok niego, ta i przewalił go, a sam dalejże drapaka w gęstwią lasu. Tymczasem Moskaliska za nim w pogoń, a tu reszta jeńców naszych poczęli się odkuwać jeden drugiego i dalejże w nogi, a Moskaliska łażą i szukają, ale gdzie ich ta już znajdą, kiedy oni się nie oparli, a osobliwie Gałczyk aże w polskim obozie, i jeszcze potem dał się nie raz we znaki Moskalom.

Takie widzicie wieści przychodziły z obozu o naszym Piotrku, i tak się popisywał do samego końca wojaczki, dopiero kiedy naszego Kościuszkę wzięli Moskale do niewoli, a nasi biedacy rozejść się musieli i Polska biedna została jeszcze pod Moskalem, powrócił z wielkim żalem i pan dziedzic i nasz Gałczyk, okryty bliznami i chwałą. Nie chciał go dziedzic jeszcze długo puścić ze dworu, siadywał z nim do stołu, i lokaje zarówno z dziedzicem obnosili mu potrawy i napoje.

Ale niechże wam resztę opowiem o Gałczyku. Odkąd jeno wrócił, to on już nie był żadnym poddanym, tylko równym panu. Pan dziedzic darował mu grunta i budynki, i nawet mu kazał piękniejszą chałupę postawić, i co jeno chciał, to miał każdego czasu ze dworu. Synek jego wychowywał się z małym paniczem, i chodził z nim do szkół.

I tak żył Gałczyk dość późne lata opływając we wszystko. I słusznie, bo kto raz nastawiał piersi za ojczyznę, temu się już niepatrzy żyć w biedzie i poniewierce, bo o takim cały kraj już pamięta i pamiętać będzie, i nawet jego dzieci nie doznają biedy.

Nareszcie pomarł Piotr Gałczyk, a w kilka dni na jego grobie niewiadomo kto, bo nie żona jego, wystawił piękny nagrobek, na którym złotem wyryte były litery:

PIOTROWI GAŁCZYKOWI prawemu Polakowi ten nagrobek stawiają bracia Polacy. ***Ludka z Myślenic.***

Co to się dzieje między ludźmi!

(Prawdziwe zdarzenia.)

I.

Złodziejska rodzina.

To, co wam tu opowiem, nie jest żadną zmyśloną historją, ale najczystszą prawdą. Wszystko to bowiem opisuję wam według tego, co słyszałem na własne uszy w krakowskim sądzie, kiedy niedawno temu tam zaszedłem, aby się przysłuchać i przypatrzyć, jak sędziowie osądzają rozmaitych winowajców. Smutne to bardzo są rzeczy, które tu wyczytacie, ale powinny one przemówić wszystkim do serca i wyjść na dobrą naukę, jak to należy trzymać się zawsze w życiu drogi prawej i sumiennej.

Otoż najpierwej opowiem wam o rodzinie złodziejskiej. We wsi Woli filipowskiej, w powiecie krzeszowickim, mieszkał włościanin Jan Zbik. Ten Zbik miał żonę Katarzynę, córkę Maryśkę i dwóch synów Jaśka i Kazimierza. U innych ludzi główną podstawą każdej rodziny jest prawość i moralność, bo szczęście domowe i rodzinne tylko na miłości i cnocie się zakłada, w rodzinie zaś Zbików wszystko się zakładało na złodziejstwie i rozpuście.

Sam ojciec i głowa rodziny Jan Zbik był to człowiek najgorszych obyczajów, leniwy i pijak a żona jego także nie była lepszą. Gdzie zaś rodzice tak złych są obyczajów, tam niema mowy o dobrem wychowaniu dzieci, bo dzieci idą za rodzicami i na to zawsze wychodzą, na co ich właśni rodzice kierują. Jan i Katarzyna Zbikowa polubili sobie takie życie, w którem to nie trzeba dużo pracować i frasować się, jeno się żyje oszustwem i szkodą drugich.

Jan Zbik wychodził tedy często na kradzieże i okradał nietylko ludzi w własnej wsi, ale wybierał się i w dalsze strony, aby się obłowić cudzem mieniem. Zazwyczaj pod noc opuszczał dom i puszczał się na to polowanie. Gdyby Jan Zbik miał był sumienną i bogobojną żonę, byłaby go może od tej haniebnej drogi odwróciła, ale żona jego Katarzyna nie była sobie lepszą, wiedziała ona o tem, co jej mąż broi i dzieliła się wraz z dziećmi kradzionemi rzeczami. Co więcej sama Katarzyna kradła także, a niemając za grosz sumienia, poduczała razem z swym mężem także swoje dzieci do kradzieży.

I tak też musiało być, skoro Jan i Katarzyna Zbikowie lubili żyć dobrze, zjeść i wypić lepiej niż inni, a nie lubili pracować. Kto zaś bez pracy chce jeść kołacze i nie spuszcza się na zarobek i na to co mu ten zarobek przyniesie, ten prędzej czy później popaść musi w takie haniebne życie.

I tak Jan Zbik chcąc sobie dobrze podjeść a nie chcąc dobrze popracować, skradł w nocy w zimie roku 1863 swemu sąsiadowi Józefowi Ochmańskiemu 80 funtów słoniny, 25 funtów salcesonu i dużo kiełbas, w jesieni tego samego roku ukradł Piotrowi Kuźnikowi prosięta, Zofji Ślusarczykowej ukradł pierzynę, poduszki i rądel, Franciszkowi Bedliwemu wyprowadził w nocy ze stajni krowę, Szymonowi Maciejowskiemu zabrał gęsi i poduszki, Marjannie Jasikowej skradł suknie i pierzyny, a niejakiej Langierowej skradł beczkę araku i rzeczy na 200 reńskich.

Oto macie tedy siedm kradzieży, które popełnił Jan Zbik. Nie pracował tedy na życie, jeno cudzą szkodą pasł się na kradzionych kiełbasach, gęsiach i wieprzakach, piekł sobie kradzione mięso w kradzionym rądlu, zapijał kradzionym arakiem, sypiał smacznie na kradzionej pierzynie, ubierał siebie i żonę w kradzione suknie!

W takiem życiu pomagały mu żona i dzieci. Katarzyna pomagała kraść mężowi a przy tem kradła i na własną rękę a nawet swej krewnej Wikty Zbikowej nie pożałowała, jeno jej także coś zwędziła. Dzieci sobie dalej w ślad rodziców i tak i Marysia, i Jakób i Kazimierz chwytali, co gdzie mogli, znosząc do chaty.

Jan Zbik znał dobrze wieś całą i okolicę, wiedział o każdym schowku doskonale, a choć go się sąsiedzi strzegli, choć u niego rewizje robili i kradzione rzeczy odbierali, kradł sobie dalej, nie turbując się tem wiele. Gdy mu się we własnej wsi nie zdarzyła okazja do kradzieży, wybierał się w dalsze strony i opuszczał chatę na kilka dni, mówiąc, że idzie na zarobek.

Otoż pewnego czwartku w zimie roku 1864 Jan Zbik wybrał się znowu na taki zarobek, ale snać na gruby, bo się bardzo w drogę sposobił. Przewrócił sukmanę swoją na wywrót i tak ją przywdział, obwinął sobie głowę w czerwoną chustkę, a czapkę schował do kieszeni, i wziął z sobą pręt żelazny dość gruby i długi.

Wybrawszy się tak wyszedł z chaty a na dworze czekał na niego wóz, na którym siedziało kilku innych chłopów, kamratów Zbikowych. Żona widziała to wszystko, ale nie pytała się gdzie jedzie, bo przecież poczciwa kobiecina wiedziała, że nie po co innego, jeno na kradzież i rabunek. Ale zamiast przestrzegać męża, cieszyła się z tego, bo wiedziała, że mąż przywiezie z sobą coś skradzionego i będzie zysk i bal w chacie.

Jak wyjechał ze wsi Jan Zbik, tak go całe trzy dni nie było widać. Dopiero w sobotę wieczór wrócił nazad do chaty a bardzo dziwnie przy tem wyglądał. Był jakiś zaturbowany i zastraszony, miał na sobie górnicę wywróconą a na głowie miał czapkę futrzaną, tę samą, którą schował do kieszeni, kiedy chatę opuszczał. Przytem miał całą twarz osmoloną sadzą czy węglem.

Jak tylko wszedł do chaty, nie przywitał się ani z żoną ani z dziećmi, jeno prędko zawołał na córkę:

— Maryś, biegaj po wódkę!

Maryśka wzięła flaszczynę a ojciec dał jej dwie srebrne szóstki na kwartę wódki. Gdy Zbik dawał córce pieniądze, zajrzała żona, że miał w ręku także talar srebrny. Popatrzyła Zbikowa łakomem okiem na ten talar i pyta męża:

— A gdzieżeś był przez całe trzy dni?

— A tobie co do tego! — mruknął Jan.

— A zkądżeś to nabrał tych srebrnych pieniędzy? — pyta jeszcze żona.

— Milcz babo — zawołał Zbik — mam, to mam, i kwita!

Zbikowa nie pytała się dalej, bo wiedziała, że mąż jej nie pyta wiele, ale zaraz bierze się do bicia. Tymczasem wróciła Maryśka z wódką, a Zbik chwycił i całą kwartę duszkiem golnął od razu. Wypiwszy tyle wódki, rozegrzał się Zbik, poszło mu to w głowę i pijana wesołość go zebrała.

Wyciągnął pieniądze i pobrzękując niemi rzecze do żony:

— Widzisz babo, com to z sobą przyniósł.

— A zkądże to? — pyta Zbikowa.

Zbikowi wódka rozplątała język i jak przed tem nic nie chciał mówić, tak teraz rozgadał się na piękne.

— Zkąd, z zarobku — odpowiedział żonie.

— A kędyżeś ty bywał na zarobku? — pyta Zbikowa.

Zbik: Aż pod Oświęcimem!

Zbikowa: A u kogo?

Zbik: U młynarza Jędrzeja Dusika w Grojcu.

Zbikowa: A cóż to był za zarobek?

Zbik: Oho, ho! to taka historja. Wybrałem się z kilku kamratami na niego, bośmy wiedzieli, że młynarz ma grosz i na ustroniu mieszka. W nocy tak koło jedenastej godziny zapukaliśmy do młynarza do okna. Młynarz Jędrzej pyta kto tam, a jeden z nas prosi go, aby mu powiedział, którędy droga do Łaz. Młynarz odchylił drzwi, a my dalej na niego! Dwóch z naszych chwyciło go za bary, a ja z drugim zaczęliśmy go bić z całej siły; wołać, aby dał pieniądze! Długo się bestyja prosił i zaklinał, ale gdyśmy mu ledwie żeber nie połomali, zapalił świecę i dał nam klucze do skrzyń. Ale szelma od razu nie pokazał wszystkich pieniędzy, więc my go dalej bić i mordować, aż zemdlał. My też zaczęli rabować i wzięliśmy rzeczy i pieniędzy za jakie 300 reńskich a potem wywlekliśmy młynarza z chaty i takeśmy go tam zostawili.

Zbikowa: A nie wołał nikt w młynie na ratunek?

Zbik: Wołalić tam potem, ale my mieli swój znak dobry i jak jeno jeden z naszych zawołał: Woda! woda! tośmy zaraz dalej w nogi, bo takeśmy się umówili.

Kiedy tak Zbik wszystko opowiedział, żona jego uradowała się, że jej mężowi tak dobrze poszło. I znowu mieli Zbi-

kowie z czego pić i hulać, aż nareszcie przyszedł im koniec. Między łotrami bowiem wtedy tylko panuje zgoda, kiedy kradną i rabują, a zaś w życiu zgodzić się nie mogą. Tak też było i u Zbików. Zbik nigdy nie żył z swoją żoną po dobremu, jeno wyraźnie jak łotr z złodziejką, bo jakież inne pożycie może być w takiem małżeństwie?

Bili się tedy z sobą Zbikowie nieraz aż do krwi, a jakoś w kilka tygodni po tym rabunku Zbik nie chciał coś dać pieniędzy żonie, a gdy się ta domagała pieniędzy i poczęła mu wymyślać, palnął ją w twarz i ztąd rozpoczęła się wielka bitka. Zbik zbił swoją żonę jak to mówią na kwaśne jabłko, a Zbikowa z gniewu i złości poszła zaraz do urzędu i wygadała wszystko, z czem się Zbik przed nią chwalił.

Zaraz też wzięli pana Zbika do aresztu a za nim i panią Zbikową, aby mu nie było nudno w kozie i ich dzieci także, aby razem pokutowali, kiedy razem grzeszyli.

Urząd dostawił całą tę złodziejską rodzinę do sądu do Krakowa i tu ich będzie temu jakich trzy tygodnie, sądzili panowie sędziowie. Wystawcież też sobie, jaki tu był widok, kiedy przed sądem stanęli i ojciec i żona i dzieci, a wszystko za rabunek i kradzież. Zbik oskarżał przed sądem Zbikowę. Zbikowa nastawała na Zbika, a ich dzieci na nich! Toż to był opłakany widok zgorszenia i przykład straszny, do czego to wiedzie życie próżniacze i brak sumienia!

Nieszczęście chciało, że sąd Zbikowi nie mógł czarne na białem dowieść, że on ten rabunek młynarza w Grojcu popełnił, bo choć Zbikowa wszystko opowiedziała, to zbrodniarz jej mąż wyparł się wszystkiego. Ale mu jednak na sucho nie uszło, bo sąd skazał go na 1 rok do kryminału, a jego żonę za kradzieże na 3 tygodnie kryminału, ich zaś córkę Maryśkę na 14 dni a syna Jana na 6 dni aresztu! I tak cała rodzina Zbików poszła do kryminału odrazu!

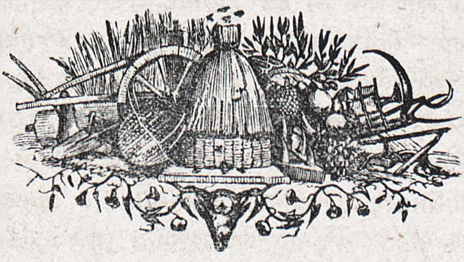
Niechże ta prawdziwa historja posłuży wszystkim za naukę i przestrogę, do czego to prowadzi jeżeli kto chce bez pracy żyć wygodnie! Najpierw lenistwo, potem zbrodnia, a potem kryminał, hańba i zatracenie duszy!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 7.

1. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

I. O własności.

Od dawna już o tem radzono i myślano, aby w gminach ustanowiony był samorząd, t. j. aby się same rządziły, same o swych potrzebach pamiętały i same nad swem dobrem pracowały. Na lwowskim sejmie mówiono tego roku o tem wiele a sejm uradził i uchwalił nową ustawę gminną, według której gromady rządzić się mają. Teraz Najj. Cesarz potwierdził tę ustawę.

Ale ustawy choćby i najlepsze, nic nie nadadzą, jeźli ludzie nie potrafią dobrze pojąć i zrozumieć obowiązków i spraw gminy. Dlatego też podajemy wam tu rozmaite uwagi o gminie, abyście rozumieli, jakie to sprawy i obowiązki z nią się łączą, i na czem się porządek jej zakłada. Czytajcie je z uwagą, a wyjdą one wam na pożytek.

Gmina, jest to społeczność wielu mieszkańców w jednej okolicy osiadłych, którzy mają wspólne jakieś własności, lub wspólne interesa. Taką gminą bywa jedno miasto, lub wieś duża, lub kilka wiosek połączonych, według tego jak wspólne ich potrzeby wymagają.

Muszę na tem miejscu najprzód wytłumaczyć niektóre okoliczności, abyśmy jasno zrozumieli te rzeczy, które mogą być spólną własnością, lub spólnym interesem; ponieważ mogłoby się komuś zdawać, iż w gminie powinnoby być wszystko spólną własnością, jak w jednej rodzinie. Że naprzykład wszystka ziemia, lasy, sady, stawy, młyny i inne użytkowe rzeczy, powinnyby być spólne, tak aby wszyscy mieszkańcy do spółki pracowali, i spólnie pożytkiem się dzielili.

Do takiej spólności niema człowiek obowiązku, ani społeczeństwo ludzkie niema prawa, kogokolwiek do takiej spólności zmuszać.

Każdy człowiek ma wrodzoną skłonność, aby posiadał swoją osobną własność. Sprawiedliwość wymaga, aby mu wolno było posiadać swoją własność, jeżeli na nią pracuje nie krzywdząc drugiego, to jest, jeżeli nie przywłaszcza sobie cudzej własności. Nie byłby człowiek wolnym, gdyby mu nie wolno było posiadać osobnej własności.

Lecz nietylko wolność tego wymaga, ale pożytek samego towarzystwa ludzkiego. Chęć posiadania własności, jest zachętą do pracy. Ta chęć robi człowieka pilnym, przemyślnym, prowadzi go do nauki, prowadzi go do dobrego życia. Próżniak i niedbalec, bierze od niego przykład, jeżeli także chce przyjść do czego. Tym sposobem praca i nauka znajduje swą nadgrodę, a próżniactwo zasłużoną biedę. Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi.

Gdyby wszelka własność była wspólną, to pracowici pracowaliby na próżniaków, a próżniak nie troskałby się wiele, jak na utrzymanie zapracować, jeżeliby ze spólnej własności tak jak z własnej spiżarni dostawał na życie.

Spólność własności może być w klasztorze, gdzie człowiek dobrowolnie wyrzeka się swojej osobnej własności, a co ma swego, oddaje do spółki. Tam równo z drugimi pracuje i jednakowe z drugimi ma utrzymanie.

Spółka własności może być tam, gdzie jest dobrowolna ugoda na to, między kilkoma lub więcej ludźmi. Spółka trwa tak długo na jak długo się ugodzą, i każden tam pracuje i odnosi pożytek według tego, jak się umówi i o co się

umówi: ale poza tą spółką, może każdy mieć osobną własność, która do spółki nie należy. To każdemu człowiekowi wolno; jak mu wolno posiadać swoje ręce do pracy i swoje zęby do jedzenia, tak mu wolno posiadać swoją osobną własność, z której ciągnie pożytek dla siebie; i nikt niema prawa tego mu zabraniać. A społeczeństwo ma prawo i obowiązek czuwać nad tem, aby nikt własności nie nabywał kosztem cudzej własności.

Lecz mógłby kto powiedzieć, że skoro między ludźmi powinnaby być równość, że człowiek do wolności i równości stworzony, toć pierwszy przykład tego, powinienby być w gminie. Więc powiedziałby, że wszelka posiadłość w gminie powinnaby być przynajmniej równa, — jednego jak drugiego; wszyscy mieszkańcy powinniby być równo obdzieleni?

Takie zdanie byłoby także fałszywe.

Jak nam wiadomo, że człowiek z natury swojej pragnąłby posiadać coś własnego, tak wiadomo nam, że z natury swojej czy wychowania swego, nie każdy człowiek jednakowo około swej własności jest dbały. Jeden będzie skrzętny, zapobiegliwy, pilny w pracy i oszczędny; drugi szuka tylko wymówki, jakby robotę z dnia na dzień mógł odkładać; pracuje ospale, a nareszcie co zarobi łatwo roztrwoni. Otóż już i naraz jak w pracy tak w pożytku jest nierówność.

Gdyby nawet i zaraz jaką gminę równo własnością obdzielono, to wnet pracowity i oszczędny posiadałby więcej. A nietylko praca ale i szczęście może dać jednemu więcej niż drugiemu. Jednego rodzina zdrowa jest mu pomocą w pracy, drugiemu choroby i leki zabierają dostatek. Jednemu chudoba się mnoży i pożytek niesie, drugiemu się nie chowa albo zaraza mu stajnią wymiecie. Jednemu rola pięknie urodzi, drugiemu rok po rok grady zboża wybiją. I tak różne przygody jednemu ująć, a drugiemu dodać mogą, a ztąd nierówność w majątku.

Nareszcie, kto raz zamożniejszy, to i dzieciom swoim więcej zostawi. A jeżeli się tym z pokolenia na pokolenie poszczęści, to się majątek powiększać będzie jednych więcej niż drugich i coraz bardziej odbiegać będzie od równości. Gdzie ludzki rozum przeszkodziłby temu? A gdyby nawet rozum szukał

sposobów na to, i chciał do tego świat nakłonić, jakaby to była sprawiedliwość na świecie? Czy to byłaby wolność, aby zabierać cudzą własność? — Czy to byłaby wolność jeżeli komuś nie wolno używać pożytku swojej pracy? swojego szczęścia, albo własności, którą ma od swoich przodków? — Czy to byłaby wolność, gdzie rodzicom nie wolno zostawiać swojego mienia dzieciom swoim? dzieciom nie wolno posiadać nic od rodziców lub krewnych swoich? — Czy to byłaby wolność, czy to byłaby sprawiedliwość, gdzieby jednym odbierano a drugim dawano, dlatego tylko że im się to przyda?

To nie byłaby wolność, ale niewola jednych a panowanie drugich; niewola tych co coś mają a panowanie tych co mają mniej; niewola sytych, a panowanie głodnych. A gdzie jest niewola jednych, a panowanie drugich, tam niema wolności i tam niema równości. Społeczeństwo ma prawo i obowiązek czuwać nad tem, aby nikt cudzej własności sobie nie przywłaszczał; ma prawo tę cudzą własność odebrać i prawemu właścicielowi oddać, ale niema prawa zabierać komu dlatego, że on ma więcej niż drugi.

Więc jeżeli powiadamy że ludzie są między sobą równi, to ta równość nie tyczy się majątku, ale to jest, że mają równe prawa w społeczeństwie. I właśnie to stanowi piękność tej zasady, że ona przypuszcza wielkich i maluczkich, bogatych i ubogich, równo według równej zasługi.

Nie mamy się co przeto dłużej zastanawiać nad spólnością lub równością własności w gminie. Przystępując do poznania gminy, widzimy wszędzie rozdział własności już gotowy. To, co jako własność czyją znajdujemy prawnie opisane, powinno być święcie szanowane. To jest początek rozumu i sumienia w rzeczach publicznych.

Lecz w tej własności jedne rzeczy należą do pojedynczych osób, inne do całej gminy. To, co jest własnością osobistą, nikomu się do tego nie mieszać. To, co jest własnością gminy, jest rzeczą publiczną; i o tem obszerniej pomówimy.

Gmina ma rozmaite swoje potrzeby i interesa, które tylko ją obchodzą, ją dotykają, jej tylko korzyść przynoszą, jeżeli są dobrze prowadzone, jej straty i niepowodzenie przynoszą,

jeżeli się źle koło nich chodzi. Takie interesa zasługują przedewszystkiem na to, ażeby się gmina niemi sama zajmowała, a nawet gmina ma do takich spraw swoje najlepsze prawo, nie kto inny, bo to jej własność. I pewnie sama dla siebie najlepiej zrobi, bo najszczerzej robić zechce.

Gmina posiada naprzykład swoje pastwiska, swoje lasy, albo stawy z młynami lub inne użytki, a nawet jak po większych miastach może posiadać całe swoje folwarki, które nie należą do pojedyńczych ludzi, do pojedyńczych mieszkańców tej gminy, ale są własnością całej gminy, są własnością wspólną, jak to na wsi wyrażają, gromadzką.

Własność taka potrzebuje rozmaitego zaopatrzenia i ciągłego starunku. Gospodarstwo około tych rzeczy wymaga uprawy, obsiewu, dozoru, opłaty różnych ludzi do usługi. Celem nareszcie tej własności jest, ażeby z niej był pożytek; a ten pożytek aby szedł na pożytek właściciela, to jest na pożytek członków gminy, nie kogo innego; musi w tem być jakaś miara i rozkład porządku.

Jeżeliby własnością gminy jacyś obcy ludzie zawiadywali i rządzili, trzebaby to jakichś świętych ludzi, żeby pracowali z gorliwością i nie szukali własnej korzyści, tylko korzyści gminy. Po ludzku sądząc, nie po anielsku, ci obcy ludzie, którychby gminie narzucono, nie dbaliby o dobro gminy, ale o swoje własne. Szafowaliby z cudzej kieszeni, a napełnialiby swoję. I to, coby miało być dobrem publicznem gminy, szłoby na pożytek niektórych ludzi, co nie należą do gminy — przyszli tylko po to, aby się obłowić, dopóki ich inni nie zmienią, tacy sami przybysze jak oni.

Takie panowanie nad własnością gminy kogokolwiek bądź, jest niesprawiedliwe. Jest niesprawiedliwe nawet wtenczas, chociażby to gospodarstwo obcych ludzi było dobre; a co jest niesprawiedliwe nawet nigdy nie jest dobrem.

Gmina ma więc wyłączne prawo rządzenia swoim majątkiem, chociażby nawet źle rządziła. Wolność wymaga tego, aby to prawo było szanowane, bo na tem nie cierpi niczyja wolność, ani innej gminy, ani żadnego człowieka po za tą

gminą mieszkającego, a więc robić to jej wolno. Co gmina robi u siebie i dla siebie, to nikogo ni świerzbi ni boli, to nie przeszkadza drugim, żeby robili u siebie inaczej i lepiej jeżli chcą i umieją. I to jest swoboda gminy. Gdzie tego niema, niema wolności: bo co mi to za wolność jeżeli kto obcy z góry do gminy powiada: ja będę rządził i gospodarzył twoją własnością, uczynię dla twojego pożytku co mi się podoba, a brać będę od ciebie co mi się zechce. Ty gmino chociaż masz swoje majątki i różne własności, to się nie pytaj wiele, co ja z tem zrobię, tylko słuchaj i nie mrucz.

Byłaby to wielka niewola, gdzieby tak do gminy przemawiano; gdzieby sobie takie prawo do gminy przywłaszczono. Nie wolno tego robić z pojedyńczym człowiekiem, nie wolno robić z żadną rodziną, nie wolno też robić z gminą: bo wszelka własność jest świętą, powinna być szanowaną, nietykaną; — jest własnością tego, do kogo należy, i jemu tylko przystoi rządzić nią i gospodarzyć według rozumu swojego i woli swojej. Gdzie tego niema, jest niewola; jest gwałt zadany boskiemu prawu o własności.

Rodzicom wprawdzie przystoi rządzić dziećmi, starać się o ich potrzeby, za nich pracować, dla nich oszczędzać, nakłaniać dzieci do posłuszeństwa, a nie tłumaczyć się im z tego, co robią i dlaczego tak robią: ale to rzecz inna. Jak długo dzieci są dziećmi i mają rodziców, to własność wszelka jest rodziców, nie dzieci. Jeżeli rodzice pomrą, a dzieci pełnych lat nie mają, to jest nad niemi jakaś opieka, która je wyręcza i dobro ich do pewnych lat pod swoim rozumem i swoją mocą trzyma. Gmina zaś, to nie dziecko małoletnie; gmina jest to wielki i dojrzały człowiek; gmina ma swoich letnich i poważnych mężów; ma dojrzałe, rozumne i sumienne głowy, które wiekiem, powagą i zacnością swoją, jak starcy i troskliwi ojcowie nad swojemi dziećmi, czuwają nad całością i bezpieczeństwem mienia, które ma być ich i wszystkich młodszych i przyszłego ich pokolenia, całem nienaruszonem mieniem. Oni to najlepiej znają swoje potrzeby, najserdeczniej pragną dobra wszystkich członków i członeczków swojej gminy;

bo dla nich wszystko jest spólne. Więc gmina nie jest to płoche, niedojrzałe dziecko, ale to jest wolny i dojrzały człowiek, który sam ma prawo rządzić swoją własnością, i nie tłumaczyć się z tego nikomu. Tak gmina może i powinna zarządzać sama, według swego uznania, wszelką własnością, która do gminy należy. Jak się ten zarząd odbywa później zobaczymy.

Dzwon Zygmuntowski w Krakowie.

Oto z wieży — by głos boski,
Bije ów dzwon Zygmuntowski!
Dzwon największy w Polsce całej,
Co odzwaniał wieki chwały,
A dziś raz na rok w żałobie,
Dzwoni na tym polskim grobie
W dzień Pańskiego Zmartwychwstania
Niby słowy zmiłowania....
Dzwoń Zygmuncie głośno, głośno —
Wolno, wolno i weselno,
I grobowo i żałośno —
I poważnie i śmiertelno!
Przemów słowy zmartwychwstania!
Bij tem sercem Zygmuntowem
Ponad Polską, nad Krakowem!
Niech się chmury zakołyszą —
Niech umarli w grobach słyszą!
I co żywe niech powstanie,
Na twe wielkie zawołanie!
O poległych — mów do żywych
O cierpiących do szczęśliwych,
Do twych wiernych — mów o wrogu,
Do upadłych mów o Bogu!
Dzwoń nam dzwonie! dzwonie stary!
Póki głosu w piersi twojej,
Póki w naszem sercu wiary,
Póty wrogom pierś dostoi —
I cud cudem — i lud ludem,
A Bóg Bogiem po staremu!

W. P.

Jacek Kępczyk.

Powiastka z życia Kurpiów.

Bogata ziemia nasza, nie brak jej niczego, co człowiekowi do życia potrzeba. Nie masz w całem świecie takiej pszenicy, jaka się u nas rodzi — żyta na chleb, jęczmienia, gryki na krupy i kaszę, owsa dla chudoby podostatkiem mamy, a nasze rącze koniki, nasze poczciwe krówki i wełniste owieczki, którymże ustępują? Ale nie wszędzie to tak jest u nas. Jako na słońcu plamy, tak i w krainie naszej są gdzieniegdzie miejsca, mniej od drugich szczęśliwe, mniej od drugich bogate, i tam człowiek przemysłem zdobywać sobie musi, czego mu ziemia odmawia.

Zajrzyjmy do puszczy Ostrołęckiej, tej odwiecznej Kurpiów ojczyzny. Tam bieda! ziemia nieurodzajna, piasczysta, ledwie ziemniaki jakie takie wydaje, wszędzie bagien i trzęsawisk pełno, a lasy.... Panie odpuść! i sosnowe drzewo tępo w nich rośnie.

Z biedy Kurp to tego to owego chwytać się musi, byle jakoś wyżyć. Dawnymi czasy, kiedy jeszcze bory odwieczne okrywały te puszcze, a w nich swobodnie bujał jeleń, łoś, żubr, dzik, niedźwiedź, po drzewach zaś trzymały się chętnie dzikie pszczoły — jako tako powodziło się Kurpiom; dzisiaj trudniejsza sprawa — lasy przetrzebione, grubego zwierza ani na lekarstwo nie dostanie, pszczół niema; pomimo tego jednak nie mrą z głodu, a nawet i bogacze są pomiędzy nimi, jako oto, nie szukając daleko, Wojciech Ostrowski, co w Dąbrowie nad Narwią gospodarzy od lat trzydziestu na niewielkim kawałku ziemi.

Dąbrowa nie osobliwsza to wioszczyna, ot jak i inne Kurpiów osady. Mieszkańcy trudnią się to ścinaniem drzewa, to furmanką, to orylką, to znowu kopaniem i obrabianiem bursztynu, i jak tam zresztą mogą, pchają biedę przed sobą.

Dom Wojciecha Ostrowskiego postawiony w węgieł, nie ciasny, o dużych oknach z malowanemi okiennicami, przyzwoitą

ma powierzchowność. Ale cóż to ja widzę? Ściana pod oknami białem wapnem pomalowana, a podwórko przed domem wysypane piaskiem w różne floresy. Wszakże to znak, że tu jest dziewka na wydaniu, spieszmyż więc co żywo do chaty.

Wszędzie porządek aż miło popatrzeć! Pierwsza izba dość obszerna, o trzech oknach, piec polewany, na pułkach poustawiany sprzęt kuchenny, pod ścianą stół czysto wymyty, przy oknie warsztat tracki, a przy warsztacie hoża Marynka, córka Wojciecha. Starego niema w domu, bo poszedł ze strzelbą na cietrzewie, których tu w kniei pobliskiej równie jak kuropatw i jarząbków uwija się nie mało.

Marynka to oczko i jedyna pociecha starego Wojciecha od czasu jego owdowienia, to jest od lat dziesięciu. Poczciwy ojciec tylko dla jej dobra nie wstępował w powtórny związek małżeński, bojąc się aby żona, choćby najlepsza dla niego, nie była złą macochą dla jego jedynaczki. Nie przyznawał się jednak głośno, że tylko dla córki robił z siebie to poświęcenie i nachodzącym go swatom wymawiał się pół żartem, iż się boi śmiesznego zwyczaju, powszechnie przyjętego u Kurpiów, który wymaga, aby niewiasta za wdowca idąca, nie wchodziła do jego domu drzwiami, ale oknem.

Bóg łaskaw na sierotę, nie poskąpił Marynce urody; to też gdy się w niedzielę ubrała w kolorowy gorset, jaśnistą perkalową spódnicę, białe pończochy i niebieskie sukienne na korkach trzewiki, cienką biała koszulkę, czerwonym sznurkiem wyszytą, białą chustkę zawiązała na głowie, a na szyi przy szkaplerzu zawiesiła kilka sznurków korali, lub w zimie przywdziała na wierzch kaftan sukienny, granatowy albo zielony, na który sukno własnemi utkała rękami, to nie jednemu chłopakowi ledwo oczy nie wyskoczyły za nią, a za oczami serce, zwłaszcza, że to była dobra, potulna i pracowita dziewczyna, a do tego z dobrego gniazda. Stary Wojciech bowiem był to człek gospodarny i trzeźwy, gościnny a ludzki, choć w kaszę nie dał sobie napluć i za wyrządzoną krzywdę zwykł był płacić odwetem. Pracą i oszczędnością znacznie pomnożył dobytek po ojcach odziedziczony. W polu rodziło się trochę zboża, ogródek przy domu dostarczał ziemniaków i kapusty, a wieprzki

których zawsze po kilka wykarmiał, okrasy do jadła; w stajni cztery koniki stały w pogotowiu, w lesie wypasało się kilka krówek — do tego myśliwstwo także coś przyniosło — więc w skrzyni brzęczały karbowańce. Wojciecha szanowano powszechnie jako człeka rozsądnego i poczciwego, bo gdy się rozgadał, zwłaszcza o dawnych czasach, to było co posłuchać; więc jak to niegdyś Kurpie zastawiali sidła na niedźwiedzie i rysie, jak biegli byli w strzelaniu, iż nawet główkę ćwieczka trafiali, jak się z Szwedami bili. A wszakże to Działyńska, wojewodzina chełmska pierwsza na czele Kurpiów stawiała opór zwycięzkiemu Karolowi XII., a monarcha szwedzki zdumiał się, że chłopi bez butów, jak Kurpiów nazywał, śmieli się targnąć na jego potęgę.

Owoż Marynka miała już ośmnasty roczek i czas jej było za mąż. Już dawno nie jeden byłby słał po nią swaty, ale przeczuwali wszyscy, że ojciec drożyć się będzie i nie odda jej pierwszemu lepszemu. Ale wreszcie znalazł się Kurpik nie lada, co na to wszystko nie wiele zważał. Nazywał się Jacek Kępczyk.

Jacek dopiero przed rokiem stracił rodziców i dopiero od tego czasu gospodarzył na swojem. Przystojny to był chłopak, prosty jak sosna, a odważny i silny, choćby z niedźwiedziem pójść w zapasy. Syn sławnego myśliwego, gdy był małem chłopięciem, to póty kawałka chleba nie dostał, póki go sobie strzałem z drzewa nie strącił, gdzie mu go ojciec przywiązywał; tak się też ze strzelbą obchodził, że najcelniejsi strzelcy równać się z nim nie śmieli. Do tego jedyny na weselu, jedyny do piosneczki światowej, zwłaszcza w tańcu, a cóż dopiero gdy przyszły zapusty, albo gdy po święconem wielkanocnem rozochocone chłopaki sprowadziły grajka, aby dziewczyny rozstrząsnąć. Do tego ubierać się lubiał i na codzień w świątecznych chodził sukniach: sukman na nim ciemno siwy z granatowemi klapami, pas prześliczny czerwony, kamizela wyszywana, kapelusz ozdobiony sznurkiem złocistym z kutasami i pawiemi piórami, koszula biała, pod szyją fawork, a na nogach zgrabne, zawsze nowe chodaki. Nieboszczyk jego ojciec prócz myśliwstwa najwięcej furmanką się trudnił i wyrabiał też w domu

wozy, brony, łopaty i inny sprzęt domowy i wszystko to wywoził na jarmarki, za co potem złotówki jak woda płynęły do domu i zostawił synowi nie lada gospodarstwo. Ale Jacek nie umiał szanować ojcowskiego dobytku. Na hulankę, na ubiór, na muzykę przeszły prędko pieniążki i koniki się sprzedały, a do pracy nie było ochoty. Mawiali sąsiedzi, że jak się ożeni, to się ustatkuje, a dziewki to aż kraśniały, gdy się do której przybliżył, ale byli niektórzy, a do tych należał i Wojciech Ostrowski, co Jacka uważali za niedobrego i nie radzi byliby mieć go za zięcia.

Nieszczęście chciało, że Jacek właśnie zakochał się w hożej Marynce a Marynka w Jacku. Żwawy piękny chłopak od razu przypadł dziewczynie do serca, a Jacka nęciła uroda i poczciwość Marynki, ale i nadzieja posagu. Stary Wojciech skoro spostrzegł na co się zanosi, zakazał dziewczynie chodzić do karczmy, aby się tam nie bałamuciła z Jackiem, ale chłopak bynajmniej tem niezrażony, potrafił znaleść sposobność widywania Marynki i jak na sarnę zaczajał się na nią, aby wychodzącą z domu i wracającą zatrzymać i zagadać do niej, albo i całusa ukraść, jeżeli się dało.

Ojciec długo o tem nie wiedział, aż jednego razu wracając z kniei do domu przydybał ich przypadkiem na gorącym uczynku. Marynka postrzegłszy starego, czemprędzej uciekła. Jacek zaś oparty na strzelbie stał spokojny i bez trwogi, choć widział że Wojciech zasapał się i można było burzę przewidywać; gdy się doń stary przybliżył i miał coś zagadać, zdjął kapelusz i pokornie skłonił się mu do nóg. To rozbroiło starego, mruknął coś pod nosem i obszedł go w milczeniu, a Jacek zawiesiwszy strzelbę na plecy, rzucił jeszcze raz okiem ku oknu, w którem mu mignęła twarzyczka Marynki, zasunął kapelusz na oczy i pospieszył do kniei.

Tymczasem Wojciech dalejże wypytywać Marynkę, czego Jacek chciał, po co przychodził, co gadał?

Marynka milczy, a coś jej kraśnieją jagody.

Stary ojciec nuż przemawiać dziewczynie do serca, i przekładać że Jacek ladaco, nie poszanuje grosza, nie posiedzi

w domu, wszystko co do rąk dostanie straci, przehula, i żonę przepije, jeźli ją kiedyś będzie miał.

— Nie zawracaj sobie nim głowy, dziewczyno, bo ja cię nie dam za niego, rzekł w końcu.

Minęło dni kilka, Marynka siedzi przy warsztacie i wzdycha, a robota coś jej nie sporo idzie. Stary nie wychodzi z domu, jakby nie dowierzał córce, jakby się bał, aby nie uciekła do Jacka, więc siedzi i skrobie kawałek bursztynu gdzieś na roli znalezionego, i milczą oboje.

A w tem Marynka rzuci robotę, zerwie się prędko i skoczy do komory. Stary spojrzy na córkę zdziwiony, rzuci okiem ku oknu, a tu właśnie zeskakiwał z wozu Jacek Kępczyk, z dalekim krewniakiem swoim Mateuszem Grzędą.

Drzwi się otwarły.

— Pochwalony Jezus Chrystus, rzecze Grzęda, jak się macie poczciwy Wojciechu?

Jacek skłonił się do nóg staremu.

— Przyjechaliśmy do waszej Maryny z załotami, zagada znowu Grzęda, gdzieżeście ją podzieli?

Wojciech uścisnął rękę staremu.

— Szkoda nóg waszych, rzecze, Marynka jeszcze za młoda, a do tego, ją tylko jednę mam na świecie, żal by mi było rozstawać się z dzieckiem jedynem. A kto mi oczy zamknie?

— Oj, oj, co wy też to gadacie! powie swat znowu: Marynie czas już za mąż i wam czas zdać gospodarstwo na zięcia.

Stary pokręcił głową.

— Czy to ją za morze dacie, czy co? Wszakci z wami zostanie, jeno że w drugiem domostwie siedzieć będzie.

Zwróci się do parobka.

— No Jacku, poszukaj dziewczyny i przyprowadź, posłyszymy co też ona powie.

Jacek skłonił się Wojciechowi i postąpił krokiem ku komorze. Stary zatrzymał go ręką.

— Słuchajcie Mateuszu, rzecze do swata, niema co długo gadać, ja nie dam Maryny za Jacka.

— Ho! ho! już tak zaraz odmawiacie; podajcie lepiej miarkę, napijmy się gorzałki, pogadamy.

I wyciągnął sporą flaszkę. Ale Wojciech nie ruszał się po miarkę. Swat nuż przedstawiać.

— Jacek, jak wiecie dobrych rodziców dziecko, i nie zły z niego parobczak, a że trochę lekkomyślny, to jeszcze nie racja aby dziewczyny odmawiać. Oj! stary! wspomniejcie sobie dawne lata, wszakże i my zawsze tacy stateczni nie byli jak dziś. Ustatkuje się z wiekiem i wszystko pójdzie dobrze. Chyba że go Maryna nie chce, to znowu co innego, ale ona podobno kocha Jacka i żyć bez niego nie może. Ej sąsiedzie, pozwólcie zawołać dziewczyny. Przecie jej szczęścia nie będziecie zagradzać.

— Ja bym jej nieba przychylił, żeby to było w mojej mocy, rzecze Wojciech; ale Jacek nie dla niej, Jacek paliwoda, grosza nie zaszanuje, zmarnował swoje i to zmarnuje, co Maryna mieć będzie z łaski Boga.

— Jeżeli o to chodzi, Wojciechu kochany, to można zaradzić, aby posag Marynki był bezpieczny; ot, na początek nic państwu młodym nie dawajcie albo mało co. Obaczycie jak sobie poczynać będą, a jeżli później poznacie, że im warto dopomódz, to wtedy dopiero dacie co wasza łaska.

Stary się namyślił; swat nalegał i coraz natarczywiej. Wreszcie ozwie się Wojciech:

— Ha, dziej się wola Boża! Jeżli Marynka zechce, niech idzie za Jacka; ale ja tak uczynię jak swat radzi, i nie dam posagu, aż obaczę że warto.

Przywołano Marynkę. Dziewczyna pokraśniała, do nóg się ojcu skłoniła, ale na porządną odpowiedź zdobyć się nie mogła. Przecie z wyrzeczonych półsłowek widać było, że radaby oddać rękę Jackowi.

Znalazła się i miarka do gorzałki, poszło zdrowie kolejką.

— Widać że się kochają, powie swat; niech wam Bóg dopomaga, bierzcie się skoro ojciec pozwala.

Oboje młodzi do nóg się ojcu skłonili i zaloty skończone.

Na różnych przygotowaniach zeszły prędko trzy niedziele. Stary Wojciech córce wyprawił wesele, całą wieś zaproszono.

Marynka była szczęśliwa, wszystkie dziewczęta zazdrościły jej tego szczęścia, jednak, gdy jej przypinano wstęgi kolorowe, i rozplatano warkocz a ubieraczka smutną pieśń nuciła, płakała biedaczka, płakała gdy przystrojona do nóg staremu ojcu upadła, prosząc o błogosławieństwo.

Płakała.... i czemuż tak? Czemu — pytacie? Miły Boże! Wszakci od szczęścia do boleści, od uśmiechu do łzy, to jeno krok jeden!

Po weselu Marynka przeniosła się do mężowego domu. Stary Wojciech dotrzymał słowa, nie dał za córką ani jednego talara, tylko wyprawę jaką taką, i kilka sztuk bydła, a choć nie często państwa młodych nawiedzał, nie spuszczał Jacka z oka, i pilnie baczył na jego postępowanie.

Jacek dobry był dla żony, bo też Marynka cicha a pracowita i dobra gospodyni godna tego była, i chwili jednej nie posiedziała z założonemi rękami. Ale Jacek nie bardzo garnął się do roboty. Czem skorupa nawre za młodu, tem na starość trąci! Oj, święte to przysłowie i na Jacku sprawdziło się co do joty.

Z początku pilnował domu i żony samej nie zostawiał, ale to ledwie miesiąc trwało, a po miesiącu to i do karczmy coraz częściej zaglądać zaczął, i nieraz się zdarzyło, że go żona po całych dniach i nocach nie widziała. Płakała biedaczka i prosiła Jacka, aby jej tego nie robił, ale on ofuknął ją tylko. Przez to zaś najbardziej cierpiała Maryna, że nie miała komu poskarżyć się, a ojcu nie wspominała nigdy o swojej teraźniejszej doli, aby jej nie wyrzucał, że sama sobie winna, bo ją o tem przestrzegał.

Jacek pił coraz częścicj i coraz więcej. A za co? zkądże miał pieniądze? Mniejsza o to, gdyby był przepijał własny zarobek, gorzej, że on nic nie zarabiając pił tylko na kredkę, i przyszło do tego, że żyd raz i drugi bezskutecznie upomniawszy się o pieniądze, zabrał krówkę jedną i drugą, a potem i koniki.

Stary Wojciech aż się za głowę zlapał, zeszedłszy się jednak z Marynką nie robił jej wymówek, jeno zapłakał nad

jedynaczką; nie łajał też i Jacka, jeno przedstawiał mu łagodnie i prosił aby się ustatkował. Ale wszystko na próżno. Jacek nie mógł chwili w domu usiedzieć, jeno do karczmy ciągnął, a gdy i strzelbę przepił, to i do kniei nie było z czem zajrzeć, więc już i strzelać zapomniał i zarzuciwszy to najgłówniejsze każdego Kurpia rzemiosło, zaczął myśleć o innem. Środkiem pól i łąk Dąbrowy poważna Narew płynie a płynie, i szumi uciesznie, a po grzbiecie Narwi mknie galar za galarem, wszystkie to zbożem, to drzewem ładowne, płyną daleko, daleko. Na galarach oryle, dzielni chłopacy, wyśpiewują wesoło popijając gorzałkę pełną miarką.

— Bogdajto być orylem! myśli sobie Jacek. Na wodzie swoboda, życie wesołe, nikt tam nikomu nie szlocha nad uszami: dziś tu, jutro tam, po jutrze jeszcze dalej! Hej, orylem być! orylem! ja muszę być orylem!... Fala szumi, wiosło pluska, a ja sobie płynę wolny, szczęśliwy! Boże, Boże, toć rozkosz jedyna, milsza jak wszystkie inne. O! ja muszę być orylem.

Zasłyszawszy o tem Marynka, nuż w prośby do męża, nuż w prośby do ojca, aby mu przedstawiał i odwiódł od złego zamiaru, bo przewidywała, że z tego nic dobrego nie będzie; ale nie pomogły prośby, nie pomogły przedstawienia. Jacek ją uspokajał, że na orylce zarobi dużo pieniędzy, to będzie na krowy i na konie, będzie o czem siedzieć w domu — i skoro tylko ruch się zaczął na Narwi, a pierwsze tratwy i statki przepłynęły ku Wiśle, dalejże układać się z żydem, co się przewozu podejmował, dalejże gotować się do drogi. A gdy przyszło do pożegnania, to Marynka stała na brzegu milcząca i blada, i gorzkiemi zalewała się łzami, a on wykrzykiwał i przyspiewywał sobie.

Gdy już Jacek schwycił za wiosło i tratwa ruszyła, Maryna jeszcze raz podbiegła ku wodzie i złożywszy ręce jak do pacierza, jeszcze raz prosiła, aby został. Wówczas zachmurzył się, łza mu błysła w oku, i gdyby nie to, że już kilka kwart wódki wypił na zadatek, możeby był i został. Nasunął kapelusz na oczy, odwrócił się i popłynął dalej.

(Dokończenie nastąpi.)

RÓŻNOŚCI.

Telegraf. To jest ten drut, co wisi po słupach przy drogach, a po którym jakby piorunem mogą być wiadomości przesłane tak, że z Wiednia do Krakowa przyjdzie za 5 minut wiadomość po tym drucie, jest rzeczą bardzo osobliwą, któréjto rzeczy ludzie niebardzo głęboko uczeni pojąć nie mogą, bo to dzieje się za pomocą elektryki, o której wy ludzie kochani pojęcia jeszcze nie macie.

Otoż jeden chłop we Francji pytał się uczonego człowieka, co jest telegraf i prosił go, aby mu tę rzecz wytłómaczył jak się patrzy. Ów uczony tłumaczy mu różnie, ale chłop ani daj Boże co zrozumieć.

Na to nareszcie powiada mu ten uczony tak:

— Oto wystaw sobie mój kochany psa takiego wielkiego, coby jego ogon był w Wiedniu a głowa w Paryżu, więc jakby temu psu kto w Wiedniu nastąpił na ogon toby zaskowyczał w Paryżu. Otoż tak jest i z tym drutem, jak go n. p. trącą w Wiedniu, tak odpowie w Krakowie.

Piękny przykład. Niema nic piękniejszego i zbawienniejszego na świecie, jak zgoda. Ona to podwaja siły, łączy serca, wzbudza miłość wzajemną, a chroniąc od kłótni, chroni tem samem od nienawiści, zgorszenia. O pięknym przykładzie zgody między dworem a gromadami donoszą z pod Frysztaka. Dziedzic wsi Przybówki, pan Petrowicz, człek ludzki i przyjacielski nie mógł zebrać z pola zboża, bo nie miał robotnika. A że jako wiecie deszcz w żniwa ciągły padał, więc trzeba było szybko korzystać z każdej jasnej chwili i pokwapić się z zbiorem. Biedził się tem pan Petrowicz aż nareszcie wpadł na dobrą myśl. Oto rozpisał on grzeczne pisania do wójtów z gromad sąsiednich, i poprosił ich pięknie i serdecznie, aby mu po starej znajomości i przyjaźni pomogli w zebraniu plonu. I oto patrzcie, zaraz na drugi dzień wójtowie zebrali z gromad robotników i przyszli wraz z nimi do Przybówki, aby pomódz dobremu panu, który zawsze w staropolskiej zgodzie z nimi zostawał. Oby wszędzie była taka zgoda i gotowość wzajemna do pomocy!

Kolej żelazna. Niezadługo to nie będzie w kraju naszym okolicy, przez którąby nie przechodziła kolej żelazna. Mamy już kolej od Krakowa na Przemyśl do Lwowa, a teraz już wybudowano kolej ze Lwowa do Czerniowiec, a wkrótce budować się będzie kolej żelazna ze Lwowa do Brodów.

PRZYPOWIEŚCI.

Chociaż nie skończysz — wszystko rób,
Ciebie, nie dzieło — porwie grób.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 8.

11. września 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Michał.

We wsi Kiermaszówce jest kościół na nowo malowany, na co się cała gromada ochotnie złożyła a to tym sposobem, że sobie ułożyli gazdowie każdy z numeru pójść 10 dni na zarobek w roku i ten zarobek złożyć na kościół do xiędza swego. A w wielkim ołtarzu był tam stary obraz św. Michała, toż i ten obraz dali odmalować dobremu malarzowi we Lwowie i dopiero tak stanął cały kościół Kiermaszowski jak kwiatek ładniutki. Nie zapomnieli tam gazdowie i o szkole gromadzkiej i wyfundowali dom szkolny jak się na dobrą gromadę patrzy.

Jak już ten obraz św. Michała był odmalowany we Lwowie u malarza, to przyjechali po niego gazdowie starsi z gromady na ten przykład: Wojtek Kudroń stary wójt, Szymek Dzbanek dawny plenipotent gromady, Kuba Kaczała pierwszy brat od Różańca i Tomek Zegarek brat od światła. Jakci stanęli pod kamienicą malarza, poszli do izby i widzieli tam rozmaite obrazy świętych, wypytywali się o każdy obraz, a malarz opowiadał im różne historje o każdym malowanym świętym. Toż na to powiada zadumany gazda Kudroń:

— A to wy panie malarzu, znacie dopiero dobrze opowiadać historje o świętych, jakby z książki kto czytał.

Malarz na to rzecze:

— A jakiżto byłby ze mnie malarz, jakby malował obraz jakiego świętego, a nie rozumiał o tem, co to był za jeden ten święty.

Na to powiada gazda Kaczała:

— Na to niema dziwoty żadnej, że wiecie co malujecie, boście od tego malarz, ale co wy nam powiecie o naszym św. Michale, kiedy on nie żył nigdy na ziemi, jak drudzy święci, jeno od początku świata był starszym nad samymi aniołami w niebie, a na to jeszcze mówiąc był tak mocny, że zadeptał złego ducha i przebił go w samą pierś dzidą.

— To prawda moi kochani! rzecze malarz, że św. Michał jest starszym między aniołami i dlatego zowie się archaniołem, ale jest on także obrońcą całego kościoła chrześciańskiego, toż go malują jako świętego wojaka w stroju żołnierskim i z dzidą w rękach, nito na znak, aby bronił kościoła bożego od złego i od złych napastników, a ztąd mają ludzie przykład i naukę, jak mają sami bronić swojej św. wiary, swoich kościołów tak przed poganami jak przed Turkami, żydami, Moskalami i luterakami. A co jeszcze, jest św. Michał osobliwym patronem konających, toż powinni ludzie, co stoją przy łóżku konającego, prosić św. Michała, aby zaprowadził duszę jego po śmierci na sąd boży, a potem za jego przyczynieniem do wysokiego nieba.

A gazda Zegarek przemówił na to:

— No! to teraz rozumiemy dużo o św. Michale z waszego opowiadania, jeno powiedźcie nam, co to za osoba taka, czy zła czy dobra, co leży pod nogami św. Michała, a on ją przebija dzidą? bo ja sobie uważam, że to musi być coś niedobrego, bo jakby na to mówiąc było to co dobrego, to by św. Michał nie deptał ani nie zabijał.

— To sobie dobrze uważacie, mówi malarz, ta osoba przypomina nam wszystko złe i grzeszne na świecie, złym strasznie jest djabeł, ale złym może być i człowiek, jak niema rozumu i upamiętania, anioł zaś każdy jest dobrym, ale i człowiek może być dobrym, jak chce i Bóg mu dopomoże, toż św. Mi-

chał jako anioł wielce dobry, wojuje djabła i wszystko złe na świecie a ludziom daje przykład i naukę, aby nie słuchali pokusy djabelskiej, ani namowy złych ludzi, aby się opierali wszystkiemi siłami każdemu grzechowi i każdy najmniejszy grzech zaraz zaprzestali, a złych ludzi tak pilnowali, aby oni nie mogli nic złego ani sobie ani drugim zrobić. Widzicie moi kochani! jak św. Michał z aniołami dobrymi zostali Bogu wiernymi, a znowu zli aniołowie odstąpili Boga, tak my ludzie powinni się wszyscy trzymać zawsze Boga i nigdy przenigdy nie przestąpić jego przykazań, a dopiero wtedy jak pokonamy wszystko złe a zrobimy wszystko dobre, pójdziemy do nieba.

— No! mówi gazda Zegarek, to ja przecie zgadł, że ta osoba nie jest nic dobrego, i że to nie należy do aniołów, kiedy pod ich nogami leży.

A gazda Szymek Dzbanek przysłuchując się tej dobrej rozmowie tak powiada:

— A z jakiejto racji nie mamy święta nigdy na żadnego drugiego anioła, jeno na jednego św. Michała?

— To moi kochani! rzecze malarz, jest znowu tak. To święto św. Michała jest już bardzo dawno zaprowadzone, już to temu więcej jak tysiąc lat. Ale u nas w polskiej Galicji jest św. Michał patronem kraju od niedawna. Jak się Galicja polska dostała naszemu cesarzowi, a niema temu jeszcze i 100 lat, to wtedy my Polacy w Galicji obraliśmy sobie św. Michała za patrona naszej Galicji i dlatego mamy w całym kraju uroczyste święto, a po niektórych parafijach są odpusty, jakto i u was w Kiermaszówce, a w innych krajach mają znowu Katolicy innego świętego za patrona swego kraju. Na ten przykład Czechy mają na św. Jana Nepomucena w całym kraju uroczyste święto i odpusty, bo to ich patron kraju, a u nas niema w ten dzień żadnego święta, chyba w tej parafii, gdzie jest odpust na św. Jana w Maju. To znowu w Krakowie mają na św. Stanisława uroczyste święto i odpusty, bo to patron Krakowa i całej Polski, a u nas niema w ten dzień święta żadnego, chyba w tej parafii, gdzie jest odpust na św. Stanisława.

Na Szląsku mają na św. Jadwigę uroczyste święto w całym kraju, bo ta święta jest znowu patronką Szlązaków, a u nas

niema święta w ten dzień. W Morawji mają święto na św. Cyrylego i Metodego, bo to apostołowie na Morawji i patronowie kraju, a my tu nie mamy w ten dzień 9. Marca nigdy święta. W Kroacji het! za Węgrami nad morzem, mają św. Eljasza i św. Rocha za patronów swego kraju, i w te dnie tam święta uroczyste a u nas niema tego. W Slawonji także za Węgrami nad morzem mają św. Jana Chrzciciela za patrona kraju i w ten dzień jest u nich święto uroczyste, a u nas niema tego. Węgry zaś mają św. Szczepana króla za patrona kraju a Niemcy mają świętego Leopolda za swego patrona.

Otoż widzicie teraz, że każdy kraj ma swego osobnego patrona i obchodzi święto uroczyste w ten dzień, kiedy tego świętego przypada w Kalendarzu naszym. A zazwyczaj wybrany jest na patrona kraju taki święty, który się urodził w tym kraju, żył i robił wszystko dobrze a potem tam umarł i leży gdzie w mieście albo na wsi przy kościele pochowany. Toż ludzie znają całe święte życie takiego patrona, wiedzą dobrze o jego grobie i tam chodzą na odpusty i na obchody po stacjach, a potem probują sami z pomocą Bożą tak żyć i umierać, jak żył i umarł święty patron ich kraju.

To wszystko wysłuchali gazdowie z pobożnością, zmiarkowali sobie w głowie doskonale a potem odezwał się gazda Kaczała:

— Toć pono św. Michał nie żył nigdy w naszej polskiej Galicji, ani tu nie był, ani umarł, ani niema tu nigdzie grobu, to na cóż obrali go nasi dziadkowie za patrona Galicji, kiedy mogli obrać swojaka jakiego, co tu w Polsce się rodził, żył i umarł i zostawił dla nas cuda i przykłady swoje? Ja sobie uważam i miarkuję, żeby to tak wypadało zrobić, aby i Galicja miała swojaka za patrona, jak to mają inne kraje na świecie.

Na to rzecze malarz:

— To pewnikiem byłoby daleko szykowniej dla nas Polaków w całej Galicji, gdyby był swojak jaki patronem naszym i było można to zrobić, bo Galicja miała takich świętych: na ten przykład w Sączu starym żyła i umarła św. Kunegunda, a choć ona rodzona na Węgrach, to w Galicji fundowała taki

klasztor i zapisała na niego jakie 40 wsi, tam cuda robiła, sól nam Polakom wynalazła i ręka jej cała jest do dziś w ołtarzu, a teraz uczą tam na jej chlebie zakonnice dużo polskich dzieci w szkole. A jakby już koniecznie swojaka szukać na patrona, to mamy w Lipnicy koło Bochni św. Szymona zakonnika, mamy z Dukli św. Jana zakonnika, który we Lwowie pochowany, a i św. Jacek tu chodził po naszej Galicji i fundował klasztory dominikańskie i zaprowadzał św. Rożaniec, a nawet błogosławiony Marcin Laterna pochodził z miasta Drohobyczy, dokąd wy po sól jeździcie — no! jak słyszycie, to i Galicja polska ma świętych czysto swojaków i mogłaby mieć nie jednego swojaka patrona. Ale widać nasi dziadkowie uważali znowu na to, że to będzie dla ich potomków dobrze mieć św. archanioła za patrona kraju, aby Polacy byli tak śmiali do wojny i do wszystkiego dobrego, jakto byli ich dawni dziadkowie i jakto pokazuje św. Michał na każdym obrazie, aby Polacy nie bali się ani Turka, ani Moskala ani Niemca, jeno trzymali swoje, co mają od samego Boga, i co im zostawili dziadkowie ni to prawo.

— Aha! rzekli gazdowie, to teraz wam dziękujemy za pogadankę dobrą, panie malarzu, macie tu pieniądze wasze za odmalowanie obrazu, a....

Malarz zaś dodał jeszcze:

— Toż macie jeszcze i to wiedzieć, że dla nas Polaków jest dzień św. Michała przypomnieniem, że u nas już wtedy dobra jesień, że mamy tak długi dzień jak i noc, że my zwykli w gospodarstwie brać czas koło św. Michała na oznaczenie różnych naszych interesów, tak na przykład mówimy: ot na św. Michał kupione, albo tydzień przed św. Michałem, albo tydzień po św. Michale i t. d. A kiep ten gazda, kto wtedy już nie posiał albo otawy nie zebrał, bo mamy na to ładną staropolską gadkę:

„Po św. Michale — wolno paść po otawie,
A po św. Marcinie — paś sobie po oziminie!“

Toć zasiew pod zimę ma się kończyć na początku Września, dobre dwie niedziele przed św. Michałem, na co mamy znowu taką mądrą przypowiastkę:

„Przed narodzoną Bożą-rodzicą,
Siej żyto przed pszenicą —
A dopiero po Boga-rodzicy,
Bierz się do siania pszenicy.“

A my Polacy mamy jeszcze na św. Michała tę ciekawą pamiątkę, że roku pańskiego 1812 szli Polacy razem z Francuzami na Moskala niedobrego, a pomagał wtedy Francuzom i Polakom nasz cesarz, a były wtedy na św. Michała takie mrozy, że wrony na dół spadały. Gdyby wtedy byli zbili Moskala, byłaby dziś Warszawa nie pod Moskalem niedobrym, ale pod Polakami.

Otoż prośmy św. Michałą patrona, aby nas Polaków nie opuszczał, ale dopomagał do wszystkiego dobrego, a jak zatrąbi na sąd boży, abyśmy stali na prawicy.

I odeszli gazdowie do Kiermaszówki i opowiadali każdemu to o św. Michale, co im pan malarz dobrego naopowiadał.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Cztéry role.

Ułożył Józef z Bochni.

Bóg dał ludziom cztery role
I powiedział: Choć po czole
Pot się leje, siejcie ziarna,
A nie będzie praca marna;
Błogie życie mieć będziecie
I tu przy mnie i na świecie.
Biada temu! Kto nie chodzi
Koło ról swych, bo ten szkodzi
Dużo sobie, dużo braci —
Bo ten żywot wieczny traci.

Pierwsza rola — nasza głowa
A w niej rozum się nasz chowa,
Więc go kształcić i uprawiać;
Wszędzie uszu swych nadstawiać,
Słuchać chętnie słów kościoła
I co głosi codzień szkoła —
Toć nie łatwo człek zabłądzi,
I inaczej w domu rządzi;
Radziej bywa i w kościele,
Robi drugim usług wiele;
Każdy prędzej w dom zagląda
I porady szczerej żąda.
Człek wysłucha — pomiarkuje,
Tu poradzi, poratuje,
Tu pobrata, tam pogodzi,
Że się nowe życie rodzi....
Przyjdzie święto, dzionek Boży,
Człowiek pracę swą odłoży,
Czyta z książki rzeczy cudne,
I gdzieś giną chwile nudne,
Ni człek wspomni że są smutki,
Ni go ciągnie coś do wódki;

A zaś trunków że nie pije —
To się jakoś lepiej żyje,
Człek do pracy jakiś skory;
I zagląda do komory,
I do stajni i do koni,
I do pola często goni
I pamięta o bydełku....
Słowem, wszystko jak w pudełku.
Gdy człek pustki ma w swej głowie,
Marnie żyje, miły bracie,
Bo bądź figlem, bądź też w mowie
Lada oszust oszuka cię.
Człek też niszczy swój majątek,
Bo mu milszy w karczmie kątek...
Nie zajmie się pracą szczerze,
Żyje codzień — ot jak zwierze.
A Pan Jezus mądrość chwali;
— Bądźcie — woła — doskonali
Jak mój ojciec drogi w niebie! —
A niejeden talent grzebie
I w próżniactwie i uporze —
I odrzuca światło Boże.
Więc kto żyć chce w dobrej doli —
Niech pamięta o tej roli,
Bo takiemu biada, biada!
Kto uprawę jej odkłada.

Druga rola — serce nasze,
Co to skacze jako ptasze,
Kiedy człowiek dobrze robi
I do cnoty się sposobi;
Kiedy czyste i niewinne,
Zacne, prawe, dobroczynne!
Serce nasze kształcić trzeba,
Siać w niem śliczne cnoty z nieba:
Przyjaźń, zgodę, lecz prawdziwą,
Nie obłudną i fałszywą,
I pobożność ojców starą
Połączoną z mocną wiarą;
Miłość Boga i bliźniego,
Gniazda ojców, kraju swego;
Czuć co piękne, co podnosi,
Na co człowiek łzą się rosi;
Żyć po starym obyczaju,
O! to wtenczas nie trza raju —
Człek przeżyje życia chwile
W jakiemś szczęściu, słodko, mile....
A kto bracia rozumniejszy,
Ten też pewnie pobożniejszy,
Lepiej uczci Pana w niebie,
Ochotniejszy ku potrzebie,
Radziej kocha, silniej czuje
I goręcej umiłuje....
Ciemny drugich nienawidzi;
Ciemny nawet z cnoty szydzi —
Toć ten niema dobrej woli,
Kto nie kształci serca roli.
Chcesz więc szczęście mieć wieczyste,
Miejże zawsze serce czyste!

(Dokończenie nastąpi.)

Jacek Kępczyk.

Powiastka z życia Kurpiów.

(Dokończenie.)

Maryna smutna, spłakana, rozżalona, wróciła do chaty, a gdy się ujrzała sama jedna między czterma ścianami, to już sobie rady dać nie mogła. Prawda, że dawniej sama jedna przesiadywała, ale dawniej, przecie choć w nocy, choć naza-

jutrz, mąż powracał do domu, teraz, trzy długie miesiące miała przepędzić samotnie.

Stary Wojciech częściej teraz zajrzał do córki i jak mógł pocieszał. Nie wyrzekł przy Marynce ani jednego słowa na Jacka, owszem gdy się jej z piersi zbolałej wydarła jaka mimowolna skarga na niego, to ją uspokoił:

— Poczekaj, Jacek wróci, ustatkuje się. Teraz nie rychło wyrzekać, płacz nie pomoże, trzeba jeno Pana Boga prosić, aby złe w dobre przemienił, bo to jest w jego mocy.

Rzeczywiście w Bogu Maryna jedyną miała nadzieję, a w modlitwie jedyną pociechę. Aby jej czas prędzej schodził, a oraz aby Jacek za powrotem zastał jaki grosz w domu, wzięła się do pracy, i robiła co mogła. Na ojca już się nie oglądała, wiedziała bowiem dobrze, że słowa nie złamie i jako przyrzekł nie da nic, póki się Jacek nie ustatkuje.

Tak mijał czas powoli na płaczu, modlitwie, pracy i tęsknocie, a Jacek nie wracał. Maryna prawie codzień, zwłaszcza pod wieczór, wybiegała przed dom i patrzyła rychło zaczną wracać Oryle, ale choć już wrócili niektórzy, Jacka między nimi nie było. Powracających wita Maryna jak braci, pyta czy nie widzieli męża? Upewniają, że wróci niebawem i naznaczają nawet dzień jego powrotu. Więc stęskniona żona teraz i po kilka razy na dobę wybiega i patrzy i czeka, a zawsze napróżno. Jacka niema i niema. Więc spieszy do kościoła, daje na mszę na jego intencję, i modli się gorąco. Pan Bóg łaskaw, wysłuchał modlitwy, przyjął modlitwę szczerą. Jacek wrócił nareszcie. Maryna uradowana nie pyta o gościniec, jeno o zdrowie, o przygody pyta, stawia na stół co ma najlepszego. Dopiero drugiego dnia, gdy Jacek nic o zarobku nie mówi, a po wódkę posełać każe, — Jacusiu, zapyta go, a gdzie ty sukman podział? a gdzie twoja kamizela? Ty tylko w koszuli.... coś ty z przyodziewą porobił?

Jacek się zarumienił i machnął ręką.

— Ot, żyd szelma! oszukał mię.... i zarobek ledwo wódką i jadłem wypłacił i jeszcze przyodziewę zabrał, bo powiada, żem mu jeszcze winien za gorzałkę.

Maryna załamie dłonie:

— O to gorzałczysko przeklęte!... Jacusiu, ty już nie będziesz pił wódki, jak mię kochasz nie będziesz; oszczędziłam kilka złotych, kupimy krowę, powiemy ojcu, że to za twój zarobek, stary zmięknie, dołoży, będą i konie, ale Jacusiu kochany.... nie pij gorzałki, bo zginiemy. Bóg pobłogosławi, będziemy mieli chleba dość, i na nowy sukman ja ci sukna narobię, tylko nie pij! Bój się Boga, nie pij!

Jackowi łza się w oku zakręci, porwie żonę, przyciśnie i pocałuje.

— Marynko, ty śliczna moja, zrobię co zechcesz, wszystko zrobię i ty jedyna moja, ty mi staniesz za wszystkich kamratów; już i jednego kieliszka nie skosztuję — tak mi Panie Boże dopomóż.

Maryna aż pokraśniała, jak niegdyś, kiedy jeszcze była dziewczyną.

— O mój Jacusiu! Ty mię posłuchasz? O jakżeś ty dobry! I dalejże ściskać i całować męża. To mi stanie za wszystko już mi nic nie trzeba, jużem dosyć szczęśliwa. Dzięki ci Panie niebieski.

Jacek przeprasza żonę.

— A nie gniewasz się? nie masz do mnie żalu?

— Czy nie mam żalu do ciebie? Jacku.... gdyby ten warstat żywy był, on by ci powiedział, wiele łez moich padło na niego.... ale już wszystko zapomniane. A nie popłyniesz już z orylami?

— Jako żywo!

— Nigdy?

— Nigdy, nigdy moja Marynko.

— O, to dobrze! Miły Boże, ale czem ja ci to odwdzięczę?

Jacek uściskał żonę.

Stary Wojciech skoro tylko usłyszał o powrocie Jacka, nim go przywitał, szedł między oryle i wypytywał o niego. Nie tajono przed nim smutnej prawdy, dowiedział się o wszystkiem, więc gdy Marynka przyniosła mu własnemi rękoma zapracowane pieniądze, i prosiła o pomoc do kupienia krowy, poznał że kłamie z miłości dla męża, ale ta miłość tak go roz-

rzewniła, że się już nie ociągał dłużej. — Przecierpiał dość biedy, pomyślał sobie, może się ustatkuje.

Dołożył kilkadziesiąt złotych i sam z młodymi poszedł na jarmark.

Stajenka zapełniła się znowu, Jacek się oporządził: wszystko poszło jak z płatka. Dotrzymał żonie danego słowa, nie pił, i nie przysiadywał w karczmie. Kupił sobie strzelbę i znowu zasłynął jako dzielny myśliwy i jak niegdyś nieboszczyk jego ojciec zabrał się do wyrabiania sprzętów gospodarskich; co mu też szło składnie i grosz piękny przypływał do skrzyni. Maryna nie posiadała się z radości i nie wiedziała jak dziękować Panu Bogu za tę odmianę.

Wkrótce potem dał Pan Bóg Marynce synaczka. Dano mu na chrzcie świętym imię Wojtuś, co dziadka bardzo ucieszyło. Starowina, aby się wnuczkiem nacieszyć, raz po razu przybiegał do domu zięcia, brał dziecinę na ręce, huśtał i kołysał. Jacek zaś ojcem zostawszy, jeszcze bardziej brał się do pracy — widocznem było, że się już poprawił i ustatkował i niewiedzieć dlaczego stary Wojciech jeszcze się ociągał i córce wiana nie dawał. Czy jeszcze nie dowierzał zięciowi? To tylko pewna, że go bardzo polubił, przesiadywał w jego chacie po całych dniach, pomagał czasem w robocie, choć sam dla siebie żadnej od niego pomocy nie przyjmował, chodził z nim do kniei, jeździł na jarmark do miasteczka.

Przyszły zapusty, a z niemi igraszki rozmaite. Jacek trzyma kompanję z starszymi gospodarzami, i z nimi się przyzwoicie pogawędką zabawia, a gdy gorzałka obchodzi koleją, to nie odtrąca kieliszka, ale też miarki nie przebiera. Podobnież i Marynka siedzi między starszemi gospodyniami.

Bogdaj to u Kurpiów zapusty! Młode parobczaki przebrane, to za żydów, to za niedźwiedzi chodzą od domu do domu, żartując i śpiewając, a gdzie przyjdą, to w śród żartów i śmiechów zabierają co zastaną, tu kiełbasy, tam placki, tam znowu co innego, a wszystko, ma się rozumieć, umyślnie dla nich przygotowane. W pierwszy dzień postu biegają znowu po wsi i garściami sypią popiół na dziewczęta a groch na łysych. Go-

spodynie schodzą się do karczmy i tam każda konopnego wywijać musi. Wieczorem, na sztucznie z patyków i lnu zrobionym koniu, wjeżdża do izby gospodnej parobek białem prześcieradłem okryty, a gdy patykami przebiera i podskakuje, naśladując ruch konia, to wszyscy aż się kładą od śmiechu, a on wówczas sypnie popiołem tu i owdzie, tę i ową miotłą wygoni, a wreszcie poszukawszy naczynia z wódką, wylewa je i gasi światło. — Marynka już drugie zapusty obchodzi na swojem gospodarstwie, ale te drugie weselej jak pierwsze, choć poważnie i bez tańcu. Tak samo i święta wielkanocne. Już od wielkiego piątku Maryna dla siebie i dla ojca piekła placki, sposobiła kiełbasy i jaja, aby według starego przodków zwyczaju było co ponieść do święcenia. W wielką niedzielę po obiedzie, gospodarze z całej wsi poschodzili się do karczmy; tam starzy przy krupniku zabawiali się gawędką, zabrzmiała muzyka, więc młodzi puścili się w tany. Jacek jak w zapusty tak i teraz stateczny, poważny choć wesoły i gadatliwy, nigdy miarki nie przebiera w piciu, a gdy się w nim dawny nałóg odezwie, to popatrzy na żonę, popatrzy na sędziwego teścia, albo się krzyżem świętym przeżegna, aby pokusę odgonić.

Aliście odkąd wiosna wróciła i lody puściły, a na grzbiecie Narwi ukazały się tratwy i galary, jakoś posmutniał; na pierwszy odgłos nawołujących się orylów, Jackowi, co właśnie z kniei wrócił strzelba z rąk wypadła, pobladł i zadrżał na całem ciele.

Postrzegła to Maryna i westchnęła. Jacek wziął dziecinę, pobawił się z nią, ale po chwili oddał matce, wziął kapelusz, poszedł na Narew popatrzeć. Dawni znajomi witają dawnego oryla, żyd ten sam, któremu Jacek przeszłego roku służył, ściska go za rękę, na wódkę prosi, Jacek się wyrywa, ucieka i wraca do domu.

— Czego ty smutny Jacku? co tobie? pyta go żona.

On chmurny jakiś, nie patrzy na Marynkę, nie gada do niej i dziecka nie pieści.

Stary Wojciech woła go do kniei, on nie chce, wymawia się, że ma dużo roboty, a zamiast pracować, znowu nad rzekę biegnie.

— Ej, Jacek spanoszał, szepcze żyd kręcąc się koło niego, nie pije z nami wódki.... a może niema czem zapłacić za swoją kolej i dlatego od nas nie przyjmuje?

Jacek wsadzi rękę do kieszeni, zabrzęczy złotówkami.

— Aj waj! ty pan! wykrzyknie żyd; panie Jacenty, kiedy tak, kiedy tak, to zapłacicie nam po kieliszku.

Przysunęło się kilku orylów.

— Wódki, krzyknął Jacek na karczmarza.

Rozkaz spełniony, kwarta tylko się migła, wnet stawiono drugą, a potem trzecią. Jacek się upamiętał, zapłacił za wszystko i uciekł do domu.

Marynka w trwodze największej czekała na męża, więc ujrzawszy go, nuż o to i o owo pytać, nuż jadło co najlepsze na stół stawiać. Jacek nie rzekł i słowa, nie tknął jadła, nie popatrzył na dziecko, jeno legł na posłanie i zasnął twardo.

Maryna w płacz.

— Tatulu, ratujcie! prosi ojca gdy po drodze wstąpił córkę i wnuka odwiedzić.

Wojciech idzie pogadać z Jackiem, a jego już niema, już się niepostrzeżenie wymknął nad brzegi Narwi.

Przyszedłszy tam, już nie czeka aż go na wódkę namawiać będą, sam pierwszy woła na żyda, aby dawał gorzałki, częstuje orylów i płaci; płaci.... dopóki ma czem płacić, a choć już nie stało mu pieniędzy, jeszcze woła o gorzałkę.

Żyd daje na kredkę jeden, drugi, trzeci garniec, wszystko wypili oryle, a Jacek z nimi.

I jeszcze mu nie dosyć.

— Żydzie, woła, dawaj jeszcze garniec.

— Ny, za co mam dać? gdzie pieniądze?

— Sprzedam jutro krowę, to ci zapłacę.

— Aj waj! jutro! jak jutro, kiedy ja dodnia odjeżdżam?

Jacek w prośby.

— Moszku kochany, tylko garniec; ja nie oszukam, alboż mię to nie znacie?

Moszek niby ujęty przypomnieniem, weźmie go na bok i nuż w rozhowor:

— Jacusiu, tyś dobry, tyś chwat jak dawniej, a ja myślałem, że z ciebie nic już nie będzie. O! ty jeszcze będziesz orylem.

— Orylem nie będę... ot widzisz, mam żonę, dziecko, jakże ich opuścić? Ale i tak możemy żyć z sobą, jeden drugiego może jeszcze kiedyś potrzebować, więc wiesz co, daj jeszcze gorzałki, a ja ci jutro zapłacę.

— Kto wie czyje jutro? Nie godzę się na jutro! A cóż to, czy żona nieda sobie rady bez ciebie? Przecież ma ojca, a stary ma pieniądze. O! ma.... więc i dopomódz może.

Jacek machnął ręką.

— Alboż ci to źle było przeszłego roku? czym ci nie dogadzał? czy nie miałeś wódki wieleś chciał?

Przysuwają się do nich inni kamraci.

— Jacek chwat, popłynie z nami, odezwie się jeden i drugi; dawaj Moszku gorzałki, wypijemy na zadatek.

— Na zadatek? pochwyci żyd.

Jacek się zastanowi, popatrzy z galaru na wodę, a tu wiatr szumi, fala pluska, a promienie księżyca łamią się cudnie w zwierciedle Narwi. Oryle wykrzykują wesoło, a głos leci za wodą i odbija się gdzieś daleko, daleko. Cóż to za rozkosz patrzeć na taki widok! Jackowi aż się w głowie zawróciło.... stanął jak niemy, jakby skamieniały i oczu nie mógł oderwać od wody ruchliwej i nieba zasianego gwiazdami, powleczonego lekką tkaniną kilku chmur śrebrnych. Zerwał się lekki wietrzyk, żywiej falą poruszył; Jacek popatrzył na wodę, nie wiedział już co piękniejsze, czy niebo z gwiazdami czy rzeka, co jakby perłami i brylantami świeciła. Na przeciwległym brzegu, gdzieś daleko między polami ozwała się fujarka pastusza.

Żyd przysunie się z półgarncówką.

— Na zadatek?

— Niech tak będzie!

— Słowo?

— Słowo.

— Dajcie rękę przy świadkach; jutro odpłyniemy.

Sprzedał się Jacek za garniec gorzałki.

Maryna przeczuwała nieszczęście, toż nie zmrużyła oka przez całą noc, jeno zachodziła się od płaczu, a skoro się rozwidniło, wzięła dziecko na rękę i poszła nad wodę szukać męża.

Jacek leżał na tratwie, snem pijackim ujęty, prawie bez duszy.

Maryna klękła przy śpiącym i dalejże budzić go i najczulszemi słowy przemawiać. Wszystko na próżno. Jacek przewrócił się tylko na drugi bok i usnął na nowo. Biedna kobiecina nuż prosić orylów o pomoc. Ten i ów rozśmiał się jej w oczy.

— Jacek się zgodził, wziął zadatek, popłynie z nami.

— Co? on popłynie? O! nie będziecie mieli tej pociechy, nie porzuci on żony i dziecka.

— Ruszaj precz, ofuknął ją żyd, on już zapłacony, musi płynąć; precz, precz ztąd, my już ruszamy.

Maryna rzuci się do męża.

— Na miłość boską! Jacku, obudź się przecie! oni chcą popłynąć, chcą mi cię zabrać; ci ludzie bez sumienia, bez serca! chcą żonie wydrzeć męża, dziecku ojca!...

Żyd krzyknął na orylów:

— Nu, dalej! bierzcie się do roboty, już czas!

— Do wioseł! do wioseł!

Okrzyk wesoły rozlega się na tratwie, ten i ów spieszy na stanowisko.

Zachwiała się Maryna i omal nie padła bez zmysłów.

— Trudna rada, szepnął jej jakiś starszy oryl; idźcie do domu kobiecino, idźcie do domu; tu wasz płacz nie pomoże.

I sprowadził ją z tratwy na brzeg, a oryle ruszyli.

Maryna blada, drżąca, stała z dzieciną na brzegu i z wyrazem najwyższej boleści patrzyła za odpływającymi. Jacek spał ciągle, i nie wiedział dotąd, co się działo koło niego i z nim. Żyd za niego niby poruszał wiosłem, chytrze rachując w myśli, wiele sobie ma za to odciągnąć z wódki, co najczęściej jest prawie jedyną oryla zapłatą.

Maryna wróciła do domu. Złamana bolem, żalem, wszystkie smutki srodze zranionego serca wylewała w łzach gorących

a gorzkich. Ile ich wylała, ile westchnień posłała do nieba, to tylko Bogu wiadomo najwyższemu, co patrzy ciągle na nas wszystkich, a osobliwie gdyśmy smutni.... Ojciec już jej teraz na krok nie odstępował, i jak mógł pocieszał. Ale Marynkę nie łatwo było pocieszyć.

Przecież Bóg łaskaw dodał jej sił do zniesienia okropnego ciosu. Minął jeden, drugi tydzień, oswoiła się cokolwiek z nowem położeniem swojem, choć tęsknić za mężem nie przestała i zawsze jeszcze płakiwała po kątach. Minęła wiosna i nadeszło lato; już tylko kilka tygodni, a ujrzy swojego Jacka. Więc modli się i prosi Boga o błogosławieństwo i upamiętanie dla męża, i pieści dziecinę maleńką i uczy je wymawiać imię ojca, a dziecina już tata doskonale woła.

Tak przeszło lato, a skoro jesień nadeszła, Maryna już coraz niespokojniejsza, wybiega na brzeg Narwi, wytęża wzrok przed siebie, patrzy, czy tam gdzie jaka tratwa nie wraca.

Ale daremnie patrzy, daremnie czeka, daremnie się łudzi.

Oryle wreszcie wracać zaczynają, bieży skwapliwie na przeciw nim, wypytuje o męża.... Niestety! żadnej wieści. Czeka znowu, pyta drugich, znowu żadnej wieści. Trwoży się, sama nie wie czemu, a ojciec ją spokoi i przypomina, że tamtym razem także długo czekała. Maryna czeka jeszcze.... wraca żyd co jej zabrał męża, wracają jego oryle.... a Jacka nie masz pomiędzy nimi.

Okropna wieść omal nie zabiła biednej kobiety; Jacek utonął w nurtach Wisły.

Stary Wojciech wziął owdowiałą córkę do swojej chaty i odtąd już się z nią i z ukochanym wnukiem nie rozłączał do ostatniego tchu życia, to jest przez rok cały. Dźwignąwszy ciężki wóz ze zbożem, biedny starowina zachorował i umarł. Nie długo po jego śmierci Maryna położyła się także, aby nie powstać więcej z łoża boleści. Jacka sierotkę, gdy już nie miał ani dziadka ani matki, dalecy krewniacy wzięli w opiekę, ale ta opieka jakoś dziecinie nie służyła, toż i niedługo naprzykrzał się krewnym; umarł jeszcze w dziecinnych latach — pochowany obok matki. Majątkiem pozostałym podzielili się opiekunowie.

Stanisław Nowiński.

RÓŻNOŚCI.

Palec Boży. Milę od Tarnowa stał się w jednej wsi wypadek, który jasno dowodzi, jak to palec Boży dotyka złych i gwałtownych ludzi. Miał tam kłótnię jeden wieśniak nazwiskiem Stary z innym wieśniakiem, który się zwał Malec. Stary powracał jednego dnia ze strzelbą do domu i wstąpił do karczmy gdzie zastał Malca. Jak go tylko zobaczył, tak zaraz przystąpił do niego, a że był pijany, przyłożył mu lufę nabitej strzelby do piersi i rzecze:

— Teraz musisz zginąć! Zabiję cię jak psa!

Przestraszony Malec pocznie go prosić i błagać, aby mu życia nie odbierał, a wtedy Stary podniósł strzelbę, obrócił ją do Malca drzewcem czyli kolbą i mówi:

— No to cię nie zastrzelę, ale ci tą kolbą głowę w kawałki roztrzaskam!

I nie myśląc wiele schwycił za lufę strzelby i wywinął łożem ku głowie Malca, ale wtem z nieostrożności jego własnej strzelba wypaliła i gruby śrut, którym była nabita, tak mocno poranił Starego w głowę i piersi, że padł bez życia.

I tak chcąc odebrać życie drugiemu, sam siebie zabił. Czy to nie oczywisty palec Boży na złych ludzi!

Wszystkiemu temu winno pijaństwo, które odbierając rozum, przepełnia człowieka gniewem gwałtownym i wściekłą nienawiścią.

Cholera. Ta słabość straszna, co ją zwią cholerą, pokazała się w wielu miejscach także i w naszym kraju. Z wielu miast i wsi donoszą, że tam ludzie mrą mocno na tę słabość okrutną. Dotychczas chwała Bogu jeszcze się ona tak bardzo nie rozszerzyła, ale zawsze godzi się mieć na ostrożności. Według zdania lekarzy nie czepi się nikogo cholera, kto żyje z umiarkowaniem i dbały jest o własne zdrowie. Trzeba tylko w chłodnych dniach lub wieczorami nosić się ciepło, aby się nie przeziębić, trzeba umiarkowanie jeść i pić i mocno uważać na żołądek, a skoro tylko boleć zaczyna i biegunka nadchodzi, kłaść się do łóżka i posełać po pomoc lekarską. Strzedz się trzeba obżarstwa a i opilstwa także. Najczęściej się zdarza, że cholera porywa pijaków i rozpustników. Zresztą da Bóg, że ta plaga nas ominie.

Morderstwo. W Krasiczynie w obwodzie Przemyskiem, stał się niedawno temu okropny wypadek. Dwóch żydów przyszło do tamtejszego xiędza wikarego i pod pozorem jakiejś przedaży prosili go o nocleg. Poczciwy xiądz zezwolił na to, a ci dwaj rabusie opadli go w nocy i zamordowali go nożami. Xiądz się bronił z całej siły ale padł krwią zalany. Na krzyk mordowanego nadbiegli ludzie i schwytali jednego z morderców a niebawem i drugiego schwytano. Obaj mordercy są już tedy w rękach sądu i nie ujdzie ich zasłużona kara za tę okropną zbrodnię.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 9.

21. września 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

II. Porządek i bezpieczeństwo.

Mówiliśmy przeszłym razem, że gmina posiada zwykle jakieś własności, które iść powinny na pożytek całej gminy; — że zatem gminie przysłuża prawo, aby ona sama nad swojem dobrem czuwała, i około własności swojej sama miała staranie. Lecz oprócz własności nieruchomych, oprócz gruntów, budynków, stawów i tym podobnych posiadłości, gmina ma różne inne czynności, które ją najbliżej obchodzą, najlepiej i najprędzej przez nią załatwione być mogą, i do których prawo także wyłącznie przysłużać powinno gminie. Do tych rzeczy należą różne czynności dla dobra gminy. Weźmy najprzód porządek i bezpieczeństwo miejscowe. Dwa małe słowa, które dużo znaczą w społeczeństwie ludzkiem. Uprzyjemniają i ułatwiają one życie tym, pośród których się znajdują; są znakiem ludzi dojrzałych i światlejszych.

Porządek zewnętrzny jest znakiem porządku w głowie i w duszy; bezpieczeństwo publiczne, jest zapewnieniem do-

brego bytu; jest zapewnieniem wolności, jaką człowiek w społeczeństwie równych sobie ludzi doświadczać może.

Dla zachowania porządku i bezpieczeństwa miejscowego, gmina różne starania musi mieć na głowie. Osada, w której się znajdują jej mieszkańcy, czy to wieś czy miasto, potrzebuje pewnego porządku w stawianiu domów, ażeby od jednego do drugiego, łatwo i najkrótszą drogą można się dostać, nie potrzebując skakać przez rowy, albo drapać się przez płoty; — ażeby bez potrzeby domy nie były rozrzucone samopas, jak gwiazdy po niebie, lecz żeby stały przy ulicach dostępnych i równych; ażeby dla obcego, odszukanie mieszkańca było łatwe po numerze domu, w którym mieszka.

Cóż powiedzieć o bezpieczeństwie od ognia, o które w suplikacji kościelnej się modlimy? — Wszak i tu nie dosyć oddawać się Bogu, ale trzeba dołożyć starania aby tego nieszczęścia według możności uniknąć. Trzeba dbać o to, aby przynajmniej kominy były murowane, ognie strzeżone lub na noc gaszone, straże nocne utrzymywane, na wypadek zaś ognia narzędzia do gaszenia przysposobione, i ludzie do ratunku do pewnego porządku i pomocy skutecznej usposobieni, zachęceni lub znagleni.

Ba nawet sama czystość około domów jak jest miłą dla oka, tak potrzebną dla zdrowia, częstokroć nie może być zostawioną domyślności i woli mieszkańców, ale potrzebne jest na to oko, aby niedbałości takiej nie dopuszczać, która drugim zawadza i szkodzi. Potrzebne są pewne porządki i nakazy, aby zewnętrzna schludność była zachowaną.

Jeszcze więcej zadadzą nam pracy drogi, które od wsi do wsi lub do miasteczka prowadzą, aby były proste, równe, rowami osuszone, mosty na nich nie wązkie i nie dziurawe, aby mieszkańcy czy do gospodarstwa, czy na targi wyjeżdżając nie marnowali czasu swojego, statków i chudoby. W lasach aby zwierz drapieżny był wyniszczony, a gorsza jeszcze rzecz niż jama w drodze, niż dziura w moście lub wilk drapieżny, aby próżniactwo i złodziejstwo nie kryło się po chatach i lasach, niwecząc pracę ludzi skrzętnych i uczciwych.

Wszystko to są starania, które najbliżej gminę obchodzą i przez nią najprędzej, najłatwiej i najtaniej załatwione być mogą.

Jakież to utrudzenie, koszt i zwłoka byłaby w każdej rzeczy, gdyby o nią gdzieś trzeba pisać, kogoś czekać, o rady albo o rozkazy pytać? — Potrzeba chatę postawić, albo studni we wsi, pisz prośbę, posyłaj posłańców raz, drugi i trzeci, aż zjedzie komisja, zje bezpłatnie nie jedną kurkę we wsi, zapisze dużo papieru, nawodzi się ludzi dni kilka, kilka furmanek przepędzi i z papierami odjedzie. To co może się zrobić za tydzień, zrobiłoby się za kilka miesięcy lub rok; bo obcy urzędnik tych potrzeb nie czuje, co mieszkaniec miejscowy, i jego byt nie od pośpiechu lepszy, ale od tego jak on częściej i dłużej jeździ: a tu tymczasem mieszkańcom chaty i wody potrzeba.

A pojedzie podróżny dziurawą drogą, lub się załamie na moście, to komu naklnie, nie komisji, ale wójtowi i gospodarzom miejscowym, że ladaca o drogi nie dbają. A obedrą go włóczęgi, to dziesiątemu zakaże, tej wsi omijaj, bo tam próżniactwo, włóczęgostwo żebraków i porządku niema w gminie.

Tak bywa wszędzie, gdzie gmina około dobra swojego i publicznego nie dbała i sprawy swojej zasypia, spuszczając się na to, aż ktoś wyższy przyjedzie, nakaże, rozporządzi a może i sam zrobi. Jeżeli ci się złamie koło u woza, lub zrobi dziura w bucie, to chyba i wtenczas miałbyś pisać i o komisją prosić, aby ci dała radę i pomoc? Piękna byłaby to opieka nad ludźmi i wygodne takie życie na świecie. Ale takie społeczeństwo ludzkie byłoby uczynione na podobieństwo zwierząt bezmyślnych. Nie tak słabym i niedołężnym uczynił Pan Bóg człowieka. Dał mu rozum, dosyć sprytu i czułą skórę, żeby sobie radził w tem co go dotyka, a ludzie nie mają prawa przeszkadzać mu w tem, gdzie on nie szkodząc nikomu, nie naruszając cudzych praw i wolności, około dobra swojego się krząta i o swojem dobru myśli.

Tak więc gmina powinna o potrzebach swoich domowych, około porządku i bezpieczeństwa miejscowego, sama myśleć, sama sobie radzić i co za dobre uzna załatwiać, a nietylko

powinna, ale ma prawo do tego; a nikomu nie przystoi to prawo jej niweczyć, albo jemu przeszkadzać. Byłoby to rzeczą niesłuszną, dla każdej władzy błędną i naganną, bo dla gminy uciążliwą. A taka opieka nazywałaby się nie wolnością, ale opieką niewoli.

III. Zdrowie, nauka i moralność.

Jużeśmy to nie raz mówili, że gmina podobną jest do wielkiej rodziny. Jakoż gmina we wszystkich sprawach swoich powinna na to pamiętać i tak postępować jak poczciwa rodzina sobie postępuje, we wszystkiem co obchodzi spólne jej dobro, wszędzie gdzie potrzeba wzajemnej pomocy jednego dla drugiego. Jak rodzina podejmuje różne prace około chleba powszedniego i wszyscy spólnie strzegą i uprawiają rolę, która ich żywi, albo pilnują rzemiosła, z którego mają utrzymanie, tak gmina czuwa nad własnością wspólną, gromadzką, z której pożytek powinien iść na wspólne dobro wszystkich członków gminy: i jakieśmy powiedzieli, do tego starunku ma gmina swoje jedyne prawo. Jak ojcowie rodziny nie poprzestają na tem, aby dzieciom dać strawę i odzienie, lecz myślą o różnych ich potrzebach; pomagają w rozmaitych okolicznościach, nie opuszczają w chorobie, uczą pracy i według sił swoich radzi udzielić im jakiej takiej nauki, żeby to było i do Boga i do ludzi: tak i ojcowie gminy mają obowiązek oprócz starunku około własności gromadzkich, około porządku i bezpieczeństwa miejscowego, dbać o inne i cielesne i duchowe dobro wszystkich członków gminy; a co się da wspólnemi siłami, wspólnym majątkiem zrobić, to robić sumiennie co potrzeba i dla doczesnego bytu na teraz, i dla przyszłości pokolenia, które w tej gminie ma się rozrastać i podnosić i da Bóg kiedyś swoim rozumem i swoją powagą zastąpić głowy tych, którzy dzisiaj o nich myślą i dbają i według ich przykładu pracować znowu dla przyszłego pokolenia swego.

Do takich starań należą starania około zdrowia, nauki i moralności.

Według możności i środków swoich, gmina powinna myśleć nietylko o koniecznych potrzebach, ale nawet o wygodach

i przyjemnościach godziwych, które Bóg stworzył dla człowieka, a które człowiekowi dają spokój, robią go łagodniejszym i lepszym. Tem bardziej dbać potrzeba o te rzeczy, któreśmy tu wyliczyli.

Gmina powinna według możności swojej utrzymywać lekarza swojego, albo w potrzebie dojeżdżającego z sąsiedztwa, ażeby jej chorzy nie byli pozbawieni pomocy, którą Bóg dać może przez lekarzy, co się nauce do tego potrzebnej oddają i środki leczenia z długich doświadczeń całego świata poznają.

Dziatki nie powinny wzrastać samopas jak ptactwo i zwierzątka domowe, kiedy Bóg dał człowiekowi rozum, i różne zdolności, które człowiek powinien na Chwałę Bożą i pożytek swój i swoich spółbraci podnosić, doskonalić nauką. Do tego potrzebne są szkoły, które gmina na pierwsze potrzeby powinna utrzymywać u siebie. Dzieci nim nabiorą sił do twardszej pracy około gospodarstwa lub rzemiosła, mają dosyć czasu nauczenia się czytać, pisać, rachować. Ta mała nauka już im będzie bardzo użyteczna w każdym stanie, w każdem zatrudnieniu, ustrzeże ich w dni wolne od próżniactwa; poda im piękne myśli i modlitwy w kościele; poda im pożyteczną rozrywkę w domu; otworzy im oczy na wiele cudów świata, na wiele dzieł boskich, których bez nauki nie znajdą; nauczą się tego co się ludziom od nich, co się im od drugich należy; oczy ich przejrzą i zobaczą nietylko to co ich otacza, ale i to, co było przed nimi, co było przed dawnemi wiekami, słowa ludzi co już dawno pomarli, będą dla nich żywe i zrozumiałe; słuchać będą nauki i rozmowy ludzi, których prochu już nikt nie dostrzeże: bo słowo w pismach nie umiera; poznają koło siebie ludzkość całą, którą Bóg rozsiał po świecie; co ta ludzkość przeżyła, co ucierpiała, czego się za boską pomocą dorobiła, co się jej jeszcze w przyszłość należy: bo człowiek co w dobrych książkach czyta, to się wszystkiego doczyta.

Powinna więc gmina nie żałować grosza na założenie szkółki, gdzieby się dzieci jej nauczyły w ojczystym języku, czytać, pisać, rachować, religji, w której je Pan Bóg stworzył i co zresztą przydać im się może, wiadomości o gospodarstwie, ogrodnictwie lub rzemiosłach.

Wybór nauczyciela należy do tych, którzy mu dają główne wyposażenie. Jeżeli to czyni gmina ze swojej własności, to gmina ma prawo wybrać sobie nauczyciela. Jeżeli to czyni jaki inny fundator, to od jego woli zależy, co rozporządzi o nauczycielu, czy sobie prawo wybierania zostawi, czyli też gminie odstąpi. A jeżli sobie gmina uzna za rzecz potrzebną, aby miała dwie różne szkoły, to wolno jej podzielić się na dwoje i na troje, według życzenia mieszkańców, a kto jakiej jest woli, do takiej szkoły grosz swój ofiarować może, do jakiej mu się podoba, i dzieci swoje tam posyłać może, gdzie zechce; a nikomu nie wolno zmuszać kogokolwiek, aby posyłał swoje dzieci do takiej szkoły, której on dla swoich dzieci nie chce; nie wolno tego czynić ani dla nazwiska, ani dla pochodzenia jego, ani dla żadnej przyczyny, ale szanować trzeba wolą rodziców samych, bo tego wymaga zasada wolności, aby każdy czynił według woli swojej, a nie krępował nikogo w woli jego i w prawach jego.

Nauka potrzebną jest dla udoskonalenia człowieka i pożytku jego. Rodzice sami najlepiej to osądzą, jaka nauka pożyteczniejszą jest dla ich dzieci, i tylko rodzice sami mają do tego wyboru prawo. Nie wolno jest żadnej władzy jak rekrutów do tego lub innego regimentu, zapisywać dzieci do tej lub innej szkoły, jeżli sobie tego rodzice nie życzą.

Wspomnieliśmy także, iż gmina powinna dbać także o moralność miejscową. Niema to znaczyć aby jej wolno było roztrząsać ludzkie sumienie, zaglądać co się robi w rodzinie i w domu każdego: od tego jest religja, od tego są kapłani, którzy przykładem i nauką swoją złemu przeszkadzać powinni. Ale są inne rzeczy, w których gmina przez porządki publiczne starać się powinna o to, aby złe przykłady publicznie nie obrażały i nie psuły drugich. Powinna czuwać nad ubogiemi swojemi, aby się nie trudnili żebractwem, które się podoba każdemu próżniakowi, człowieka do podłości i do zepsucia prowadzi. Powinna czuwać aby karczmy w przyzwoitą godzinę były zamykane i wypróżnione z ludzi lubiących zabawiać się pijatyką; — powinna karcić wszystkie psoty i szkody jakie w gminie uczyni kto komukolwiek; — powinna bez pobłażania złoczyńców od-

dawać w ręce sprawiedliwości; — powinna czuwać nad tem, aby człowiek niemoralny nie był obrany do żadnego urzędu w gminie; — powinna we wszystkich swoich czynnościach dbać o to, aby wszystko szło prawdą i uczciwością, a w wychowaniu dzieci żeby zawczasu uczono, że wszelki występek powinien być pogardzony, a tylko cnota szanowaną.

Cztéry role.

Ułożył Józef z Bochni.

(Dokończenie.)

Dusza nasza trzecia rola,
W niej ukryta Boga wola; —
Wszak wy wiecie o tym cudzie,
Że obrazem Jego ludzie;
A że święty, sprawiedliwy —
Toć i człek ma być uczciwy:
Mieć powinien rozum w głowie,
Tkliwość w sercu, szczerość w mowie,
Duszę czystą, ludzką, prawą,
Boć to szczęścia jest podstawą.
A za duszę, za cnotliwą,
Bóg nagrodę da prawdziwą.
Więc, by szło za Bożą wolą,
Trza się zająć duszy rolą,
By nie ściągnąć potępienia —
Trza za głosem iść sumienia.
Ale szatan kusi, mami,
Człek grzechami duszę plami,
Jest dla drugich niebezpieczny,
Lekceważy żywot wieczny,
Nie zna bliźnich, nie zna braci —
Prawość drugich krzywdą płaci;
Lecz gdy słucha słów kościoła,
I do nauk chętny zgoła,
Gdy rozum pilnie podnieca,
Światłem wiedzy go oświeca,
Dusza wtenczas jak lilija,
Ku niebiosom się wybija.

Naród ciemny i bezwiedny,
Zawsze nędzny, zawsze biedny —
Kto się uczy, kto coś umie
Skarby znajdzie w swym rozumie,
A po Bożym, wielkim świecie
Jak wiatr rozgłos się rozmiecie,
Hen w dalekie, obce ziemie,
Że tu dziarskie żyje plemię.

I dla twego bracie ciała,
Opatrzność ci rolę dała,
I chce byś sześć dni pracował,
Siódmy Panu ofiarował.

Ziemia dla nas czwarta rola;
Toć by znośną była dola,
Trza ją prawić i obsiewać,
A już plonu się spodziewać
Możesz z ręki Pana nieba;
Dosyć mienia — dosyć chleba!
Lecz się nie chciej nigdy lenić,
Bo się dola może zmienić,
Człek nędznieje, suszy bieda;
Próżniakowi — nikt nic nie da.
Co za śliczne przeznaczenie,
Żyć dla drugich na ulżenie
Pracy, trudów — żyć na roli
I po Bożej działać woli!

Sielska praca, pług i radło
W udział kmiotku ci przypadło,
Bądź więc pilny, bronuj łany,
Tam kęs ziemi ukąpany
Potem ojców; — w tej to ziemi
Stokroć zboże się rozplemi.
Módl się, pracuj — ufaj Panu,
A skarb zbierzesz z twego łanu,
Trud i praca nie przepadnie,
Bóg nagrodzi ci je snadnie;
Bo twa praca — to pociecha,
Nią się zdobi twoja strzecha.
A gdy będziesz człek piśmienny,
Zaprowadzisz ład odmienny,
Koło sadu i stodółek,
I mieć będziesz roje pszczółek,
Oporządzisz twoją chatkę,
I wyuczysz twą czeladkę —
Jako działać ma na grzędzie;
Nic nie pójdzie po obłędzie:
Tu oglądniesz, tam się spytasz,
I zapiszesz i przeczytasz,
Łacno zwiększysz twój dobytek,
Wszystko zwrócisz na pożytek.
Za porządkiem przyjdzie zdrowie;
A gdy rozum będzie w głowie,
To postąpisz z każdym godnie
Będziesz także niezawodnie
I otwarty i rzetelny,
I mąż z ciebie będzie dzielny;
Poważanie zyskasz wszędzie,
To też życie rajem będzie.

* *
*

Owoż bracie wspomnieć muszę,
Bacz na rozum, serce, duszę,
I na ziemię — czwartą rolę,
A wypełnisz Bożą wolę,
I odżyjesz jak na nowo,
Kiedy przejrzysz na świat zdrowo —
Nie zatracisz twojej duszy
I nędza cię nie wysuszy.
Wreszcie taka moja rada,
Jak ją sławny mąż *) powiada:
„Kochaj pracę i wytrwanie,
Nieporządek więcej strudzi,
Snem jest duszy próżnowanie,
Karą życie, które nudzi.“

*) Brodziński.

Gawęda o strachach.

Było to zeszłej zimy jakoś w listopadzie. Na dworze nie było wprawdzie mrozu wielkiego, ale wiatr dął przeraźliwie i przenikał aż do kości. Już zmrok był zapadł, w chacie jakoś mi było samotno i nudno, roboty człek żadnej nie miał, więc zebrałem się do młynarza Bartłomieja na wieczorną gawędę. Trzeba bowiem wiedzieć, że u Bartłomieja, który był bardzo zamożnym i zacnym człowiekiem, bywały w każdy wolny od roboty wieczór schadzki sąsiadów, a na tych schadzkach rozprawiano o rozmaitych rzeczach rozumnych, powtarzano sobie historje starodawne, a czasem też czytał kto głośno z jakiej dobrej książki lub gazety.

Kiedy przyszedłem do Bartłomieja, zastałem tam nauczyciela naszego ze wsi, starego lokaja Jacka ze dworu, i Grzelę mego sąsiada. Ledwiem się powitał i usiadł, gdy pani Bartłomiejowa zawołała nas do wieczerzy, bo Bartłomiej już taki był gościnny, że gościa byłby z domu nie wypuścił, gdyby u niego nie był co przełknął lub przekąsił. Zjadliśmy tedy smaczną polewkę z piwa z serem a ogrzawszy się nią zasiedliśmy przy ogromnym kominie, na którym się palił duży ogień.

Siedząc tak przy ogniu i kurząc lulki gwarzyliśmy o rozmaitych ciekawych rzeczach do późna, bo jak to ludzie rozgawędzą się raz między sobą, to i trudno się oderwać od rozmowy.

Naraz porwał się Grzela z ławki i powiada:

— No panowie sąsiedzi, noc już dobra, muszę iść do chałupy!

— Ej czegoż to się tak spieszycie — rzecze młynarz — ot zostańcie pogadamy jeszcze chwileczkę.

— To już to mówiąc szczerze — odpowiada Grzela — chętnie bym ja z wami został i słuchał dalej, ale markotno mi będzie wracać do domu, bo wiecie, że muszę iść po pod cmentarz.

Na to zaśmiał się głośno pan Bartłomiej i mówi:

— Oho sąsiedzie boicie się strachów! a to wstyd przecie!

— Wstyd czy nie wstyd — rzecze na to Grzela, a już się na prawdę zawstydził — ale strach zawsze strachem.

Bartłomiej zaśmiał się jeszcze głośniej i rzekł:

— Ludzie się oświecają coraz bardziej i uczą, a przecież są jeszcze tacy, co wierzą w strachy. A toć i wstyd pomyśleć, aby człek letni i rozumny wierzył w strachy i bał się ich jak dziecko albo jaka głupia baba. Ja przynajmniej nie wierzę w żadne gusła, upiory, strachy i inne głupie zabobony, bo to i rozumowi i wierze naszej chrześciańskiej się sprzeciwia! A któż to wam powiedział, że są strachy na świecie?

Grzelę jeszcze bardziej zawstydziła ta mądra przemowa i nic nie odpowiedział, jeno milczał zakłopotany.

— Kto wierzy w strachy — rzecze wtedy pan nauczyciel — ten nie jest ani rozumnym człowiekiem ani dobrym

chrześcianinem, bo przecież samo pismo święte zakazuje wierzyć w czary, gusła i upiory. Toć też jeszcze żaden rozumny i dobry człowiek nie powiedział nigdy, że widział stracha. Chyba głupi człowiek to mówi, bo mu się roi we łbie, albo zły, kiedy mu złe sumienie stawi przed oczy widma jakieś, które tylko w jego nieczystej duszy istnieją.

— Świętą prawdę mówicie panie nauczycielu — odezwał się na to Bartłomiej. Baśnie o strachach i upiorach powstają albo z złego sumienia albo z głupoty. Nieraz bowiem ludzie łatwowierni i bojaźliwi, uważają coś takiego za strachy, co jest całkiem naturalne. Bojaźliwy człowiek w każdej wierzbie widzi po nocy upiora a w każdej płachcie powieszonej na płocie jakieś straszliwe widmo. Gdyby miał rozum i odwagę, toby się mógł śmiało przekonać, że się bał nadaremnie.

— Kiedy już o tem mowa — zabrał głos pan nauczyciel — to wam muszę opowiedzieć, co mi się samemu przydarzyło, a najlepiej się przekonacie, jaka to głupia rzecz być bojaźliwym i łatwowiernym.

Wszyscyśmy się przysunęli bliżej do nauczyciela, a i Grzela zawstydzony nie kwapił się już do domu, ale usiadł znowu przy kominie — a pan nauczyciel począł tak rozpowiadać.

— Kiedym był jeszcze młodym chłopakiem i ledwo ukończyłem szkoły, byłem w jednym dworze ztąd daleko za nauczyciela przy małym synu dziedzica. Dwór ten, w którym mieszkał dziedzic, był bardzo stary i miał wielką wieżę, a jak powiadają, to i tatarskie czasy zapamiętał. Otoż w tym dworze była wielka okrągła sala, w której się znajdowały rozmaite stare zbroje i rzeczy, a niektóre bardzo drogie i kosztowne, bo były z szczerego srebra, jak na przykład pancerze, hełmy, i pochwy przy starych szablach, co się zwą karabele.

W tej wielkiej izbie było także dużo wielkich obrazów, a jeden z nich ogromnej wielkości, na którym był namalowany król Jan Sobieski.

Obraz ten nie wisiał na ścianie, tylko oparty był o jeden kąt izby.

Otoż zdarzyło się raz, że pewnej nocy dobywali się jacyś hultaje do tej sali, zapewne, aby pokraść to srebro, którego

tam tak dużo było — ale im się to nie udało, bo dworscy spostrzegli i rozpłoszyli.

Dziedzic bojąc się, aby ci hultaje drugi raz nie dobrali się do sali, kazał nocować w niej swemu słudze Maciejowi. Maciej tedy poszedł tam nocować. Nie można było powiedzieć, aby Maciej był bojaźliwym tchórzem, ale przecież gdy się ujrzał sam na sam w dużej izbie, jakoś go strach zebrał. Izba była bardzo duża, tak że świeca jej całej oświetlić nie mogła, więc też po kątach wszędzie panowała ciemność, a z tej ciemności wyglądali groźnie rycerze namalowani na obrazach.

Ile razy Maciej spoglądnął na te duże malowania, zdawało mu się, że ci rycerze w zbroi ruszają się w ramach, jakby chcieli zejść na posadzkę. Maciej opatrzył czy okiennice dobrze zamknięte, odmówił modlitwę i chciał iść spać.

Koło tapczana, na którym sobie był pościelił, stało wielkie źwierciadło, a zaraz na przeciw tego zwierciadła stał w kącie ów obraz króla Sobieskiego, tak, że gdy było zaglądnąć do zwierciadła, to można było w niem zobaczyć obraz króla.

Maciej przechodził ze świecą koło zwierciadła i ujrzał też w nim portret króla. Rzucił nań jeszcze raz okiem do zwierciadła i o zgrozo! — król z portretu wyraźnie mruga oczyma!

Dreszcz przeszedł Macieja, nogi pod nim zadygotały! Patrzy raz jeszcze do zwierciadła, a owe oczy, co się odbijają z portretu, świecą się i ruszają jakby żywe!...

Gdy Maciej trochę się opamiętał, myślał, że to się tak w zwierciadle tylko odbija, i idąc do tapczana zerknął z pod oka na sam obraz pod ścianą a w kącie. Ale i tu zobaczył dwoje ruszających świecących się ócz. Wyraźnie król Jan z portretu patrzył na niego żywemi oczyma!...

Maciejowi włosy stanęły na głowie, ale nie wołał ratunku, bo się wstydził, jeno wyszedł z sali i zamknął za sobą na klucz drzwi. Kiedy już był za progiem, poleciał jak opętany na dół do czeladniej izby i zawołał blady jak trup:

— Duch święty z nami! W sali coś straszy!

Wszyscy się porwali na równe nogi i zaczęli się wypytywać, a Maciej trzęsąc się cały od strachu począł im opowiadać, co widział. Czeladź się postraszyła ogromnie i wszyscy

wylecieli z izby, chcąc budzić pana. Drzwi od pokoju, w którym ja spałem, były tuż przy izbie czeladniej, więc porwałem się na równe nogi, bom nie spał ale książkę czytał, i wybiegłem do sieni. Pytam co się dzieje, a oni mi opowiadają niestworzone rzeczy, bo jak to mówią, strach ma wielkie oczy!

— Chodźcież ze mną do sali! — rzekłem do nich.

— O nie! my idziemy pana zbudzić!

— Nie budźcie pana, bo wiecie że chory, ale chodźcie ze mną, to się przekonacie, że się Maciejowi tylko przywidziało!

— A ktoby nam kazał iść tam, gdzie coś straszy! — rzekła czeladź.

— Wstydźcie się tchórze — zawołałem — cóż to baby jesteście, czy co? Ja pójdę naprzód, a wy chodźcie ze mną!

I skoczywszy do mego pokoju, wziąłem z tamtąd pistolet nabity, który pożyczyłem był sobie dla zabawy od dziedzica.

Czeladź nabrała jakoś odwagi, i widząc, że idę naprzód, poszła za mną z kijami i siekierami.

Maciej nam otworzył i weszliśmy do sali. Ja nie czekając długo idę ze świecą prościutko do obrazu króla Jana — patrzę i akuratnie, oczy się w obrazie świecą i ruszają trochę!

Czeladź mało ze strachu nie uciekła, a i ja trwogi trochę uczułem — ale wnet się opamiętałem, odwiodłem kurek od pistoletu, wycelowałem w obraz i zawołałem:

— Wychodź, bo strzelę!

Ledwo to wypowiedziałem, a tu oczy naraz zniknęły w obrazie a zamiast oczu pokazały się tylko dwie dziury.

— Bierzcie obraz! — zawołałem na czeladź.

Zrazu się bali, ale wnet dwóch śmiałych parobczaków postąpiło naprzód, chwycili za obraz i odsunęli go na bok!

Patrzymy, a tu za obrazem w kącie przykucnął jakiś człowiek! Chwytamy go, patrzymy i poznajemy, że to Franek, sławny złodziej, którego niadawno wypuścili z kryminału!

— Mamy stracha! — zawołaliśmy wszyscy chwytając hultaja w nasze ręce.

I taki to był strach.

Maciej kiedy szedł spać do sali, zapomniał był coś i wrócił się do izby czeladniej a drzwi nie zamknął, tymczasem ów

niecnota złodziej, który od dawna czatował na sposobność, wkradł się do sali i schował się za obraz, a aby sam był skryty a wszystko dobrze widział, wyrznął w obrazie dwie dziury, tam gdzie były namalowane oczy, i przez te dziury przypatrywał się i czekał, dopóki Maciej nie zaśnie.

Związaliśmy stracha a na drugi dzień odwieźli do kryminału — a potem było wiele śmiechu z tej całej historji — a ci co się bali, mieli wstydu po uszy!

Gdy nauczyciel skończył swoje opowiadanie — które nam się bardzo podobało, odezwał się młynarz Bartłomiej:

— Kiedyśmy się już o takich rzeczach rozgadali, to bym wam opowiedział jeszcze jedno zdarzenie, którego sam byłem świadkiem.

— Prosimy! prosimy! — zawołaliśmy razem.

Bartłomiej nałożył sobie świeżą lulkę tytoniu, zapalił, i puściwszy kłąb dymu ku kominowi tak począł prawić:

— Opowiem wam historję o ułanie bez głowy i młynarczyku Janku. Kiedym był jeszcze czeladnikiem młynarskim, byłem w terminie u jednego mielnika pod Warszawą. Było nas kilku czeladzi u niego, sami walni i weseli chłopcy, ale najweselszym ze wszystkich był Janek, który nietylko pierwszy był do roboty ale i do figlów. Młynarz, u któregośmy terminowali, miał córkę jedynaczkę Basię, dziewuchę urodziwą, aż miło. Otoż musicie wiedzieć, że Janek pokochał Basię a Basia też nie była krzywą Jankowi. Sam młynarz nie gniewał się o to, bo Janek był poczciwy i żwawy czeladniczek — a on sam już stary i słaby, a tu młyn duży i sławny na całą okolicę potrzebował tęgiego majstra.

Miał więc Janek nadzieję, że Basia będzie jego, gdy naraz pojawił się w sąsiedniej wsi ekonom, jakiś wisus warszawski. Zaglądnął on do młyna, podobała mu się Basia a podobno bardziej sam młyn, i nuż smalić cholewki do dziewczyny i przymilać się ojcu. Umiał się niebawem tak przypodobać ojcu, że choć go Basia nie lubiła, młynarz rad go przyjmował w swej chacie. Janka to okrutnie gryzło i gniewało — chodził chłopak jak struty, bo się bał, że mu ekonom dziewkę z przed nosa pochwyci.

Razu jednego w zimie pod wieczór przyjechał ekonom w odwiedziny do młynarza i zabawił do późna. Przy wieczerzy ekonom zalecał się Basi, plótł koszałki opałki, kłamał niestworzone rzeczy o Warszawie — a Janek tymczasem czerwony był od frasunku jak rak i ani łyżki do ust nie przytulił od gniewu.

Nareszcie gdy już było dobrze pod noc, począł się zabierać ekonom do domu, ot tak jak przed chwilą Grzela odemnie. Młynarz go zatrzymuje i prosi aby został jeszcze.

— Ej zostałbym ja i do rana — rzekł ekonom mrugając siwemi oczkami na Basię — ale cóż kiedy mi droga po pod wierzbowy jar, a wy wiecie panie młynarzu, że tam niebezpiecznie!

A trzeba wam wiedzieć, że z młyna do wsi trzeba było iść przez dół głęboki, obrosły po bokach wierzbami, który się dlatego nazywał wierzbowy jar. Otoż o tym wierzbowym jarze opowiadały stare baby i głupcy, że tam coś straszy. Mówiono, że tam przed dawnemi laty była bitwa i kula armatnia urwała głowę jakiemuś ułanowi, i że ten ułan jeździ teraz tamtędy o północy bez głowy na czarnym koniu. Kto mądry ten w takie dziwne brednie babskie nie wierzył — ale ekonom nie był mądry i bał się strachów. Kiedy więc tak mówił do młynarza pyta go tenże:

— Alboż to wy wierzycie w strachy?

— No, no, wierzę nie wierzę! — odpowiedział ekonom zawstydzony — jużciż że nie wierzę i nie boję się niczego!

— A więc zostańcie jeszcze!

Ekonom rad był jak najprędzej odjechać, bo udawał tylko zucha, ale widząc, że Janek się zaśmiał i Basia także, został aż do samej północy. O północy rozeszliśmy się spać, tylko Janek gdzieś się był podział, a ekonom z wielkim strachem siadł na swoją szkapę i pojechał. Przez drogę sobie pogwizdywał dla odwagi, ale im bliżej było do wierzbowego jaru, tem bardziej go strach zbierał, bo jak już powiedziałem był człek nie mądry i lękliwy. Kiedy już wjechał w sam jar, strach go jeszcze większy zebrał i popędzał co siły szkapę, aby prędko minąć to miejsce. Ale szkapa jakby na złość nie chciała bie-

gnąć prędko a tu ciemno i głucho, jeno wiatr jęczy i po polu świszcze.

Gdy się tak biedzi ekonom, słyszy nagle za sobą tentent, jakby kto za nim na koniu pędził. Przypomniał sobie zaraz ułana bez głowy i lęk go przejął okrutny. Począł bić z całej siły szkapę, aż nareszcie rozpuściła jakoś stare nogi, ale nic to nie pomogło, bo tuż za nim słychać był stuk kopyt koński i brzęk jakby od szabli.

Pot śmiertelny oblał ekonoma, bije szkapę co może i cmoka — ale widmo za nim ciągle goni — nareszcie już go dopędziło. Ekonomowi głos zamarł w gardle, włosy mu stanęły kołkiem na głowie, patrzy obok siebie, a tu pędzi koło niego czarny jeździec bez głowy na czarnym koniu. Jeździec ten nie miał głowy na karku, jeno ją trzymał w rękach przy siodle!...

Ekonom miał jeszcze tyle tylko przytomności, że palnął szkapę kijem z całej siły i wysunął się naprzód nie wiedząc co się z nim dzieje. Wtem ze wsi zaleciał głos koguta! Ekonom oglądnął się po za siebie — patrzy a tu — o zgrozo! — owa mara na koniu rzuca wprost na niego swoją głowę!... Ekonom zgiął się we dwoje ale nic mu to nie pomogło, głowa rzucona przez czarnego jeźdzca palnęła go po samym czubie! Ekonom na pół nieżywy ze strachu spadł z konia i zemdlał a szkapa pognała sama do wsi.

Tak leżał jakiś czas bez duszy ekonom, aż naraz się przebudził i patrzy, a tu koło niego stoi i stary młynarz i Basia i młynarczyk Janek i nas dwóch innych czeladników z latarniami i śmiejemy się z całego gardła! Ekonom przetarł oczy i popatrzył do koła i zawołał:

— Wszelki duch chwali Pana Boga!

— I my go chwalimy — odrzekł stary majster zdejmując baranią czapkę z głowy — ale co to się z wami stało?

— Oj gwałtu! — jęknął ekonom — toć mnie ten jeździec bez głowy ścigał aż tutaj, a nie mogąc mnie dopędzić, rzucił za mną swoją odciętą głową, którą trzymał w ręku.

— Cha, cha, cha! — zaczął się śmiać majster — a wiecie kto to był ten jeździec? To był Janek niecnota! — a ta głowa ot tu koło was leży.

Ekonom patrzy koło siebie — a tu leży dynia, która się o jego czuprynę połupała w kawałki!

Wiecie już teraz sami jak to było. Janek chciał figla spłatać ekonomomi, a dowiedziawszy się że się boi strachów, obwinął się cały z głową w czarny koc i jeno na oczy zostawił dziurę, siadł na konia czarnego młynarzowego, wziął dynię do rąk, przypiął łańcuch do siodła aby brzęczał i tak pędził za ekonomem, a potem za nim dynią rzucił.

Gdy ekonom padł na ziemię Janek wrócił prędko do młyna, opowiedział co zaszło i wszystkich na to miejsce sprowadził, gdzie to się stało.

Co było śmiechu z tego i jak się ekonom zawstydził, nie potrzebuję wam już i opowiedzieć. O Basi już teraz ani mógł myśleć ekonom, jeno odgrażał się na Janka, ale gdy cały ten śmieszny wypadek gruchnął po wsi, wyniósł się na inną służbę a w kilka miesięcy potem sprawiał młynarz huczne wesele Jankowi i Basi.

Uśmialiśmy się serdecznie z historji Bartłomieja, a że już było na prawdę późno, więc pożegnaliśmy się z gospodarzem i poszli do domu. Ja zaś całą tę gawędę wypisałem do naszego „Dzwonka“ — gdyż bardzo dużo jest jeszcze ludzi, którzy wierzą w upiory, wiedźmy i inne podobne bzdurstwa.

Stach Barwinek.

RÓŻNOŚCI.

Okropne nieszczęście. W kraju co się zowie Mezopotamią, to już het za morzami, w drugiej części świata, stał się okropny przytrafunek, gdyż nagle otwarła się ziemia w przestrzeni około 30 mil mająca, i zapadło się 16 mil. Gazety nie donoszą dalej czy w tem miejscu wybuchła woda, i stało się morze, czy też ognie na tem miejscu powstały albo jakie palne rzeczy smoła lub nafta. Później doniosą nam zapewne o tem.

Rada przeciw cholerze. Wspominaliśmy wam już w zeszłym numerze o tej strasznej chorobie — a teraz donosimy wam, że we Lwowie napisał pewien uczony doktor małą książeczkę dla ludu, w której wyłożone jest jasno i na rozum, jak się ustrzedz przed tą słabością i jak się ratować gdy już kogo owładnie. Ta książeczka kosztuje tylko 10 kr. a dostać ją można po wszystkich księgarniach. Lekarz, który ją napisał nazywa się Szczęsny Ludolub.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. **Nr. 10.**

1. października **1866.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

IV. Szanowanie pamiątek.

Wypada nam jeszcze wspomnieć o jednym obowiązku moralnym należącym do gminy, który daje świadectwo o zacności i wykształceniu gminy. A chociaż to co zacne i słuszne, powinno być samo z siebie w sercu każdego poczciwego człowieka i mówić mu o tem nie trzeba — toć przecię kiedyśmy sobie zamierzyli pisać o rzeczach publicznych, to jest o różnych prawach i obowiązkach publicznych, to jużciż nie można pominąć rzeczy, która nie jest najmniejszą, owszem należy do rzeczy bardzo szlachetnych i dobre świadectwo daje o ludziach, którzy u siebie o niej pamiętają. Otóż tą rzeczą publiczną, tym moralnym obowiązkiem należącym do gminy, jest: szanowanie i przyzwoite utrzymywanie pamiątek publicznych.

Za naszych czasów powznosiły się daleko wzdłuż i wszerz po ziemi, krzyże i inne pomniki, na pamiątkę zniesienia pańszczyzny. Chwalebna jest rzecz, iż ludzie uczuli jak piękną jest swoboda, jak przykrą była niewola, a na pamiątkę tej

szczęśliwej przemiany losu ludzkiego, postawiali te pomniki, aby każdy przechodzień wspomniał sobie na to, co było przed laty, aby dziękował Bogu że się opiekuje losem ludzkości, podźwignął ją z niedoli, aby każdy też starał się być godnym tej wolności, której dostąpił; aby wolność kochał i stał się godnym zupełnego jej dokończenia.

Pomniki te zachęcać mają młodzież do miłowania wolności, a do obrzydzenia sobie niewoli: bo wszelka niewola jest podłą, nieludzką rzeczą; jest hańbą dla tych, którzy ją cierpliwie znoszą i nie czynią rozumnego i godziwego starania, aby się z niej wydobyć. Więc takie pomniki są ostrzeżeniem, aby się ludzie uczyli, jak niewola na świat przyszła i jak z niego powoli ustępuje; a są też przypomnieniem, aby ludzie miłując wolność, nie dali się nigdy niewoli ujarzmić. Więc też chwalebną jest rzeczą aby pomniki te, dla nauki przyszłych pokoleń, były szanowane.

Lecz nie koniec na utrzymaniu tych świeżych pamiątek. Szanujemy je, bo są pomniki ważnej zmiany naszego losu, są pomnikiem wolności, drogiemi być powinny, i będą zawsze drogiemi człowiekowi, który się przy nich wychował: lecz tu jeszcze nie koniec; dla serca tu nie dosyć. Przy tych pomnikach nie ma pamiątki poświęcenia, nie ma pamiątki ofiary, która do duszy pokoleń przemawia. Usamowolnienie ludu przyszło, jak przychodzi światło słoneczne po nocy; jak owoc dojrzały, który odpada od drzewa, ani go drzewo przemocą nie trzyma, ani się owoc gwałtem nie wydziera. Nie było tych coby chcieli niewolą utrzymać, nie było tych, coby przeciwko niewoli walczyli i dla swojej wolności ofiary ponieśli. Ci co mieli prawa panowania, o te prawa nie dbali, ci co mieli obowiązki posłuszeństwa, wolności się nie dopominali. Wolność przyszła, jak przychodzi wolność ptaszkowi, którego ptasznik z klatki sam wypuszcza — jak przychodzi zieloność wiosny, kiedy ciepło słoneczne rozpuści lody i ziemię rozgrzeje. Światło duchowe oświeciło rozumy ludzkie, ogrzało serca mnóstwo ludzi i uczyniło je czułemi na cierpienia swoich spółbraci. Złe minęło, bo się nie mogło ostać obok oświeconego rozumu i poprawionego serca.

Lecz bywają między nami także inne pamiątki, przy których są pamiątki cierpień i krwawego poświęcenia dla dobra publicznego. Bywają nagrobki w kościołach, posągi lub słupy przy drogach, mogiły w polu i stepach, w których spoczywają kości ludzi dawnych, co bronili tej ziemi, na której dzisiaj swobodny lud żyje. Byli to ich przodkowie, co nie w swobodnem życiu, ale w trudach i walce polegli, może przeciwko pogwałcicielom tej ziemi, może przeciwko pogwałcicielom sumienia: Takiej krwi, takiemu poświęceniu, cześć się należy. Takim prochom należy się religijna pamięć w modlitwie; takim pomnikom należy się poszanowanie i przyzwoite utrzymanie dla pamiątki najpóźniejszych pokoleń.

Bywają też miejscami stare drzewa, stare gaje, o których pamięć ludzka przechowuje różne ciekawe o dawnych czasach opowiadania. Należy takie miejsca strzedz od wszelakiej psoty i zniszczenia, choćby tylko dla dawności samej, bo kto przeszłość szanuje i o niej pamięta, ten przyszłości godzien i o nim przyszłość pamiętać będzie.

Taką samą pamięć jak o pomnikach widomych, należy zachować o pamiątkach; które nie zawsze pomniki widome mają. Bywają ludzie, którzy się gminie zasłużyli; bywają ważne zdarzenia, które tę gminę obchodzą, które w dobrych sercach żyją, z których wypłynęło jakieś dobro dla ludzi i cześć dla nich urosła w pamięci ludzkiej: należy tę pamięć przechować od pokolenia do pokolenia, przez uroczystości kościelne, przez uroczystości gminne, dla uczczenia tego, co godne uczczenia.

Ojcowie gminy dla zachowania tych pamiątek i tej cześci, nie powinni sobie folgować i dopuszczać niedbalstwa. Młodzież, która wzrasta pod ich bokiem, uczy się na jej przykładach i taką się staje jak oni. Uczy się poszanowania zacności, albo niedbalstwa o nią, według tego co widzi koło siebie: a za tem idzie dobro gminy i przyszłych jej pokoleń. Kto się nauczy szanować to co dobre, to sam dobrym będzie. Kto się nauczy czcić to co poświęcone, to i serce jego będzie poświęcone. Kto daje przykład poszanowania starości, to i jego starość poszanowaną będzie; kto przeszłość szanuje i o niej pamięta, to i sam przyszłości godzien i o nim przyszłość pamiętać będzie.

V. Urząd gminny.

Przeszliśmy główniejsze prawa i obowiązki gminy, które jej służą do strzeżenia i użytkowania swojej własności, czuwania nad bezpieczeństwem i porządkiem miejscowym, moralnością publiczną, oświatą i uobyczajeniem swojem.

Po tych uwagach moglibyśmy się zapytać, jakże to gmina przystąpić może do wykonania różnych prac około swojego dobra, około potrzeb swoich, praw i obowiązków swoich wtenczas, kiedy już jej to wszystko uczynić wolno? Gmina składa się z kilkuset, kilku, czasem kilkunastu tysięcy i więcej mieszkańców. Wszyscy mieszkańcy gminy mają równe prawa do zawiadywania potrzebami spólnej gminy: któż tam ma o czem mówić, kto co wykonywać, jeżeli wszyscy mają równe prawa? Toć chyba wszyscy razem mają radzić i rządzić i robić? Cóżby to był za gwar. Ktoby tam doszedł końca co robić wypada; ktoby tam doszedł tego co jest wolą gminy, kiedy gmina składa się z tysiąca głów, a co głowa to rozum, a co najwięksi próżniacy to krzyczećby woleli raczej niż słuchać, o wygodę swoję raczejby dbali niż o potrzeby gminy, skłonniejsi byliby do rozkazywania, niż do porządku i pracy? Gdzie tam dojść końca, od czego zacząć i czyja wola ma być wykonaną? W takiej gminie zaprawdę nie byłoby równości, nie byłoby wolności, bo tam prędko burdy i zawadyactwo wzięłyby górę, zahukanoby ludzi porządnych i spokojnych, przewrotność wzięłaby górę nad rozumem i sprawiedliwością, zuchwałość nad skromnością; nie byłoby równości i wolności, ale byłaby swawola i ucisk. Kto zuchwalszy to byłby głośniejszy i pierwszy, a kto mocniejszy to lepszy. Taka równość byłaby nierównością, bo prawda i rozum nie miałaby równego głosu. Taka wolność byłaby niewolą słabszych pod mocniejszymi.

Rozum obmyślił na to sposoby, jak temu zaradzić, aby w czynnościach gminy wyszedł na jaw najlepszy rozum gminy, najlepsza wola gminy, aby przyszło do wykonania to, co sprawiedliwe i pożyteczne dla gminy, bez kłótni i wrzawy całej gminy, a jednak z poszanowaniem równego prawa i woli wszystkich mieszkańców należących do gminy.

Dzieje się to za pomocą porządku, który u rozumnego człowieka powinien być w każdej czynności, a który jest jedynym sposobem na to, aby wolność każdego członka gminy była zachowaną, a mimo to nie było ani zwad, ani nieładu, ani też żadnego zamieszania w sprawach gminy. O tym porządku jeszcze kilka słów na drugi raz wam powiemy.

(Dokończenie nastąpi.)

Dobroć Boga.

Czy niebo ozdobione księżycem, gwiazdami,
Czy na ziemię spoglądam ubraną kłosami,
Czy spojrzę na srebrzyste rozliczne mórz zdroje,
Wszędzie widzę mój ojcze dobrodziejstwa Twoje,
Twa dobroć Panie, kwiaty po łąkach rozsyła,
Otoż róża niewinny pączek swój rozwiła,
Oto fiołek skromny woń do koła roni,
Oto po rojowniku pszczoła pszczołę goni;
A ptaki ulatując w powietrzne przestrzenie,
Wdzięczności jednozgodne nucą tobie pienie.
O piękne przyrodzenie! — w każdym Twoim kwiecie
Widać całą twą świetność tak, jak w całym świecie,
Tenże duch ziółko żywi, co w dębie panuje;
Duch, którym słońce żyje — księżyc w sobie czuje!
Człowiek widząc tak wielkie, piękne przyrodzenie,
Poznaje, żeś Ty dobry, dobry nieskończenie,
A największym z Twych darów, czuciem obdarzony,
Gdy czuje Twoją dobroć, już uszczęśliwiony.
Ojcze najdobrotliwszy, ale sprawiedliwy,
Coś te zadziwiające poutwarzał dziwy,
Panie doli i życia, którego opieka,
Rządzi dolą i życiem każdego człowieka,
Niech ludzie Twoją dobroć we wszystkiem poznają,
Niech Cię jako ojca swego i czczą i kochają,
Dobry człowiecze! Pan ten o tobie pamięta,
Ty nie zapomnij nigdy: wola Jego święta!
Dokąd srebrna jutrzenka blask przyjemny nieci,
Dokąd spokojny księżyc na niebiosach świeci,
Dokąd się toczy złoty krąg jasnego słońca,
Nie trać nigdy nadziei — ale czekaj końca!

Józef Borkowski.

Stach rekrut,

czyli:

Dobrym wszędzie, dobrze będzie.

Powiastka.

We wsi Kopanówce żyło dwóch młodych parobczaków, Stach i Jonek. Byli oni sobie blizcy krewniacy, bo stryjeczni bracia, ale między jednym a drugim nie zachodziło żadne podobieństwo. Stach był ubogi i to bardzo ubogi, a Jonek tymczasem wziął był po swym ojcu chatę porządną, bydła pięknego dużo i gruntu morgów ze trzydzieści. Stach tymczasem nie miał nic a nic na świecie, jeno zdrowe ręce i staruszkę matkę, na którą musiał pracować.

Ojciec Stacha doznał był w życiu wielu klęsk i najrozmaitszych nieszczęść, a przed śmiercią już tak był zeszedł na biedę, że gdy biedaczysko zamknął powieki, to zaraz po pogrzebie sprzedali jego chałupę i kawałeczek gruntu za rozmaite długi, a wdowa i jej syn Stach zostali w wielkim niedostatku.

Ale co to znaczy niedostatek, jeżeli kogo Bóg opatrzy dobrem zdrowiem, dobrem sercem i dobrą chęcią do pracy! Wierzcie mi, moi dobrzy ludzie, dwie zdrowe ręce i szczera ochota do pracy starczą za nie jedno mienie — a tak są silne, że się ich i bieda, i głód i chłód przestraszą! Tak też było i z Stachem. Sam był młody a nie miał żadnego dobrodzieja i opiekuna na świecie, jeno chorą matkę staruszkę, a przecież dał sobie radę, i w pocie swego czoła pracował najpierw na matkę, a potem na siebie. Zaraz, kiedy im chałupę sprzedano za długi nieboszczyka ojca, sprowadził się Stach z swoją starą matunią na komorne i pracował co sił stało, a Bóg mu błogosławił, bo praca jego żywiła matkę, a wiecie przecie, że Bóg tym, co o rodziców swych dbają, już na tym świecie pomaga łaską swą świętą.

Jak już zaraz na początku powiedzieliśmy, miał Stach bliskiego krewniaka, brata stryjecznego, Janka. Tego Janka odumarł także ojciec, ale zostawił mu piękny majątek. Janek miał także matkę starą, ale na nią pracować nie potrzebował,

bo mieli z czego żyć podostatkiem. Myślicie zapewne, że Janek, kiedy był taki zamożny, to wspierać i pomagać był powinien swemu stryjecznemu bratu Stachowi? A jużci że był powinien według wszelkiego ludzkiego i Bożego prawa — ale cóż znaczy boże i ludzkie prawo, jeżeli człek nie ma w swem własnem sercu tego pięknego prawa, które się zwie litości wem sercem i zacnem sumieniem? Janek nie miał ani serca ani sumienia — to też prędzej by był jaki zupełnie obcy człowiek pomógł biednemu Stachowi i jego starej matce, niż on. Zrazu, zaraz po śmierci, to się matka Stacha udawała po poratunek do bogatego Janka, ale nietylko że jej Janek nie poratował, ale nawet dobrego słowa jej nie dał, jeno w gniewie z swej chaty ją wypędził.

Stach tedy już się nawet nie przypominał nigdy swemu stryjecznemu bratu, jeno poprzestał na własnych siłach i pomocy bożej i krwawą pracą żywił siebie i swoją matkę. Nieraz gdy się Stach spracował mocno, zapłakała biedna staruszka i mówiła mu:

— Idź Stachu do Janka i poproś go raz jeszcze o poratunek, może teraz będzie lepszy i serce go poruszy, bo się inaczej biedny synu zapracujesz na śmierć lub chorobę.

Ale Stach odpowiadał na to zawsze:

— Nie matuniu, nie zobaczą już progi Janka nóg moich! Wolę ja dzień i noc pracować, niż prosić o pomoc niedobrego krewniaka, co ma twarde serce jak kamień.

Jakoż nie prosił już o nic Janka — ale zwijał się żwawo i ot żyli sobie z matką jako tako — o tyle przynajmniej, że im chleba i przytułku nie brakło.

Ale Bóg i dobrych doświadcza; na najsprawiedliwszych ludzi zsyła on krzyżyki. Przyszła branka. Stach i Janek musieli się stawić razem do wojska. Janek poradził się w mieście, bo miał za co się radzić i dowiedział się, że jako syn jedynak na gruncie u matki wdowy jest wolny od służby wojskowej. Napisali więc zaraz Jankowi w mieście pismo i wnet przyszło mu uwolnienie.

Stach był także jedynakiem i miał matkę biedną wdowę, więc wedle tego samego prawa był także wolny od służby wojskowej — ale że o tem nie wiedział i że będąc biednym nie umiał sobie jakoś poradzić i w czas o pismo reklamacyjne postarać, więc stało się nieszczęście, że Stacha biednego wzięto do wojska od biednej matki. Było wtedy płaczu i smutku i narzekania co nie miara i chyba Bóg policzył łzy tych sierot — ale na razie nie było rady. Stach musiał pójść ze wsi. Na szczęście jednak puszczono go niebawem na urlop i powiedziano mu, że jak się o to na piśmie upominać będzie to go uwolnią od wojska.

Stach wróciwszy do domu wielką tem sprawił uciechę swojej matce i właśnie zabierał się do wygotowania podania o uwolnienie, gdy naraz nadeszła wieść o wojnie z Prusakiem i Stacha znowu powołali do wojska. Stach podał swoje pismo, ale musiał iść, bo kto już raz został żołnierzem, temu trudno uwolnić się podczas wojny.

Biedna matka mało ócz nie wypłakała, gdy Stach miał iść do swego pułku. Pocieszał ją biedaczysko, jak mógł, ale mu samemu serce się krajało, bo wiedział, że jak matkę opuści na długo lub broń Boże zginie na wojnie, to biedna staruszka o kiju żebraczym poniewierać się będzie pod cudzemi płotami.

W tym ciężkim i boleśnym przypadku, umyślił Stach pójść do swego stryjecznego, Janka i prosić go, aby wspierał jego matkę, gdy on pójdzie na wojnę. Myślał Stach, że może się serce Janka przecież ulituje, ale się zawiódł nieborak.

Stach przyszedł do Janka i mówi mu:

— Bracie, jak wiesz nigdy niczego od ciebie nie żądałem, nie naprzykrzyłem ci się nigdy żadną prośbą. Ale teraz, patrz, idę na wojnę, kto wie jak długo potrwa, a kto wie czy i powrócę, zaklinam cię na pamięć twojego ojca, który był bratem mojego, miej też staranie o mojej matce i wspieraj ją podczas mej niebytności, a jeżlibym nie powrócił, to przyjm ją do swej chaty. Staruszka długo już żyć nie będzie więc też i długo ci nie zawadzi!

Janek się skrzywił, zchmurzył czoło i rzekł:

— Tego uczynić nie mogę, bo ja ani twego majątku nie wziął, ani mam powinność dla twojej matki. Do domu przyjąć twojej matki nie mogę, bo się żenię, więc nie ma w chacie miejsca, a pieniędzy też nie mam, bo mi na zaloty potrzeba Ale na drogę to masz kilka grajcarów.

I niedobry Janek wyjął z kieszeni kilka miedziaków i wcisnął je do ręki Stachowi, jakby żebrakowi jałmużnę.

Stach rzucił mu te miedziaki na ziemię i rzekł:

— Bywaj zdrów bracie! Niech ci tego Bóg nie pamięta!

I zaraz wyszedł z chaty. Kiedy już był na drodze, żal srogi zalał mu serce i z oczu łzy mu spłynęły. Brała go rozpacz bo nie wiedział, pod jaką opiekę oddać biedną matkę, aby mogła mieć choćby suchy kawałek chleba. Nareszcie wpadła mu myśl szczęśliwa do głowy: postanowił pójść do proboszcza.

Przyszedłszy tam, opowiedział jak rzeczy stoją a opowiadając, z rzewnego płaczu wstrzymać się nie mógł. Proboszcz mało sam nie zapłakał na ten widok i rzekł rozczulony:

— Nie bój się Stachu, już ja twoją matkę wezmę pod opiekę. Niech zostanie tam na komornem gdzie jest teraz a ja już za nią zapłacę i nakarmię, póki ty nie wrócisz a da Bóg to wrócisz prędko, bo ja sam i gromada będziemy pisać za tobą, to cię nawrócą prędko, bo ty według prawa wolny od służby w wojsku.

Skłonił się Stach proboszczowi, uściskał mu kolana i ucałował ręce.

— A kiedy idziesz? — zapytał go xiądz proboszcz.

— Jutro raniutko — odpowiedział Stach.

— Idź mój synu! idź z Bogiem — rzekł wtedy xiądz proboszcz — błogosławię ci. Bóg cię poprowadzi bezpiecznie, boś ty syn dobry a Bóg dzieci dobrych nie opuszcza. Będzie cię On strzegł w niebezpieczeństwie, będzie chronił od ręki nieprzyjacielskiej, uchyli od ciebie krwawą broń i kulę śmiertelną!

Stach otrzymawszy to błogosławieństwo proboszcza, uczuł wielkie ulżenie na duszy i wrócił już spokojniejszy do domu. Nie będę wam opisywać ostatnich chwil pobytu Stacha w domu

i płaczu jego matki, bo to już sami sobie wyobrazicie. Wszakże to nie jeden z was, ojcowie, przyciskał do serca syna, który musiał iść w rekruta, w obce dalekie kraje, na wojnę; nie jedna matka oblewała łzami swoje dziécię, gdy go prowadzili na obcy naród, na szable i armaty!..

Był to ranek piękny, kiedy Stach z małym węzełkiem na plecach, z kijem w ręku i w niebieskiej czapce żołnierskiej iść musiał do miasta, zkąd go mieli prowadzić dalej i dalej na marsze, na trudy, na bitwy. Słonko wypłynęło na niebo jasne i czyste — ale w duszy Stacha był żal i smutek. Szedł z pochyloną głową i dumał, gdy naraz za nim dał się słyszyć turkot woza i trzask z bicza.

Stach obejrzał się i zobaczył swojego stryjecznego brata Janka. Janek miał się żenić w drugiej wsi i jechał z starym Mateuszem, swym swatem, do rodziców dziewczyny, która miała bardzo bogate wiano. Janek był ubrany w świąteczną sukmanę za piękną wstążką przy kapeluszu zatkane były pawie piórka i czerwony kwiatek, rozparł się obok Mateusza na nowym kutym wozie i trzaskał z bicza raz po razu.

Kiedy wóz mijał biednego Stacha rekruta, a stary Mateusz ujrzał smutną twarz biednego chłopaka, rzekł do Janka:

— No słuchaj Janku, stańmy i weźmy Stacha, podwiezicmy go trochę!

— Owa! jeszcze co! — zawołał Janek — niech się piechotą zaprawia do marszu!

I zaciął konie co siły, trzasnął z bicza a wóz jeno się mignął po białej drodze.

Stach jeno spojrzał za wozem, potem zatrzymał się zeszedł z drogi na pagórek, zkąd było widać wieś jeszcze — popatrzył tęsknem okiem na stare chaty, na zielone sady, na śrebrny smug rzeki i na białą wieżę kościółka, westchnął, łzy obtarł i poszedł dalej!... Bóg niechaj cię wiedzie, biedny ty, biedny chłopcze!

Jak wiecie dopiero co przed sześciu tygodniami skończyła się wojna austryjackiego cesarza z królem pruskim. Krwawa

to była wojna i straszna — a nieszczęśliwie wypadła dla cesarza. Prusacy we wszystkich bitwach wygrali i wielkie zabrali zdobycze. Niedługo trwała wojna, bo ledwie dwa tygodnie, ale ile chwilek w tych dwóch tygodniach, tyle matek płacze swych synów, tyle sierot boleje nad swymi ojcami, co tam na polach czeskich w niemieckiej wojnie polegli śmiercią żołnierską, daleko od swego kraju, od swojej ziemi ukochanej.

Oto w tej wojnie był i nasz Stach biedny. A jakie jego były przygody, zaraz wam opowiemy. Wpierwej jednak musimy dodać, że do okropności tej wojny i to należało, że bili się w niej Polacy z Polakami, Galicjanie z Poznańczykami. Wiecie że król pruski ma pod sobą część dawnej naszej Polski, którą się podzieliły Austrja, Prusy i Moskwa. Otoż żołnierze z tej części Polski pod Prusakiem, z Xięstwa Poznańskiego byli także w tej wojnie. Kiedy więc po stronie pruskiej musieli iść na ogień Polacy z Poznańskiego, to znowu po stronie austryjackiej byli żołnierze Polacy z Galicji. Zdarzało się tedy na tej wojnie, że Polak musiał strzelać na Polaka. Była to wojna istotnie bratobójcza, bo Niemcy bili się z Niemcami a Polacy z Polakami!

Stach był zaraz w pierwszej bitwie. Kiedy oba wojska, pruskie i austryjackie stanęły na przeciw siebie i zaczęły już grzmieć armaty a lada chwila miał nadejść rozkaz do szturmu na bagnety — Stach wspomniał raz jeszcze na swą starą matkę, na wioskę rodzinną i polecił się opiece bożej, wzywając w pomoc Najswiętszą Pannę, która zawsze jest patronką w nieszczęściu.

Pułk, w którym był Stach jeszcze chwilkę miał zaczekać a potem iść z bagnetem na nieprzyjaciela, więc Stach użył tej małej chwilki czasu i począł powtarzać z szczerem nabożeństwem tę starodawną pieśń polską:

Kto się w opiekę poda Panu swemu
I całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiele rzeć może, mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga!

Gdy Stach skończył tę pieśń — patrzał spokojnie na świstające kule, a żadna go nie tknęła, tak jak mówi ta pieśń piękna:

Ztąd wedle ciebie tysiac strzał polęże
Ztąd drugich tysiąc, ciebie nie dosięże!

Naraz przyszedł rozkaz, aby pewna część pułku poszła na straż do armat. Między tymi, których tam posłali, był i Stach. Kiedy tak stali koło armat, zaraz jeden pułk pruski rzucił się na armaty, aby je zdobyć. Zaczęli okropnie strzelać Prusacy na żołnierzy broniących armat, a wystrzelawszy ich prawie do połowy swymi karabinami, z których sześć razy na minutę każdy żołnierz wystrzeli, rzucili się w biegu na resztę. Stachowi nic się nie stało.

Gdy Prusacy dopadli już do samych armat, rozpoczęła się okrutna walka kupkami. W jednej takiej kupce, jakiś stary żołnierz pruski padł na ziemię ciężko ranny. Żołnierz austryjacki co był tuż koło Stacha, wymierzył bagnet i chciał już dobić pruskiego żołnierza, kiedy Stach wytrącił mu karabin i zawołał:

— Człowieku! jak śmiesz zabijać tego biedaka, kiedy już ranny jest i bezbronny! Żołnierz walczy honorowo, ale nie morduje rannych!

— A co się tam za nim ujmujesz — odpowiada żołnierz, toć to jeno Prusak bestyja!

Wtedy ów ranny żołnierz pruski rzekł słabym głosem:

— Oj nie Prusak ja! choć w pruskim mundurze jestem. Ja Polak taki jak wy i ojciec pięciorga dzieci.

Ścisnęło się serce Stachowi i jeszcze go większa litość wzięła, więc chciał biednego rannego odnieść trochę na bok, aby go nie stratowano, ale ledwie z nim krok uszedł, gdy Prusacy wzięli górę, otoczyli do koła armaty i zabrali do niewoli żołnierzy, którzy ich bronili. Tym sposobem i Stach dostał się do niewoli pruskiej.

Co się dalej stało z Stachem?...

Kiedy go wzięli do niewoli, ów ranny żołnierz pruski, któremu Stach życie uratował, a który nie był bardzo ciężko ranny i wnet o tyle do siebie przyszedł, że mógł nawet chodzić, wziął go pod swoją opiekę.

Dziękował on Stachowi jako swemu wybawcy najczulej i przysiągł mu wdzięczność dozgonną:

— Coby się było stało z moją żoną i mojemi dziećmi, gdybyś mnie był nie uchronił od bagnetu twego rozjuszonego kamrata? — mówił ranny ów żołnierz i ściskał serdecznie Stacha.

Żołnierz ten pruski nazywał się Krzywoń a był zamożnym gospodarzem z jednej wsi pod Poznaniem. Miał już lat czterdzieście — bo w Prusiech każdy musi iść na wojnę, choćby najstarszy, jeżli raz służył w wojsku i jeżeli tego jest potrzeba. Więc i ten Krzywoń musiał porzucić żonę i dzieci i byłby ich już nie ujrzał w swem życiu, gdyby nie Stach poczciwy.

Ponieważ Krzywoń jako ranny był już niezdolny do boju, więc prosił komendanta, który go chciał posłać do szpitalu, aby mu pozwolił wrócić do domu, a on się sam będzie leczyć. Ponieważ po szpitalach zaś i tak nie było miejsca, więc komendant pozwolił. Wtenczas Krzywoń jeszcze drugą zaniósł prośbę. Rzekł on do pułkownika swego:

— Panie pułkowniku! Między żołnierzami austryjackimi, wziętymi do niewoli, jest jeden, któremu ocalenie mego życia zawdzięczam. Proszę, aby on mógł pójść ze mną i aby w moim domu przebył niewolę, a ja za niego ręczę pod własną karą, że nie ucieknie.

Na szczęście pułkownik pozwolił na to i Stach pojechał z Krzywoniem.

Cóż to była za radość, kiedy Krzywoń przybył niespodziewanie do swojej rodziny, która modliła się i płakała w wielkiej trwodze o niego! Krzywoń powiedział zaraz swojej żonie i dzieciom, kto jest Stach i jak on mu w bitwie życie uratował — a cała rodzina z wdzięczności za to mało na rękach Stacha nie nosiła. Stach przedewszystkiem napisał list do swjej matki, aby uspokoić i pocieszyć niebogę. Krzywoń miał dwóch synów i trzy córki a najstarsza była Magdusia, dziewczę ośmnastuletnie, hoże i dobre aż miło.

Gospodarstwo Krzywonia było bardzo duże — był on sobie prostym wieśniakiem a miał tyle gruntu i bydła, co niejeden dzierżawca i na całą okolicę słynął z swego wielkiego

mienia. Był on też i zawołanym gospodarzem — znał się doskonale na wszystkiem i coraz więcej grosza przysparzał.

Napatrzył się Stach w jego domu na wiele dobrego. Widział on tu między poznańskim czyli wielkopolskim ludem, wszędzie dobre gospodarstwo i oświatę. Zauważał, jak tu lud wiejski więcej się uczy, jak lepiej gospodaruje, jak lubi czytać i lepsze z tego powodu posiada mnienie i myślał sobie nieraz:

— Mój Boże! gdyby to i u nas tak się ludzie garnęli do nauki i oświaty!

W domu Krzywonia wszyscy Stacha polubili — ale już to najwięcej życzliwości miał Stach do pięknej Magdusi! Dziewczyna ta ledwie tylko okiem nań spojrzała, zaraz przypadła mu do serca — a ledwie kilka dni minęło, już Stach pokochał ją całą duszą, a poznać było można od razu, że i dziewczyna skłania się swem serduszkiem do niego.

Kiedy Stach rozmyślał nad tem, brał go smutek i wielka zgryzota — i myślał sobie:

— Na jaki koniec ja sobie bałamucę głowę tą dziewczyną! Ona bogata, a ja nędzarz, cóż z tego być może za skutek!

I chciał sobie swą miłość wybić z głowy i serca — ale to nie tak łatwo jakby się komu zdawało, bo na miłość nie ma lekarstwa, a starodawna piosnka polska mówi dobrze, że „serce nie sługa, nie zna co to pany!...“

Gdy się tak biedzi i martwi, nadchodzi naraz wiadomość, że pokój już zawarty i że jeńcy z niewoli pruskiej mają natychmiast powrócić. W pierwszej chwili ucieszył się tem bardzo Stach, bo mógł wracać zaraz do swojej matki, ale gdy mu przyszła na myśl śliczna Magdusia, żal mu owładnął duszę.

Ale jakaż na to była rada? Stach miał na drugi dzień opuścić dom zacnego Krzywonia, więc wieczorem ostatni raz spożył wieczerzę z Krzywoniami, pożegnał się z wszystkiemi z ciężkiem sercem, a już to najciężej mu było pożegnać się z Magdusią, i ułożył się do snu aby raniutko udać się w drogę.

Ledwie słońce zabłysło nazajutrz, a Stach już porwał się z łoża i nie chcąc budzić nikogo, zbierał się w podróż. Ale Krzywoń już był także na nogach.

— No więc już nas żegnasz chłopcze! — rzekł do Stacha.

— Żegnam i za gościnność i dobroć dziękuję! Bóg wam zapłać! — odpowiedział Stach.

— A czy sobie trochę na nas kiedy wspomnisz?

— O panie gospodarzu, póki życia nie zapomnę o was i o waszych! — odrzekł Stach.

— I o Magdusi? — zapytał Krzywoń i uśmiechnął się.

Stach poczerwieniał jak burak i słowa nawet wyrzec nie mógł.

— No, no, nie wstydź się chłopcze — rzecze Krzywoń, zauważałem ja, żeście wy sobie z Magdusią do serca przypadli. Otóż ci powiem szczerze: Poznałem cię jako poczciwego i pracowitego chłopaka, i chętnie ci oddam Magdusię i gospodarstwo kupię!

Stach z radości wielkiej oniemiał, a potem padł do nóg Krzywoniowi i uściskał mu kolana. Ułożyli tedy, że Stach ma iść do domu i przywieźć z sobą matkę — a potem odprawi się wesele. Krzywoń dał Stachowi dużo pieniędzy na drogę i na przypilnowanie tej prośby, którą podał o uwolnienie od wojska i odprowadziwszy go do Poznania, pożegnał go serdecznie. Z Poznania pojechał Stach koleją żelazną aż do Krakowa, z Krakowa dalej, a gdy przyjechał do miasta, gdzie było bióro werbownicze jego pułku, dowiedział się, że jego prośba została według prawa wysłuchaną i dano mu zupełne uwolnienie od wojska.

Stach najął wóz i pojechał do swojej wsi, spiesząc się do matki.

Kiedy kilka miesięcy temu Stach opuszczał jako biedny rekrut swą wioskę piechotą, z bolem w sercu i tęsknotą w duszy, czy się spodziewał, że będzie wracać tak szczęśliwy i wesoły?.... A co to za radość była, gdy ujrzał swą matkę! Staruszka biedna, która myślała, że go już nie obaczy, wylewała łzy radości nad ukochanym synem, a xiądz proboszcz uradowany tem zdarzeniem, mówił:

— Bóg nie opuszcza dobrych! Dobrym wszędzie, dobrze będzie.

Stach nie długo bawił we wsi, zabrał z sobą matkę i będzie temu może dwa tygodnie, kiedy pojechał do Xięstwa poznańskiego. Teraz pisał do xiędza proboszcza, że wesele jego odbędzie się za miesiąc, że mu Krzywoń kupił grunt piękny i chatę jakby dwór jaki stawi. W liście tym prosił xiędza proboszcza o błogosławieństwo, i na znak, że nikomu złego nie pamięta, prosił od siebie pozdrowić stryjecznego brata Janka.

A co się stało z tym Jankiem? Ożenił się z bogatą dziewką, ale mu szczęścia w dom nie przyniosła — chyba piekło, bo zła, leniwa i zalotna. Janek się rozpił, w domu ciągłe swary i bójki a gospodarstwo jego upada.

Wojtek ze Smolnicy.

Gadka o żydzie, co chciał być astronomem, to jest takim uczonym, co bieg gwiazd śledzi na niebie.

Ciekawy żydek, chciał być astronomem,
Ojciec to słysząc wpadł na niego z gromem:

„Co tobie głupcze łazić aż po niebie?
Tu w kilku słowach ja nauczę ciebie:
Słońce to dukat — jemu honor wszelki;
On możnie świeci, bo jest magmat wielki.
Miesiąc to talar, on się w nocy rodzi,
Zawsze jak szlachcic za magnatem chodzi!
Te w mlecznej drodze rozsypane kropki
Drobne szóstaczki — pod nazwiskiem chłopki,
Co się gwiazd tyczy, nie wielkie kozery,
To są mieszczanie — same cwancygiery.“

Bajka o osiołku.

Osiołkowi w żłoby dano
W jeden owies — w drugi siano;
Uchem strzyże, głową kręci
I to pachnie i to nęci:
Od którego teraz zacznie,
Aby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda;
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owsa, żal mu siana;
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora,
Aż nareście przyszła pora
Że oślina w pośród jadła
Z głodu padła.

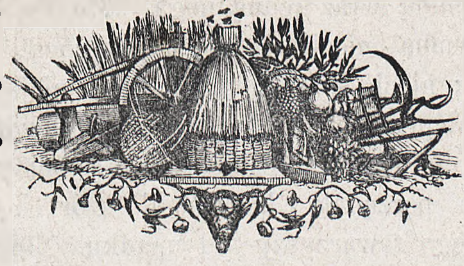
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 11.

11. października 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

V. Ustawa Gminna.

(Dokończenie.)

Mówiliśmy już zeszłym razem że w zarządzie spraw gminnych powinien panować porządek. A porządek ten ułożony dla czynności gminy, nazywa się ustawą gminy. Nie może być zachowane bezpieczeństwo równości i wolności gminy, bez zachowania tego porządku, którego wszyscy dla dobra ogólnego i swojego własnego, powinni szukać i słuchać.

Wszelki porządek jaki sobie nakładamy w naszych czynnościach, albo obowiązkach; ma w sobie jakiś przymus do zachowania pewnych reguł, ma na pozór coś niemiłego, coś nakazanego, niewolnego: lecz bez tego porządku, bez tego poddania się pod pewne reguły, nic się dobrze dziać nie może; tem bardziej potrzeba tego tam, gdzie chodzi o bezpieczeństwo, o dobro ogólne. Więc taki przymus do porządku jaki daje Ustawa, jest właśnie pożądany dla pomyślności gminy, bo nie dopuszcza swawoli, a strzeże wolności gminy, jeżli ustawa jest sprawiedliwą. Żołnierz w pułku musi robić bronią jeden jak

drugi, wszyscy jednakowo i wraz na to samo skinienie, a kiedy maszeruje, to nie tylko bęben mu takt wybija, ale wszyscy zaczynają wraz jedną nogą. Mógłby kto powiedzieć, na co ten przymus, niech sobie idą jak chcą, byle tam zaszli gdzie potrzeba; niech sobie musztry nie umieją, byle mieli odwagę przed nieprzyjacielem. A to nie prawda; ten pozorny przymus czyni żołnierza zręczniejszym i bezpieczniejszym przed nieprzyjacielem, porządek i karność do których żołnierz nawykł, ocala jego i jego towarzyszy od upadku. Bez tego porządku wojsko chodziłoby jak trzoda, i byłoby łatwe do rozprószenia jak trzoda. Więc ten przymus, ten porządek i karność do własnego ich dobra potrzebny. Nie ma się co długo nad tem rozwodzić, bo każden to czuje, że w głowie i we wszystkich czynnościach człowieka powinien ład panować. Otóż w czynnościach gminy to samo. Otóż ten ład powinien nam najprzód postanowić, kto ma prawo mięszania się do interesów gminy, i może być do jej usług powołany, i w jaki to sposób się dzieje.

Jak to, zapytacie, czyż nie wszyscy ludzie są sobie równi, żeby się jeszcze pytać trzeba, kto ma prawo mięszania się do interesów gminy? — Tak jest, równi są ludzie przed prawem, wszystkich równo prawo sądzić powinno, ale do interesów gminy nie wszyscy mają prawo, nie wszyscy mogą, nie wszyscy powinni się niemi zajmować. Damy na to zaraz przykłady.

Cudzoziemiec co na jakiś czas w gminie zamieszkał, jest równy jako człowiek, ale do interesów gminy równo nie należy. Własność gminy nie jest jego własnością, przeszłość jego do tej gminy nie należy. On o jej interesach dobrze radzić nie będzie, bo te interesa jego szczerze nie obchodzą.

Dzieci do równości stworzone, ale ich rozum nie pozwala, żeby się do interesów gminy mięszały.

Kobiety obarczone gospodarstwem i dozorem dzieci, nie do tego są, żeby interesami gminy rządziły. One najlepiej gminie służą, jeżeli dzieci zdrowo i poczciwie chowają.

Ludzie niespełna rozumu także nie do rady.

Żebracy, którzy gminie nic nie dają, tylko biorą, także nie mogą o niej radzić.

Słudzy, którzy jak zwykle słudzy, dzisiaj tu a jutro gdzieindziej, także nie mogą się mięszać do interesów gminy.

Gmina potrzebuje do swoich interesów ludzi wolnych, ludzi takich, których los gminy obchodzi nietylko na dzisiaj, ale i na przyszłość. Więc potrzebuje ludzi takich, którzy w niej stale zamieszkali, posiadają w niej grunt, dom, rzemiosło albo handel, lub inny proceder, który prowadzą stale w tej gminie i nim służą publiczności. Tacy pewnie dbać będą o to, aby się wszystkim w gminie dobrze powodziło, aby jej interesa dobrze były rządzone i tacy tylko mają prawo do rządzenia w gminie.

Teraz się zapytamy, czy ci ludzie mają się hurmem wszyscy schodzić, razem radzić i interesami gminy rządzić? Także nie. Ci ludzie bez różnicy urodzenia, majątku i religji, powinni z pomiędzy siebie wybrać przełożonego gminy, Wójta, a do tego kilku, kilkunastu lub więcej Radnych, podług wielkości gminy, i to będzie rząd gminy, któren interesów gminy pilnuje, gminie służy. Urząd taki wybiera się większością głosów; to jest, ludzie, co mają głos w gminie, wybierają swoją Radę tak, że każdy powiada do niej według swojego sumienia, lub naradza, kogo się komu podoba, a za kim więcej głosów, ten zostaje wybranym.

Nie potrzeba może wspominać, że do takiej Rady gminnej, należy obierać ludzi co najrozumniejszych, trzeźwych, pilnych, a przedewszystkiem sumiennych. Oni bowiem w swojem ręku trzymają własność i los gminy, a skoro ich gmina wolą swoją na swojem czele postawiła i ich postanowienia słuchać powinna; rząd ich ma być rozumny, pilny i sprawiedliwy.

Juljan Horoszkiewicz.

Xiądz Kordecki, obrońca Częstochowy.

Na Jasnej górze dzwony jęczy,
W kościele męże w zbrojach klęczą;
Przeor się modli: „O Rodzico
Boga, wysłuchaj nas dziewico!

Wołamy do cię w utrapieniu:
Kościół Chrystusów w poniżeniu,
I nasza Polska zguby bliska;
Srodze najezdnik nas uciska,
Niewoli na nas wkłada pęta....
Królowo Polski, Panno święta,
Wejrzyj na wierny lud twój ninie,
W złej nie opuszczaj nas godzinie,
A przemożemy u twych progów,
Marjo, imienia twego wrogów.
Matko, na prośby nakłoń ucho....
W losów zawiei bądź otuchą
Naszą, a wytrwa lud do końca;
Sługa twój wierny, twój obrońca,
Pod twoje skrzydła się ucieka,
Tyś nasze wsparcie i opieka!
Słabi my siłą, lecz pancerni
Wiarą, dostoim tobie wierni:
Pod twem hetmaństwem garstki męży,
Żadna potęga nie zwycięży."
— „Amen".... rycerze domówili.

Już Szwedzi miasto otoczyli.
„Poddaj się, kornym przebaczenie,
A śmierć zuchwałym i zniszczenie."
Pisał wódz szwedzki do przeora.
— „Burkardzie, ustąp póki pora"
Odpisał przeor „bo tu stroża
Panienki, moc cię złamie Boża."
Przyjął odpowiedź tę ze śmiechem
Szwed i przypuścił szturm z pospiechem.
Lecą na mury szwedzkie szyki,
Wre bój, pod niebo grzmią okrzyki,
Huczą rusznice, działa ryczą,
Tysiące trupów Szwedzi liczą.
Nadzieją łupów Szwed już dumny,
Krzepi szturmowych rot kolumny.

Pośród kul gradu, mieczów szczęku,
Stoi mąż Boży z krzyżem w ręku,
Boski mu promień oblał lice,
Do nieba jasne wzniósł źrenice,
Patrzał, w pomocy ufny bożej,
Kiedy się nieba strop otworzy.

I rozsunęły się błękity....
Najświętsza Panna złotolity
Płaszcz swój nad grodem rozpostarła,
Moc boża ludzką siłę starła.

Cudem obronił gród Kordecki....
Wraz stanął związek tyszowiecki.
Król wrócił, naród się ocucił,
Cały do broni kraj się rzucił.
Król wyszedł w pole, pod hetmaństwo
Przeczystej Panny zdając państwo.

Stałość i wytrwałość.

List starego Kuby Brony.

Otrzymaliśmy pisanie od jednego naszego dobrego znajomego i przyjaciela, gospodarza Kuby Brony. Ten Kuba jest to stary, sędziwy i bywały człowiek, poczciwy i rozumny, że daj Boże tylko, aby było więcej takich kmieci między naszym ludem włościańskim. Już ja wiem, że Kuba będzie się na mnie gniewał, że go tak w drukowanem piśmie chwalę, bo to człek jest cichy i skromny — ale niech mi wybaczy, bo już co się komu należy, to się należy, a już to moja słabość taka, że mnie to bardzo cieszy, kiedy mogę komuś oddać zasłużoną pochwałę.

Ale nie chcę już tu dłużej gawędzić, jeno wam podaję ten list starego Kuby Brony. Jest on taki:

Kochany panie pisarzu *Dzwonka!*

W ostatnim numerze *Dzwonka*, co go dla nas piszecie, jest na samym końcu wydrukowana ucieszna bajeczka o osiołku, co stał między dwoma żłobami z owsem i sianem, a że nie wiedział, co ma jeść pierwej, więc tak myślał i myślał, aż zdechł z głodu.

Dobra z tego nauka dla wszystkich ludzi, bo jest wielu takich, co podobni są do tego osiołka. Jak im przyjdzie co uczynić, to myślą i myślą, ociągają się i naradzają, i nie mogą w żaden sposób powziąć postanowienia, a gdy już raz powezmą jaki stały zamiar, to już za późno i wszystko przepadło.

Bogu niech będzie chwała, żyję ja już długo na tym Bożym świecie, bo mi już siódmy krzyżyk dochodzi, i napatrzyłem się i na ludzi i na rozmaite przygody, więc też doświadczyłem sam, że ludzie bardzo często szkodują z tego powodu, że w potrzebie nie mają stałego postanowienia, jeno to na tę, to na ową stronę się chwieją.

A niema to nic lepszego nad stałe przedsięwzięcie i przytomność umysłu. Gdzie jest rzecz wątpliwa a rychła, tam się poradź z sobą i drugim, ale wybieraj sposób rychło, bo jak się długo będziesz namyślał, to sama rzecz tymczasem minie. Ja sam byłem świadkiem takiego zdarzenia, że w sąsiedniej wsi zachorował mocno ekonom i był w wielkiem niebezpieczeństwie życia. Trzeba było go zaraz ratować. więc chłopak co mu usługiwał pobiegł po pisarza i organistę, którzy byli przyjaciołmi ekonoma, bo ekonom nie miał ani żony ani dzieci.

Pisarz i organista, jak tylko przybiegli do chorego, tak zaraz się zgodzili na to, aby do pobliskiego miasteczka posłać po lekarza. Już też i konie były zaprzągnięte, kiedy pisarz i organista nie mogli się namyśleć, po którego lekarza posłać, bo ich było aż dwóch w miasteczku.

— Niech jedzie po tego co w rynku! — mówi pisarz.

— Nie, niech przywiezie tego, co koło fary mieszka, ten lepszy! — rzecze organista.

— Ale ten co w rynku mnie tamtej zimy prawie cudownie z gośćca wykurował — woła pisarz.

— To bajka! — prawi sobie organista — ten co koło fary, uratował moją żonę od śmierci w wielkiej gorączce, niech jedzie po tego, ja tak radzę.

— Ej możeby ten z rynku był lepszy!

— A nuż znowu jakby on nie pomógł, tobyście mieli na sumieniu, żeście tego od fary nie przywieźli!

I tak się namyślali i naradzali, który lekarz lepszy i po którego by posłać, aż nareszcie ja przypadkiem nadszedłem i dowiedziawszy się o co idzie, krzyknę:

— Jedź i bierz tego co będzie w domu!

Ale cóż! tyle czasu strawili już byli pisarz i organista na namysłach, że jak lekarz przyjechał to już było zapóźno i biedny

ekonom pożegnał się z tym światem, a kto wie czyby był w innym razie nie wyszedł, bo sam doktor mówił, że pół godziny prędzej, toby był żył!

Dobre to przysłowie staropolskie: „Nie zasypiaj gruszek w popiele!“ Ja się zawsze tego w życiu trzymałem i zawsze z tem dobrze mi było. Niema też nic lepszego w nagłej przygodzie, jak prędko wybrać sobie sposób a nie gadać i nie kłopotać się: ten dobry, i ten dobry, ba i ten dobry, któryby też wybrać? — bo w nagłych razach ten najlepszy, co najprędszy. Co innego kiedy sprawa nie nagła, to można a nawet należy się radzić z sobą i z drugimi i dopiero po dobrej rozwadze działać, ale kiedy wszystko od jednej chwili zależy, to nie namyślaj się długo, bo tak ci będzie jak owemu głupiemu osiołkowi w bajeczce, lub jak się stało temu gamoniowi, co mu się ojciec i żona topili, a on nie wiedział kogo ma pierwej ratować, czy ojca czy żonę! Myślał więc nad tem a nim się namyślał, potopili się oboje. A gdyby był od razu skoczył do wody i wyciągnął jedno, to byłby przynajmniej jedno życie uratował, a możeby po kolei i ojca i żonę z wody wyciągnąć uścignął.

To jest jedno — a drugie, o czem bym wam chciał także napisać, to jest to, że źle ludzie robią, iż chwiejni są i niestali w tem, co już raz postanowili. Bo nie dość jest już raz co postanowić, ale trzeba się już tego trzymać i stale wykonać (chyba gdyby oczywiste złe było), a nie odstępować od przedsięwzięcia i brać się znowu na drugi sposób a potem na trzeci. Z tego szkoda zawsze wielka, bo nic nie zrobisz i stratę poniesiesz.

Wszystkim znajoma jest ta gadka o głupim djable i mądrym chłopie, co razem w spółce pole obsiewali. Djabeł sobie wymówił, to co wyrośnie nad ziemią, a chłop to co pod ziemią. Chłop posadził rzepę i miał co jeść, a głupie djablisko miał tylko chwast. Wtedy djabeł zmienił ugodę i wymówił sobie to co będzie pod ziemią — a chłop zasiał zboże i znowu miał ziarno, a djabeł korzonki.

Kiedyś już raz co postanowił, to trzymajże się jednego, a nie zmieniaj i nie marudź, bo na dudka wyjdziesz. Mój nie-

boszczyk ojciec, opowiadali mi taką opowieść o jednym wielkim panie Potockim, co był starostą kaniowskim i żył dawnemi bardzo laty. Ten starosta kaniowski był sobie wyraźnie szalony, bardzo gniewliwy i gwałtowny, ale jak komu krzywdę zrobił, to potem dobrze groszem wynagrodził.

Otoż do tego Kaniowskiego, jako do starosty, przyprowadzono raz żyda złotnika, co był oskarżony przez xięży zakonników, że gdy mu dali do naprawy srebrne lichtarze, to on srebra nadkradł, a cyny dodał. Gdy się starosta Kaniowski przekonał, że żyd w istocie jest winny, pyta go się:

— Mój bratku, musisz wziąć karę, ale ci daję do wyboru: Co chcesz, czy zapłacić 40 dukatów kary, czy pościć 40 dni, czy wziąć 40 batogów?

Żyd myśli sobie: dukatów szkoda, batogi bolą, — więc zdaje mu się że post najlepszy, i wybiera 40 dni postu.

Ale już zaraz po czwartym dniu postu mało z głodu nie zginął, i już go takie boleści wzięły, że nie mógł dłużej wytrzymać. Prosi tedy starosty aby mu karę zmienił na batogi. Starosta się zgodził. Biorą tedy żyda i ćwiczą, ale przy dwudziestym batogu żyd w gwałt, że już nie jest wstanie więcej wytrzymać i prosi, aby mu starosta zmienił karę na pieniądze. I zapłacił żyd nieborak 40 dukatów na ubogich!

Otoż tym sposobem żyd nietylko że 40 dukatów zapłacił, ale jeszcze sam sobie daremnie powiększył karę, bo daremnie przez 5 dni pościł i wziął 20 batogów. A gdyby był od razu wybrał karę pieniężną, to by się było już na tem skończyło.

Tak to, jak z tym żydem dzieje się z ludźmi, co się nie trzymają już raz jednego, ale przebierają i chwieją się w sprawach, gdzie trzeba od razu zapobiegać.

Kończę na tem mój list i Panu Bogu was oddaję.

Kuba Brona.

Jak się strzedz przed cholerą.

Cholera, ta straszna choroba, poczyna nawiedzać wszystkie strony naszego kraju. Już i we Lwowie się pokazała, w Krakowie jest od kilku tygodni, a w Tarnowie i w wsiach sąsie-

dnich wybuchła także. Podajemy wam więc tutaj niektóre rady przeciw tej chorobie, których powinniście używać bacznie, bo są jedynym skutecznym środkiem od cholery.

Najpierwszym sposobem ustrzeżenia się od cholery, jest czystość i ochędóstwo. Niechlujstwo zawsze szkodzi zdrowiu, a w czasach, kiedy cholera panuje, jest jeszcze szkodliwszem i niebezpieczniejszem. Dlatego też powinniście uważać bardzo abyście utrzymywali czystość w waszych chatach. Okna trzeba często otwierać, aby powietrze przewiewało izby. Strzedz się trzeba, aby w jednej izbie dużo osób nie mieszkało a osobliwie nie sypiało, bo z tego powstaje zaducha, a zaducha jest przyjaciółką cholery. W izbie nie trzeba trzymać psów, kotów, kur, lub jak to się gdzieniegdzie dzieje między ludem wiejskim, bydląt. Gospodynie uważać powinny, aby nie stały w chacie beczki z kapustą, barszczem lub ogórkami, aby w izbie nie było przegniłego sera, lub aby nie trzymano po kątach ziemniaków lub innej ogrodowiny. Z tego bowiem powstają wyziewy, które łatwo cholerę sprowadzić mogą.

Pościel powinna być także zawsze czysta i sucha, sienniki powinny być napchane świeżem sianem, pierzyny trzeba na świeżem powietrzu przetrzepywać i wietrzyć. Na podwórzu także czystość ma być zachowana. Trzeba wymiatać gnój i odchody ludzkie, sprzątać gnojówki i kałuże.

Brud na ciele jest także ogromnie szkodliwym. Starać się tedy trzeba zawsze, aby mieć czystą bieliznę, nie brudną i nie zapoconą, i myć się trzeba dobrze wodą, bo kąpać się w rzece już za późno.

Woda do picia ma być czysta i jasna. W jedzeniu trzeba być miernym. Jeść trzeba lepsze strawy niż zwykle, ale mało, lecz znowu nie tak mało aby się głodzić. Najbardziej zaś unikać trzeba obżarstwa, bo ono sprowadza najczęściej cholerę. Pod noc trzeba jeść mało, bo cholera pod noc najczęściej się chwyta. Tłustych potraw jeść nie można, jak n. p. słoniny, także nie trzeba się opychać serem, ogórkami, kapustą, grzybami, owocami i twardym chlebem, bo to najłatwiej sprowadza cholerę.

Cholera jest wielką przyjaciółką wódki, to też opilstwa wystrzegać się trzeba najmocniej. Zazwyczaj opoje najpierwsi

umierają na cholerę. Kto się nie chce rozstać z światem podczas cholery, ten niech będzie miernym w napoju, niech się broń Boże nie upija, bo to śmierć. Kieliszek dobrej czystej wódki nie szkodzi, owszem dobry jest przy mokrem powietrzu dla żołądka, ale kto się upija, tego pewnie cholera zmiecie.

Ubierać się trzeba czysto, ciepło i sucho, aby się broń Boże nie zaziębić, a osobliwie trzeba brzuch i nogi opatrzyć dobrze i dbać o to, aby buty nie były mokre od deszczu lub błota.

Rano nie trza wychodzić do pracy na czczo, ale trzeba pokrzepić się czemś ciepłem.

Unikajcie wszystkich babskich lekarstw, bo te szkodzą zamiast pomagać i kto ich używa, ten najczęściej dostaje cholery.

Strzeżcie się rozpusty. Wybijajcie sobie z głowy strach przed cholerą, bo strach ciągły szkodzi zdrowiu, a jak doświadczenie uczy, kto się boi cholery, tego ona najczęściej nie mija. Ale strach co innego, a ostrożność co innego — bać się nie trzeba, ale szanować się i strzedz trzeba koniecznie, bo jak mówi przysłowie: „strzeżonego pan Bóg strzeże“.

Cholera rozpoczyna się tem, że człowiek dostaje biegunki. Na taką biegunkę uważajcie pilnie, bo choć ona w innych czasach jest głupstwem, to podczas cholery jest bardzo niebezpieczną. Jeżeli tedy kto z was dostanie boleści brzucha i biegunki, niech się zaraz kładzie do łóżka całkiem rozebrany, niech się dobrze przykryje aż po głowę i leży spokojnie, a brzuch niech zaraz okłada ciepłemi otrębami lub rozgrzanym piaskiem. W nogi zaś kłaść trzeba rozgrzaną cegłę. Jeżeliby choremu było zimno i ciało mu chłódło, trzeba go zaraz nacierać (ale tak, aby go nie odkrywać). Nacierać najlepiej chustą skropioną wódką albo zmoczoną w zimnej wodzie, a mocno wykręconą i to tak długo, dopóki pot nie wystąpi. Jeżeli kto już chory na żołądek, to niech obok tego wszystkiego nie je nic, tylko kleik z krupek jęczmiennych, albo kilka łyżek rosołu ciepłego, w którym można rozbić żółtko z jaja. Jeżeli chory uczuje zimno w brzuchu, dawajcie mu odwaru z kwiatu bzowego, rumianku lub mięty, tylko nie bardzo dużo, ale jeno tyle, ile chory bez przykrości znieść może. Jeżeli kilkanaście godzin minie a biegunka

jeszcze nie ustała, to trzeba przyłożyć choremu na brzuch ciepły okład z gorczycy i dawać mu co pare godzin ciepłe enemy z krochmalnego odwaru albo lnianego siemienia.

Jeżeli się tak każdy, co dostał biegunkę, leczyć będzie od razu, to się ustrzeże cholery, kto jednak się zaniedba, u tego zmieni się biegunka w cholerę. Cholera najczęściej zaczyna się od prostej biegunki, więc też łatwo ją można powstrzymać temi sposobami, o jakich w górze była mowa.

Jeżeli zaś biegunka mimo tych środków lub przez zaniedbanie zmieni się w cholerę, t. j. jeżeli chory broń Boże dostanie wymiotów, pieczenia w żołądku, pragnienia, jeśli mu członki ziębną, kurcz go w łytkach chwyta i głos mu ochrypnie, wtedy trzeba na razie tak samo go leczyć jak na biegunkę, jeno nie trzeba mu już dawać żadnego ciepłego napoju, tylko często po trosze zimnej wody zdrojowej, i ratując go tak tymczasowo posłać prędko po lekarza, albo do kogoś we wsi, co ma apteczkę i wie dobrze jaki dawać ratunek.

Jeżeli już kto dostał cholery, to trudno go wyleczyć — ale ustrzedz się od cholery bardzo łatwo. Kto się tylko szanuje i kto zaraz, jak tylko uczuje nieład w żołądku i biegunkę robi to, co tu radzimy, ten nie dopuści do cholery i będzie zdrów.

Odchody ludzi, co mieli cholerę, trzeba zaraz wydalać i koperwasem zalewać, bo z tego drudzy zdrowi ludzie najłatwiej się zarażają, bielizną także prać zaraz dobrze, a izbę przewietrzyć i octem wykądzić.

Dwa piękne przykłady.

Trudniej to teraz pomiędzy nami o piękne uczynki, nie tak ich wiele, jak było za ojców naszych. W każdem miasteczku i w każdej wiosce prawić zupełnie o nich nie usłyszysz, bo wszędzie jakoś swary, kłótnie, nienawiści i procesa, ludzie żyją osobno dla siebie, nie schadzają się razem, jakby to Pan Bóg każdemu w zaścianku żyć kazał.

Jestci tedy pomiędzy nimi coś takiego złego, co ich od siebie odpycha, a to mnie się zdaje: mniejsza wiara, brak

miłości bliźniego i potrzebnej nauki. Otóż z tego powodu mniej pięknych czynów, mniej łaski Bożej pomiędzy ludźmi.

Wiem ci ja o dwóch pięknych zdarzeniach, które się stały w Podgórzu, miasteczku zaraz za Wisłą przy Krakowie położonem, i te myślę wam moi ludkowie opowiedzieć, boć to cieszy człowieka niewymownie, że coś pięknego ludziom donieść może.

I.

Owoż przed pięciu latami przyprowadził ktoś niewiadomy do Podgórza małego chłopca i zostawił go na rynku. Domyślają się tylko ludzie, że to dziecko było od Niepołomic, i mówią, że je jakaś kobieta tutaj przywiodła. Dość na tem, że chłopiec na rynku począł bardzo płakać i zawodzić, bo mu się może jeść chciało, a do tego nie wiedział gdzie się udać, bo sam był zostawiony. Chłopczyna ten miał naonczas może pięć roczków, toć też i dobrze mówić nie mógł. Obstąpili go ludzie do koła, wypytują się ciekawie, co mu się stało, ale mało dowiedzieć się mogli, ponieważ chłopiec nic im objaśnić nie potrafił.

— A jak tobie na imię? — pytają się ludzie.

— Mnie jest Tomuś na imię, odpowiedział chłopiec.

— A kto cię tu przyprowadził? — zagadnęli go znowu.

— Ja tu przyszedłem z mamą — rzekł chłopiec — ale mię mama odeszła i nie wiem dokąd poszła.

I rozpłakał się biedny chłopczyna i począł stękać od zmartwienia.

— Nie płacz, moje dziecko — przemówiła jakaś kobieta z Podgórza — chodź do mnie do domu, ja cię będę żywiła tak długo, dopóki się kto nie upomni o ciebie.

Bierze chłopca za rękę, ale on nie da się prowadzić, krzyczy o mamę, aż gdy go przekonano, że mamy niema, poszedł z ową kobietą, która go też na prawdę u siebie zostawiła.

Chłopiec ośmielał się coraz więcej, słuchał swojej dobrodziejki, którą matką nazywać począł, — a że był zawsze dobry, nazwano go Dobrusiem, jak się i do dziśdnia nazywa.

Jednakże cudze dziecko nie może nigdy podobać się tak jak własne, nigdy ono tak nie dogodzi w oczach naszych, jakby dogodziło własne.

To też ona gospodyni poczęła niebawem przewodzić nad biednem dzieckiem, dokuczać mu i bić, a to się bardzo nie podobało ludziom, dlatego też nieraz przemawiali jej do sumienia, wszystko jednak po próżnicy.

Skarcił ją za to jej krewny, a że to nic nie pomogło, wziął po dwu latach chłopca do siebie i do dzisiaj go trzyma.

Krewny ten nazywa się Antoni Królikowski, i jest murarzem, a najczęściej nadzorcą i doglądaczem przy stawianiu domów. Jako prawy człowiek pracuje pilnie, to też ma swój dom, ogród i dość piękny dobytek.

Chociaż ma dwóch synów żonatych i jednego w domu, przy tem drobne wnuki, powiada on do swojej żony:

— Biednemu przecież dopomódz trzeba, kiedy nam Pan Jezus dał na tyle; weźmy dziecko za swoje, na co się poniewierać ma po świecie i cierpieć u złych ludzi?..

Królikowska dobra kobiecina przystała od razu na to powiedzenie i przyjęła chłopca do domu. Nie narzekała, bo przecież na jedzenie i okrycie chłopiec taki zasłużyć sobie może. Pasł ci też zaraz z początku gęsi, chodził z jedzeniem do Antoniego i nie w jednej rzeczy posługiwał w domu.

Aż przed rokiem powiada Antoni do swojej żony:

— Tomusia wzięliśmy za własne dziecko do domu, czegożbyśmy mieli mu odmawiać tego, co człowiekowi niezbędnie jest potrzebnem Mamy oto w miejscu szkołę, posyłajmy go na naukę, wszak za to się nie płaci, a chłopiec nabierze rozumu i będzie cnotliwym kiedyś człowiekiem.

— Aj dobrze, mój Antoni! — odpowie żona — posyłajmy go do szkoły, bo to rzecz dobra. Szczęśliwa ci myśl przyszła, aby sierocie dopomódz do szczęścia.

I oddali Tomusia do szkoły, a nie wyszedł miesiąc, jużci dostał od pana nauczyciela piękny obrazek za pilność i dobre obyczaje.

Co Antoniowie mieli w domu uciechy, tobyście nigdy nie uwierzyli. Posyłali Tomusia tem chętniej na naukę, on się też

uczył należycie i na pierwszym popisie publicznie dostał znowu obrazek, a na drugim był przeczytany, że ma prawo być w drugiej klasie.

I chodzi teraz Tomuś do drugiej klasy, a pan Antoni sprawia mu wszystko: odzienie, książki, papiery; cieszy się i mówi:

— Toć to mój Boże jak własne dziecko; niczego mu nie żałuję i będę go posyłał dotąd do szkoły, dopóki będę wstanie, a nie, to go oddam do rzemiosła, a że będzie miał naukę, stanie się dobrym robotnikiem i lżej mu żyć będzie na tym świecie.

Piękny to czyn moi kochani, dlatego też opisuję go wam na przykład i naśladowanie.

Dzięki dobremu Antoniemu Królikowskiemu za jego dobre serce, że nie gardzi sierotą — a dobremu chłopcu daj Panie Boże zawsze pilności i chęci, aby sprawiał pociechę swemu dobroczyńcy!

II.

Wtem samem miasteczku Podgórzu jest urząd wodny, który się stara o dobre brzegi, groble, tamy i brody, a naczelnym przy nim inżynierem czyli budowniczym jest p. Karol Reiner. Żona tego pana jest bardzo dobroczynna i łaskawa pani. Przed rokiem przyjęła do służby kobietę aż od Nowegotargu, co to leży het niedaleko przy górach tatrzańskich. Niebawem dowiedziała się ta pani, że owa służąca ma małego syna. Pisze zaraz do Nowegotargu, aby tego chłopca duchem przysłano do Podgórza. Przyjechał chłopiec, a dobroczynna pani tak mówi do służącej:

— Dziecko twoje byłoby zmarniało w tak dalekiej stronie i odwykło od ciebie, a mnie także jako matce kilkorga dzieci żalby tego było. Pisałam po niego dlatego, aby go oddać do szkoły, która jest właśnie w naszej kamienicy. Chłopiec będzie na mojej głowie, a spodziewam się, że ci się to złem widzieć nie będzie.

Służąca uściskała dobrą panię za nogi i zezwoliła na wszystko, co pani z nim robić będzie.

Niezadługo chodził chłopiec do szkoły, a w krótkim czasie pozbył się swojej nieśmiałości i tak się oswoil, że mu nauka szła gładko, a co w szkole usłyszał, zaraz matce o tem rozpowiadał, a nieraz tak powiedział do niej:

— Żal mi was moja mateńko, że wy czytać nie umiecie i że nie byliście nigdy w szkole. Kto nie zna raju na świecie, niech do szkoły chodzi.

— A masz też ty ochotę — zagada matka — tak ciągle uczyć się na książce?

— A od czegożbym był uczniem? — odrzeknie chłopiec. Wy pracujecie rękami, bo nie znacie się na książce, ja umię robić piórem i czytać z druku, dlatego też niemam innej roboty.

I na prawdę ów chłopiec, który się nazywa Franciszek Gwiazdoń, uczy się pilnie, a w domu pomaga czasem matce lub dobrotliwej pani, która mu też sprawia odzienie i nie żałuje pożywienia.

Lubi bardzo słuchać, kiedy Franuś co opowiada, a idzie mu to wszystko jak po mydle.

Przed niedawnym czasem zachorował Franuś mocno, pani dobrodziejka radziła zaraz co mogła, dogadzała mu we wszystkiem, płaciła doktora, i Franuś niebawem poszedł znowu do szkoły i tak się odwdzięczył pilnością, że na popisie publicznym pomiędzy stoma uczniami w klasie otrzymał dwunastą pochwałę i chodzi teraz razem z Tomaszem Dobrusiem do drugiej klasy i Bóg pozwoli, że tu pochwała go nie minie.

Wielką łaskawość dobroczynnej pani wynagrodzi Bóg w niebie, uznają dobrzy ludzie, a Franuś jeżeli będzie kiedy w stanie, odwdzięczy się czynem za opiekę i przytułek.

Oby więcej było takich pięknych przykładów pomiędzy nami!

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Zabójstwo. Prawda to już dawna, że z małych przyczyn bywają wielkie i złe skutki. Osobliwie między ludźmi ciemnymi i zapalczywymi przychodzi często z lada drobnego powodu do strasznych rzeczy, z słówka jednego do kłótni, z kłótni do bójki, z bójki do zabójstwa. Żal się Boże! po naszych wsiach często się takie rzeczy zdarzają. Oto posłuchajcie, jaki się

stał wypadek w Cholerzynie, w obwodzie krakowskim. Mieszka tam kmieć Kazimierz Góralczyk, nie bardzo dobrego zachowania, bo już dwa razy był karany. Ten Góralczyk wszedł był w jakiś handel z drugim wieśniakiem Antonim Janusem. W tym handlu pokłócili się obaj. Janus przezwał Góralczyka Baruchem. Otoż jak to wiecie, jak kto komu przyczepi jakie przezwisko, to już ludzie chwytają się tego, jak pijani płota. Tak samo i w Cholerzynie od tego czasu wszyscy zaczęli nazywać Góralczyka Baruchem, za co Góralczyk okrutnie się gniewał. Kiedy jednak Janus ciągle prześladował Góralczyka tem głupiem przezwiskiem, przyszło raz do kłótni, a Góralczyk poruszony wściekłym gniewem, uderzył Janusa pałką po głowie i zabił go. Kiedy występek ten straszny popełnił, pobiegł do lasu i chciał się z rozpaczy powiesić, ale go sumienie ruszyło i sam się oddał w ręce sądu.

Otoż macie tu przykład najlepszy, jak trzeba unikać wyśmiewania drugich ludzi, jak to nie potrzeba ich drażnić różnemi przezwiskami. A znowu macie i naukę, jak prawy człowiek wystrzegać się powinien wściekłej złości i gniewu i jak się miarkować powinien, jeżeli nie chce wpaść w zbrodnię i nieszczęście.

Kruk fundator ołtarza. W Mogile pod Krakowem jest starożytny klasztor, a w kościele, co jest przy klasztorze, znajduje się ołtarz, który według podania takim sposobem miał powstać. Zakonnicy trzymali sobie kruka ułaskawionego dla rozrywki. Otoż ten kruk wylatywał nieraz z klasztoru na całe dnie ale zawsze wracał znowu, bo się już dobrze był oswoił. Musicie zaś wiedzieć, że niektóre ptaki: jak np. sroki, wrony a osobliwie kruki mają ten zwyczaj, że jak co błyszczącego obaczą, np. srebro, złoto, pierścionki, szpinki itp. to je zaraz chwytają i gdzieś chowają po rozmaitych kryjówkach.

Otoż i ten kruk klasztorny tak robił. Bywało niema go cały dzień, nikt nie wie gdzie się podział, a tu tymczasem mój kruk hultaj latał do Krakowa, i przez otwarte okna kradł co mu się tylko nawinęło: dukaty, pierścienie złote, drogie kólczyki i inne rzeczy. Ścigano nieraz tego czarnego złodzieja, i szukano, gdzieby podziewał te rzeczy, ale trudno było dojść tego.

Tak minęły długie lata, kruk kradł i chował — aż nareście przyszła kryska na Matyska i zdechł nieborak. Upłynął długi, bardzo długi czas, aż razu jednego naprawiano wieżę kościoła i przy tej sposobności znaleziono pod belkami mnóstwo złotych rzeczy, pieniędzy, kólczyków, obrączek. Zrazu się dziwiono bardzo, zkądby się to wzięło, aż jeden stary zakonnik, co jeszcze zapamiętał tego kruka, wyjaśnił, jakim się to sposobem stać musiało. Ogłoszono zaraz o tem, ale że nikt się po te wszystkie kosztowności nie zgłaszał, więc zakonnicy za pozwoleniem duchownej zwierzchności kazali za to złoto i srebro wystawić ołtarz. Na spodzie ołtarza wykuto kruka, jako fundatora ołtarza.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 12.

21. października 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Urszulka Kochanowska.

Któż z nas chrześcian, któż z rodaków naszych nie zna prześlicznego psalmu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, któż go nie spiewał przy processji i w domu. Psalm ten znany z cudownych swoich skutków, każdemu kto go szczerze a z głębi serca i duszy odmawia, wielką jest pomocą u Wszechmocnego Stwórcy, a odmawiają go nietylko chrześcijanie katolicy, ale protestanci czyli wyznawcy nauki Lutra i Kalwina, odmawiają go wyznawcy religji Mojżeszowej. Znajduje się psalm ten w piśmie świętem, boć go napisał król izraelicki Dawid prorok i śpiewak Boży w języku hebrajskim.

Z mowy hebrajskiej wytłumaczyli psalm ten pobożni chrześcijanie na mowę grecką i łacińską. Któż go wytłumaczył na polskie i w piękne wiersze przybrał? — Oto rodak nasz Jan Kochanowski, żyjący przed trzemaset laty za królów Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Henryka Walezjusza i Stefana Batorego. O nim wam też chcę dzisiaj dać wiadomość.

Urodził się Jan Kochanowski w 1530, umarł zaś 1584 r. Ojciec jego widząc wielką chęć do nauki w synie, wysłał Jana

do Włoch, kędy wówczas najbardziej kwitnęły nauki, tam w mieście Padwie wydoskonalił się młody Kochanowski w różnych umiejętnościach przez kilka lat przebywając, poczem uczył się także we Francji w mieście Paryżu, nakoniec powrócił do ojczyzny, gdzie już znano go z wierszy pięknych, jakie z zagranicy dosyłał.

Z początku Jan Kochanowski przybywszy do Krakowa, zasmakował sobie w życiu przy dworze królewskim, i nic dziwnego, boć go i król Zygmunt August i panowie bardzo lubili, a ku sobie przyciągali. Wiersze Jana Kochanowskiego u wszystkich upodobanie znajdowały, a to z dwóch przyczyn: raz że były bardzo piękne, a powtóre że były polskie, bo aż do tego czasu w Polsce prawie wszyscy pisywali po łacinie, po polsku zaś ledwie nieco przed nim pisać zaczął Mikołaj Rej z Nagłowic, Kochanowski zaś pierwszy zaczął w rodzinnej mowie wiersze układać.

Wesoło schodziło życie Janowi przy dworze królewskim, panowie możni chcąc mu nastręczyć utrzymanie, aby się nie frasował o wydatki na życie a mógł sobie pisywać swobodnie swoje wiersze, wystarali się dla niego o dochody, ale w końcu uprzykrzyło się Kochanowskiemu dworskie życie i wyniósł się do wsi Czarnolesia, kędy ożenił się z Anną Podlodowską niewiastą cnotliwą i piękną.

Osiadłszy w Czarnolesiu, Kochanowski to trudnił się gospodarstwem, to pisaniem wierszy naprzemian, i żył bardzo szczęśliwy z żoną i dziateczkami, któremi ich Pan Bóg obdarzył.

Chociaż mała wioska nie przynosiła mu znacznych dochodów, a dziatek wciąż przybywało, przecież Kochanowski nie łaknął bogactw, a gdy mu przyjaciele przy dworze królewskim bawiący wystarali się u króla o urząd Kasztelana Połanieckiego, aby fortunę jego pomnożyć, Kochanowski urzędu tego przyjąć nie chciał, mówiąc: „Bóg zapłać, ale ja nie chcę wpuszczać do mego ubogiego domku pysznego kasztelana, bo onby to wnet zmarnował, co Kochanowski zebrał“, napisał też z tej okazji wiersz wychwalający tych co nie żądają wiele, a który zaczyna się tak:

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może niedbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, o wysokie grody,
Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

Wszystkie dziateczki Kochanowskiego były milutkie, cnotliwe i pobożne, ale z pomiędzy sześciu córek, nad wszystkie najmilszą ojcu była Urszulka. Niedość że śliczniutka jak aniołeczek, ale przytem taka mądra że jak na dziwowisko zjeżdżali się znajomi i nieznajomi do domu Jana Kochanowskiego, ażeby się przypatrzeć tej cudownej dziecinie.

Powiedźcież sami moi mili, czy też nie słusznie nazywam maleńką Urszulkę cudowną dzieciną, toż ona nie miała jeszcze trzech lat skończonych, a już składała wyrazy do wierszu, słysząc jako ojciec rymuje, a były to wierszyki takie ładne żeby się ich i stary nie powstydził Niedość na tem, Urszulka była grzeczną, miłą, usłużną, ucieszną tak że wszyscy w domu kochali ją gdyby aniołeczka, a cóż dopiero ojciec, temu mało serce z piersi nie wyskoczyło, ile razy z rana ujrzał swą drogą dziecinę, ile razy mu wdzięcznym głosikiem zaszczebiotała.

Jan Kochanowski w ogrodzie swoim miał ogromną lipę, pod którą zwykle siadywał, pod którą wypoczywał po pracy gospodarskiej i gdzie wiersze swoje układał. Tutaj to skoro gość jaki przybył go nawiedzić, przyjmował go dzbanem piwa domowego i gawędził z nim o tem, co się w kraju dzieje, dowiadywał się nowin o królu i o znajomych panach i dostojnikach dworu, miejsce to było mu najulubieńsze, tu też najbardziej rad przesiadywał ze swoją najmilszą Urszulką i słuchał jej lubego gwarzenia. Skoro pani Kochanowska chciała widzieć się z mężem, a nie było go w komnacie, to biegła pod lipę i zastawała swego przyjaciela zadumanego nad księgami lub piszącego wiersze.

Otoż jednego dnia siedział pod ulubioną lipą jak zwykle zadumany, i rozmyślał o przybyciu brata swojej żony Jakóba Podlodowskiego, kiedy nagle przybiega Urszulka i rzecze: „Cze-

goż tu tak siedzicie ojcze, pójdźcie ze mną na łąkę, narwiemy kwiatków dla naszego gościa."

— Alboż ty wiesz moja miła szczebiotko, kto tu do nas przyjedzie? zapyta ojciec.

— O wiem! zawołała Urszulka i nie myśląc długo zaspiewała:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki,
Rzucę mu pod nogi.

Urszulka sama ułożyła tę piosnkę na prędce, a ojciec tem uradowany, rzecze: o mój ty drogi słowiczku, pójdźże do matki i powtórz jej te wierszyki, a Urszulka na to:

— Jużem je zapomniała, ale tu ich mam daleko więcej i ładniejszych wierszyków! — i pokazała palcem na główkę.

Wkrótce przyjechał oczekiwany pan Jakób, a Urszulka witając go układała różne wierszyki, tak że zdumiony tym dziwnym darem ośmioletniego dziecka, zawołał: Niechże Bóg Wszechmocny opiekuje się tą drogą dzieciną, a strzeże ją od wszystkiego złego, boć to prawdziwie rzecz niezwykła tyle rozumu w tak młodziuchnych leciech.

Wkrótce potem znakomity gość miał nawiedzić Czarnolas. Był to hetman Jan Zamojski, wielki przyjaciel a wielbiciel Jana Kochanowskiego. Można sobie wystawić, jakie to przygotowania były na przyjęcie tak dostojnej osoby. Kochanowski wydobywał z piwnicy najstarsze wina i miody, pani Kochanowska pilnowała oczyszczenia domu, okurzania sprzętów, przeglądała spiżarnie, aby niczego nie brakło na przyjazd hetmana, to znów wybierała szaty dla męża, siebie i córek. Wszystkie dziewczęta dopomagały matce w tej mozolnej pracy, jedna tylko Urszulka skakała jak ptaszek, z kąta w kącik, przypatrując się robocie matki i starszych sióstr.

— Urszulko! Urszulko! zawoła matka, biegasz tylko ciągle z miejsca na miejsce, a nie myślisz jak my wszyscy o przyjeździe pana hetmana.

— O myślę, myślę, miła matko! — rzecze Urszulka.

— Gdybyś myślała, tobyś się przecie czemś zajęła, żeby go przyjąć uczciwie jak my wszyscy nad tem się kłopotamy.

— Każdy go przyjmie jak może, a Urszulce też Pan Bóg pomoże, żeby rodziców nie zawstydziła — odpowie dziecina.

— O bo ty nie wiesz Urszulko jaki to pan dostojny i możny, mówiła dalej matka, ile on to ma pałaców i zamków prześlicznych w całym kraju, a jaki bogaty, niema u nas takiego drugiego, żeby miał tyle dostatków co pan hetman, wielki koronny — trzeba go kochać moja dzieweczko.

— Cóż tam że bogaty, ale czy on Pana Boga kocha nadewszystko, a bliźniego jako siebie samego? — zapyta Urszulka.

— Jakżeby nie, moje dziecko, przecież to katolik jak my wszyscy.

— A czy pan hetman ubogich kocha i daje im jałmużnę?

— Wielkim jest dobrodziejem dla biednych — odpowie matka.

— No to i Urszulka będzie go kochać — zawoła dziecina, a potem pomyślawszy jeszcze przez chwilkę, zapytała:

— A dzieci czy pan hetman kocha?

— Oj kocha, kocha moja dzieweczko, ale się bardzo trapi, bo mu Pan Bóg nie dał dzieciny.

— O to Urszulka jeszcze go bardziej będzie kochała, kiedy taki biedny że dzieci niema.

I odeszła w ogród a zadumała się bardzo dzieweczka nad tem że są ludzie tacy nieszczęśliwi, że dzieci nie mają, coby ich kochały.

W kilka dni potem pan hetman przybył wreszcie do Czarnolesia. Wszystko co żyło wybiegło naprzeciw niemu, Jan Kochanowski skłoniwszy się swemu możnemu przyjacielowi, wprowadził go do domu prezentując żonę i dziatwę.

Hetman powitał panią Kochanowskę, uśmiechał się i przemawiał do córek; ale wzrok jego zatrzymał się na Urszulce, a oczy nie mógł odwrócić od tego prześlicznego aniołka.

Urszulka miała na sobie bielutką jak śnieg sukienkę, przepasaną w pasie niebieską szarfą, i jasne włoski rozpuszczone w kędziorach około główki, które jej spadały na plecy i ramiona, podobnie jak widujemy na pięknych obrazach malowanych aniołów bożych.

Pan hetman siadłszy w obszernem krześle z poręczami, wziął Urszulkę na kolana, pieścił ją i całował, a ona z dzie-

cinną ciekawością oglądała jego ubiór wspaniały, dotykała rączkami dyamentowych guzów, i przypatrywała się złocistym pierścieniom.

— Czy ci się podobają Urszulko moje suknie i sygnety? zapytał hetman.

A Urszulka bez namysłu odpowiada mu wierszami.

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Państwo Kochanowscy zmięszali się słowami Urszulki, bojąc się obrazy gościa, a hetman zdziwiony tem niespodzianem odgadnięciem jego najskrytszych myśli spojrzał na nich dziwnie, jakoby podejrzywając iż namówili dziecinę, a ojciec wiersze ułożył, potem zwróciwszy się do Urszulki zapytał:

— Któż to cię miła Urszulko takich wierszyków nauczył? A dziecko na to: Któżby mię uczył, ja sama tak ze siebie zawsze mówię wierszyki.

— To ja nie będę szukał sobie innych dzieci, powiada hetman, tylko sobie wezmę Urszulkę — ojcu podaruję szaty i sygnety, które ci się tak bardzo podobają, a ciebie wezmę do Krakowa.

A Urszulka spojrzawszy na hetmana rzecze:

Nie — ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna,
Mnie weźmie ktoś inny
Aniołek niewinny,
Ja poproszę Boskiej Matki,
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nikt nie potrafi opisać zdumienia hetmana — łzy zakręciły się w jego oczach. Pieścił i całował Urszulkę, a ona mu coraz więcej i coraz piękniejszych wierszyków mówiła — Kochanowski nie posiadał się z rozkoszy, tylko matka spoglądała z niespokojnością na dzieweczkę, bo ją zatrwożyła przepowiednia w wierszykach przez Urszulkę powiedzianych.

Nad wieczorem pan hetman odjechał pożegnawszy Kochanowskiego i ich kochaną Urszulkę. Dzieci pokładły się spać,

rodzice zaś jeszcze przez jakiś czas o swoim gościu rozmawiali — nakoniec pan Jan odszedł do swojej komnaty, lecz zaledwie ułożył się do snu, kiedy nagle wbiegła pani Kochanowska, blada od trwogi i przerażenia i rzecze: Jasiu przez miłość boską, pójdź co prędzej – Urszulka widno chora, całe ciałko, a szczególniej główkę ma rozpaloną jak węgiel!

Kochanowski zerwał się z posłania, przestrach, a może przeczucie ścisnęło mu serce, w jednej chwili był już przy łóżeczku swojej najmilszej Urszulki, i ze strapieniem poznał, że sroga gorączka ogarnęła dziecinę.

Wnet chwycono się rozmaitych sposobów, lodem obłożono główeczkę, gorczycą z octem nóżki, ale gorączka nietylko nie ustawała, lecz wciąż rosła. Kochanowski ani na mgnienie oka nie opuścił pościołki swojej drogiej dzieweczki, patrzył w nią jak w tęczę i drżał od strachu, dzieweczka w gorączce wciąż mówiła to do swoich sióstr, choć ich tam nie było, to do matki i ojca, to znowu jakby rozmawiała z kimś niby z aniołkami, to układała wiersze. Tak w gorączce ubiegły dwa dni bolesne. Nareszcie trzeciego dnia nad wieczorem wróciła do przytomności, a widząc matkę płaczącą zawołała:

Nie płacz matko proszę,
Ja idę do nieba,
Na czyste rozkosze,
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja miła córka,
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siędzie,
Matko źleż ci będzie,
Mieć swego aniołka?

Rodzice słysząc te słowa ukochanej dzieciny wybuchnęli głośnym płaczem, a dzieweczka prosiła aby przyszły siostrzyczki i wszyscy służący i z każdym się żegnała. Widząc płacz rodziców, przyciągnęła oboje za ręce i całując je mówiła: „Już ja wam moi najmilsi służyć nie będę, już nie zasiędę mojego miejsca za stołem, muszę jechać w ciemną i nieznaną krainę, muszę pożegnać wasz dom na zawsze.“ Po chwili przytomności Urszulka wpadła znowu w gorączkę, i tak biedna dziecina mę-

czyła się jeszcze przez całą noc, nakoniec nad ranem zawołała mocnym głosem: Jezus! Marja! Józef! i czysta jej duszyczka uleciała do nieba.

Któż opisze boleść całej rodziny, boleść matki, straszne cierpienia ojca! Wciąż tylko chodził z zwieszoną głową i powtarzał: Niemasz cię Urszulo moja! Ukochana jego dzieweczka opuściła miły dwór Czarnolasu; już Kochanowskiego nie cieszyły ani pola i łąki, ani jego ulubiona lipa. Nie pisał już owych wdzięcznych wierszy, wzniosłych nie tłumaczył psalmów, ani pięknych nie układał piosenek. Pióro jego zlewało na papier smutne, a pełne bolu wyrazy — opisujące nieszczęścia pognębionego ojca. Czytając te wiersze, trudno wstrzymać się od płaczu, zwłaszcza też rodzicom, którzy potracili dzieci. Wybrałem tu małą ich cząstkę, z tych wierszy zwanych Trenami, ażeby wam bracia mili dać choćby nieco poznać żal i rozpacz Jana Kochanowskiego:

Moja wdzięczna Urszulo, bodajś ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tem nieodpowiedniem pożegnaniem twojem.
Omyliłaś mnie jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potem nagle uciecze, a temu na jawie:
Z onych skarbów jeno chęć, a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Urszulo droga uczyniła,
Wielkieś nadzieje w sercu mojem rozniecіła,
Potemeś mnie smutnego nagle odbieżała,
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała,
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc duszy połowicę,
Ostatek przy mnie został na wielką tęsknicę!
Tu mi kamień murarze ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydrążcie:
„Urszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie,
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała,
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała!“

Poległy żołnierz.

Tam na dalekiej, obcej równinie,
Nieszczęsny żołnierz na rozkaz ginie,
Walczył odważnie, nikt nie wie o tem,
Pamięć trza kupić stopniem lub złotem.

O innych żale, płacze i jęki,
Nikt na żołnierza nie pomni męki,
Nikt nie pamiętał, że biedak służył,
Imienia jego nikt nie powtórzył.

Lecz tam daleko pod jego strzechą
Gdzie był rodziców starych pociechą,
Tam siwy ojciec duma głęboko,
I łzą mu stare zachodzi oko!

„O mnie przeczucie pewno nie zwodzi,
Ach! jak czerwono słońce zachodzi,
Jaś mój nie wróci, biada mej głowie!“
A matka płacze i z łzami powie:

„Biedneż me serce, smutek padł na nie;
Wieczne jedynak mój ma posłanie,
Gdzieś życie oddał z śmiertelnej rany,
Już cię nie ujrzę Janku kochany!“

Jasia kochanka o czarnem oku,
Smutno się patrzy w nocy po mroku,
I mówi sobie: „Jeśliś ty w niebie,
To moje serce żyje dla ciebie!“

Płaczą kochanki, matki źrenice,
Jako miłości pełne krynice,
Widzi to chmurka płynąc po niebie,
Wszystkie ich łezki pochłania w siebie.

Płynie po niebie szybkością strzały,
Gdzie nieprzyjaciół kule padały,
Chyla się, skłania na trupów stosy
Spuszcza te łezki w kropelkach rosy....

Gdzie głowa Jasia i martwe skronie,
Tam rosę spuszcza, roztacza wonie,
Aby nie leżał w cudzej krainie,
Nieopłakany w pustej równinie!

J. S.

Łukaszek z pod Szydłowca.

Niema droższego skarbu na świecie nad zdrowie, a przecież ludzie o nic prawie tak mało niej dbają, jak właśnie o zdrowie. Dobrze to powiedział nasz sławny wierszopis polski Kochanowski: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się popsujesz!“ A gdy się nawet już popsuje, to i wtedy jeszcze ludzie nie mają o niem takiego starania, jakby to należało. I tak, aby odrazu przyjść do rzeczy, dzieje się to bardzo często między ludźmi, a już to najczęściej między wami, włościanie, że chorzy powierzają się łatwowiernie jakimś oszustom i babom, zamiast przywołać zaraz uczonego lekarza. Jak tylko kto z was zachoruje, to zrazu nie leczy się wcale, ale zaniedbuje chorobę, a gdy już widzi że źle bardzo i że śmierć zagląda w oczy, to posela gdzieś po jakiegoś cerulika, albo co jeszcze gorzej, po jakiego nieuczonego owczarza lub po babę a oni leczą go jakiemiś głupiemi gusłami, zabobonami i Bóg wie czem jeszcze, i oczywiście zamiast pomódz choremu, dobijają go jeszcze. W każdej wsi jest taka mądra baba co ludzi oszukuje, a swemi lekarstwami zdrowych w chorobę zapędza a chorych o śmierć przyprawia.

Tacy ludzie, co korzystają z łatwowierności drugich i biorą się do kuracji, choć są ciemni w tem jak tabaka w rogu, są prostymi oszustami, i prawo też za takich ich uważa, bo surowe na nich stanowi kary. Ale oprócz prawa karze ich jeszcze tu na ziemi Bóg sprawiedliwy, bo zdrowie jest darem Bożym, a kto niweczy i psuje Boże dary, wart kary doczesnej i wiecznej. Opowiem wam tu prawdziwą historję o jednym takim owczarzu, co ludzi kurował, choć się na tem nie znał. Owczarz ten zwał się Łukasz, a wszyscy zwali go po prostu Łukaszkiem z pod Szydłowca, bo mieszkał pod miastem Szydłowcem, które leży w Polsce pod panowaniem moskiewskiem.

Łukaszek był zrazu owczarzem u jednego pana, co się zwał Kietliński. Niewiernie on panu swemu służył. upijał się a nawet tak daleko w swej złości się posunął, że gdy raz pan skarcił go za jakieś nieposłuszeństwo, to on z zemsty połowę owiec pańskich wytruł. Za to dostał się Łukaszek do krymi-

nału, a gdy go ztamtąd wypuścili, wziął się na łatwy sposób zarobku, bo mu się pracować nie chciało. Wziął się tedy do leczenia chorych i począł rozgłaszać, że on wszystkie choroby duchem potrafi wyleczyć Pozmawiał się z karczmarzami, a kto tylko przejeżdżał, to oni zaraz zachwalali mu Łukaszka, kłamali cuda o jego kuracjach — a że łatwowiernych dużo jest na świecie, a głupich zawsze więcej jak mądrych, więc kto był chory, to szedł do Łukaszka po radę. A Łukaszek tymczasem był sobie chłop jak każdy inny, a nawet i pośledniejszy, bo dziś już prawie co trzeci wieśniak czytać umie, a Łukaszek ani czytać ani pisać nie umiał.

Za to miał Łukaszek wielki spryt i przebiegłość i umiał tumanić ludzi. Ci karczmarze, z którymi się zmówił i których opłacał, wypytywali zawsze naprzód chorych, którzy szli do Łukaszka, co mu brakuje? co go boli? od jak dawna już słaby? — a potem cichaczem dawali o tem znać Łukaszkowi, tak że jak chory jeno pokazał się przed Łukaszkiem, to on mu już zaraz bez pytania powiedział, co mu dolega. Głupi ludzie dziwili się, zkąd to Łukaszek wszystko wie tak dobrze, i tem więcej mu ufali, myśląc, że on ma na prawdę cudowną władzę odgadywania i leczenia wszystkich chorób.

Tak tedy tumaniąc ludzi zbierał Łukaszek grosz do grosza, aż nareszcie kupił sobie folwarek. Niebawem też rozgłosiło się jego imię po dalekich okolicach, bo każdy z was wie, jak to pogłoski sięgają daleko, — i do Łukaszka poczęli się cisnąć chorzy, już nietylko z prostego stanu, ale i panowie. Łukaszek na to jak na lato, radził chorym, przedawał im drogo rozmaite zioła i trawy i zbierał tak grosz ogromny. Nareszcie przyszedł on do takiej wielkiej sławy, że z całej Polski zjeżdżali się do niego ludzie, bogaci i ubodzy i płacili mu setnie za lekarskie rady.

I do tego wreszcie przyszło, że jak Łukaszek wybrał się do samej stolicy do Warszawy i tam stanął w najpierwszym zajeździe, to niezliczona ilość chorych pchała się do niego, tak że jakby do cesarza trudno się było dopchać do niego, a przed domem to kilkanaście pańskich powozów stało każdego czasu. Wtedy to Łukaszek za jeden tydzień zarobił w Warszawie

dziesięć tysięcy złotych, tyle co niejeden doktor za cały rok nie zarobi. Łukaszek wtedy zadarł nosa do góry, kupił sobie kilka domów w Szydłowcu, ba potem wieś całą a tak zhardział, że już kazał po siebie karetę przysełać, i bywało wiozą go jak hrabiego czterma końmi do jakiego chorego pana. Za jedne odwiedziny płacili mu nieraz panowie po kilka tysięcy, a jeden jenerał, co daleko mieszkał, dawał mu dziesięć tysięcy rubli, co tyle znaczy co 15 tysięcy reńskich, aby przyjechał do niego. I tak Łukaszek przez swoją przebiegłość wyszedł z prostego owczarza na wielkiego pana.

Powiecie mi może, że ten Łukaszek przecie musiał być na prawdę cudownym lekarzem, kiedy go tak rozchwytywano na wszystkie strony i kiedy do takiej wielkiej sławy i do takiego wielkiego przyszedł majątku. A ja wam na to odpowiem, że z tego jeszcze nie wynika, aby Łukaszek nie był tylko sprytnym oszustem, tylko to wynika, że dużo jest łatwowiernych i głupich ludzi na świecie! Zresztą ja wam to wytłumaczę, jakim to sposobem stać się mogło, że Łukaszek zrobił takie szczęście, choć się na leczeniu nie znał i choć był człowiek bez żadnej nauki i oświaty.

Oto musicie najprzód zważyć, że każdy, kto zasięgał rady u Łukaszka, to mu zaraz z góry płacił, choć nie wiedział, czy mu pomoże, czy nie, więc Łukaszek mógł zebrać pieniądze, choćby nikomu nie pomógł. Dalej trzeba zważyć, że często są takie choroby, które i bez lekarza same ustają, jak więc taki chory był po radę u Łukaszka a potem wyzdrowiał, to myślał, że to mu Łukaszek zdrowie wrócił, a to tymczasem sama natura mu pomogła. A każdy taki co przyszedł do zdrowia, głosił zaraz sławę Łukaszka i dlatego też owczarz ten był tak wzięty. Dalej musicie wiedzieć, że i najświatlejsi ludzie nieraz, gdy ich Bóg nawiedzi ciężką chorobą, z której żaden lekarz nie może wyleczyć, probują wszystkich ratunków możliwych, bo jak mówi przysłowie, tonący brzytwy się chwyta. Każdy chory, co go już lekarze opuścili, szedł więc jeszcze do Łukaszka wyraźnie z rozpaczy, myśląc, a nuż on mię przypadkiem jeszcze od śmierci uratuje.

Przez to wszystko i przez swoją sprytność przyszedł Łukaszek do takiej ogromnej chwały i majątku. Był teraz pan całą gębą, a jak dawniej pił gorzałkę, tak teraz zalewał się takiem zamorskiem winem, co go kwarta dukata kosztuje. Ale przyszła kara i na niego i to bardzo bolesna i dotkliwa. Łukaszek miał córkę jedynaczkę, którą bardzo kochał. Tę córkę swoją chciał Łukaszek wykierować na wielką panię, bo mu też i stać było na to. Oddał ją tedy do szkoły panieńskiej w Kielcach i wychowywał ją po pańsku. Ale oto jednego razu, córka ta przyjechawszy odwidzić ojca, nagle śmiertelnie zachorowała.

Teraz przyszła pora dla Łukaszka, aby dowiódł na swojej córce, że jest cudownym lekarzem i że niema choroby, z którejby nie potrafił wyleczyć. Ale Łukaszek taki był doktor, jak każdy inny wieśniak, i gdy przyszło ratować córkę, stał nieporadny i w rozpaczy. Toć córki, swego jedynego dziecięcia nie mógł tumanić tak, jak tumanił cudzych chorych, nie mógł jej dawać tego przeróżnego zielska, którem za drogie pieniądze raczył obcych chorych.

Cóż miał Łukaszek robić? Nic innego oczywiście, tylko powinien był posłać zaraz po prawdziwego, uczonego lekarza, ale oto patrzcie, sam związał sobie ręce. Jakże tu posłać po lekarza, kiedy on sam głosił się za cudownego doktora, a o innych uczonych doktorach mawiał, że na niczem się nie znają. Toć mu ludzie powiedzą: kiedyś taki mądry, kiedyś drugich chorych chciał leczyć, czemuż własnego jedynego dziecka od śmierci nie uratujesz, jeno posełasz po doktora?

Tak stał Łukaszek z boleścią i rozpaczą w sercu nad chorą jedynaczką. Gdyby był zrzucił pychę z serca i posłał po lekarza, byłby spełnił obowiązek ludzki i ojcowski — ale on się wstydził i wahał, a przez to wpadła córka w jeszcze straszniejszą chorobę. Nareszcie miłość ojcowska przemogła, posłał po lekarza. Niestety! było już za późno — lekarz już nic nie mógł pomódz, mówił tylko, że gdyby posłano wcześniej po niego, byłoby dziecko przyszło do zdrowia.

Wystawcie sobie teraz smutek i boleść Łukaszka! Nie byłaż ta dotkliwa kara za to, że drugich ludzi chorych łudził!

Co się dalej stało z Łukaszkiem, nie mogę wam dokładnie opowiedzieć. Tyle tylko wiem, że sława jego wkrótce ustała. Ludzie się przekonali, że to wszystko było tylko złudą i Łukaszek jak dawniej był sławny, tak teraz poszedł całkowicie w niepamięć. Umarł lat kilkanaście temu a majątek rozszedł się po jego śmierci rychło, tak jak był zebrany.

Taka jest historja o Łukaszku z pod Szydłowca.

Na zakończenie zaś zrobię jeszcze jedną uwagę dla tych co zdrowie swe powierzają lada komu a o uczonych lekarzach ani wiedzieć nie chcą. Czy też oni wiedzą, co to jest lekarz prawdziwy? Toć lekarz prawdziwy, to jest doktor medycyny, co ma patent cesarski, musi się uczyć przez dwadzieścia lat po rozmaitych szkołach lekarskich, musi znać każdą kosteczkę, każdą błonkę, każdą żyłeczkę w ciele człowieczem, musi wiedzieć o każdej chorobie, jak ona powstaje w ciele, co ona tam za zmiany we środku i na wierzchu wywołuje, jak się rozwija, musi znać każde ziółko na Bożym świecie, któremu Opatrzność każe róść na uleczenie zdrowia ludzkiego. I nad takiego doktora mógłby być lepszym pierwszy lepszy owczarz, co czytać nie umie, miałaby być mędrszą lada baba stara, co głupie gusła wyprawia i w zabobony wierzy? Jeno sobie tak pomyślcie w zdrowym rozumie, czy to być może?...

Toż jak ty masz zegarek, a ten zegarek ci się popsuje, czy ty go sam naprawisz? Jużci że ani ty ani twój sąsiad go nie naprawi, jeno musisz iść do zegarmistrza, co zna, z czego się składa zegarek i jak w nim każde kółko, każdy gwoździk, każda sprężynka ma się poruszać. A ciało ludzkie to także tak jak zegarek, jeno że tysiąc razy sztuczniejszy, bo w nim tysiące żyłek, tysiące kosteczek składa się w całość i w życie.

Jeżeli masz pieniądze, czy ty je powierzysz jakiemu człowiekowi którego nie znasz, albo jeźli masz proces jaki, czy pójdziesz z nim do takiego, co ani czytać ani pisać nie umie? Nie! A zdrowie przecież droższe niż pieniądze, bo co ci po nich, jeźli zdrowia niema i umierać musisz! Dlaczegoż wy, kochani ludzie, tak mało cenicie ten skarb najdroższy? Przyznajcie sami, czy to mądrze tak robić?...

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Siano ziemniaczane.

Pewien dobry i doświadczony gospodarz podaje sposób, jak sobie można zaradzić w braku siana. Oto radzi on tym, którym brakuje siana dla chudoby, aby robili siano z liści ziemniaków. — W końcu sierpnia i na początku września podczas pięknej pogody, zżyna się zieloną jeszcze nać ziemniaczaną i układa się ją na obranem w pobliżu dogodnem miejscu, w okrągłe kupy 10 stóp średnicy i 10 stóp wysokości mające, w ten sposób, aby podczas zaścielania naci jednocześnie czworo ludzi silnie ją udeptało. Jeśli się ta robota dobrze wykona i ciepłe jest powietrze, to się ta kupa we 22—24 godzin tak zagrzeje, że nać będzie jakby zgotowana, jasnobrunatnej barwy, woni podobnej do suszonych owoców, a mimo tego tkanina jej włóknista nic na swej mocy nie utraci. W takim stanie nać posiada najwyższą wartość pokarmową, na co też pilnie baczyć należy. Skoro już cała kupa została tak nadeptana, wtedy się ją rozrywa hakami i widłami, albo rękami starannie rozściela, raz albo dwa razy przewraca; a tak przy sprzyjającej pogodzie w ciągu 10—12 godzin ta rozparzona nać ziemniaczana wyschnie najzupełniej, nie utraciwszy swych liści. — Takiego dobrze przyrządzonego siana ziemniaczanego 12 funtów dziennie ugotowanych do zaparzenia karmy, a 12 funtów na sucho jako siano założonych, przy zwykłym dodatku słomy, wystarczą najzupełniej dla jednej krowy. Nietylko krowy i woły chciwie tę paszę zjadają, ale nią nawet konie i owce nie gardzą.

R.

RÓŻNOŚCI.

Otwarte serce. W głębi lasu był domek borowego. Wieczorem w późnej jesieni palił się w izbie ogień na kominku — borowa gotowała wieczerzę, a borowy z dziećmi przebierali mech przesuszony do obtykania okien od deszczu i zimna. Na dworze szumiały drzewa, wiatr gwizdał i zamkniętemi okiennicami łopotał.

— Cóż też to dzisiaj za wicher! odezwał się borowy. Chwała Bogu, że już jutro wszystkie szpary u okien pozatykamy, bo człowiek tu siedzi, jak na jakim młynie.

— A najgorsze te okienka w środku, mówiła borowa, nie wiedzieć na jaką pamiątkę te otwory powyrzynane, któremi tylko deszcz w szyby zacina i wicher gwiżdże, jak zbójcy w boru.

— Doprawdy, że zbójcy mogliby niemi jeszcze kiedy przepatrzeć wszy-

stkie kąty w izbie, odezwał się starszy chłopczyk, który na ziemi przy kupce mchu siedząc, bojaźliwie ku oknu spojrzał. W tem za ścianą pies zaszczekał i potargnął łańcuchem w budzie. Dzieci się potrwożyły i wszyscy nadsłuchując milczeli — ktoś zapukał we drzwi sienne, a borowy wziąwszy z kącika kostur do ręki, wyszedł zobaczyć ktoby to był.

— Kto tam? kto tam? zawołał, potem zaporkę uchylił, a z szumem wiatru i deszczu było słychać jakiś głos nieznajomy. Po małej chwilce wszedł borowy do izby, a za nim obcy człowiek, zmokły, z podniesionym kołnierzem i z zawiązanym na plecach tłumoczkiem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! odezwał się podróżny na progu.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedzieli domowi. Gość w dom, Bóg w dom, czem chata bogata, tem będziemy radzi. Ale zkądże to Pan Bóg prowadzi was do nas w taką ciemną noc i niepogodę?

— Z dalekich stron, miła gosposiu. Jestem ja sobie kramarzem wędrownym, noszę obrazki i różne świętości, a chciałem dziś jeszcze dostać się do miasteczka za borem, kiedy mię właśnie noc zaszła i deszcz się rozpadał, że wcale nie było można rozeznać drogi między drzewami. Niewiele było potrzeba, a byłbym już musiał dnia czekać gdzie pod mokrym krzakiem. Na szczęście zobaczyłem w boru małe światełko. Szedłem do tego światełka i otóż widzę nareszcie tuż przed sobą, że to światełko jest wyraźne, jakoby serce płonące, które się w ciemności unosi i niewiedzieć gdzie mnie zaprowadzi. Wtem pies zaszczekał i poznałem dopiero, że w istocie musi tu być jakie pomieszkanie ludzkie, i że owo światełko błyszczy z izby przez okiennicę, w której wyrznięty jest otwór na podobieństwo serca.

— Mój Boże, przerwał zdziwiony borowy, jak to czasem każda rzecz się przyda, a człowiek nie przewidzi na co — i sadzając podróżnego przy sobie do zastawionej wieczerzy, rzekł: Przed małą chwilką, nimeśmy usłyszeli wasze stukanie, narzekaliśmy, że nam wiatr świszczy temi wyrznięciami, a to starzy pewno nie napróżno je w okiennicach dawali, znać dlatego, żeby podczas długich wieczorów na dworze było widać światło z izby, któreby podróżnym w potrzebie pokazywało, gdzie mogą wstąpić na nocleg.

— W samej rzeczy, dodał podróżny, bo i pocóżby właśnie najczęściej serca na okiennicach byli wyrzynali, tylko iż mieli przysłowie, że „staropolska to cnota, nie zamykać przed nikim wrota.“ Dlatego też nawet wieczorem, kiedy okiennice pozamykali, zostawiali w nich otwarte serca, aby było widać, że tam na każdego gościa z otwartem sercem czekają. Pamiętam, mówił dalej podróżny, po niektórych jeszcze starych naszych klasztorach i dworach, gdy podłoga w sieniach przed progiem była do szczętu wydeptaną, to widywałem nieraz w takie miejsca wprawiony kawał deski na podobieństwo serca, co pewnie nic innego nie znaczyło, tylko zaszczyt starej gościnności. Choć już tylu gości próg przestępowało, że nawet podłogę wydeptało, to staropolska gościnność na nowo słała się sercem pod stopy wstępujących. Tak ci to pewnie niejedne znaki starych obyczajów nogami depcemy, które gdybyśmy jak należy zrozumieli, byłoby nam lepiej na świecie! — dokończył kramarz z westchnieniem.

Borowy tymczasem wniósł do izby snop słomy i rozpostarł na ziemi dla gościa. Niedługo udali się wszyscy na spoczynek i zasnęli mile.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 13.

1. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SZYBILSKI,

sławny jenerał z kmiecego rodu.

Opowiadaliśmy wam już nieraz o ludziach, co urodzili się ubożuchnymi chłopkami a potem pracą i zasługą wielką wykierowali się na możnych panów i urzędników, lub dobili się w całym narodzie wielkiej sławy i znaczenia. A było w naszym kmiecym stanie, między wiejskim ludem polskim, bardzo dużo, daleko nawet więcej niż u innych obcych narodów, takich wieśniaków, co to bądź to walecznością swą w boju o ojczyznę bądź to inną jaką zasługą dla kraju doszli do chwały i zaszczytów. Mój brat a wasz serdeczny przyjaciel, ś. p. Walenty ze Smolnicy, który spoczywa dziś w Bogu, spisał wam całą książeczkę o takich sławnych Ludziach z pod słomianej strzechy, gdzie to macie wiadomość o wielkich i chwalebnych czynach Złotogoleńczyka, Cholewy, Michałka, Szczygła, Bartosza Głowackiego, Klemensa Janickiego i wielu innych — a w Dzwonku oprócz tego opisywaliśmy wam innych jeszcze wielkich i znakomitych ludzi, co się zrodzili w wieśniaczych chatach.

Dziś wam opowiem znowu o jednym chłopku polskim, który swemi wielkiemi zdolnościami, swoim rozumem i innemi dobremi przymiotami doszedł najwyższego stopnia wojskowego, bo został jenerałem i w swoim czasie wielką sławę posiadał. Człowiek ten nazywał się Szybilski.

Szybilski urodził się w r. 1701 w pewnej wsi pod miastem Lublinem, w dobrach xięcia Lubomirskiego, wojewody lubelskiego. Był on synem prostego chłopka i poddanym tego xięcia, a będąc małem chłopięciem, pasał bydło i pomagał w robocie koło domu tak jak każde inne dziecko wiejskie. Ponieważ jednak mały Szybilski był ładnym i sprytnym chłopaczkiem, więc wzięto go na służbę do xiążęcego dworu i oddano do posługi do stajen pańskich. Ciekawy chłopak dostawszy się między dworskich ludzi, począł się z własnej ochoty uczyć, i wkrótce też nietylko że gładko pisać i czytać umiał ale sobie także wiele innych pożytecznych umiejętności przyswoił. W służbie też swojej sprawował się pilnie i obyczajnie, i pozyskał sobie życzliwość swoich przełożonych, tak że wkrótce został masztalarzem.

Ale Szybilski czuł to dobrze, że ma zdolności potemu, aby był czemś znaczniejszem niż masztalarzem przy stajniach xiążęcych. Poduczał się tedy, jako mógł, przypatrywał się dworskim panom, przysłuchiwał się mądrym rozmowom, i tak się wkrótce wyuczył i przetarł między ludźmi, że nikt byłby nie poznał, że urodził się ubogim chłopkiem. A był wówczas koniuszym przy dworze xięcia wojewody niejaki pan Michałowski. Ten Michałowski był przełożonym Szybilskiego i bardzo go polubił za jego rozum i układność. Bo też Szybilski oprócz tego że był bardzo rozumny, znał się też na swem masztelarskiem rzemiośle wyśmienicie, a nikt też od niego śmielej nie dosiadł choćby najdzikszego konia i lepiej nim nie wodził.

Otoż ten Michałowski upodobawszy sobie Szybilskiego, a widząc że i w innej a osobliwie w wojskowej służbie byłby z niego chwat nielada, wstawił się za nim u xięcia wojewody. A trzeba wam wiedzieć, że xiąże wojewoda Lubomirski, tak jak wszyscy wielcy panowie polscy w owym czasie, trzymał sobie osobne wojsko czyli tak zwaną milicję. Otoż za wstawieniem się

Michałowskiego zrobił xiążę wojewoda Szybilskiego oficerem w konnem swojem wojsku. Teraz był Szybilski dopiero szczęśliwym, kiedy mógł przybrać piękny mundur oficerski, przypasać szablę i harcować przed swoim oddziałem na bystrym rumaku! Już bo to polska taka natura, że co chłop to tęgi żołnierz i niedarmo to mówią, że każdy Polak wojakiem się rodzi!

Tak tedy stał się z wieśniaczego syna pan oficer! Szybilski dobrze się sprawował w wojskowej służbie i nietylko jego komendanci ale i sam xiążę wojewoda lubili go bardzo. Ale niebawem miało Szybilskiemu zabłysnąć jeszcze większe szczęście, a stało się to z następującej okazji.

W Polsce panował wówczas król August II, który był z rodu Sas. Otoż ten król polski pojechał raz w odwiedziny do jednego bardzo wielkiego pana polskiego, do xięcia kanclerza Radziwiłła, który mieszkał w Białej. Zjechało się tedy do Białej na przyjęcie i uczczenie monarchy mnóstwo panów z daleka i bliska, a między nimi pospieszył także do Białej xiążę wojewoda lubelski, Lubomirski. Za xięciem zaś udał się tam cały dwór jego i cała wojskowa milicja, w której to Szybilski był oficerem.

Otoż razu jednego przejeżdżał się król August z swoim synem hrabią saskim ponad bystrą i głęboką rzeką, która płynie koło Białej, a za królem jechał orszak panów i oficerów. Szybilski był także w orszaku i jechał sobie z tyłu. Naraz koń królewicza spłoszył się, skoczył w wodę a królewicz spadł w samo najgłębsze miejsce, gdzie był wir strasznie bystry. Wszyscy struchleli z trwogi, król krzyknął w rozpaczy, ale nikt nie odważył się pójść w pomoc jego synowi, bo każdy bał się o własne życie. Tymczasem syn króla już tonął i tylko dłonie ponad wodę wyciągał, jakby błagał ratunku!

W tej chwili strasznej, kiedy wszyscy stracili odwagę i stali na brzegu ze zgrozy martwi gdyby trupy, jeden tylko Szybilski nie stracił serca i przytomności. Skoczył czemprędzej z konia i w jednej chwili rzucił się do wody ratować tonącego. Zrazu znikł pod wodą i wszyscy już myśleli, że zginie na dnie wraz z nieszczęśliwym synem króla — ale naraz wydobył się

na wierzch trzymając w ramionach tonącego. Długo pasował się Szybilski z rwistym strumieniem, nieraz już zdawało się, że i ratujący i ratowany marnie zginą, ale w końcu dobił się Szybilski z synem królewskim na brzeg i złożył go jeszcze żyjącego przed królem. Cały orszak królewski wydał okrzyk podziwienia i radości — a król sam uściskał zaraz Szybilskiego i zawołał:

— Mości oficerze! Uratowałeś życie memu synowi, żądaj czego chcesz w nagrodę, a niczego ci nie odmówię!

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Szybilski — chyląc czoło do nóg monarchy — spełniłem tylko chrześciański obowiązek!

— Jak się nazywasz? — zapytał król.

— Szybilski!

— A więc mój dzielny panie Szybilski — rzecze król — biorę cię do siebie na mój dwór! Czy pójdziesz zemną?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł na to Szybilski — jestem na rozkazy, ale jam poddany wieśniak z włości xięcia wojewody lubelskiego, więc bez jego zezwolenia nie mogę go opuścić.

Wtedy król August obrócił się do wojewody i rzekł:

— Mości wojewodo! Czy uwolnisz tego dzielnego człowieka z poddaństwa?

— Wola Waszej Królewskiej Mości jest dla mnie rozkazem — rzekł pokornie xiążę wojewoda.

I odtąd Szybilski był wolnym i udał się za królem Augustem. Król z wdzięczności za jego mężny i szlachetny uczynek zrobił go zaraz rotmistrzem w wojsku saskiem i urzędnikiem przy monarszym dworze. Ledwie dwa lata minęło, a Szybilski został już pułkownikiem. Znalazł tedy szczęście i zaszczyty Szybilski, ale to go nie zadowolniło całkiem. Był wówczas spokój i w Polsce i Saksonji, więc też żołnierz nie miał tam co robić. A Szybilskiemu nudziło się w pokoju, nie chciał on być malowanym żołnierzem, co zamiast nieprzyjaciół kamienie zbija szablą — chciał on powąchać prochu, pójść na boje i niebezpieczeństwa.

A właśnie wybuchła wówczas wojna wielka między cesarzową austrjacką Marją Teresą a Frydrykiem królem pruskim,

tym łupieżnikiem ohydnym, co to później pierwszy był do rozszarpania naszej ojczyzny Polski. Frydryk wielki wpadł do austrjackich krajów i wojna wszczęła się na dobre.

Szybilski skoro usłyszał o tem, zaraz powziął zamiar, opuścić saskie wojsko i króla Augusta i pójść do austrjackiego wojska, aby bić się z Prusakami, bo już takiej wojackiej był natury, że byle się tylko bić, a mniejsza tam, gdzie i o co. Myślał nad tem i myślał, ale nie śmiał się ztem jakoś wydać przed królem, aż raz kiedy widział, że król jest w wesołym i łaskawym humorze, nabrał odwagi i rzecze:

— Najjaśniejszy Panie! Zanoszę prośbę do stóp Waszej Królewskiej Mości.

— Mów czego żądasz, mój kochanku — zagadnął król August łaskawie.

— Jestem żołnierzem duszą i ciałem — rzecze na to Szybilski — a tu u nas pokój głęboki. Człowiek się nudzi i gnuśnieje, bo żołnierz przecie nie do czego innego jeno do wojny. Jest teraz właśnie bój między cesarzową austrjacką a królem pruskim. Pozwól mi tedy Najjaśniejszy Panie, abym wstąpił do wojska austrjackiego!

— Kiedy już tak chcesz koniecznie nadstawić karku na kule pruskie — rzecze król — i nie boisz się nałożyć głową na obcej ziemi, to dobrze, uwalniam cię. A aby cię przekonać, że jestem ci zawsze wdzięczny za twój czyn szlachetny, więc oto wiedz, że zaraz sam własnoręcznie napiszę list do cesarzowej Marji Teresy, aby cię łaskawie do wojska swego przyjęła.

Szybilski ucieszył się tem bardzo, a jak się rzekło, tak się stało. Został przyjętym do wojska austrjackiego i odznaczył się zaraz w wojnie z Prusakami. Razu jednego zdobył na czele swego pułku sześć armat, drugi raz rozbił cały regiment pruski, a gdy potem wybuchła inna wojna, odznaczył się w niej tak chwalebnie, że go cesarzowa mianowała jenerałem. Kiedy wojna ustała a Szybilski okryty ranami wrócił do Wiednia, chciała cesarzowa Marja Teresa poznać koniecznie walecznego Polaka i kazała go przywołać do siebie.

— Panie jenerale — rzekła do niego — za twoje waleczne czyny zasłużyłeś na wielkie nagrody i zaszczyty, chcę cię więc zrobić hrabią niemieckim!

Ale Szybilski skłonił się głęboko i odrzekł:

— Najjaśniejsza pani! zkąd mnie być hrabią! Urodziłem się pod chatą chłopską i nie wstydzę się mego pochodzenia, więc zostanę już tem czem jestem, a nie chcę być żadnym grafem niemieckim.

Bo trzeba wam wiedzieć, że Szybilski nie wstydził się nigdy pochodzenia swego niskiego, i kiedy co opowiadał, to zwykł był nieraz tak zaczynać:

— Kiedy byłem stajennym chłopakiem u xięcia wojewody Lubomirskiego...

Cesarzowa Marja Teresa widząc jego skromność, nie mianowała go już hrabią, ale wyznaczyła mu oprócz jeneralskiej pensji jeszcze 4000 złr. rocznie aż do śmierci.

Ten Szybilski sławny był jeszcze z tego, że on pierwszy zaprowadził ułanów w armji austrjackiej. Kiedy bowiem wybuchła wojna między Marją Teresą a królem pruskim, udała się Marja Teresa z prośbą do króla polskiego Augusta, aby jej pozwolił werbować w Polsce ochotników. Król polski chętnie na to pozwolił — bo już to nasza Polska zawsze była uczynną i życzliwą dla innych państw. Za to też jej się odwdzięczono tem, że ją rozszarpano w kawałki! Taka to już wdzięczność na tym świecie!

Kiedy więc cesarzowa austrjacka otrzymała od króla polskiego pozwolenie werbowania ochotników w Polsce — wysłała w tym interesie jenerała Szybilskiego, a on w Przemyślu werbował konnicę i zwerbował pułk cały. Ten pułk z samych Polaków złożony bił się tak walecznie i takich cudów odwagi na wojnie dokazywał, że Niemcy nadziwić się nie mogli. Tym pułkiem polskim dowodził sam jenerał Szybilski. Po skończonej wojnie, z pułku tego, który miał na początku tysiąc ludzi, zostało tylko dwieście, takie on straszne ognie przebywał. To byli pierwsi ułani w wojsku austrjackiem — bo przedtem ich nie było.

Kilka lat po skończonej wojnie żył jeszcze Szybilski a potem umarł w Wiedniu. Umarł jeszcze wtedy, kiedy Polska była cała i wolna i kiedy jej panował król August III.

Oto macie żywot Szybilskiego, co będąc prostym chłopkiem dobił się takiej sławy i zaszczytów zagranicą. Ale mówiąc szczerą prawdę, już on dla nas Polaków niema takiej sławy jak np. Michałko albo Bartosz Głowacki, towarzysz pana naczelnika Kościuszki — bo Głowacki bił się w Polsce i o Polskę, a Szybilski służył obcemu krajowi i za obcą sprawę walczył. Zawsze to już lepiej dla swego własnego kraju położyć choćby małe zasługi niż dla obcego jak największe i milej być kapralem między rodakami niż jenerałem u cudzoziemców. Więc też i ten Szybilski nie może mieć od nas wdzięczności i chwały, bo nie służył swej ojczyźnie. Jednakże nie trzeba zapominać, że wówczas był w Polsce spokój i jeszcze nie była w niebezpieczeństwie — a kto wie, gdyby była Polska już wtedy w potrzebie, to może i Szybilski zamiast za obcy kraj byłby się bił za własną ojczyznę. Przynajmniej ci, co go znali, opisują go jako Polaka prawego, który zawsze zachował miłość dla swego kraju.

Zawsze atoli macie z tej historji o Szybilskim piękną naukę, że i z chłopskiego stanu dobić się można zaszczytów i chwały, byle potemu była ochota i zdolność. A trzeba wiedzieć, że Szybilski żył jeszcze do tego w czasach, kiedy szlachectwo wszystko znaczyło, a kto nie był szlachcicem, temu trudno było dostąpić czegoś na świecie. Kiedy więc w owych czasach zdolność i ochota mogła tyle zrobić — cóż dopiero w dzisiejszych, kiedy to już między ludźmi jest równość, a szlachcic i chłop ma zarówne prawo we wszystkiem!

Wojtek ze Smolnicy.

Piosnka żebraka.

Jeszczem dzisiaj nie jadł, nie pił,
Nikt mnie w drodze nie pokrzepił,
Biorę Boga w świadka!
Dajcież, dajcież, bardzo proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka!

Bywał ci ja i na wojnie,
I chodziłem szumnie, strojnie,
Niejednegom miał dukatka,
Dzisiaj nie mam lichej szaty,
Same dziury, same łaty,
U biednego dziadka.

Na jałmużnie nikt nie straci,
Co mi dacie to odpłaci
Bóg i jego matka —
A więc dajcież, dajcie proszę
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka!

F. M.

Podanie o rakach.

Za dawnych, bardzo dawnych czasów ludzie w niektórych krajach nie jadali raków, bo się niemi brzydzili, i nie jeden wolał srogi głód znosić, niżli tknąć się takiego brzydkiego stworzenia. Słyszeliście zapewne o kraju słowiańskim, co się nazywa Morawja, która należy do cesarstwa austrjackiego. Otoż w tym kraju przed kilkuset laty nikomu jeszcze na myśl nie przyszło, aby jeść raki. A jest w tym kraju takie podanie.

W roku 1482 a więc blisko przed czterystu laty zapanowały w Morawji wielkie nieurodzaje, które też głód okropny sprowadziły. Bogaczom ledwie stawało na kawał chleba a ubożsi marli z głodu. W jednem małem miasteczku, co się nazywało Prodlice głód najbardziej panował. Ubodzy ludzie żywili się tylko pokrzywą, łykiem z drzewa, puchli z głodu i umierali straszną śmiercią.

Otoż za tem miasteczkiem Prodlicami mieszkała w małej chatce pewna bardzo biedna wdowa. Nie zostało jej nic po mężu tylko mała chałupina a do tego miała kilkoro dzieci. Gdy nadszedł głód i o ratunku nie było ani mowy, bo zkądże było wziąć chleba, kiedy się nie urodził — wszyscy ubodzy ludzie poumierali a bogatsi chodzili bladzi i nędzni gdyby trupy. O biednej wdowie i jej dzieciach nikt nie myślał, a kto sobie ją wspomniał, to był pewnym, że już tak jak inni zginęła z głodu wraz z dziećmi.

Gdy tak głód w najstraszniejszy sposób panował, pojawiła się razu jednego ta biedna wdowa z dziećmi swemi w mieście. Jakież było zdziwienie mieszczan, kiedy zobaczyli, że ta wdowa nietylko że sama wyglądała czerstwo i zdrowo, ale i dzieci jej były rumiane, tłuste i syte, jakby miały chleba podostatkiem. Zaczęli się tedy ludzie okrutnie dziwić, jakim sposobem mogła się biedna wdowa z swemi dziećmi tak dobrze podżywić, kiedy inni bogatsi ginęli z głodu, bo choć mieli pieniądze, to nie można było za nie ani ziarneczka zboża dostać.

Zaczęli tedy w mieście rozmaicie o tem gwarzyć i rozmaicie się domyślać, a nikt nie mógł pojąć, jakim cudem ta biedna rodzina mogła być zdrową i sytą przy życiu. Musicie zaś wiedzieć, że w owym czasie ludzkość nie była tak oświeconą jak dzisiaj, jeszcze się nauka nie była tak rozpowszechniła jak za późniejszych lub na przykład dzisiejszych czasów. Panowała tedy wówczas między ludźmi wielka ciemnota, a przy tej ciemnocie wierzyli wszyscy w czary, gusła i inne takie głupstwa z których się dzisiaj już nawet i dzieci śmieją.

Owoż jak ujrzeli ludzie tę wdowią rodzinę, że ani schudła, ani zbladła, ale była rumiana i syta, zaczęli zaraz przez swą ciemnotę domyślać się w tem jakichś niepodobnych rzeczy.

— Wtem jakaś nieczysta sprawa być musi! — zawołał zaraz jeden mieszczanin z Prodlic.

— A jużci że nieczysta! Ja jestem jeden z najzamożniejszych mieszczan w Prodlicach a zeschłem jak deska z głodu a dziecko na gorączkę umarło mi z niezdrowego pokarmu, a ta żebraczka wygląda jakby się samą pieczenią wypasła! — rzekł drugi.

— To pewnie z czartem sprawa! — dodał trzeci.

— Jużci to musi być czarownica! — zawołała jakaś głupia mieszczka.

Jak zaczęli takie brednie gadać, tak zbiegł się zaraz tłum ludzi i zaczęli wołać na biedną wdowę:

— Czarownica! czarownica! Ją szatan żywi!

— Prowadźmy ją na ratusz! — zawołali inni.

I natychmiast obskoczyli biedną wdowę i jej dzieci i powlekli ją na ratusz, aby ją oskarzyć o gusła i czary. Ławnicy, co sądzili w ratuszu, byli na nieszczęście tak samo ciemni ludzie jak i inni, i wierzyli także w czary, więc poczęli biedną wdowę sądzić o czary.

— Masz majątek? — pytają jej sędziowie.

— Nie mam nic, toć jam biedna, opuszczona wdowa z sierotami! — rzecze przestraszona kobieta.

— Miałaś może w domu krowę i zarżnęłaś ją na życie?

— Nie, krowy nigdy nie miałam.

— Więc miałaś mąkę i chleb?

— I tego nie miałam, prześwietni sędziowie! — mówi biedna wdowa.

— Więc czemżeś żywiła siebie i dzieci? — pytają srogo sędziowie. — To inaczej być nie mogło jeno przez czary! Przyznaj się kobieto zaraz!

— A na miłego Boga — rzecze zalękniona wdowa — alboż ja wiem co o jakich czarach, przecież znają mnie wszyscy, żem cnotliwa i pobożna niewiasta.

— Więc czemże żyłaś? — pytają sędziowie.

— Swiętą prawdę zaraz wam opowiem, moi łaskawi panowie — rzecze wdowa. Kiedy głód okropny powstał i już nigdzie ani okruszyny chleba nie można było wybłagać, rozpacz mnie się chwytała. Sama byłabym chętnie ginęła śmiercią ale serce mi pękało gdym patrzała na dziatki moje, jak z głodu puchły i na gorączkę chorowały. W tej okropnej rozpaczy wyszłam raz do potoka, co płynie pod lasem, aby nabrać wody dla chorych dzieci, a tu widzę mnóstwo raków. Wpadło mi tedy na myśl, aby te raki łapać i warzyć. Zrazu okropne obrzydzenie mnie wzięło, aby jeść takie paskudne robactwo, ale gdy nie było innego ratunku, więc nałapałam tego, uwarzyłam żywcem, bom nie wiedziała jak zabić takiego skorupiastego robaka, i jadłam razem z dziećmi. To nas tak syciło, żeśmy już głodu nie czuli i przy zdrowiu się zachowali. I powoli takeśmy się do tego przyzwyczaili, żeśmy już jedli raki bez obrzydzenia.

Jak sędziowie to usłyszeli, aż się porwali z ławek z wielkiego zadziwienia! Była to bowiem w owych czasach na Morawji rzecz niesłychana, aby jeść takie brzydkie robactwo, jak raki! Więc choć biedna wdowa była niewinną i świętą prawdę mówiła, sędziowie zamiast ją uwolnić, zawołali:

— Musisz być czarownicą, kiedyś się nie bała jeść raków. Gdybyś nie znała praktyk djabelskich, nie byłabyś się nigdy odważyła na to!

Daremnie biedna wdowa tłumaczy, rozpowiada, zaklina się i błaga, panowie ławnicy ani słuchać jej nie chcą. Uznali ją za czarownicę i skazali na śmierć przez spalenie. Wrzucono tedy biedną wdowę do ciemnicy a na drugi dzień mieli ją spalić na rynku.

Wtem nagle przyjechał do miasta starosta, wielki pan i możny, który się zwał Towaczowski. Najstarsza córka biednej wdowy, która się nazywała Bolka, a była dziewuchą prześlicznej urody, pobiegła zaraz do niego i rzuciła mu się do nóg prosząc, aby kazał wypuścić jej niewinną matkę. Starosta wysłuchał płaczącego dziewczęcia, dowiedział się dokładnie, jak to było, zdziwił się bardzo, ale że był człek rozumny i światły, więc poznał zaraz, że wdowa jest najniewinniejszą w świecie. Zawołał tedy do siebie ławników miejskich i rzecze im:

— Ta kobieta jest niewinną. Głód nie zna ani strachu ani obrzydzenia, więc nie dziw, że ta kobieta chwyciła się raków. Zamiast ją karać, powinniście jej być wdzięczni, bo wam wykryła nowe pożywienie, któregoście przedtem nie znali. Rozkazuję, abyście ją zaraz wypuścili!

I tak wypuszczono biedną wdowę, a jej córka, piękna Bolka, tak się podobała jednemu z sług starosty, że prosił swego pana, aby mu pozwolił pojąć ją za żonę. Starosta pozwolił, wyposażył dziewczynę, a jej mężowi nadał na pamiątkę tego zdarzenia szlachectwo ze znakiem raka na herbie.

Takie jest podanie o biednej wdowie i o rakach.

Dziś już wszędzie raki jedzą bez obrzydzenia a niektórzy wolą tę potrawę niż inne łakocie. Czem dawniej przed głodem uratowała się biedna wdowa, to teraz lubioną jest potrawą na pańskich stołach. I nietylko raki, ale i inne obrzydliwe stwo-

rzenia jadają ludzie. Niemcy na przykład lubią bardzo żaby i mają je za największy przysmaczek — a jest wielu takich, co sobie smakują bardzo w ślimakach. U nas Polaków jeszcze żab i ślimaków nikt nie je, a jest nawet jedna piosnka co tak powiada:

Indyk z sosem,
Barszcz z bigosem
Jedli dawne pany,
A dziś żaby i ślimaki
Jedzą jak bociany!

Ale czegoż głód nie dokaże! Głód, jak powiada stare przysłowie jest najlepszym kucharzem — a jak przyciśnie człowieka, to nie ma innej rady, jeno jeść co się nawinie. Na wojnach gdy żywności zabraknie jedzą końskie mięso — a w Paryżu to są osobne końskie jatki, a ubodzy kupują sobie to mięso i żywią się nim dobrze. A bywało kiedy forteca jaka zostanie otoczoną przez nieprzyjaciół i nie ma zkąd dostać żywności, to załoga je szczury, psy i koty. Zdarzało się nieraz, że człek umierający z głodu szarpał zębami własne ciało lub rzucał się na innego człowieka, aby się jego ciałem żywić. Okropna to, straszna rzecz głód, i dlatego w suplikacjach błagamy litościwego Boga, aby nas od tej klęski zachował!

Piękne przykłady.

Gromada mileńska.

Niedaleko Załoziec, na samej granicy, leży wieś Milno. Gromada Mileńska składa się z Mazurów i Rusinów a słynie z dawien dawna porządkiem i uczciwością. Lud tam zapobiegliwy, pracowity, pilny i trzeźwy, a co bardzo wiele znaczy, chętny do nauki.

Otoż w tem Milnie był dzierżawcą p. Gr., człowiek zacny i prawy, który żył zawsze z gromadą w zgodzie i miłości jak brat z braćmi, przyjaciel z przyjaciołmi. Już od lat kilkunastu był p. Gr. dzierżawcą w Milnie, a cała gromada polubiła go serdecznie. Ale nie zawsze dobrym dobrze na świecie. Tak

i temu panu dzierżawcy w ostatnich latach jakoś źle poszła gospodarka, nie szczęściło mu się na roli i stracił bardzo dużo na dzierżawie. Najął sobie tedy inną dzierżawę, daleko od Milna i z żalem postanowił pożegnać się na zawsze z gromadą mileńską, swymi poczciwymi sąsiadami, z którymi tyle lat w braterskiej zgodzie przepędził.

Kiedy p. Gr. miał wyjeżdżać z Milna, zjechali się panowie z okolicy, którzy mu także byli bardzo przyjaźni, aby pożegnać swego dobrego sąsiada. Pożegnał się z nimi serdecznie p. Gr. i już sam ładował się do wyjazdu, kiedy znowu około ósmej godziny widzi przez okno, jak cała gromada mileńska z starszymi gospodarzami na czele wsunęła się na dziedziniec dworu.

Pan Gr. czeka z swymi gośćmi, co z tego będzie, a tu wchodzi do pokoju trzech gospodarzy i rzeką panu:

— Gromada czeka na podwórzu i prosi Pana, abyście byli łaskawi wyjść do niej, bo ma Panu coś powiedzieć!

Wychodzi tedy p. Gr. z tymi panami, co byli u niego w gościnie, na dwór i grzecznie wita gromadę. Gromada sobie uchyliła czapek i naraz wystąpił z pośród gminy jeden z najporządniejszych gospodarzy i zawołał:

— Uciszcie się! Proszę o głos!

Zaległo milczenie między gromadą a wonczas ów kmieć poważny pokłonił się i przemówił temi słowy:

— Pochwalony Jezus Chrystus! My gromada żałujem, że nas porzucacie, a wam czy nas nie żal? Toć to się przeżyło lat kilkanaście pospołem, wyście nam jak mogli zawsze dobrze radzili i sprzyjali, a i my gromada byliśmy wam z duszy i serca zawsze życzliwi. Znać że z wami łaska Boża jest, bo odkąd tu z nami mieszkacie, ani gradu nie miewaliśmy, ani razu też pomór na bydło nas nie nawidził, choć w około sąsiednim gromadom zaraza chudobę precz odbierała. Ej! zostańcież z nami, taż to my wam nigdy w chęci wspak nie byli, a zaś chyba nas się odrzekacie, że wam Milno procentów nie daje, a dyć na to pozwólcie czej gromada znajdzie radę, bo gdy wam może pieniędzy na dalsze zakupienie Milna nie staje, toć my wam tego bez prowizji na rok jeden, ile komu stać pożyczymy. Ot weźcie odemnie zjakich pięćset reńskich, które

sobie krwawo zapracowałem! Ja je wam z duszy, z serca pożyczę bez prowizji.

— A odemnie sto reńskich! — zawołał inny gospodarz.

— Odemnie pięćdziesiąt! — dodał drugi.

— Odemnie sto pięćdziesiąt! — krzyknął trzeci.

I tak wszyscy poczęli wołać i ofiarować mu swe pieniądze i prosić, aby został z nimi.

Usłyszawszy te słowa pan Gr. wybuchnął głośnym płaczem ze wzruszenia na tę miłość i serdeczną życzliwość zacnej gromady, i ze łzami w oczach począł im dziękować za szlachetne chęci a potem ciągle płacząc im odpowiedział, jako się już związał umową o inną dzierżawę i już się w Milnie wysprzedał, więc choć mu się serce kraje, że takich przyjaciół opuszczać musi, nie może z nimi pozostać.

Na to jeden z gospodarzy wziął na ręce synka dwuletniego dzierżawcy, podniósł go wysoko i zawołał:

— Proszę o głos! Kiedy prożby nasze od waszych zamiarów odwieść was niegodne, to niechże was poruszy widok tego najmłodszego, tu u nas zrodzonego synka waszego! Toć wasi synkowie pośród nas zrodzeni i tak do nas należą, zostawcie ich nam i zostańcie i wy z nimi i z nami!

Na takie serdeczne prośby spłakał się pan Gr., spłakali się i inni panowie co byli przytem, ale trudna rada, co się stało nie mogło się odstać i pan Gr. nie mógł pozostać. Podano wino i kieliszki, pan Gr. wypił w ręce wójta i zawołał:

— Na zdrowie i powodzenie kochanej i zacnej gromady mileńskiej! Niech żyją włościanie mileńscy!

— Wiwat! Niech żyją! Kochajmy się! — zawołano i kielich począł obchodzić kolejno, a kilku gospodarzy przemówiło jeszcze do pana, a każdy z serca, każdy mądrze i szczerze!

A przy tem wszystkiem z wielką powagą zachowała się gromada, tak jako przystoi na kmieci polskich. Kiedy jeden z najmłodszych gospodarzy zawołał: „Proszę o głos!“ to mu inny starszy tak odpowiedział:

— Nie damy ci głosu, bo w tak zacnem zgromadzeniu wolno tylko przemawiać zasłużonej starszyźnie albo i każdemu młodemu, co przynajmniej cztery klasy w szkole ukończył!

Tyś jeszcze bardzo młody i nie uczony, więc słuchaj co inni starsi i mądrzejsi mówią!

Tak to pięknie postąpiła sobie gromada mileńska! Cześć jej za tę ludzkość i szlachetność!

RÓŻNOŚCI.

Wiejski adwokat. Już nieraz przestrzegaliśmy wszystkich włościan przed pokątnymi pisarzami, którzy namawiają poczciwych ludzi do procesu, wyłudzają od nich pieniądze niby to na stęple i papiery, okłamują ich, gryzą, aż nareszcie i na biedę temi procesami obracają Jeżeli kto ma jaką sprawę prawną, której uniknąć nie może, to niechże się udaje do prawdziwego, uczonego adwokata, co ma dyplom cesarski, ale nie do lada jakiego oszusta w mieście lub na wsi, co tylko na własny, niepoczciwy zysk dybie.

Na przykład opowiem wam tu o jednym pokątnym pisarzu z Wadowic, Macieju Kozłowskim, który stawał za swoje sprawki niedawno temu przed kryminalnym sądem w Krakowie.

Ten Kozłowski podbechtywał chłopów do procesów, a zawsze do takich, które żadnym cudem wygrać nie można było, bo były niesłuszne, tumanił ich, łudził, oszukiwał, wyciągał pieniądze i o biedę przyprawiał. Za te swoje niecności był już kilka razy przez sąd do odpowiedzialności pociągany. Ale to go nie poprawiło i znowu sądzono go w Krakowie za oszukanie trzech wieśniaków. Nie będę wam opowiadał wszystkiego, tylko wypiszę wam jedną sprawę ku nauce.

Łukasz Grabowski, gospodarz z Gołuchowic miał proces o grunt z drugim włościaninem. Proces ten przeszedł przez wszystkie sądy, wszystkie dały wyrok że Łukasz Grabowski niema słuszności. Niebyło więc innej rady, jeno poddać się temu wyrokowi. Łukasz Grabowski chciał się jednak jeszcze dalej procesować i poszedł do prawdziwego adwokata, który jako uczciwy i uczony prawnik nie chciał jego procesu prowadzić, jeno mu otwarcie powiedział, że z tego już nic być niemoże. Ale Łukasz Grabowski nie poprzestał na tem, poszedł on do tego pisarza pokątnego Kozłowskiego, a ten mu zaraz nakłamał, że jego sprawa jest czysta i wygrana, jeno dużo na nią trzeba będzie wyłożyć pieniędzy. Nieroztropny Grabowski uradował się tem bardzo, uwierzył wszystkiemu i dał zaraz niecnocie pisarzowi 20 reńskich.

Po niejakim czasie, gdy się wieśniak pytał, jak też jego sprawa stoi, rzekł Kozłowski, że wszystko dobrze, jeno trzeba jechać zaraz do Krakowa. Grabowski uwierzył i odwiózł Kozłowskiego do Krakowa a tu mu dał jeszcze 15 reńskich na stę-

ple i na „naprawę“. Kozłowski wziął te pieniądze, przehulał je w Krakowie a potem rzekł Grabowskiemu, że już sprawę całą naprawił. Grabowski dał mu jeszcze 5 reńskich i odwiózł go nazad do Wadowic. W Wadowicach nagadał znowu Kozłowski Grabowskiemu, że w Krakowie nic z jego sprawy nie będzie i zażądał znów 25 reńskich. Wieśniak łatwowierny dał mu znowu te pieniądze, a gdy się potem znowu zgłosił po wiadomość, otrzymał odpowiedź, że trzeba jechać aż do Wiednia, do samego cesarza. Grabowski przystał i na to, dał pieniądze na drogę i pojechał razem z Kozłowskim do Wiednia.

W Wiedniu Kozłowski żył sobie za krwawy grosz Grabowskiego, aż wreszcie szczęście zdarzyło, że Grabowski zszedł się z ruskimi chłopami deputowanymi, co właśnie wówczas byli na sejmie wiedeńskim. Ci rozumniejsi i świadomi, jak to takie sprawy idą, powiedzieli zaraz Grabowskiemu, że Kozłowski go tylko oszukuje. Jak Kozłowski zwąchał, że Grabowskiemu otworzyli oczy ci wieśniacy, nie pytał wiele, jeno cichaczem, potajemnie, uciekł z Wiednia a Grabowskiego zostawił bez pomocy jak na lodzie.

Wielce się zfrasował biedny Łukasz Grabowski, gdy został sam jak palec w wielkiem mieście, między Niemcami, bez grosza. Szczęściem wpadł na dobrą myśl, kazał sobie napisać skargę na Kozłowskiego do samego ministra a sam poszedł do cesarza. Cesarz przyjął go łaskawie, gadał do niego po polsku i dał mu 15 reńskich na drogę. Wrócił tedy biedny Grabowski do domu, a Kozłowskiego kazał minister sądzić. Dnia 24. tego miesiąca sądzono też niecnotę przez całe dwa dni, tyle sprawek na niego się wykryło. Pokazało się, że od Grabowskiego Kozłowski wytumanił razem 156 reńskich. Do tego oszukał jeszcze Kozłowski dwóch innych chłopów. Wił się ten Kozłowski jak piskorz przed sądem, klął się na swą „jedynaczkę duszę“, ale mu to nic nie pomogło. Sąd skazał go na ośm miesięcy kryminału za oszustwo.

Weźcież sobie przykład z tej historji.

Dukat xięcia Radziwiłła. Xiążę Karol Radziwiłł, pan polski, niezmiernie bogaty, kazał sobie z swego złota wybić jeden dukat ogromny, który ważył blisko dwa cetnary. Ten jeden dukat zmieniał xiążę Radziwiłł za trzysta tysięcy zwykłych dukatów. Wyobrazić sobie więc możecie, co to był za dukat i jacy to dawniej byli bogacze w Polsce!

POKORA.

Czyny ludzkie nie wiele przed Wszechmocnym znaczą
Jeśli z niemi nie idzie i pokora społem,
Bo w życiu, co jest tylko pielgrzymką tułaczą,
Pokora jest do nieba wiodącym Aniołem!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 14.

11. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz Brodziński,

uczony Polak i wierszopis.

Niedaleko Krakowa stoi miasto Bochnia, gdzieto dał Bóg w ziemi tyle soli, że mieli jej do chleba Polacy długie wieki, a dziś starczy ona ludziom prawie w całej Europie. Otoż koło Bochni stoi polska wieś Królowka, nazwana od jednego króla polskiego, co ją fundował i na wieczną pamiątkę tak nazywać kazał. Tam w tej wsi jest dwór starodawny polski, a na ścianie wisi tam obraz, na którym stoi namalowany pan, co trzyma w ręce lewej jakieś papiery. Otoż raz przypatrywali się temu obrazkowi gazdowie Jan Grąziel i Tomek Cholewa i inni z niemi, aż ktoś powiedział:

— To może i jaki święty namalowany tu, bo ma jakąś książkę, a jak nie, to pewno fundator tego dworu.

Na to odezwał się Jan Grąziel:

— Napis na obrazie pokazuje, że ten pan zwał się Kazimierz Brodziński i miał się urodzić tu w tym dworze. Ale co to za jeden taki, to ja tego nie powiem, jeno trza się zapytać kogo mądrego we dworze, to nam opowie.

Otoż akuratnie przychodzi na to panicz, co to chodził do szkół w Krakowie i znał się tak doskonale na książkach, jak dobry majster na każdej robocie i wiedział, kto i na co jaką książkę napisał. Jak jeno gazdy zobaczyli go, to zaraz Jan Grąziel tak pali do niego:

— Mój paniczu i szkolarzu! wy tam znacie się na pismach, jak ja na roli, opowiedzcie no nam, co to za jeden ten pan namalowany na tym obrazku?

A panicz popatrzył na obraz i powiada:

— To moi gazdowie jest Kazimierz Brodziński, który za polskich jeszcze królów tu w Galicji urodził się w tej samej wsi i był waszym krajanem, a potem był tak mądrym, że był profesorem aż w Warszawie i pisał książki takie, że w całym polskim kraju czytali Polacy.

A Tomek Cholewa gazda pyta dalej:

— A czy to ta wieś należała do niego?

— Nie, moi kochani, rzecze panicz, ojciec tego Kazimierza zwał się Jakób Brodziński, a matka Franciszka Radzikowska, byli to ubodzy ojcowie i zostawali w obowiązku nito na służbie u wielkiego pana polskiego Moszyńskiego, tam się dorobili uczciwie i sprawiedliwie grosza i potem wzięli sobie tę wieś w posesję i tu gospodarowali razem z gazdami.

— Aha! rzecze Jan Grąziel, to takim sposobem był tu w Królowce ten Kazimierz Brodziński — ale gdzie też on się urodził?

Na to mówi panicz tak:

— Ten Kazimierz urodził się na 40 męczenników już blisko wiosny w tym samym dworze już to temu dobrze 70 lat, bo roku pańskiego 1791, a może tu jeszcze żyje kto taki, co zapamiętał tego Kazimierza, jak on tu razem na wsi z chłopakami bąki zbijał, nim go ojciec oddał do szkoły do Lipnicy, gdzie to był św. Szymon z Lipnicy, i gdzie go profesor wyuczył litery poznawać i pisać na papierze.

A jeden gazda poderwał:

— A cóżto takiego znowu, że on nie był w szkole w Bochni, jeno w Lipnicy?

Na to panicz rzecze:

— To i to było jeszcze dobrze, że chodził do szkoły w Lipnicy, bo widzicie, że sierotami mało się kto zajmuje szczerze, jeno aby zepchać — toż jak miał ten Kazimierz 5 latek, to mu zabrał Bóg matkę, a ojciec ożenił się niedługo i dałże mu też dał Bóg taką drugą żonę do niczego, żeby był drugiej takiej nigdzie niepodybał.

— No! a cóżto ona robiła takiego? pyta Grąziel.

— A powiadam wam, rzecze panicz, że to była baba siedm mil za piekłem — bo co to! było pięcioro sierot w domu, to ta macocha wygnała wszystkie z domu, jeno ten Kazimierz został, a stary ojciec zwiesił uszy i nic na to nie mówił, bo by go była zajadła ta niedobra baba. I szkoda, że była panią w tym dworze! bo nie jedna gazdzina na wsi była lepsza od niej, toż mały ten Kazimierz nocował nieraz na wsi i dostał jedzenie, gdy mu macocha nie dała. A gdy nie chciała nic dać nawet na szkołę dla niego, to ojciec oddał go do Lipnicy, bo tak chciała macocha dlatego, że tam był strasznie ostry profesor i karał za każdą małą rzecz, a rózgi robiła mu żona zawsze w domu i posyłała do szkoły. Toż brał tam nieraz może i niewinnie ten Kazimierz, a macocha cieszyła się strasznie, jak Kazimierz płakał przed ojcem i skarżył się.

— No! gada Tomek Cholewa na to, toć to niema nic złego, kiedy za młodu ostro i w biedzie trzymają, bo tacy wychodzą prędzej na coś dobrego, bo wiedzą, co złe co dobre? to wyszło pewnie na dobre i temu panu Kazimierzowi.

— Ha! jużci na dobre, rzecze panicz, bo jak ukończył szkołę w Lipnicy, to go oddał ojciec do Tarnowa z tej racji, że w Wojniczu miał tam stryja za plebana i ten ratował najwięcej te sieroty i tego Kazimierza. Toż jak miał on już 10 lat i był sporym chłopakiem i wyuczył się dosyć w Tarnowie, to go oddał ojciec do Krakowa, gdzieto były szkoły na cały polski kraj najlepsze a które król Kazimierz Wielki rozpoczął fundować, a królowa Jadwiga razem z swoim mężem Władysławem Jagiełłem dokończyła, i te szkoły zowią się do dziś dnia szkołą albo inaczej akademją Jagiellońską. Ale cóż? człowiek nigdy nie zgadnie jak mu wypadnie! toż umarł i ojciec

tego Kazimierza biedaka, a macocha zabrała wszystko a sierotom niedostało się nic a nic na owinięcie palca.

— A to zła baba dopiero, gada Jan Grąziel, żeby tak zponiewierać pierwsze dzieci, a o swoich jeno pamiętać, toż ją pewnie pokarał Bóg za to, a te sieroty miał w swej świętej opiece.

— A dobrze gadacie! rzecze panicz, bo kto sieroty krzywdzi, ten ma wielki grzech za to i zemsta Boga leci na takiego prosto z wysokiego nieba, toż widzicie ta macocha zaginęła, że dziś nikt o niej ani wspomni, a znowu ten biedny Kazimierz nie zmarnował się, ale mu Bóg dopomógł, że się wyuczył aż na profesora do Warszawy.

— No! pyta Tomek Cholewa, to ktoż łożył potem na szkoły dla tego Kazimierza?

— A toć mówiłem wam, rzecze panicz, że był jego stryj plebanem niedaleko Tarnowa, bo w mieście Wojniczu, toż ten dobry stryj dał go wyuczyć na różnych książkach tak, że ten Kazimierz umiał dobrze list każdy napisać, że doszedł i na koniec świata, potem jakci mu kazał który profesor co napisać, to jak sobie usiadł i podumał trochę i wyciął na papierze, toci profesor miał co czytać, albo jak kto chciał aby Kazimierz komu wypalił orację albo powinszowanie, to mu wypowiedział prędko i ładnie i składnie, aż wszyscy oczy wytrzeszczyli na niego, zkąd on to tak potrafił? A czasem to ci ułożył sobie na papierze takie pismo, gdzie każdy wiersz na końcu miał taki skład ładny do pary, jak to jest zawsze w każdej pieśni pobożnej u nas i gdzieto słowo do słowa tak szykuje, jak palec do palca na ręce ludzkiej, jak oko do oka w głowie naszej, a takie pisma wyrywali mu z rąk drudzy szkolarze, czytali na głos w szkole i w domu albo uczyli się na pamięć jak pacierza i potem opowiadali to z pamięci każdemu. A był wtedy w Tarnowie razem z nim w szkole i Franciszek Karpiński, co to urodził się w górach naszej Galicji, a potem ułożył dla Polaków pieśni pobożne, jak na ten przykład: „Kiedy ranne wstaje zorze“ albo „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Był tam także razem w szkole z nimi Odyniec, co to osiadł w mieście Wilnie i pisał wiele rozumnych książek dla Polaków.

Otoż widzicie moi kochani, jakto może z jednej szkoły wyjść naraz kilku szkolarzy na co dobrego, jeżeli jest ochota do nauki, a profesor nie żałuje ani nauki ani kija, jak potrzeba.

— No! powiada Jan Grąziel na to, to taki Kazimierz jak się wyuczył, mógł potem sam być profesorem dla drugich w Tarnowie.

Na to rzecze panicz:

— A juści byłby został profesorem na pewne w Tarnowie i byłby się z tego ucieszył bardzo jego stryj pleban w Wojniczu, ale cóż? kiedy wtedy, jak miał Kazimierz 18 lat nastała wojna w polskim kraju, toć Kazimierz poradził się stryja a stryj mu nie bronił pójść na wojnę, bo to bili się wtedy Polacy o swoją ojczyznę.

— A cóżto była wtedy za wojna? pytali gazdowie.

A panicz powiada:

— Byłoto roku pańskiego 1809, kiedy cesarz Francuzów Napoleon I. obiecał Polakom oddać te kraje, które Moskale i Prusaki zabrali niesprawiedliwie. A nasz cesarz trzymał wtedy Galicję i posłał swe wojska do Warszawy, zkąd Polacy wygnali wojsko cesarskie, a potem przyszli do Galicji i odebrali ten kraj dla siebie. A ciągnęła się ta wojna wtedy kilka lat, toż i Kazimierz był długo wojakiem z własnej ochoty, aż roku pańskiego 1813 w wielkiej wojnie z Francuzami pod miastem Lipskiem został ranny i tak chorego zabrali Prusaki do niewoli a potem po wojnie puścili go do dom. Toż przez 5 lat całych był na wojnie Kazimierz, a potem wrócił znowu do swojej roboty, do nauki i do pisania książek.

— No! powiada gazda Jan Grąziel, a czy ja nie zgadł, że Kazimierz mógł być profesorem w Tarnowie?

— W Tarnowie nie chciał być, rzecze panicz, bo wtedy Galicja polska należała do cesarza, jeno spodobała mu się Warszawa i tam też pojechał i zostawał tam profesorem przez 10 lat, a napisał wtedy dużo takich pism, które dziś jeszcze Polacy czytają i cieszą się bardzo, że mieli takiego uczonego Polaka z tego Kazimierza. Napisał Brodziński także piękną powieść o ludu wiejskim wierszami, a powieść ta nazywa

się „Wiesław“ i należy do najpiękniejszych książek w Polsce, ba na świecie całym.

A Tomek Cholewa poderwał:

— A czy on też ułożył jakie pobożne pieśni, aby Polacy spiewali sobie w kościele, w domu albo na polu przy robocie?

— O takich pieśniach nie słychać nic, gada panicz, ale napisał on na pamiątkę, jak się chował na wsi w Królowce między gazdami i jak ci gazdowie byli dla niego sieroty bardzo miłosiernymi i dobrymi, to powiadam wam na tę pamiątkę ułożył bardzo ładną książkę, gdzie wychwala pobożność i poczciwość i cnotę dziewek wiejskich, tak żeby się nie jeden ze dworu panicz młody nie powstydził wziąć sobie za żonę taką wiejską dziewczynę i opisał wam ładnie, bardzo ładnie, jak się to jeden taki bogaty ze dworu zalecał takiej dobrej dziewczynie na wsi u jednego dobrego polskiego gazdy, jak to on się starał aby ją dostał za żonę i . . . .

— No! przerwał gazda Grąziel, to się przecie nie ożenił z nią, bo gdzieby się tam kto ze dworu chciał kiedy żenić z biedną dzieweczką wsiową, ta to niema pamiętnika na to, aby kiedy która wsiowa dziewczynka wyszła aż na panię dworu?

— To prawda, rzecze panicz, że tak nie bywało u nas, jeno dwory żeniły się z dworami, a chłopy znowu z chłopami, a nieraz to sobie hultaje panicze sprowadzali gdzieś ze świata jakieś francuzkie albo niemieckie panny i z niemi się żenili, a znowu nierozumne panny polskie wydawały się za Niemców, za Francuzów, ba! nawet za Moskalów! No! zważcież sami, czy to mogło być dobrze? czy nie byłoby daleko lepiej, aby się krajanie żenili w swoim kraju? toć nieraz byłaby lepszą panią we dworze taka pobożna i pracowita dzieweczka ze wsi, niż taka niedobra szwargotnica, co ją nikt a nikt we wsi nie rozumiał, albo ani razu nie była w tej wsi, która na dwór robiła. Otoż ten Kazimierz dobry krzyczał strasznie na takie zbytki i głupstwa po dworach i radził Polakom, aby do nas nie sprowadzali obcych panów i pań, jeno aby się trzymali między sobą i swego bronili.

— A kiedy tak, mówili gazdowie, to on prawdę pisał, i niech tam Bóg mu odpłaci za to, jeżeli jeszcze żyje gdzie na świecie.

— Oj nie żyje on już nie żyje, mówi panicz, bo z ciągłego gadania przy nauce w szkołach a potem z siedzenia przy pisaniu zachorował on na piersi i porzucił szkoły, pojechał do miasta Drezna i tam umarł roku pańskiego 1835.

— A to on nie był tak stary, rzecze Grąziel, boć pono nie doczekał ani 50 lat.

— A tak, mówi panicz, żył on jeno 44 lat i umarł w tydzień po św. Michale, i leży tam w Dreznie pochowany z drugimi Polakami. A my tu jak widzicie mamy w Królowce obraz jego na pamiątkę, że on się tu urodził i chował.

— Aha! to teraz dowiedzieliśmy się prawdy o tym obrazie — Bóg wam zapłać paniczu dobry za opowiadanie — a nam niech da Bóg dużo takich, jak był ten Kazimierz w polskim kraju.

I odeszli gazdowie do dom i rozpowiadali po całej wsi o tym Kazimierzu Brodzińskim.

Xiądz Wojciech z Medyki.

DO BOGA.

Wszystkie kwiaty dobry Boże,
Twe słońce do życia budzi,
A tylko nadzieja ludzi
Nigdy dokwitnąć nie może!

Czego tkliwe serce życzy,
Płonneż to tylko marzenie?
I czyste cnoty westchnienie
Czyż wiatr unosi w zdobyczy?

Kiedy cnocie ku ofierze,
Drogie a szlachetne chęci
Ufne Tobie serce święci,
Czyż nagrody nie odbierze?

Ach wszystko z Ciebie się składa,
Nie zapełniasz marą świata,
Dań dla Ciebie to nie strata,
Bóg nie z danin tronem włada.

Co szlachetnie poświęcamy,
To naszem być nie przestanie,
Nie jest marą spodziewanie,
Które z Ciebie, w Tobie mamy!

Historja o Kasprze górniku.

Powiastka prawdziwa.

Przed sześćdziesięciu blisko laty, w miasteczku Wieliczce mieszkał ubogi a bardzo pracowity górnik; miał on żonę i sześcioro dziatek, a chociaż zapłata górnika nie wystarczała mu na ich utrzymanie, przecież żona także zarabiała piorąc bieliznę urzędnikom, a najstarszy trzynastoletni syn już pod ziemią z ojcem pracował, biorąc trzecią część tej co ojciec zapłaty. Przy wspólnej pracy wiodło się całej rodzinie niezgorzej, a że się bardzo kochali, więc im życie wesoło schodziło i choć czasem niedostatek przycisnął, nie swarzyli się między sobą, ani wyrzekali na los nieprzyjazny, tylko modlili się szczerze i gorąco prosząc pomocy bożej, a Pan Bóg też ich nie opuszczał.

Osobliwe też nabożeństwo miała cała rodzina do cudownego obrazu Pana Jezusa umieszczonego na krużgankach klasztoru Augustyjanów przy kościele św. Katarzyny w Krakowie. W każde święta większe, jak w Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki, podczas których podziemne roboty ustają, szedł Kasper z żoną i dziećmi do Krakowa i mszę świętą przed cudownym Panem Jezusem zakupywał. Wszyscy słuchali mszy tej pobożnie, po której zwykle kapłan udzielał im błogosławieństwa.

Jednego dnia jak zwykle o świcie wyszedł Kasper wraz z synem Ludwikiem do kopalni. Spuszczono ich w głąb ziemi na pierwsze piątro, gdzie pomodliwszy się w kaplicy św. Antoniego, szli dalej z zapalonemi kagańcami.

— Zapóźniliśmy się trochę Ludwisiu, rzeknie ojciec.

— Bośmy też dłużej jak zawsze byli w kaplicy, odpowie Ludwiś.

— Prawda że dłużej, ale to nic nie szkodzi, czas stracony na służbie bożej da się wynagrodzić. Pójdziemy dziś starym chodnikiem św. Jadwigi, to o jakie pięćset kroków bliżej i wynagrodzimy spóźnienie.

— O bójcie się Boga tatusiu, zawołał ze strachem Ludwik, nie chodźmy przez stary chodnik, bo tam niebezpiecznie, a wczoraj stary Marcin mówił, że wyraźnie słyszał jak tam coś trzaskało.

— Bo staremu zawsze się przywiduje. Przechodziłem tamtędy już nieraz a nic mi się złego nie stało, da Pan Bóg, że i teraz przejdziemy bez przypadku.

— Ale też strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówi mamunia — mój drogi, złoty, serdeczny tatusiu, nie chodźmy starym chodnikiem.

— Głupiś, zawoła zniecierpliwiony ojciec, proszę, smarkacz będzie mi dawał nauczki; rób jak ci każę i nie mrucz, a mnie nie gniewaj. — Marsz!

Ludwik spuścił głowę i szedł smutny za ojcem. W kilka chwil stanęli u wnijścia starego chodnika. Mówię wam o chodniku, a niewiem czy macie wyobrażenie co to jest chodnik w kopalniach soli.

Grónicy chcąc się dostać w głąb ziemi, biją najpierw studnię bardzo głęboką, którą nazywają s z y b e m. Kiedy przebiwszy ziemię dostaną się do soli, naówczas w kamiennych jej ścianach wiercą w poprzek ulice, niby krużganki podziemne, prowadzące od jednego do drugiego szybu, sól zaś wydobytą wyciągają na wierzch kieratami.

W Wieliczce jest pod ziemią kilkaset takich chodników podziemnych, a niektóre są bardzo długie. Sciany ich, powała i podłoga są naturalnie z soli, która twarda jak kamień utrzymuje ziemię z góry ciężącą. W dawnych czasach nie robiono takich chodników ale jamy głębokie i ogromne, zwane k o m o r a m i, które aby się nie zawaliły, podpierano drzewem, a całe lasy wyrąbane spoczywają w podziemiach Wieliczki.

W stary odwieczny chodnik, od kilkudziesięciu lat opuszczony, przez który tylko czasem przechodzili dla skrócenia drogi bardzo odważni górnicy, zapuścił się Kasper z Ludwikiem.

Szli obadwaj słowa do siebie nie mówiąc. Kasper choć śmiały stracił jednak zwykłą odwagę, jakaś trwoga ogarnęła mu serce, im dalej szli, tem bardziej strach przejmował górnika. Ludwik szedł za ojcem, obcierając łzy ukradkiem, bo się od płaczu wstrzymać nie mógł. Obadwaj odmawiali po cichu psalm „Kto się w opiekę“ i prosili Boga, aby im dozwolił jak najprędzej dosięgnąć końca.

Nakoniec doszli starej komory. Przebyli ją z drżącem sercem, a gdy znowu weszli w dalszy ciąg chodnika, rzekł Kasper do syna:

— Widzisz Ludwisiu żeśmy najgorsze już przebyli, jeden tylko zakręt i będziemy przy swoich, a nie mało oszczędziliśmy czasu.

Ludwik chciał coś odpowiedzieć, kiedy nagle zatrzeszczało coś gwałtownie w tylko co przebytej komorze.

— O rany boskie tatusiu wali się! krzyknął Ludwik.

Kasper nic nie odpowiedział, tylko porwał syna na ręce, podbiegł kilkadziesiąt kroków naprzód i wskoczył w boczną framugę.

Ledwie tu stanął, gdy straszliwy huk, jakby z tysiąca harmat wstrząsnął kopalnią. Gwałtowny wicher obalił obu na ziemię i zagasił kagańce górnicze. Ogłuszeni hukiem i upadkiem, długo tak leżeli, aż nareszcie Kasper ochłonąwszy z przestrachu, sięgnął ręką i namacał leżącego syna.

— Ludwiku! Ludwisiu! wołał ojciec wstrząsając go. Ludwisiu odezwij się, ale dziecko nie odpowiadało.

Dobry górnik nigdy nie wybiera się bez siarniczek na robotę. W owym czasie nie znano jeszcze zapałek do pocierania, więc Kasper wydobył krzesiwo, skrzesał, zapalił nasiarkowany papierek a od niego kaganek. Pierwszą myślą wiedziony poskoczył do syna i z radością poznał, że Ludwik żyje, ale tylko omdlał ze strachu. Wnet go otrzeźwił, dźwignął na nogi.

— Pan Bóg miłosierny ocalił nas moje dziecię, idźmy dalej.

— Nie mogę, tatusiu, nie mogę, zawołał Ludwiś chwiejąc się na nogach.

— Ha, to cię wezmę na ręce, bo tutaj zostawać dłużej jest bardzo niebezpiecznie, może się cały chodnik zawalić; widno spadło sklepienie w komorze.

I wziąwszy na jedną rękę chłopca a w drugą kaganiec, ruszył naprzód, ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, ujrzał chodnik zawalony ziemią, postawił kaganiec i spróbował oskardem czy nie przebije dziury, — napróżno — ziemia, sól w bryłach, wszystko to tamowało drogę.

Tymczasem Ludwik przyszedł do siebie i nieco sił odzyskał. Postawił go ojciec na ziemi i nawrócił się w przeciwną stronę, ale o kilkadziesiąt kroków dalej znaleźli znowu zawalony chodnik. Kasper zalał się łzami, upadli obadwaj na kolana i poczęli gorąco modlić się do Pana Boga.

Wszelka nadzieja ratunku zniknęła, został im tylko Bóg, jedyna ucieczka nieszczęśliwych i opuszczonych.....

Tymczasem w innych częściach kopalni huk i wstrząśnienie przeraziło górników. Wszyscy rzucili się ku szybowi, którym windowano do góry ludzi, sól lub kamienie, inni pobiegli ku wschodom, i zrobił się taki natłok między uciekającymi, że się o mało nie podusili.

W godzinę wszyscy już byli na górze. — Urzędnicy chcąc się przekonać czy kto z ludzi nie zginął, kazali im ustawić się w szeregi, i poczęli czytać listę imienną górników. Wszyscy byli, brakowało tylko Kaspra z synem.

Niektórzy sądzili, że Kasper i Ludwik do roboty nie przyszli, ale wnet pokazało się z ksiąg zapisujących robotników, że obaj spuścili się szybem. Zapytano tych, którzy razem z Kasprem pracowali, lecz ci oświadczyli, że ani jego ani Ludwika przy robocie nie było. Ktoś widział ich modlących się w kaplicy, ale nikt nie mógł dać objaśnienia kędy się udali ztamtąd. Obadwaj bowiem weszli do starego chodnika tak, że ich nikt nie widział.

Na wierzchu także stał się przypadek skutkiem zawalenia komory, jeden dom i stodoła zapadły się w ziemię, szczęściem ludzie przestraszeni hukiem podziemnym zawczasu uciekli.

Złe wieści prędko się rozchodzą, wnet też Kasprowa dowiedziała się o swojem nieszczęściu. Natychmiast pobiegła do szybu i rzuciła się do nóg urzędnikowi przełożonemu nad górnikami, zaklinając go na wszystkie świętości, ażeby męża i syna jej ratował.

Urzędnik odpowiedział Kasprowej, że wcale niepotrzebnie nudzi go swojemi prośbami, bo i bez tego z urzędu zesłaną zostanie komisja w głąb kopalni, żeby się dowiedzieć, jakie szkody zawalenie komory zrządziło i co się stało z zatraconemi górnikami.

Komisja z przyczyny grożącego niebezpieczeństwa zeszła dopiero na drugi dzień i zrobiła co do niej należało, ale nie mogła wyśledzić gdzie się podział Kasper i Ludwik. Napróżno górnicy, towarzysze ich rozbiegli się po wszystkich chodnikach przyległych zawalonej komorze, wołali, krzyczeli, wszystko nadaremnie. Zarządzono kopanie w częściach zawalonych i pięćdziesięciu górników przez dwa dni pracowało dniem i nocą, jednak zaginionych odszukać nie mogli. Oprócz bowiem chodnika którym się Kasper udał, było jeszcze innych kilkanaście podobnie jak tamte zawalonych, i trzeba było najmniej dwie niedziele kopać, żeby dostać się ze wszystkich stron aż do zawalonej otchłani.

Najgorsza zaś rzecz była, że nikt nie wiedział kędy przypadek zaskoczył zagrzebanych górników i dlatego niepodobna było oznaczyć w której szukać ich stronie.

Przypadek ten okropny wydarzył się we czwartek, kopano przez piątek i sobotę nadaremnie. W niedzielę już nie robiono poszukiwań i każdy uważał Kaspra i Ludwika jakoby za umarłych.

Ale jeżeli obcy ze smutkiem rozmyślając nad nieszczęściem górników, zrzekli się wszelkiej nadziei ich oglądania, to Kasprowa nie straciła ufności w Bogu.

Zalewając się łzami przecież pocieszała przelęknione dzieciny i co chwila czekała wieści radosnej o odszukaniu swych najmilszych osób. Przeszedł piątek, przeszła sobota bez żadnej pociechy. W niedzielę biedna kobieta zerwała się o świcie i pobudziwszy dzieci rzekła im:

— Moje sieroteczki, ubierajcie się co żywo. Dziś w nocy przyszło mi na myśl, abyśmy poszli wszyscy do Krakowa i modlili się do cudownego Pana Jezusa augustyjańskiego. Mam nadzieję że On nas pocieszy.

W pół godziny potem szła cała rodzina do Krakowa, a chociaż smutek przygniatał ich serca, przecież jakaś otucha podnosiła je. — Nie szli, ale jakoby na skrzydłach lecieli, tak im drogi ubywało, i w godzinę już byli na moście Podgórskim, przez który przechodzi się z Galicji do Krakowa. Ztamtąd udali się przedmieściem Kazimierzem do kościoła św. Katarzyny,

zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego w r. 1343. — Przy tym ogromnym kościele nabożeństwo odprawiało się na krużgankach, bo kościół od dawna był zamknięty.

Na Kazimierzu przy Krakowie stoi wysoki kościół świętej Katarzyny.

Przed siedmdziesięciu ośmiu laty trzęsienie ziemi zrysowało sklepienie, w dziewięć lat potem rząd austrjacki zająwszy Kraków, piękną tę świątynię obrócił na magazyn siana i owsa. Wtedy to sklepienie w zupełności zleciało, a nabożeństwo odprawia się odtąd na krużgankach augustyańskiego kościoła, jak tylko co wam mówiłem.

Kościelne krużganki mieszczą się w dolnem piętrze kościoła, widne i obszerne. Przy jednej ze ścian znajduje się ołtarz zawierający cudowny obraz Pana Jezusa i Najświętszej Panny do połowy ciała malowanych. Obie figury są daleko większej postaci niż zwykli ludzie. Pan Jezus wyobrażony jak gdyby wychodził ze studni, w cierniowej koronie, ręką wskazuje na ranę w boku. Najświętsza Panna welonem okryta. Twarze obie ciemne i smutne.

Ołtarz ten mieści się na wzniesieniu pod sklepieniem krużganków, a z dwóch stron wschody z poręczą prowadzą do niego.

Katarzyna żona Kaspra weszła do zakrystji i skłoniwszy się księdzu z płaczem opowiedziała swoje nieszczęście. Poczem złożyła dwa złote na stole, prosząc księdza, ażeby odprawił mszę świętą na intencją zaginionego męża i syna. Sędziwy staruszek kapłan, nie chciał żadną miarą przyjąć pieniędzy, zapewniając Katarzynę, że świętą ofiarę odprawi bez żadnej zapłaty.

Za chwilę rozpoczęła się święta ofiara. Katarzyna z pięciorgiem dziatek leżała krzyżem u stóp ołtarza cudownego Zbawiciela i głośnym płaczem napełniała kościół. Kapłan przed rozpoczęciem nabożeństwa przemowił do zgromadzonych pobożnych, a opowiedziawszy nieszczęście górniczki, prosił ażeby modły swoje połączyli z jego modłami na intencją Kaspra i Ludwika.

Pocieszona na duchu wróciła Katarzyna do Wieliczki, a po południu znowu z dziatkami poszła do kościoła tamtejszego i na nieszporach gorąco się modliła. Po skończonem nabożeństwie w domu do późnej nocy rozmawiała z dziatkami wciąż im opowiadając:

— Cicho dzieci, nie płaczcie. Pan Bóg miłosierny czuwa nad nami. Wyrwał on Daniela z jaskini lwiej, gdy wszyscy myśleli, że go już owe bestje pożarły. Wyrwał Jonasza z wnętrzności ryby wtenczas, kiedy on sam zwątpił o swoim ratunku i myślał, że już na wieki zginął. Módlmy się, prośmy za naszym ojcem, za kochanym Ludwisiem, a Pan Bóg wydrze ich z podziemnych przepaści i powróci strapionym. Na kolana dziatki, na kolana. Ufajcie łasce i opiece Boskiej, bo kto w Panu ufa, nie zginie.

Długo jeszcze modliła się Kasprowa z dziecinami, nareszcie rozebrała je i pokładła spać, a sama znowu uklękła.

Jak długo klęczała nikt nie wie, czy wśród tej modlitwy usnęła, czy wpadła w otrętwienie, trudno powiedzieć, dosyć na tem, iż zdawało się jej jakoby klęczała na krużgankach, zdawało jej się, że jest sama przed ołtarzem Pana Jezusa, w którego obraz wlepiła oczy zalane łzami i wołała:

— Chryste Panie Zbawicielu nasz, przez okrutną mękę Twoją, którąś wycierpiał, przez rany i krew Twoją najświętszą, przez sromotę, wstyd i zelżywości których doznałeś od Twoich katów, Jezu nazarański, zmiłuj się nademną i nad mojemi sierotami, powróć nam ojca, powróć mi brata, ocal całą naszą rodzinę od śmierci!

To rzekłszy upadła na twarz i krzyżem leżąc wzniosła oczy na obraz.

A wtem zdało jej się jakoby mgła jaka lub przezroczyste obłoki ogarnęły cały obraz; jakby jej coś wyraźnie do duszy szeptało te słowa:

— Nie trwoż się niewiasto! Wysłuchane są prośby twoje i ty i twoje dzieci nie zginiecie. Mąż twój i syn żyją i są zdrowi w głębi kopalni. Proś naczelnika, niechaj każe kopać w chodniku starym św. Jadwigi, przez chodnik św. Jana ku framudze, w której są oba, tam ich znajdą całych i nienaruszonych.

Kasprowa słuchała z radością tych słów, ale po chwili rzekła:

— Alboż to naczelnik usłuchać mnie zechce?

A na to znowu jakby ktoś do niej mówił:

— Powiedz mu aby sobie przypomniał sen, który miał trzy razy tej nocy, a usłucha cię natychmiast.

Każdy domyśli się z łatwością, że Katarzyna już tej nocy nie zmrużyła oka a skoro tylko zaświtało ubrała się natychmiast, a zabrawszy dzieci poszła pod okna mieszkania naczelnika czekając rychło się obudzi.

Nareszcie Kasprowa zabrawszy dzieci poszła do kancelarji naczelnika, ale nie zastała urzędników, bo dopiero schodzili się o ósmej godzinie, biedna kobieta stała jak na rozpalonych węglach, gdyż jej się zdało, że każda chwila opóźnienia może zgubić męża i syna. Wreszcie przyszedł kancelista, a skoro ujrzał Kasprowę, zapytał ją:

— Kto jesteś i czego chcesz?

— Wielmożny panie, jestem żona Kaspra górnika, którego zasypało z synem we czwartek.

— No więc po cóż tu łazisz, zasypało go to się nie wróci, a jak obrachujemy dostaniesz pensją, jaka ci wypadnie i kwita.

Za chwilę przyszedł naczelnik i zapytał po niemiecku jaki kobieta ma interes, kancelista ze śmiechem począł opowiadać to co Kasprowa mówiła, a naczelnik wysłuchawszy zbliżył się ku Kasprowej i rzekl:

— Wasz mąż pewnie już nie żyje, ja wam nic pomódz nie mogę.

— Niechże sobie wielmożny naczelnik przypomni, co mu się dzisiaj śniło o moim mężu.

Tedy naczelnik zbladł, bo mu stanął przed oczyma sen, o którym zrana był zapomniał. Widział on we śnie Kaspra z Ludwikiem w podziemnej framudze, jako wybladły i wynędzniały wołał na niego żałośnym głosem, ażeby go ratował.

Natychmiast zawołał górników i sam na czele ich spuścił się w głąb kopalni.

Kasprowa szła przy pierwszym górniku, prowadzącym z kagańcem naczelnika. Chociaż nigdy w tej części kopalni

nie bywała, przecież z pewnością wiodła ich naprzód, wskazując, w której stronie zagrzebany jest Kasper. Wnet przybyli na wskazane miejsce; górnicy wzruszeni cudownem objawieniem Kasprowej wzięli się ochoczo do pracy. Przez dwie godziny odwalali kilofami i oskardami ziemię, a gdy się jedni zmęczyli, to zaraz drudzy w ich miejsce brali się do roboty, aż nareszcie ogromna bryła soli silną ręką górnika odwalona spadła z hukiem, a po za nią ukazał się otwór, z po za którego usłyszano słaby i przytłumiony jęk. Z nową gorliwością rzucili się górnicy do otworu, a po krótkim przeciągu czasu rozprzestrzenili go tak, że dwóch wskoczyło z kagańcami do środka.

Za chwilę w otworze ukazała się głowa, następnie całe ciało Kaspra, za nim zaś wyniesiono Ludwika. Kasprowa ujrzawszy obydwóch żywych, z krzykiem rzuciła się na szyję męża i raz jego, drugi raz Ludwika tuliła do swych piersi.

Wynalezionych górników wywindowano na wierzch ziemi, zaniesiono do domu i ułożono w łóżku. Obadwaj posileni rosołem, który im posłał naczelnik, zapadli w sen głęboki i dopiero przebudzili się nad wieczorem.

Kasper wtedy opowiedział żonie i zgromadzonym towarzyszom jako przez cztery dni i noce w śmiertelnej przebyli trwodze, jak dzielili się po trochu bochenkiem chleba, który Kasper zabrał z sobą w podziemie, jak w sobotę już im chleba zabrakło i byliby z głodu pewnie zginęli, gdyby niespodziany ratunek, który im Pan Jezus zesłał. Jak ciągle jedyną nadzieję mieli w cudownym Zbawicielu augustyjańskim, do którego obadwaj modlili się bez przestanku. Jak wreszcie ostatniej nocy ukazała się Kasprowi we śnie postać męża w białej jaśniejszej od śniegu szacie, która mu powiedziała: „Nie lękaj się, albowiem wybawienie twoje jest bliskie.“

Na drugi dzień cała rodzina Kasprowa otoczona tysiącem górników udała się w uroczystej procesji do Krakowa, do klasztoru księży Augustyanów, gdzie wśród nabożnej uroczystości dziękowano Bogu za ten szczęśliwy ratunek.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 15.

21. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JOACHIM LELEWEL.

Do najsławniejszych mężów, jakich wydała Polska, należy wielki uczony Joachim Lelewel. Był to wzór wielkiej nauki i wielkiej pracy, wzór cnoty, zacności i miłości ojczyzny. Nietylko w Polsce ale i na całym prawie świecie znane jest imię Lelewela a wszędzie imię to wspominają z uwielbieniem i szacunkiem.

Joachim Lelewel urodził się w r. 1786, a więc za owych czasów, kiedy Polska nasza była jeszcze wolną, choć jej już dużo ziemi wydarli przemocni sąsiedzi. Lelewel będąc jeszcze maleńkim chłopaczkiem, okazywał wielki rozum i ogromną pilność, a kto tylko lepiej poznał chłopczynę, mógł zaraz przewidzieć, że będzie z niego kiedyś uczony nielada. Jakoż istotnie dotrzymał tego Lelewel, co za młodych lat obiecywał, został wielkim uczonym polskim. Pracowity i skromny, uczył się on za młodu ciągle i bez wytchnienia prawie, tak że wszyscy dziwili się, zkąd mu na to sił i ochoty staje.

Tą pracą swoją i temi zdolnościami, któremi go Bóg obdarzył, nabył Lelewel tyle nauki, ile podówczas mało kto a może

i nikt nie miał w Polsce. Przedewszystkiem zaś zgłębiał Lelewel dzieje swego narodu, swej ojczyzny Polski, którą nad życie kochał, i dochodził z rozmaitych starych ksiąg i papierów, jakto też przed dawnemi i najdawniejszemi czasy działo się w Polsce, co też robili nasi przodkowie i pradziadowie, jakie przed wiekami całemi były urządzenia w Polsce, jakie wojny, jacy królowie, jaki obyczaj. To wszystko wyszukiwał on z starych ksiąg rozmaitych, czytał, myślał, dochodził, i w końcu też znał jakby na palcach wszystko, jak się co kiedy stało w Polsce, tak jakby to sam był widział na własne oczy. Powyszukiwał on rozmaite takie stare zabytki, o których nikt przedtem nie wiedział, a z których się można było dowiedzieć o dawnych Polakach, powynajdywał stare papiery o dawnych królach i hetmanach, i tak z tego wszystkiego dochodził o wszystkiem, co się tylko kiedy działo na polskiej ziemi.

Nie dziw więc, że wnet zasłynęło imię Lelewela, sława jego rozniosła się na kraj cały i wszyscy czcili w nim wielkiego uczonego. Powołano go tedy do Wilna, gdzie była wielka szkoła dla młodych Polaków i w tej szkole zrobili go profesorem. Kiedy tam Lelewel zaczął uczyć, to na jego naukę tyle się zbiegało studentów, że ani połowa ich nawet nie mogła się pomieścić w izbie, choć izba ta była ogromna, bo każdy pragnął bodaj zachwycić słów tego uczonego. Ale oprócz wielkiej swej nauki posiadał Lelewel także serce zacne i cnotliwe, które kochało ojczyznę nadewszystko, posiadał on także skromność wielką i miłość dla wszystkich współbraci a osobliwie dla młodych studentów. To też za to wszyscy wileńscy studenci pokochali swego profesora jak ojca i każdy byłby za nim w ogień skoczył. On też kształcił ich umysły i serca, uczył ich, jaka to dawniej sławna i wielka była nasza ojczyzna, i jak to ją miłować trzeba całem sercem i całą duszą, pierwszą po Bogu, i jak to każdy człek prawy i Polak prawdziwy powinien w razie potrzeby oddać za nią i mienie i życie.

A było to już w owych czasach, kiedy już Polska była podzielona między Austrją, Prusy i Moskwę. Wilno, stolica Litwy, gdzie Lelewel był profesorem, była wtedy, tak jak po

dziś dzień pod władzą moskiewską. Otoż nie podobało się Moskalom, że Lelewel tak pięknie prowadzi młodzież, i że studenci tak serdecznie miłują ojczyznę. Namiestnik moskiewski wymawiał nawet Lelewelowi, że studentom ciągle o Polsce prawi. Ale Lelewel był człowiek, który się nie dał nastraszyć niczem, bo nikogo nie potrzebował, służył on cnocie i prawdzie. Odpowiedział on tak moskiewskiemu gubernatorowi:

— Ani fortuny ani honorów nie szukam, jeżelim użyteczny to dobrze, jeśli nie, to sobie pójdę i uczyć wam nie będę, kiedy mi prawdy mówić nie pozwalacie!

Niedługo też był Lelewel w Wilnie. Moskale widząc, że młodzież nie chce się moskalić, ale jest polską i że serdecznie kocha swą ojczyznę a nienawidzi Moskwy, zaczęli okrutnie prześladować studentów, oddawali ich do wojska, wrzucali w podziemne więzienia, katowali, gnali na Sybir. Rozpędzili też potem i co najlepszych profesorów, a tak i Lelewel udał się z Wilna do Warszawy.

Tu w Warszawie żył Lelewel ubogo, mieszkał na stryszku i ciągle w księgach pracował, a od czasu do czasu kazał wydrukować jakie pismo swoje, które pełne były nauki i mądrości, a które Polacy uczeni z wielką chciwością czytali. Tak żył i pracował Lelewel — gdy nadszedł rok 1831, w którym to roku jak wiecie wybuchło powstanie w Warszawie. Lelewel już dawniej o tem wiedział, że będzie powstanie, bo jakżeby on o tem nie wiedział, on, co pierwszy był do ofiar i poświęcenia dla ojczyzny, on, którego cała młodzież polska tak czciła i kochała! To też gdy wybuchło powstanie, Lelewel już o niczem nie myślał, tylko o tem, jakby zakierować, aby to powstanie się udało. Więc też chodził na narady, zachęcał, przestrzegał, napominał wszystkich, aby gorąco bronili polskiej sprawy. Wybrano Lelewela do rady, która była rządem tymczasowym i miała taką godność jakby królewską, i Lelewel na tym dostojnym urzędzie służył gorliwie ojczyźnie i rodakom, walczącym z Moskwą.

Ale nieodgadnione są wyroki Wszechmocnego! Powstanie polskie upadło! Moskale zwyciężyli — a Lelewel musiał porzucić swoją ojczyznę. Musiał porzucić rodzeństwo, swoje książki

i papiery, pożegnać się z polską ziemią, którą tak miłował, i iść na tułactwo, między obcych ludzi!

Ale Moskale i na obcej ziemi nie dali spokoju Lelewelowi. Wiedzieli oni, jaki to człowiek mężny i zacny, a więc jak jest dla nich niebezpieczny. Okrutny car moskiewski Mikołaj porozpisywał listy do wszystkich monarchów, aby żaden nie wpuścił Lelewela w granice swego państwa. Lelewel, który udał się był do Francji i idąc piechotą i z kijem w ręku szukał gdzie kąta cichego, został aresztowany przez francuzkich żandarmów. Gdy dano znać o tem do samego króla francuzkiego, ten nakazał aby Lelewela natychmiast wywieźć z kraju francuzkiego. Był bowiem wtenczas królem francuzkim Ludwik Filip, człek niedołężny i bojaźliwy, który się bał narazić moskiewskiemu carowi.

Cóż miał robić biedny wygnaniec! Z ojczyzny Polski musiał uchodzić przed Moskalami, z Francji go wygnano, do Austrji, do Prus ani mu wstąpić nie wolno było! Udał się do Belgji, kraju co sąsiaduje z Francją. Kraj ten jest bardzo wolny a królowie tam zawsze bardzo sprawiedliwi. W Belgji tedy pozwolono mieszkać Lelewelowi. Udał się on do samej stolicy, która się zwie Bruksellą i tu zamieszkał. Najął sobie gdzieś na strychu ubogą komórkę i tu począł pracować nad książkami. Nie chciał on wielkich dochodów, bo mawiał zawsze, że mu nie potrzeba, tylko tyle, aby miał za co kupić sobie kawałek chleba i świeczkę, aby w nocy pracować. Żył sobie tedy tak ubożuchno ten wielki i sławny Polak na tym strychu i dnie i noce spędzał na pisaniu uczonych książek. Nosił się w lichem odzieniu jak prosty robotnik, sam sobie co rana chodził po mleko, po drwa i wodę, sam sobie był sługą a jadał razem z robotnikami w lichej kuchence. A czynił to wszystko dlatego, że był człowiekiem wielkiej zacności i na małem lubił przystawać, a żadnego daru od nikogo by był nie przyjął.

Król belgijski miał zbiór rozmaitych zabytków starożytnych, starych odwiecznych pieniążków, i chciał, aby mu to kto spisał i objaśnił. Szukał do tego uczonego człeka — a prosił wreście Lelewela, aby mu to zrobił. Lelewel zrobił jak się

należało, wypisał i wyłożył wszystko jasno. Król za to posłał mu kilka tysięcy reńskich, a Lelewel rzekł:

— Ja moją pracę cenię sobie tylko na 500 reńskich i więcej nie wezmę.

I odesłał resztę królowi nazad!

Gdyby Lelewel był chciał przyjmować dary i wsparcia, byłby mógł żyć jak pan, ale on nie chciał mieć nic darmo, i na tem tylko przestawał, co sam sobie zarobił. Bywało panowie polscy przyjeżdżają do niego, proszą, błagają na klęczkach, aby się nie tyrał, nie biedził, aby przyjął od nich mieszkanie i wszelkie wygody, nieraz zaklinają go, aby wziął od nich pieniądze i żył spokojnie! — Gdzie tam! Lelewel o tem ani sobie mówić nie dał. Nieraz to się brano na sposoby i skrycie podrzucano pieniądze Lelewelowi, albo jakim innym podstępem chciano mu zrobić ulgę w życiu, ale on zawsze poznał się na tem i nie przyjął.

Jeden pan polski dowiedziawszy się, że Lelewel jada za tanie pieniądze bardzo lichą strawę u jednego oberzysty, poszedł do tego oberzysty i powiada do niego:

— Oto masz pieniądze, dawaj panu Lelewelowi dobry obiad, jak może być najlepszy, ale nie gadaj mu nic o tem, że ja ci dopłacił, tylko udawaj tak, jakbyś ty mu taki obiad dawał za te pieniądze, za któreś się z nim ugodził!

Oberzysta zrobił tak jak ów pan chciał. Lelewel zdziwił się, że nagle takie dobre obiady — domyślił się zaraz, że w tem coś być musi i rzekł do oberzysty:

— Mój panie gospodarzu! to nie może być, abyś ty za te liche pieniądze, które ja ci płacę, mógł mi bez straty dawać takie dobre obiady. Albo ty więc na mnie tracisz, albo ci ktoś zapłacił, a ja ani na to ani na to nie przystanę. Dawaj mi takie obiady, jakieś mi dawniej dawał, bo inaczej cię porzucę!

I tak i ten wybieg się nie udał!

Takim był Lelewel. Cnota i nauka jego wielki mu wyrobiły szacunek za granicą, u obcych narodów. Anglicy, Niemcy, Francuzi — wszyscy podziwiali tego uczonego męża. W samem mieście Brukselli wszyscy Lelewela czcili i uwielbiali. Kiedy szedł przez ulicę, wszyscy zdejmowali czapki z głowy,

a lud ubogi, robotnicy, jakby drugiego króla go honorowali. Bywało, kiedy Lelewel idzie na przechadzkę gdzie do ogrodu miejskiego, to król belgijski będąc także na przechadzce, pierwszy mu się ukłoni i z ławeczki ustąpi, aby uczony staruszek miał gdzie odpocząć. Kto tylko z Polaków jechał za granicę, każdy wstępował do Lelewela, aby ucałować rękę temu wielkiemu mężowi. Być w Belgji a nie widzieć Lelewela, toby znaczyło tak, jak być w Rzymie a nie widzieć papieża. On z radością przyjmował swoich rodaków i wypytywał o stanie swej biednej ojczyzny, którą tak kochał!

Umarł Lelewel niedawno, bo temu lat kilka, na obcej ziemi opłakiwany przez Polskę całą. Wielki to był mąż, wielkiej mądrości i serca wielkiego, godzien wiecznej chwały i wiecznej miłości u swego narodu!

PIAST.

Pełno myszy, kara Boża!
W Polaków ziemicy —
Głód doskwiera — lud wymiera,
Choć w Kruszwicy, na stolicy
Dość chleba i zboża!

Przyszli święci aniołowie
Do króla Popiela,
I głodnego, ubogiego
Ludu z nimi wiela.
Lecz królewstwo nic nie dali,
Jeszcze wyłajali!

Poszli święci aniołowie
Z nimi ludu wiela,
Głodno, chłodno idą z miasta,
A wyszedłszy w pole
Widzą chatę niebogatę,
Lecz że bocian na stodole,
Wstępują do Piasta!

Piast gospodarz gości wita,
W dom wprowadza za stół sadza,
Kto i zkąd nie pyta,
A Rzepicha gospodyni
Jeść i pić przynosi,
Kto wziął mało wnet przyczyni,
I prosi a prosi!

A gdy naród wciąż napływa
Wszystkim rada, wszystkim szczera,
Od alkierza drzwi otwiera,
I co ma rozdaje!

Coraz nowe głodne zgraje
Oblegają dom dokoła,
Jedzą, piją nie ubywa,
Zawsze pełne misy, dzbany,
Bo dar Boży wciąż się mnoży.

Bacząc na to lud zebrany
Jednogłośnie woła:

Kołodzieju! dobrodzieju!
Panujże, nam panuj!
A ty ludu, pomny cudu,
Szanuj Piastów, szanuj!

I jakoby w dzień wesela
Gody się zaczęły,
A myszy z całej ziemicy
Gopło przepłynęły,
I w Kruszwicy na stolicy
Zagryzły Popiela!

J. K. Podolecki.

Morze lodowate.

Głupia ciekawość, która do niczego dobrego nie prowadzi, jest nierozsądkiem i grzechem; ale mądra ciekawość, chciwa nauk, oświaty i prawdy Bożej, jest piękną i zaszczytną żądzą. Ona to wyprowadza narody ze stanu dzikości i poniżenia na drogę rozumnej pracy i pomyślności; i po wszystkie czasy ludzie tą mądrą a nie grzeszną ciekawością zdjęci, stawali się dobroczyńcami braci swoich, bądź przez użyteczne wynalazki, bądź przez odkrycia przynoszące i zaszczyt i dostatki współziomkom, a im samym, prócz zasługi, wewnętrzne zadowolenie z poczciwej i użytecznej pracy.

Nad samem morzem jest kraj Hollandja, a ludzie tam zamieszkali bardzo są szykowni do przemysłu, do handlu i do roli, i wyprawiają się na morze w różne strony świata, to na wschód, to na południe, to na zachód a nawet i ku lodowatej północy, bądź dla połowu wielorybów i cieląt morskich, z których wytapiają tysiące beczek tłustości czyli tranu, bądź też dla wyszukania krótszej na drugą część świata drogi, gdyż zwykła droga dla Holendrów ku północy mieszkających, zdawała się jeszcze zbyt długą.

Jak sobie ludzie dawniej głowy nad tem suszyli, jakby się dostać do krańców ziemi, tak później nad tem tylko myśleli, jakby spieszniej i bezpieczniej po ogromnych oceanach żaglować.

Już się poprzednio Holendrzy parę razy zapuszczali na morze lodowate, lecz dostawszy się na północne wybrzeża Rosji, nagle zatrzymani zostali ogromnemi górami lodu, pływającemi po morzu, które im całkiem drogę zatamowały. Wi-

dząc to, co tchu zawracali do domu, i tam przy dobrym kominkowym ogniu opowiadali krewnym i znajomym swoje przygody, mniemając, że już nikt po nich nie odważy się narażać na tak wielkie niebezpieczeństwa. Ale, jak to mówią: „nikt nie uwierzy, aż przymierzy“ i rzadko kiedy cudze doświadczenie idzie nam na pożytek. To też znaleźli się wkrótce nowi ochotnicy, którzy sobie myśleli, że zaopatrzywszy się dobrze w ciepłe ubranie i żywność, i wybrawszy się w drogę w innej porze roku, np. na wiosnę albo w lecie kiedy u nas śniegi na wysokich górach topnieją, toć przecie na owem morzu nie zmarzną i wynajdą ową upragnioną drogę.

Otoż na początku maja r. 1596 wyładowali porządnie dwa okręty, nad któremi objął główne dowództwo holenderski kapitan Jakób Hemskerk; ten zaś do pomocy przybrał sobie dwóch doświadczonych żeglarzy: Wilhelma Barenza i Jana Rypa.

Kiedy wypłynęli na morze, prześliczna pogoda i wiatr przyjazny zapowiadał pomyślną żeglugę, jakoż we cztery dni upłynęli około 180 mil morskich, kierując się ku północy, a to za pomocą owej igiełki magnesowej, która zawsze na północ wskazuje.

W kilka dni potem ujrzeli po lewej stronie (na zachód) wyspę Islandję należącą do Duńczyków. Na tej wyspie są góry ogniem buchające zwane wulkanami, i źródła gorące, które wyrzucają na kilka łokci wysoki słup wody wrzącej, a na około rozciągają się ogromne płaszczyzny śniegiem i lodem pokryte. Ten wulkan w Islandji nazywa się Hekla, a te źródła gorące zowią się tam gejzerami.

Dziw to nie mały, że w kraju tak zimnym jak Islandja, wnętrze ziemi tyle zawiera gorąca; ale trzeba o tem pamiętać, iż ta cała powierzchnia kuli ziemskiej, po której chodzimy i pływamy, jest tylko skorupą pokrywającą ogromne pokłady minerałów tj. żelaza, srebra, złota, miedzi itp. i że w samym środku tej kuli jest żar, który się z niej wydobywa, gdy minerały rozpalone do czerwoności roztopią się a potem zagotują, jak w szczelnie zamkniętym kotle, którego pokrywa albo się trzęsie, albo rozsadzona gorącem, pęka. Taka a nie inna jest przyczyna trzęsienia ziemi i wybuchu wulkanów.

Po dwutygodniowej żegludze, na początku czerwca, pomknęli się nasi podróżni aż za koło biegunowe, za którem jest taka okolica, gdzie już nic a nic nie rośnie, gdzie niema ani zboża, ani owoców, ani lasów, i gdzie słońce parę miesięcy w lecie wcale nie zachodzi, tylko się po niebie w około kręci, a po tym kilkumiesięcznym, nieustającym dniu, następuje nierównie dłuższa, nieustająca noc, która trwa około 6 miesięcy, oświetlona jedynie blaskiem śniegu, światłem księżyca i cudownie piękną jasnością na niebie, która się nazywa zorzą północną. Ta straszna kraina dla człowieka jest ojczyzną białych niedźwiedzi, niebieskich lisów, soboli i innych dzikich zwierząt.

Nie trudno sobie wyobrazić zdziwienie naszych żeglarzy przybywających z Holandji, gdzie jak u nas, słońce codzień regularnie wschodzi i zachodzi, gdy za nadejściem nocy, która nie nadeszła, słońce sobie tak świeciło jak w południe, i wcale nie zaszło!

Zdawałoby się, że kiedy w czerwcu słońce cały dzień i całą noc przyświeca, to tam upał musi być nieznośny a śniegi i lody powinnyby się roztopić. Ale gdzie tam, góry lodowe pływały sobie po morzu jak u nas w zimie kra na Wiśle, a podróżni drzeli od zimna. A pochodzi to z tej przyczyny, że promienie słońca padając tam z ukosa, świecą wprawdzie ale nie grzeją, tak np. jak kiedy trzymasz rękę nad płomieniem świecy, to cię parzy, a jak ją trzymasz z boku, choćby najbliżej to cię nawet nie grzeje. Powtóre: że promienie słońca mają własność wydobywania ciepła z ziemi na jej powierzchnią, a wiecie już że ziemia wewnątrz jest gorąca, ale przez warstwę śniegu i lodu czasem na parę łokci grubego, promienie słońca do ziemi przedrzeć się nie mogą, i dlatego choć słońce świeci, zimno jest na ziemi.

Około 15. lipca, kiedy u nas bywa najgoręcej, podróżni nasi zewsząd otoczeni byli bryłami lodu i rozmyślali nad tem, jak się to będzie ztamtąd wydostać, wtem zdaje im się że spostrzegają mnóstwo pływających po morzu łabędzi. Uradowani chwytają za strzelby, w nadziei że ubiwszy z jakie kilkadziesiąt sztuk, mieć z nich będą wyborną pieczeń, aż tu przypatrzywszy się lepiej, przekonali się, że owe łabędzie były to

kawałki lodu śniegiem obsypane. Smutna prawda spłoszyła wnet chwilę przyjemnego złudzenia, i biedni żeglarze ponuro spoglądali na siebie, gdy nowe zjawisko zwróciło ich uwagę. Oto ujrzeli teraz na niebie trzy tęcze i trzy słońca od razu. Cóż to znaczy? pomyśleli sobie. Czy to cud jaki? czy też istotnie trzy słońca świecą w tej lodowej pustyni? A jakże! cud, bo juścić wszystko co Bóg stworzył jest cudem, ale cud naturalny, prawdziwy, który zastanowiwszy się trochę, wytłumaczyć nie trudno.

Wiadomo, że powietrze które otacza ziemię w około, składa się z różnych wyziewów i w znacznej części z pary wodnej, która jeżeli zimno, marznie w powietrzu i spada na ziemię śniegiem, szronem lub gradem, a jeżeli ciepło to deszczem. I spyta kto może: A zkąd się ta para wodna bierze w powietrzu? Na to każdy z łatwością odpowie, że ona pochodzi ze wszystkich wód ziemskich, które wysychając ulatniają się i zamieniają w parę. Otoż te wyziewy powietrzne tak się czasem w gęste zbiją warstwy, że promienie słońca nie mogąc ich przebić, łamią się i odbijają jak w zwierciedle; toż samo dzieje się i ze słońcem i z tęczą, i dlatego się oczom naszym podwójnie i potrójnie wydają. Zjawiska te widzieć się dają najczęściej w zimnych okolicach, kiedy drobne krople pary wodnej nagle zmrożone, tworzą w powietrzu coś nakształt lodowatych zwierciadeł.

Im dalej żeglarze nasi posuwali się na północ, tem trudniej było płynąć, bo morze całe zawalone było kawałami lodu.

Około 19. lipca, ujrzeli przecież jakąś ziemię, a chcąc się dowiedzieć jej nazwiska, szukali na karcie geograficznej, gdzie wszystkie kraje były narysowane i napisane, ale nazwiska tej ziemi nie znaleźli. Pomyśleli więc zaraz, że to jakiś nieznany kraj być musi, o którym jeszcze w Europie nikt nie słyszał. Czemprędzej więc skierowali żagle w tę stronę, i przekonali się, że to była wyspa mogąca mieć około 8 mil długości. Majtkowie z obydwóch okrętow spuścili zaraz w morze kotwicę żeby się statki zatrzymały na miejscu, a kilku z nich wysiadło do łodzi, aby dopłynąć do lądu.

Kotwica, jest to ciężkie zębate narzędzie, które się zapuszcza na dno morza na długiej linie przytwierdzonej do okrętu, aby się tenże z miejsca nie ruszył.

Pierwsza rzecz, która ich na tej wyspie zastanowiła, było mnóstwo jaj ptaków morskich mewami zwanych. Znalezione na wyspie jaja, nie małym były przysmakiem dla biednych majtków, którzy pozbierawszy je starannie, uraczyli się na wieczerzę wyborną jajecznicą.

Nazajutrz pierwszy raz spotkali się z białym niedźwiedziem, który miał około 12 stóp czyli 6 łokci długości. Białe niedźwiedzie żyją tylko z bliskości oceanu lodowatego i są strasznie drapieżne. Paszcze mają w ostre zęby a łapy w ostre pazury uzbrojone. Żyją na lądzie, ale pływają i nurzają się w wodzie jak kaczki; karmią się rybami, cielętami morskiemi i nieżywemi wielorybami, dlatego krążą zawsze nad brzegiem mórz lodowatych, a czasem widzieć je można na bryłach lodu pływających, zkąd czatują na zdobycz.

Część załogi okrętowej wskoczyła do łodzi i popłynęła ku strasznemu potworowi, który stojąc na tylnych łapach, gotów był do walki. Rzucili się na niego z siekierami i dzidami odważni żeglarze, i po długiej bo dwugodzinnej z nim walce, położyli trupem ogromnego niedźwiedzia. Zawlekli go potem na okręt, obdarli ze skóry pokrytej piękną, długą siercią, a na wieczerzę skosztowali niedźwiedziej pieczeni, która im się nie gorszą od wołowej zdawała.

Na pamiątkę zabitego niedźwiedzia, kraj ten nazwali Niedźwiedzią wyspą, ktora się dotąd tak nazywa, a leży na północnej stronie Norwegji.

Opuściwszy bezludną Niedźwiedzią wyspę, żeglarze podnieśli kotwicę i ruszyli dalej na północ. Nad wieczorem, mówiąc po naszemu, bo tak o północy było jasno jak w południe, ujrzeli coś dziwnego na morzu, niby małą wysepkę pływającą, na którą zlatywało się mnóstwo mew żarłocznych, dziobiąc jej powierzchnię. Przybliżywszy się jednak do tej mniemanej wyspy, poznali że to był nieżywy wieloryb, którego ogromne cielsko unosiło się na powierzchni morza.

Nikt z was nie widział żywego wieloryba, tego mieszkańca lodowatych oceanów, który w cieplejsze strony nie odbywa wędrówek; nikt go też u nas w całości zabitego nie widział, gdyż wielorybo-łowcy wziąwszy zeń tylko to, co ludziom przydatne być może, to jest tłustość, z której wytapiają tran i ości, z których wyrabiają tak zwany u nas fiszbajn, mięso jego zostawiają na pastwę niedźwiedziom, psom i ptakom morskim.

Wieloryb jest to najogromniejsze ze wszystkich znanych nam wodnych i lądowych zwierząt. Miewa niekiedy do 80 stóp czyli 40 łokci długości, a przeszło tysiąc cetnarów czyli sto tysięcy funtów wagi. Dawnemi czasy, nim ludzie zwiedzać zaczęli lodowate morza, były tam wieloryby na 100 łokci długie, ale odkąd ich rocznie tysiącami łowią, liczba tych potworów morskich znacznie się zmniejszyła i już do takiej wielkości nie dorastają. Głowa wieloryba wynosi trzecią część całego ciała i jest stosunkowo bardzo wielka, a otwór jego rozwartej paszczy ma 10 łokci dobrej miary.

Wystawcie sobie taką paszczę podobną do wielkiej otwartej bramy, w której znajduje się nieruchomy język, z którego czasem wytapiają do dziesięciu beczek tranu. W tej strasznej paszczy niema jednak ani jednego zęba, są tylko grube, rogowe listwy wyścielające podniebienie na kształt dachówek, zachodząc jedna na drugą. Listew takich w paszczy bywa do tysiąca, a mają po 7 łokci długości; z nich to mamy tak zwany w handlu fiszbajn, czyli róg wielorybi używany do różnych wyrobów tokarskich, do parasoli i staników sukien niewieścich. Dolna szczęka składa się z dwóch grubych kości, najmniej 10 stóp czyli pięć łokci długich, szerokich na pół łokcia, a grubych na sześć cali. Tych dwóch kości szczękowych używają w niektórych portowych czyli nadmorskich miastach, na odrzwi do bram zamiast drzewa, albo je też przepiłowują na słupki, i takowe wbijają po nad drogą lub przed domami dla uwiązywania przy nich koni.

A teraz opowiem wam, jakim sposobem łowią się wieloryby. Ponieważ tran i fiszbajn dobrze się spieniężają, więc północne nadmorskie narody, jak Szwedzi, Anglicy, Holendrzy itd. wysyłają corocznie, nie już jak dawniej, pojedyncze statki

z małą załogą, ale naraz po kilkanaście okrętów, a w nich po kilkuset ludzi. Przybywszy w taką okolicę, gdzie się spodziewają napotkać wieloryba, stawiają jednego człowieka na straży u wierzchołka masztu, zkąd, jak z wieży, widzi przed sobą wielką przestrzeń morza. Maszt, jest to wysoki słup drzewa, osadzony na okręcie, do którego przywiązane są żagle. Gdy się ukażą dwa tryskające na morzu źródła, to znak, że w tym miejscu, wieloryb, pod wodą ukryty, wyrzuca z siebie wodę nozdrzami, aby nie utonąć. Wtedy stojący na straży zawiadamia o tem natychmiast osadę okrętową, która spuszcza łodzie na morze. Potem rybacy podpłynąwszy ostrożnie, żeby wieloryba nie spłoszyć, ciskają w niego z całej siły *harpun* żelazny, na długiej linie uwiązany, a utkwiwszy go w cielsku wieloryba spiesznie odpływają popuszczając linę u łodzi uwiązaną, a gdy lina nie dosyć długa, to przywiązują do niej beczkę i tę na wodę rzucają. Wieloryb z harpunem w skórze swej utkwionym ucieka, a liaa z beczką na wierzchu za nim płynie, pokazując rybakom gdzie go mają ścigać, lub gdzie się wieloryb skrył w głąb morza. Wieloryb chociaż żyje w wodzie, mógłby jednak w niej utonąć, gdyby przynajmniej co pół godziny nie wypływał na wierzch, dla zaczerpnięcia powietrza.

Łodzie więc za nim gonią, a ile razy wypłynie na wierzch dla oddechu, to nań rybacy ciskają harpunami, które więzną w jego skórze i sterczą jak kolce na jeżu. Harpun jest to ostre żelazo podobne do strzały lub dzidy, oprawione w trzonek drewniany. Gdy z wieloryba krew uchodzi, i zaczyna słabnąć, wtedy rybacy podpływają bliżej i uderzają na niego d z i r y t a m i (podobnymi do harpunów) dopóty, dopóki go na śmierć nie ubiją. Czasem jednak zdarzają się straszne wypadki na takich łowach, jak n. p. w r. 1802 przy brzegach Labradoru w północnej Ameryce. Kapitan okrętu stojącego na kotwicy, dostrzegłszy w pewnej odległości ogromnego wieloryba, wysłał za nim w pogoń cztery łodzie. Dościgniony i ugodzony harpunem wieloryb zanurzył się w wodę, wkrótce jednak wypłynął na wierzch, a machnąwszy ogonem, jednę z tych łodzi wraz z ludźmi, jak piłkę wyrzucił na jakie ośm łokci w powietrze. Nieszczęśliwa łódź, skręciwszy się od gwałtownego uderzenia, upadła dnem

do góry, a ludzie z niej wysypali się na morze. Takie smutne wypadki i teraz się jeszcze zdarzają, jeżeli majtkowie niezręcznie kierują łodziami, ścigającemi wieloryba.

Kiedy już wieloryba zabiją, wtedy rybacy zaprzęgają do niego kilka łodzi grubemi linami i ciągną za sobą do okrętu; potem cała załoga, uzbrojona w noże i siekiery przenosi się ze statku na nieżywego wieloryba i zaczyna go płatać; wydzierają mu fiszbin, wykrawają tłustość, pakują takową w beczki, by potem tran z niej wytopić, którego z jednego wieloryba od 20 do 30 beczek otrzymują, a kości z mięsem zostawiają na pastwę drapieżnemu ptastwu.

Wyprawa na wieloryba należy do najniebezpieczniejszych; ziemia, morze i powietrze trwogą tam człowieka przejmują. Okrótny mróz krew w żyłach ścina; mgła i śniegi zachmurzają niebo, góry i ławy lodowe grożą roztrzaskaniem okrętów, a straszne białe niedzwiedzie czychają na urwiskach gotowe rozszarpać człowieka, któryby się ku nim zbliżył. Nigdzie drzewa ani krzaka rosnącego nie ujrzysz, chyba gdzieniegdzie odrobinę mchu lub trawy wydobywającej się z pod śniegu.

Żeglarzy nasi znalazłszy tedy nieżywego wieloryba na powierzchni morza, zabrali jak swego, sposobem wyżej opisanym; wziąwszy z niego fiszbin i tłustość, resztę wraz z mięsem zostawili na wodzie.

Płynąc wciąż ku północy i torując sobie drogę pomiędzy skałami lodu, dopłynęli do jednej wyspy najdalej na północ położonej, którą później nazwano wyspą *Szpicberg*, ztąd że jest najeżona spiczastemi i stromemi górami.

Krążąc około tej wyspy, kilka razy wysiadali na ląd, lecz ponury jego widok nie zachęcał do zapuszczenia się w głąb kraju. Oprócz drapieżnych białych niedźwiedzi i niebieskich lisów, których piękne futro bardzo jest kosztowne, znajdują się tam r e n i f e r y, będące największem dobrodziejstwem dla biednych mieszkańców północy. Czem dla nas krowa, wół, koń i owca, tem dla nich jest renifer. Mleko daje tłustsze od krowiego, mięso równie dobre jak wołowe, skóra jego służy za odzież lub za osłonę chat od wichru i deszczu, z rogów i kości wyrabiają różne narzędzia, z żył robią grube nici, z pęcherza

sakwy, a oprócz tego, zaprzężony do sani, lub do wozu, przebiega prędzej od konia największe przestrzenie po lodzie i śniegu, uchodząc dziennie po mil trzydzieści. Stopy ma długie i szerokie, więc po najgłębszych zaspach śniegu nie załamując się, lotem błyskawicy przemyka. Ale te wszystkie przymioty na nic się tam przydały, gdyby choć cokolwiek był wybredniejszy w jedzeniu, gdyby jak koń, wół i owca potrzebował obroku, słomy i świeżego siana: bo zkądże wziąść tego wszystkiego, tam gdzie nic nie rośnie, gdzie się nic nie sieje i nic nie zbiera? Otóż Pan Bóg, który wszystko mądrze i dobroczynnie urządził, na każdą chorobę stworzył lekarstwo, na każdy smutek dał pociechę i w każdym niedostatku zapewnił człowiekowi, który rąk nie opuszcza, wsparcie i pomoc, Bóg zastosował naturę renifera do jałowej natury gruntu, na którym żyć mu kazał. Człowiek nie potrzebuje się troszczyć o wyżywienie całego stada reniferów, które rogami i kopytami same sobie wygrzebują z pod śniegu pewien rodzaj siwego mchu, służącego im za pokarm. Gdyby nie to dobroczynne zwierzę, te owe zimne kraje musiałyby na zawsze pozostać bezludne.

Renifer podobny jest do jelenia, z tą tylko różnicą, że jest trochę mniejszy, nogi ma nieco krótsze i odmienne rogi. Na wybrzeżu tych lodowatych pustyń znajduje się mnóstwo potworów morskich, co są na wpół podobne do zwierząt czworonożnych, a na wpół do ryby; cielę lub pies morski, inaczej foką zwany, ma łeb do psa podobny, dwie przednie łapy pletwowate, a ogon rybi. W zimie żyje na lodzie i na morzu, a w lecie wyłazi na ląd. Skóra jego pokryta krótkim lśniącym włosem używaną bywa do obijania kufrów. Zwierzę to miewa od 4 do 8 stóp długości, a tłuszcz z niego otrzymywana wydaje tran podobny do wielorybiego. Cielęta morskie pływają gromadnie, i całemi stadami bywają wybijane. Kiedy słońce świeci, wyłażą z morza, a wyciągnąwszy się na bryłach lodu spią, głośno chrapiąc. Ztąd też przysłowie: „chrapie jak cielę morskie“. Wtedy na spiące foki uderzają ludzie maczugami czyli pałkami gwoździami nabijanemi, i wielką ich liczbę zabijają; bo zwierze to na swoich dwóch krótkich łapach raczej się czołga niż bieży i nie trudno je doścignąć człowiekowi. Żywi

się ono trawą morską i rybami. Niektóre północne ludy, np. Grenlandczycy, Kamczadale i Eskimosy jedzą mięso foki, ze skóry jej robią sobie odzież, a tłuszcz wytopiony służy im za olej do lamp w czasie długiej zimowej nocy. W okolicach Szkocji, która należy do Anglików, mnóstwo fok chroni się po skałach nadmorskich, tam myśliwi na lekkich czółnach z pochodniami w ręku podpłynąwszy, napadają na przestraszone światłem zwierzęta i wiele ich trupem kładą, bijąc je tylko kijami po nosach.

Krowa morska podobna jest do cielęcia morskiego, czyli foki, tylko cokolwiek większa; dwa wielkie kły wychodzą jej po obu stronach z paszczy, a są tak białe jak kość słoniowa. Najwięcej też dla tych kłów polują na krowy morskie bo mięso ich niesmaczne, a tłuszczu w sobie nie mają.

Do strasznych i żarłocznych ryb morza północnego należą przedewszystkiem Rekin i Piła. Rekin, nie bez przyczyny tygrysem morskim nazwany, miewa do czterech sążni, czyli 12 łokci długości, a waży około 40 cetnarów. W ogromnej jego paszczy jest przeszło 400 ostrych zębów kilkoma rzędami osadzonych, gardło ma obszerne, skórę grubą i twardą, węch i słuch bardzo bystry, a obyczaje ma drapieżne i dzikie. Rekina zowią także ludojadem, bo na ciało ludzkie bardzo jest łakomy, i dlatego płynie za okrętami czychając na żywą lub martwą zdobycz. Kiedy człowiek umrze na okręcie, to mu taki pogrzeb sprawiają, że uwinąwszy ciało w płótno wrzucają one w morze, na pastwę morskim potworom. Ludojady znajdują się i w cieplejszych stronach na południe Europy i na oceanie wschodnim w bliskości cesarstwa Chińskiego. Ryba zwana Piłą, ma pysk zakończony długim, płaskim, chrząstkowatym wyrostem, podobnym do piły, po obu brzegach zębami najeżonym. Jest ona zawziętą nieprzyjaciółką wieloryba, którego dopóty swoją piłą kaleczy, dopóki go nie zabije; napada nawet niekiedy i na srogiego ludojada i zwycięzko z nim walczy, chociaż nierównie od niego jest mniejszą.

Takie to dziwa widzieli i ci żeglarze, co płynęli na morze lodowate. Co się zaś z nimi dalej stało, później wam opowiemy.

(Cz. Nied.)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. Nr. 16.

1. grudnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Serce polskie.

Miłość ojczyzny jest najpiękniejszem uczuciem, które Bóg wlał w serce człowieka. Każdy też człowiek zacny powinien żywić i szanować to święte uczucie, bo ono jest źródłem cnót obywatelskich, ono łączy ludzi w narody i narody te prowadzi drogą, którą im przekazała Opatrzność Boża.

Czyż może być świętsze uczucie nad miłość ojczyzny, która każe nam kochać i bronić tej ziemi, na której Bóg osadził nasze plemię, która każe nam lgnąć do tych pól, na których tyle krwi przelali nasi dziadowie w obronie wiary świętej i ojczyzny, która każe nam czcić i naśladować tych sławnych mężów, co cnotami i zasługami swemi zyskali sobie wieczną pamięć i sławę?...

Serce polskie odznaczało się po wiek wieków miłością ojczyzny. Znani są Polacy w całym świecie z swego przywiązania do ziemi rodzinnej, dla której tyle cierpieli, za którą tyle walczyli. Wypędzani z własnej ziemi, jak to na przykład dzieje się dotychczas pod panowaniem moskiewskiem, szli na wygnanie, ale choć stracili ojczyznę, nie osłabla ale wzrosła jeszcze w nich miłość do niej.

Serce polskie dopóki bić będzie, nie przestanie miłować ziemi swojej. Dopóki w tem serce żyje wiara i miłość, dopóki naród polski będzie zawsze narodem, choć go Moskal dręczy i ćwiartuje, choć go Prusak chce zniemczyć i urobić na swoje szwabskie kopyto.

Każdy z was czuł nieraz, jak mu się serce polskie odezwało w piersi. Kiedy spojrzysz na piękną ziemię naszą, na te łany bogate, które chlebem żywiły obce narody, czy nie odezwie się w tobie serce polskie? Kiedy usłyszysz piosnkę polską, narodową, czy nie zatętni ci w piersi żywiej serce polskie? Kiedy jesteś w obcym kraju, daleko od swoich i nie słyszysz mowy ojczystej, czy nie zatęschni i nie zaboli cię serce polskie?...

Słowa te płyną mi z duszy i serca mego, które jest także polskie i miłuje ojczyznę pierwszą po Bogu. A przyszły mi one z serca na usta dlatego, bo sobie przypominam jedno piękne prawdziwe zdarzenie, które mi opowiadał jeden dawny wojak polski, staruszek siwy jak gołąb, co przez całe życie prawie walczył za ojczyznę i pozostał jej wiernym aż do grobowej deski.

Zdarzenie to opowiem wam tak, jak mi je opowiadał ów staruszek. Najlepiej ono świadczy, co to jest serce polskie i jak się ono odzywa w piersi Polaka.

Wiecie że w piętnaście lat po wojnach pana naczelnika Kościuszki i po ostatnim upadku Polski, ustanowił był cesarz francuzki Napoleon księstwo warszawskie, które złożone było z jednego kawałka dawnego królestwa polskiego. Ale w tem księztwie warszawskiem było jeszcze wojsko austrjackie i trzeba było dopiero zająć ziemię tę orężem. Wkroczył tedy do owego księstwa warszawskiego książę Józef Poniatowski z wojskiem polskiem.

Wielka była uciecha w kraju na widok polskich wojaków. Wszędzie ich witano radością i weselem. Ale najpiękniejszy wypadek stał się pod Lubartowem.

Na polu pod Lubartowem orało kilkadziesiąt pługów, a przy każdym pługu byli wieśniacy tamtejsi. Kiedy tak orają ziemię, słyszą nagle muzykę i patrzą, a tu maszeruje drogą wojsko

polskie, a na przedzie książę Józef w stroju ułańskim, z polskiem kaskiem na głowie i w ułańskiej kurtce.

Stanęli chłopkowie na polu przy pługach i patrzą. Wszak to nie nowina była dla nich, widzieć w owym czasie żołnierzy rozmaitych! Sunęli się tamtędy do niedawna to Prusacy to Moskale. Ale teraz ujrzeli wojsko inne, wojsko polskie. Słyszą na polu polską komendę, widzą polskie mundury, i serce zastukało im żywiej w piersi. Aż tu naraz i muzyka odezwała się i zagrała ochoczo marsz Dąbrowskiego:

Jeszcze Polska nie zginęła!

Na dźwięk tej piosenki poruszyło się serce kmiotków pracujących, łzy im się z oczu puściły i już nie mogli wytrzymać na polu. Porzucili nagle pługi, skoczyli na drogę, obmaili się z uciechy zielonemi gałęziami, zmięszali się z szeregami polskich wojaków i dalej z nimi!

Tak szli ci chłopkowie z wojskiem polskiem, idąc za popędem swego serca, i zaszli do Lublina. Piękny też to był widok, kiedy ci poczciwi wieśniacy polscy wraz z żołnierską wiarą wmaszerowali do Lublina, powiewając kapeluszami i zielonemi gałązkami na znak uciechy i radości.

I żaden już wrócić nawet nie chciał do domu! Jeden w drugiego przystał do wojska księcia Józefa, a już tego samego dnia z tych kilkudziesięciu parobczaków zrobiło się kilkudziesięciu ułanów, którzy dzwonili szablami po ulicach lubelskich.

Oto macie piękny przykład, jak to się odzywa nasze serce polskie! Wypadek ten widział na własne oczy ów stary wojak polski, a w Lublinie dotąd każdy ci opowie te prawdziwe zdarzenia o dzielnych kmiotkach lubartowskich.

Spiewka o pomniku w Hodowie,

koło Pomorzan, który stoi w ogrodzie kmiecym.

Gdzie stoi pomnik Hodowski,
Zabit jest pan Zahorowski,
Tęgi wojak, chłopak młody,
Dziwnej krasy i urody.

Choć on w zamku w Pomorzanach
Na dzierżawie tylko siedział,
Jednak każdy o nim wiedział:
Czy panowie na Brzeżanach,

*

Czy gromada z Bohutyna,
Bo się z każdym bratał miło,
Bo w nim polskie serce biło,
Bo to mina i czupryna!

Wielki rozruch w Pomorzanach,
Głośne szepty, rady ciche,
Coś biegają wieści liche,
O Tatarach, o poganach,
Już z Żabinia od mogiły
Widać w koło dym i pyły.

Pan dzierżawca wszystkim głowa,
Jemu wojna nie nowina,
Więc z mieszczany, z atamany
Więc z parobki co żwawszymi,
Z bracią szlachtą z Bohutyna,
Z polowymi, z gajowymi
Z Rozhodowa i Torhowa,
Rusza śmiało do Hodowa.

Skinął wódz do woli z koni!
Patrzą, mgła się ściele szara,
Kędy tylko wzrok pogoni,
Mgła odziewa wszystkie jary,
Wszystkie wzgórza i obszary,
Mgła ta szara — to Tatary!

Na koń wiara, na Tatara!
Skronie wieńcem nas zażyły,
Każdy duszę poleć Bogu,
Na swym śmieciu, na swym progu!

Damy życie za ojczyznę,
Lecz nie pójdziem na obczyznę,
Ani się nie zbisurmanim,
Może też nas Bóg zachowa,
Bo król ciągnie ode Lwowa!
Tylko wzrącz, co koń ma siły,
Wpaść, nakłuć, nabroić psoty,
Potem do wsi między płoty.
I jako we zbroi pył,
Tak na koniu skoczył w lot,
Rów czy nie rów, płot nie płot,
Sadzi naprzód, wiara z nim!

Dalej w taniec z poganami,
Więc na spisy, więc na szable,
Oj to gody były djable:
Jeden hulał z tysiącami!
A gdy bić zabrakło sił,
Jako wpadli, tak wrócili,
Znów wpadali, znów wracali,
Hodów trupem wymościli.
Tatarowie, straszne mrowie,
Gradem strzały tną pierzyste,
Tak trzy doby w dzień i w nocy,
Gdyby w garnku tam kipiało,
Naszym chłodno, naszym głodno,
Kul i chleba im nie stało!
Spracowani, krwią oblani,
Coraz głodniej, coraz chłodniej,
Ale wszystko w Bożej mocy!

Ratuj milatyński Chryste!
Matko Boska — częstochowska!
Dnia czwartego o świtaniu,
Coś Tatary w zamięszaniu,
Wnet zagrzmiało ciężkie działo:
Król to idzie ku pomocy,
Aż przybyło sił każdemu.

Na koń! huknął Zahorowski,
Jeszcze przy pomocy Boskiej
Tym psubratom łupnia damy,
Króla w polu powitamy.

I wypadli po staremu,
Po staremu się spotkali,
Króla w polu powitali,
Ale wodza im nie stało,
W oczach króla wypadł z siodła,
Strzała naskroś go przebodła.

A ku czci mężnym rodakom,
Na ogrodzie śród Hodowa,

Stoi słup z głazu wyciosan,
I na nim są takie słowa:
Panu Bogu na chwałę,
Na pamiątkę potomnym,
Wrogom na zakałę,
Na przykład Polakom
Postawił mnie król Jan.

J. K. Podolecki.

Bocian wybawcą.

Dwie dawne opowieści.

Miły to ptak, ten bocian! Jest on przyjacielem rolnika, któremu przybyciem swem zwiastuje wiosnę, jest przyjacielem chaty wieśniaczej, na której sobie ściele swe gniazdo, klekocąc wesoło nad strzechą! Żyje też człowiek w zgodzie z bocianem i nigdzie na całym świecie niema zwyczaju, aby strzelano bociany lub aby im psuto gniazda i spędzano ze strzech domowych.

Słusznie ludzie nie prześladują bociana, bo on też ludziom nie szkodzi, jak inne drapieżne ptaki, ale owszem pożytek przynosi, wytępiając gady. Bocian jest także bardzo rozumnym ptakiem a zna się lepiej na drogach niż najlepszy furman krakowski, bo jużci co roku odlatuje na zimę do cieplejszych krajów, na drugą część świata — a przecież nie zbłądzi i nazad do swej strzechy wiejskiej powraca. Opowiadają rozmaite ciekawe historje o tym ptaku — a ja wam tu wypiszę dwa wypadki, w których bocian był wybawcą człowieka.

Było to w roku 1695, a więc już blizko dwieście lat temu. Jakoś w owym czasie była wojna z Turkami i Tatarami, którzy wpadli do Polski i podsunęli się aż pod Lwów. Wybrał się tedy przeciw poganom z wojskiem hetman polski Stanisław Jabłonowski, i tuż przy samem Lwowie pod Zamarstynowem pobił i rozpędził pogaństwo, choć miał trzy razy mniej wojska niż nieprzyjaciel.

Gdy hetman odniósł to świetne zwycięztwo nad poganami, wysłał jednego wojaka nazwiskiem Biesiadeckiego do miasta Buska, aby wojsku polskiemu, co tam także stało, dać o wy-

granej radośną wiadomość i zawieźć rozkaz hetmański, żeby zdążało także do Lwowa.

A niebezpieczne to bardzo było zadanie dla owego gońca Biesiadeckiego, bo musiał się z narażeniem życia przemykać pomiędzy snujących się jeszcze po klęsce Tatarów, których uwijało się jeszcze dużo między Lwowem a Buskiem. Ale dobry żołnierz nic nie pyta, mówi stare przysłowie, więc też i Biesiadecki śmiało się wyprawił w drogę, a po drodze wstąpił do Milatyna i dziękował Bogu w kościele tamtejszym, słynnym łaskami, że go dotąd ustrzegł od przypadku i prosił o opiekę w dalszej podróży. Tak ujechał już całą drogę bezpiecznie i już miał pół mili tylko do Buska, kiedy mu wypadła droga przez gęsty i duży las.

Kiedy się Biesiadecki zapuścił w ten las, aż tu naraz usłyszał okrzyk dziki i z gąszcza rzuciło się nań kilku Tatarów, którzy w tym lesie byli się ukryli. Biesiadecki jako tęgi wojownik polski nie stracił ducha, ale dobył szabli i rzucił się na pogan broniąc się mężnie i walecznie. Jakoż przy pomocy Bożej nietylko że się obronił ale nawet Tatarów odgonił od siebie, gdy naraz na ich krzyk zbiegło się jeszcze więcej tych pogan i obstąpiło go do koła.

Ciężka to była chwila dla Biesiadeckiego, ale nie stracił odwagi. Wezwał w pomoc cudownego Pana Jezusa Milatyńskiego, oddał się jego opiece i począł się oganiać pogaństwu do upadłego.

Otoż zdarzyło się, że przy tej leśnej drodze stał dąb a na tym dębie miał bocian swe gniazdo. Kiedy więc zaczęły brzękać pałasze i Tatarzy krzyczeć poczęli dzikim głosem — bocian siedzący na gnieździe przestraszył się i zdziwił, i nagle z całej mocy zaklekotał. Ten nagły klekot bociana tak zastraszył Tatarów, bo się nie połapali co to jest, że przerażeni i dziwną trwogą przejęci przestali napastować Biesiadeckiego i co tchu zmyknęli. Tym to sposobem wyratował ów bocian życie Biesiadeckiemu!

Na pamiątkę tego cudownego przypadku wystawiono na drodze leśnej pomnik kamienny, a gdy się ten pomnik rozwalił, to na jego miejscu wzniesiono wielki krzyż drewniany,

Krzyż ten stoi do dziś dnia, a koło tego krzyża stoi też i ów dąb spruchniały, na którym siedział bocian. Na tym dębie do tego czasu jest gniazdo bocianie i ciągle się tam jakiś bocian gnieździ. Cały ten wypadek opisany jest w kościelnych papierach w Busku.

Druga historja stała się w kraju czeskim. Żył tam za dawnych czasów jeden bogaty bardzo pan, hrabia Dobrzeński, który miał syna. Do dworu tego hrabskiego zalatywał często młody bocian, który tak się przywiązał do ludzi, że nawet mu dano osobne imię Janiczek, a gdy go kto po tem imieniu zawołał, to biegł lub leciał do niego jak pies. Młody hrabia Dobrzeński osobliwie lubił tego bociana, i zawiesił mu nawet na szyi wstążkę niebieską, aby go odróżnić od innych.

Bocian ten, Janiczek, odlatywał wraz z innemi bocianami pod zimę do ciepłych krajów, ale pod wiosnę wróciwszy, zaraz przylatywał do dworu i witał się tam radośnem klekotaniem z ludźmi, jakby z dobrymi przyjaciołmi.

Otoż zdarzyło się, że poganie wpadli byli do Czech, bo było to w owych czasach, kiedy Tatarzy i Turcy co roku prawie wyprawiali się na ochrzczoną ziemię, to do Węgier, do Polski, to do Czech lub do austrjackich Niemiec. Czeskie rycerstwo rozpoczęło walkę z poganami a młody hrabia Dobrzeński chwycił także za szablę i poszedł na wojaczkę, aby bronić wiary świętej i ziemi ojczystej. W jednej bitwie młody Dobrzeński został ranny i wzięli go Tatarzy do niewoli. Pognali biedaka Tatarzy do swej ziemi w jasyr. Okuli go w kajdany i w kraju swym kazali mu pracować ciężko jakby bydlęciu. Jeden starszy tatarski, co miał u swoich stopień księcia i jenerała, czyli jak to się u nich nazywa chana, wziął go do siebie na niewolnika i kazał mu kopać w ogrodzie. Tu młody hrabia Dobrzeński od rana do nocy pracować musiał wśród spieki w ogrodzie, a gdy go kiedy siły opuszczały, to tatarskie sługi kijami go napędzali. Tak w srogiej nędzy żył biedny młodzieniec bez nadziei ratunku. Wprawdzie ojciec jego był bardzo bogaty i byłby go wykupił za drogie pieniądze z niewoli, ale jak tu dać znać rodzicom do kraju, kiedy tak

daleko był od ojczyzny, a nie było żadnego sposobu ani listu napisać ani przez kogo przekazać do rodzinnej ziemi.

Nieraz się zalewał gorzkiemi łzami Dobrzeński i prosił Boga, aby śmierć zesłał na niego i wybawił go z rąk okrutnych pogan, z nędzy i utrapienia wielkiego. Pewnego razu, a było to właśnie wtedy, kiedy u nas i w Czechach jest już wiosna, pracował młody Dobrzeński w ogrodzie w śród ogromnej spieki, bo w tym czasie w pogańskich ziemiach jest skwar i gorąco. Zmęczył się był okrutnie, opuścił rydel i płacząc rzewnie rzucił się na ziemię i wołał:

— O Boże wszechmocny, wybaw mnie z tej niewoli, albo daj mi umrzeć, aby cierpienia moje koniec wzięły!

Kiedy tak młody Dobrzeński rozpacza, ujrzał nagle nad sobą wysoko stado bocianów, co właśnie lecieli z gorących krajów ku północy. Na ich widok jeszcze go bardziej serce zabolało i zawołał:

— O wy ptaki wolne i szczęśliwe, wy lecicie może do mojej ojczyzny, do Czech, może będziecie nawet w wiosce mego ojca, o gdybyście mi powiedzieć mogli, co robią moi rodzice drodzy, co się dzieje na miłej ziemi mojej!

I przypomniał mu się ów bocian ułaskawiony, Janiczek, którego tak lubił, i który przylatywał zawsze do dworu jego ojca. I popatrzył biedny niewolnik do góry, klasnął w dłonie i zawołał:

— Janiczek! Janiczek!

I o dziwo! — patrzy, a tu na to wołanie jeden bocian spuszcza się z góry i leci wprost do niego i staje przed nim z radośnym klekotem. Dobrzeński ogląda go, a bocian śmiało przystępuje do niego. Wtedy Dobrzeński poznał że to właśnie ów bocian ułaskawiony, ów Janiczek, który miał swe gniazdo przy dworze jego ojca; miał bowiem nawet jeszcze na szyi tę wstążkę niebieską, którą mu młody Dobrzeński w domu zawiesił.

Na widok tego bociana radość wstąpiła w serce niewolnika, począł płakać z rozczulenia i całować bociana. Gdy się już opamiętał, rzekł sam do siebie:

— Kto wie, może mi go Bóg zseła na ratunek! Bocian ten wraca na wiosnę do Czech, do dworu mego ojca! Gdyby to można jakim sposobem dać przez niego wiadomość do rodziny!

I począł myśleć nad tem! Bóg mu zesłał myśl dobrą! Dobrzeński zdarł z zielonego pręta łyko i twardym cierniem napisał na nim:

— „Drogi ojcze! Jestem w niewoli u Chana tatarskiego, który chce za mnie okupu. Dobrzeński.“

Potem zdjął wstążkę bocianowi — a natomiast przewiązał mu przez szyję to łyczko cierniem zapisane. Jeszcze przez chwilę bocian był przy Dobrzeńskim, a potem zaklekotawszy odleciał.

Smutno się zrobiło znowu młodemu niewolnikowi. Cierpiał dalej nędzę i męczarnie — i tak minęło kilka miesięcy. Gdy sobie wspomniał na bociana, myślał:

— Kto wie czy nie zgubił po drodze tego łyczka, lub czy nie zdechł!

Tymczasem inaczej się stało. Oto ojciec biednego Dobrzeńskiego siedział był właśnie jednego dnia tej wiosny na ganku przed dworem, gdy naraz nadleciał jakiś bocian. Starzec poznał w nim Janiczka i zawołał ze łzami:

— Janiczku, Janiczku! tyś poleciał i wróciłeś znowu, a mój syn jedyny, jak poszedł tak nie wrócił!...

Wtem bocian zleciał na ziemię przed gankiem i począł sobie chodzić koło starca, który tak mówił:

— Niema mego syna, Janiczku, niema komu bawić się z tobą i pieścić!

Nagle dojrzał stary hrabia, że bocian niema na szyi wstążki niebieskiej jeno jakieś łyko. Ciekawością zdjęty zerwał to łyczko z szyi bociana i począł oglądać. Jakąż uciechą rozradowało się jego serce, kiedy na tym łyczku wyczytał wiadomość o swoim synie! Cudowna to też była wiadomość! Stary niechciał wierzyć oczom swoim, zwołał ludzi i wszyscy nieposiadali się z zdziwienia.

Zaraz na drugi dzień zabrał stary hrabia wszystkie swoje skarby i wybrał się w drogę do kraju tatarskiego. Po długich

przygodach dostał się do owego chana, gdzie był syn jego, i wykupił go z niewoli. Radując się i dziękując Bogu, wrócili obaj do Czech, a odtąd ów bocian Janiczek był im tak miły, jakby był człowiekiem i ich bratem!

Na pamiątkę zaś tego zdarzenia hrabiowie Dobrzeńscy zmienili zaraz swój herb, to jest znak na swej hrabiowskiej pieczęci i pieczętowali się bocianem, aby z dziada na wnuka, z syna na ojca przechodziła pamięć cudownego wypadku. Ja sam jeszcze niedawno widziałem raz tu u nas w Galicji jednego pułkownika z wojska cesarskiego, którego lokaje nosili na guzikach znak bociana. Gdym się ich zapytał, u kogo służą, powiedzieli mi, że ich pan pułkownik nazywa się hrabia Dobrzeński i jest Czech z rodu. Ten pułkownik Dobrzeński był więc może jaki pra-pra-prawnuk owego, co był w niewoli tatarskiej.

Tak to Bóg dobrotliwy używa nieraz bezrozumnych stworzeń, aby były narzędziem łaski jego i zmiłowania!

Wojtek ze Smolnicy.

Morze lodowate.

(Ciąg dalszy.)

W przeszłym numerze opowiadaliśmy wam, co się działo z żeglarzami na morzu lodowatem. Teraz opisujemy wam dalej ich przygody. Gdy ci żeglarze próbowali płynąć dalej, naraz góry lodowe zaczęły się rozłamywać i nowem zagrażać niebezpieczeństwem okrętowi. Te lodowate skały miewają po 50 sążni grubości, a czasem na sto sążni są wysokie i na tyleż sążni sięgają w głąb morza. Ludzie okrętowi ustawiczną mieli robotę z rozbijaniem brył lodowatych, przymarzających do boków statku, lub unoszących go z sobą. Płynąc z takim trudem po morzu zawalonem lodami, dostali się do północnego wybrzeża wyspy zwanej „Nową Ziemią“, położonej na północ Rosji, graniczącej tu z Syberją.

Wyspa ta dotąd jest nie zamieszkana z powodu okrutnego zimna; cała zasypana śniegiem, który tak ustawicznie pada,

że niema tam innych mieszkańców prócz białych niedźwiedzi, fok, lisów i gronostai.

Gronostaj, jest to małe zwierzątko, w zimie białym jak śnieg włosem pokryte, wyjąwszy ogona, który bywa czarny; latem zas białe jego futro zmienia się w brunatno-kasztanowate. Futro gronostaja jest bardzo kosztowne, dawniej używane tylko bywało do podszywania płaszczów królewskich i książęcych, a teraz robią z niego i zarękawki i kołnierze dla kobiet, i widzieć je można u nas w składach kuśnierskich. Dla ozdoby czarne ogonki przyszywają się na tle białego futerka. W północnych krajach, jak np. w Syberji nietylko gronostaje, ale i inne dzikie, w lecie szare zwierzęta na zimę bieleją; zające, których tam wieka jest obfitość, (bo ich ludzie, nie wiedzieć dlaczego nie jedzą, a więc i nie zabijają), są w lecie takie szaraki jak nasze, ale jak tylko śnieg upadnie a mróz ściśnie, to zające stają się białe, jak króliki.

Nazajutrz rozpuścili żagle i popłynęli w stronę, gdzie morze zdawało się rozmarznięte, aż tu nagle ujrzeli przed sobą ogromną równinę lodu. Próbowali płynąć w tę i ową stronę, ale napróżno; nakoniec okręt tak się zaparł pomiędzy lody, że stanął jak obmurowany. Cóż tu było począć? Próbowano lód rozbijać żelaznemi drągami, ale ręce ludzkie temu podołać nie mogły. Na dobitkę powstała straszna zamieć śniegowa i wiatr okrutnie mroźny; że para z ust wypuszczona w powietrzu marzła. Bryły lodu podpłynęły pod przód okrętu i tak go podważyły, że się przechylił, i obawiano się żeby nie zatonął; ale prąd wody napędził z przeciwnej strony inne bryły lodu, więc statek ścisnięty niemi, jak żelaznemi obręczami skrzypiał tylko i trzeszczał grożąc pęknięciem. Załoga była w okrutnym strachu! Ster był strzaskany, żagle poszarpane, okręt przechylony leżał na lodach, wicher wył jak szalony, a góry lodowe rosły i piętrzyły się w około nich coraz wyżej! Wystawcie sobie tylko tych biednych ludzi skostniałych od zimna w obec nieuchronnej prawie śmierci, walczących z niezwyciężonemi żywiołami, a jednak pełnych wiary w pomoc Opatrzności. Wiedzieli oni dobrze, że rozpacz, łzy i narzekanie nic im nie pomogą, i że chcąc się ocalić, trzeba się samym ratować. A więc

dalej w radę i po rozum do głowy, wezwawszy wprzód Boga na pomoc.

— Żebyśmy swoje życie mogli uratować, rzekł im dowódzca okrętu, musimy najprzód wyratować to co zostało na statku, przesiądźmy się więc czem prędzej na łodzie i zabierzmy z sobą proch, kule, broń, parę baryłek wina i pozostałe trzydzieści beczek sucharów, a może się jakoś z tem wszystkiem dostaniemy do lądu.

Ze starych żagli zrobili na lodzie namiot, aby osłonić swoje uratowane skarby od zasp śniegowych, a niedługo potem, okręt pęknięty w kilku miejscach z potrzaskanemi linami, z urwaną kotwicą, ze złamanym masztem, wypchnięty na powierzchnię lodu, obalił się na bok. Nie było czego dłużej czekać w tem miejscu, więc radzi nie radzi musieli na czółnach podpłynąć do wybrzeża Nowej Ziemi, tej bezludnej wyspy, gdzie tylko niedźwiedziska, lisy i gronostaje przemykają po śnieżystych błotach, a wyspa ta należy do Rosji i ma aż 2000 mil kwadratowych rozległości. Na tej wyspie mieszkali przez 10 miesięcy.

Kapitan okrętu i sternik który okrętem kierował, obaj ludzie odważni, roztropni i uczeni, pomyśleli sobie, iż słuszna będzie rzecz, aby inni ludzie, przypadkiem tu zapędzeni, mogli z ich biedy i doświadczenia korzystać. Pomyślawszy to sobie, postanowili wszystko, co im się przytrafiło, spisać i pismo to zostawić na rozbitym okręcie. Opisali więc swoje przygody, jak żyli i co ucierpieli przez dziesięć miesięcy na tej dzikiej wyspie, jak sobie radzili w biedzie, gdzie stoi zbudowana przez nich chata, słowem wszystko, co się nowym jakim rozbitkom przydać mogło. Spisawszy to na dwie ręce, jedno takie pismo wzięli z sobą, a drugie, zamknąwszy szczelnie w blaszaną puszkę zostawili w izbie okrętu który leżał na lodach.

Dopełniwszy tego chrześciańskiego obowiązku miłości bliźniego, względem ludzi nieznanych, zaczęli się sami wybierać w drogę. Dla zabezpieczenia żywności i innych rzeczy od zepsucia i wilgoci, owinęli je w płótno umaczane w dziegciu, a spuściwszy łodzie na wodę dnia 4. czerwca 1597 roku, polecili się Bogu i wypłynęli na morze.

Wyobraźcie sobie tych kilkunastu odważnych ludzi, na wątłych statkach, wśród lata podobnego do naszej bardzo ostrej zimy, z bardzo szczupłym zapasem żywności, na morzu pełnem wielkich brył lodu, to skupiających się w grube warstwy, to rozpryskujących się w różne strony; wyobraźcie sobie ich położenie i obawę na samą myśl, że mają w tym stanie jakie 350 mil drogi do przebycia bez żadnej znikąd pomocy!

Po kilku dniach żeglugi około brzegów Nowej Ziemi, gdyż dla bezpieczeństwa statków musieli się zawsze trzymać blisko lądu, zatrzymani nagle zostali pływającemi bryłami lodu. Nie było innej rady, jak zarzuciwszy kotwice uwiązać statki linami do grubej ławy lodu, czekając aż się morze oczyści.

Gdy nazajutrz ujrzeli znów całe morze pokryte lodem, pomyśleli sobie: że chyba na to przebyli straszną zimę na Nowej ziemi, na to wycierpieli taką nędzę, aby teraz swoje mizerne życie wśród lodów zakończyć. Na domiar boleści, dwaj chorzy towarzysze popadli w wielką niemoc i w kilka godzin oddali Bogu ducha.

Pochowali więc umarłych w śniegu i wypchnęli statki na wodę. We trzy dni potem powstała straszna burza, z deszczem, śniegiem i gradem; statki porwane zostały na pełne morze, załoga zaczęła robić wiosłami, żeby się dostać napowrót do wybrzeża, ale wicher obalił maszt, poszarpał żagle i o mało nie wywrócił łodzi, w którą się dużo wody nalało.

W miarę jak ustawała burza, gęsta mgła spuszczała się nad morze; było prawie ciemno, majtkowie jednej łodzi nie widzieli drugiej; jedni i drudzy myśleli że towarzysze ich w czasie burzy zatonęli.

W tej rozpaczliwej niepewności, Hemskerke kazał na sygnał wystrzelić z armaty, a w kilka chwil, z niewypowiedzianą radością usłyszeli drugi strzał z niewielkiej od siebie odległości i przekonali się, że obie łodzie ocalały. Wszyscy niezmiernie strudzeni, potrzebowali kilka godzin wypoczynku. Zarzuciwszy kotwicę, wywlekli statki na ławę lodu, rozpostarli namiot, postawili jednego majtka na straży, a sami pokładli się, żeby cokolwiek spocząć i siły pokrzepić.

Wypocząwszy nieco, żeglarze obejrzeli łodzie, które w wielu miejscach popękane, znów trzeba było naprawiać; kilku z nich udało się na ląd aby poszukać drzewa na most który burza strzaskała, i znaleźli tam nietylko bal już ociosany, ale i kliny z twardego drzewa przygotowane do rozłupywania kloców, z czego łatwo się mogli domyślić, że tam już jacyś ludzie przed nimi byli. Zabrawszy te skarby, wrócili uradowani do swoich towarzyszy i naprawiwszy łodzie, popłynęli aż do południowego krańca Nowej Ziemi, gdzie poraz pierwszy w czasie swej podróży napotkali ludzi, a jakich ludzi, to wam zaraz opowiem.

Otoż ci ludzie, których żeglarze nasi spotkali w Nowej Ziemi, byli to Samojedy, wędrowni rybacy, którzy w lecie tam się przenoszą dla polowania na lisy i niedźwiedzie.

Samojedy, jak wszystkie ludy północne, są wzrostu małego, skóry żółto-brudnej, nogi mają cienkie i krótkie, głowy wielkie, twarze płaskie i odrażające, oczki małe przymrużone, uszy duże, nosy przypłaszczone z szerokiemi nozdrzami, usta szerokie, zęby małe i czarne; włosy ich twarde, rudawe lub czarne, wiszą około głowy jak wiązki szpagatu; mężczyźni nie noszą ani bród ani wąsów i z tego powodu trudno ich twarze odróżnić od kobiecych, zwłaszcza, że się ubierają prawie jednakowo. Obuwie ich ze skóry renifera zrobione, bardzo jest niezgrabne, mające zamiast podeszwy długą deskę; ta deska podbita jest kawałkiem skóry siercią na zewnątrz, ażeby się w tył nie ześlizgiwali wdrapując się na lodowe i śnieżne góry. Takie obuwie służy im za łyżwy, na których z wielką szybkością puszczają się w pogoń za zwierzętami dzikiemi, które strzałami z łuku ubijają, gdyż użycie broni palnej jest im nie znane. Zimowe ich ubranie składa się z kaftana i spodni ze skóry renifera uszytych, letnią zaś odzież szyją ze skór ptaka zwanego Alką.

Alka jest to ptak wodny, żyjący na morzach północnych oblewających Europę i Amerykę północną; skrzydła ma bardzo krótkie do pływania prędzej niż do lotu sposobne, żywi się rybami i po większej części przebywa na wodzie, pokryty jest pstrokatem, bardzo gęstem i miękkiem pierzem. Z takiej to

ptasiej skórki pierzem okrytej, szyją Samojedki swoje letnie stroje jako i ubranie mężów swoich.

Samojedy nie mają nigdy i nie znają bielizny, brudni też są i cuchną z daleka. Siedzą w chatach okrągłych z kory drzewnej stawianych, a powleczonych z wierzchu, dla ciepła, skórami reniferów. Po ścianach, wewnątrz chaty, rozwieszają mięso zdechłych zwierząt, które albo dostaną od kogo, albo gdzie znajdują na drodze. Jedzą padlinę wszelką z takim apetytem, jak my najświeższe i najlepsze mięso, i tę jedzą jeszcze surowo bez żadnej przyprawy a popijają ciepłą krwią zabitego renifera. Smrodliwe wyziewy napełniają powietrze tych nędznych lepianek, a brud i nieład nikogo tam nie razi, bo człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, na wszystko zobojętnia, jeżeli ani słowa rozumnego nie usłyszy, ani dobrego przykładu nie zobaczy, któreby go ostrzegły. że tak nie dobrze, nie zdrowo, szkaradnie, i że mogłoby też być inaczej i lepiej. Alboż to i między nami niema takich gospodarzy i gospodyń jak Samojedy i Samojedki? co założywszy ręce, ani wiedzą co się w około nich dzieje, ani słyszą co im ludzie gadają o pracy, porządku i ochędoztwie. Nie dziwmyż się Samojedom że brudni, ale się litujmy nad biedakami, którzy w tak zimnym i pustym kraju nie mogą mieć tych wygód i tej pomocy rąk ludzkich, co my lub inne, oświeceńsze i bogatsze od nas narody.

Cały majątek Samojedów stanowią duże stada reniferów, gdyż te szczególniej zwierzęta zaopatrują wszystkie ich potrzeby. Prócz tego w zimie wychodzą Samojedy z łukami i oszczepami na polowanie, a latem zajmują się rybołowstwem. Mięso i ryby jedzą surowe, zamrożone, i piją jak się rzekło, krew reniferów, a zwyczaj ten ma ich zabezpieczać od panującego w tych stronach szkorbutu.

Biedni ci ludziska, którzy tak nędzne prowadzą życie, są jeszcze pozbawieni światła prawdziwej wiary i pociechy jaka z niej wypływa. Wiedzą oni wprawdzie w jakąś Istotę Najwyższą, niby w Pana Boga, wierzą też w jakiegoś bardzo potężnego djabła, ale ani jednego ani drugiego nie czczą. Mają prócz tego, na podobieństwo dawnych pogan, tak zwanych b o ż k ó w d o m o w y c h, których sobie sami albo z drzewa

wystrugują, albo z kamienia wykują, i które albo w chacie porozstawiają, albo je w kieszeniach przy sobie noszą. W kłopotach domowych i w chorobach idą do tych bożków po radę, a że te drewniane i kamienne figurki nic nie gadają, więc ludziska używają guseł i różnych śmiesznych sposobów, żeby się czegoś niby dowiedzieć. Ułożą sobie np. w głowie, że jeżeli w tej a tej porze spotkają zająca lub lisa, lub zobaczą tyle a tyle ptaków, to im bożek powinien zrobić to, o co go prosili; a jeżeli nie, to nie. Czasem się zdarzy, iż to czego sobie życzyli spełni się przypadkiem a czasem przeciwnie! Jeżeli się spełni, to uszczęśliwiony Samojed smaruje swemu bożkowi gębę śmietaną lub masłem, bije przed nim pokłony i zapala mu świeczkę, a jeżeli przeciwnie, to ciska go w kąt namiotu i okazuje mu swoją najwyższą wzgardę. (D. n.)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Już długi czas mija, jak Dzwonek drukujemy dla waszej oświaty i zabawy a dotąd jeszcze nie tak dużo naszego ludu wiejskiego, jakby się to godziło, czyta go i zapisuje. Jest chwała Bogu dużo między ludem takich poczciwych gospodarzy, którzy pilnie zapisują Dzwonek i pilnie go czytają, ale więcej jeszcze jest takich, co wolą grosz tracić choćby na gorzałkę a o pożytecznem czytaniu ani wiedzieć nie chcą. Oby i ci raz uznali, że w dzisiejszych czasach trudno i przy roli obejść się bez nauki i pożytecznych książek!

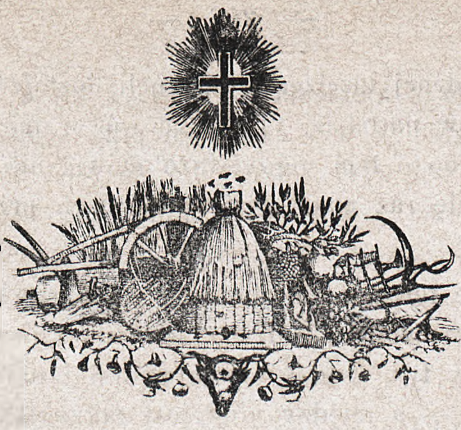
Prosimy was tedy wszystkich, którzy utrzymujecie i czytacie nasz Dzwonek, abyście i drugim waszym znajomym i sąsiadom doradzali to pisemko, które przecież nie wiele kosztuje, bo jeno 2 reńskich na rok, co wychodzi na tyle, jak nie całe dwie szóstki na miesiąc. Gdyby z was każdy, co już czyta Dzwonek, tylko jednego jeszcze namówił do zapisywania tego pisemka, to jużby z tego i dla ludu samego i dla Dzwonka wielki był pożytek, a dla was samych byłaby zasługa.

Aby tym, co jeszcze nie zapisywali Dzwonka zrobić ulżenie, takeśmy postanowili: ***Każdy, co jeszcze Dzwonka nie trzymał, a teraz go sobie zapisze na rok cały, otrzyma za to w dodatku 3 pierwsze tomy Dzwonka za 1 złr., to jest tak, że jak przyszle 3 złr. to i cały rok Dzwonek odbierać będzie i jeszcze trzy pierwsze duże tomy otrzyma.*** To już tak prawie jak za darmo, bo i sam papier więcej kosztuje. Uwiadomcież też o tem Waszych sąsiadów!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV. 11. grudnia

Nr. 17. 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nauka to środek prawy:
Do zaszczytu i do sławy!

Król polski Stefan Batory, kiedy odwiedzał jaką szkołę a widział w niej jakiego ubogiego szkolarza, co się uczył pilnie, zwykł mu był tak mówić: „Ucz się chłopcze pilnie, a zrobię z ciebie Mościpana!“ — co miało oznaczać, że choćby niebył ani z wysokiego rodu ani z bogatego domu, to przez pilność i naukę wyjdzie na pana i szanownego obywatela. Za dawnych bardzo czasów, bo jeszcze przed narodzeniem Chrystusa był we Włoszech wielki, potężny i bardzo mądry naród, Rzymianie, a ci Rzymianie mieli takie przysłowie: „Każdy człowiek jest kowalem swego własnego szczęścia,“ co miało oznaczać, że każdy może własnem staraniem zapewnić sobie i mienie i dolę.

W słowach tych zawiera się święta prawda a tysiące przykładów na świecie pouczają nas, że nikomu, nawet najuboższemu nie jest zamkniętą droga do sławy i szczęścia, skoro tylko ma wołę i zdolności po temu. My sami już wam mnóstwo takich przykładów opowiedzieliśmy, pisząc wam o ludziach,

co w chacie nędznej urodzeni, zasłynęli dostojeństwami, zasługami i sławą w narodzie. Dziś znowu w tej samej sprawie wam piszemy, bo o tem nigdy dużo mówić nie zawadzi, a to dla tego, aby się raz nasi ludzie po wsiach przekonali, co to może nauka.

Wiecie, że teraz sejm obraduje we Lwowie i że do tego sejmu kraj cały wybierał ludzi takich, do których miał zaufanie. Są więc w tym sejmie co najmędrsi i najzacniejsi ludzie z kraju całego — a między nimi jest także jeden pan z Krakowa, uczony i zacny, a sławny na kraj cały. Ten poseł nazywa się Mikołaj Żyblikiewicz, a ma on u największych panów wielkie zachowanie, a co więcej jeszcze znaczy, w całym kraju imię jego bardzo jest szanowane. Spytajcie się jeno kogoś z waszych, co jest posłem na sejmie, o pana Żyblikiewicza, a rozpowie wam najlepiej, jaki to uczciwy człowiek i jak to on na sejmie radzi mądrze i gorliwie dla dobra kraju. Otoż widzicie, ten pan poseł Mikołaj Żyblikiewicz wszystkie swe zaszczyty i swoją sławę zawdzięcza tylko własnej pracy i nauce.

Urodził się on w Staremmieście, małej mieścinie pod Samborem, a rodzice jego byli ubodzy mieszczanie, a wiecie że w małych miastach mieszczanie tacy są biedni i tak pracować muszą, jak wieśniak na roli. W Staremmieście jest szkółka mała, więc do tej szkółki dali Żyblikiewicze swego syna Mikołaja. Chłopak się uczył pilnie i przepadał prawie za książką, a gdy skończył trzy klasy w Staremmieście, prosił rodziców okrutnie, aby go dali do Sambora do wyższych klas.

Rodzice niemieli z czego nań łożyć, ale on przyrzekł, że będzie byle czem żył, byle jeno mógł się uczyć i kierować na człowieka. Dali go tedy rodzice do Sambora, a on tam o kawałku chleba uczył się lepiej niż bogaci panicze. Niebawem też, aby nie być ciężarem rodzicom ubogim, począł się Mikołaj sam utrzymywać, uczył innych młodszych szkolarzy i tym sposobem zarabiał na życie.

Tak szedł z klasy do klasy, zawsze pilny i pracowity, a gdy skończył szkoły łacińskie w Samborze, pojechał do Lwowa i zawsze utrzymując się z własnej pracy ukończył najwyższe

nauki i został potem profesorem. Później zaś przeniósł się do Krakowa i tu został adwokatem i szanowanym obywatelem, a dziś jest sławnym człowiekiem w całym kraju.

Rodzice jego już nie żyją, ale ma siostry i krewnych, więc do tych sióstr przyjeżdża on często do Staregomiasta i mieszka w ich ubogim domku i odwidza wszystkich mieszczan jak brat i przyjaciel, bo jako człowiek mądry i zacny nie wstydzi się swego pochodzenia. Krewnych swych dziś hojnie wspiera, a jednego z nich także z ubożuchnego chłopięcia wykierował już na adwokata.

Pan Żyblikiewicz dał też przykład najlepszy, jak to i najubożsi rodzice powinni posełać na naukę swe dzieci i nie żałować grosza na książki i szkołę. To też w Staremmieście każdy, najuboższy nawet mieszczanin, co ma zaledwie chatkę i kawałek gruntu i jakie takie umie rzemiosło, poseła swoje dzieci do szkoły, a gdy które z nich pokaże ochotę i zdolności, to się ściąga na ostatnie i poseła do Sambora. Więc też niema może drugiego miasteczka w kraju, któreby się mogło poszczycić, że z niego wyszło tyle księży, profesorów i urzędników, co z Staregomiasta. A jak wam powiedziałem, mieszczanie tamtejsi nie są bogatsi od wieśniaków, a nie jeden może uboższy nawet.

Dziś niema już na świecie różnicy stanów, czy stan chłopski czy pański, to zarówno dobry — a urodzenie szlacheckie nic nie znaczy, jeno nauka i zasługa. To też głupie to są słowa, kiedy z was który mówi: „Ja chłop, na co memu dziecku sią uczyć“ — bo dziś i chłopskiemu dziecku świat stoi otworem. Pamiętajcie na to i nie zagradzajcie losu waszym własnym dziatkom.

Dziś już w każdej prawie wiosce jest szkoła, więc posełajcie synów swych do niej pilnie, a gdy który z nich okaże dobrą głowę i większe zdolności, niechaj się uczy dalej a ci, co już nie mają takich zdolności, niech zostaną przy gruncie. A nawet i przy roli dziś bez nauki twardo idzie — bo cały świat dąży ku oświacie!

Xiądz A....

Pan Bóg w gościnie.

Legenda.

Kmieć jeden stary dawnemi laty,
Chciwy i skąpy, chociaż bogaty,
Orał swe pole z młodym najmytem,
Chcąc je pszenicą zasiać, czy żytem,
A kiedy słonko, co ich zbudziło
Rankiem do pracy, w górę się wzbiło,
Zmęczone woły na ścierń powiedli,
I do obiadu sami usiedli.

Aliści Pan Bóg w ciele żebraka,
Żeby doświadczyć serce wieśniaka,
Zbliża się do nich i w imię nieba,
Wyciąga rękę o kawał chleba.
— Niech ci da Pan Bóg, ruszaj człowiecze!
Bo my nie mamy — gospodarz rzecze....
I starzec odszedł, lecz najmyt młody,
Spędzając niby woły do wody,
Dopadł żebraka i w imię Boga
Wsunął mu w torbę kawał pieroga.

Za to mu Pan Bóg pobłogosławił,
I w nieprzebranej dobroci sprawił,
Że on sierota bez ojca, matki,
Pracą a prawdą zebrał dostatki
Lecz choć zamożnym był gospodarzem,
Zawsze się chętnie dzielił z nędzarzem,
I w każde święto do jego stoła,
Wdowy, sieroty, z całego sioła,
Szli po okrajec sera i chleba,
Śląc zań błagalne modły do nieba.

Raz gdy z kościoła do domu wrócił,
Tak go żal ścisnął — tak go zasmucił,
Że niemógł z biednych znaleźć nikogo,
By z nim podzielił strawę ubogą,
I rzekł do żony, co z nim wróciła,
I jak zwyczajnie stół zastawiła;
— Nie, ja nie siądę dzisiaj do stołu,
Czyż nikt z łaknących z nami pospołu

Ten przenajświętszy dar nie podzieli?...
Czemże uczcimy święto niedzieli?...
Zabierz te miski, ja pójdę drogą,
Może gdzie wdowę spotkam ubogą,
Albo sierotę, albo nędzarza,
Dobry uczynek smaku przysparza.

I wyszedł z chaty i pośród drogi
Zaszedł mu w oczy ten sam ubogi;
Którego w on czas, by dziad nie swarzył,
Kawałkiem ciasta skrycie obdarzył....
A był to Pan Bóg w ciele żebraka,
Co chciał doświadczyć serce wieśniaka.

Obadwaj siebie poznali wzajem,
I dobry człowiek swoim zwyczajem,
Przyzwał na skromną starca biesiadę,
Twarz miał wesołą i serce rade,
Że się z łaknącym chlebem podzieli,
Że może uczcić święto niedzieli!

A gdy nazajutrz swoim zwyczajem,
Wieśniak wypuszczać nie chce żebraka,
Żebrak natomiast prosi wieśniaka,
Żeby go zechciał odwiedzić wzajem.
Darmo gospodarz tem się odprasza,
Że niema czasu, że w polu pasza,
Więc pomodliwszy się przed obrazem,
Co strzegł spokojnych ścian jego chatki,
I pożegnawszy żonę i dziatki,
Poszedł powoli ze starcem razem.

Idą a idą przez lasy, góry,
Nad nimi słońce, nad nimi chmury,
Nad nimi mgły się unoszą nizko....
Idą aż widzą, że czarne psisko,
Pod rozczepionym przykute dębem,
Gryzie swój łańcuch i skórę jeży,
A przed nim chleba krumeczka leży,
Pies rwąc się, chciałby chwycić chleb zębem,
Ale go nigdy dostać nie może,
A tylko głośno po całym borze,
Wyciem, szczekaniem, jak dzwonem bije,
I własną pianę z wściekłości pije!

Nasz wieśniak pyta co to się znaczy,
A żebrak tak mu cud ten tłumaczy:

— To twój gospodarz, co za żywota,
Choć mu dorocznie w skrzyni i brogi
Słałem dostatek — zamykał wrota,
Skoro przed niemi stawał ubogi.
I mnie samego z niczem odprawił,
Gdym mu w postaci starca się zjawił,
I jako widzisz, przez całe życie,
Raz tylko jeden zgłodniałe dziecię
Nakarmił małą kromeczką chleba,
Ale i tego wnet pożałował....
Żaden więc dobry czyn nie przodkował,
Przed jego duszą w drodze do nieba,
Za to po śmierci w psa przemieniony,
Pragnieniem, głodem wiecznym dręczony,
Musi przed ową krómeczką chleba,
Wszystkie swe ciężkie grzechy odszczekać,
I strasznej sądu godziny czekać!...
A ty człowiecze żeś się odważył
Mimo zakazu dać mi był chleba,
Za tom cię szczęściem na ziemi darzył,
Za to twą duszę wiodę do nieba!...

I poszli dalej, w sercu wieśniaka,
Była cześć wielka i wielka trwoga,
Widząc w postaci skromnej żebraka,
Wiekuistego wcielenie Boga....

Idą i idą aż po dolinie,
Srebrzysto krwawa rzeczułka płynie,
A chociaż wieśniak mimo zdziwienia,
Nieśmiał nic pytać, gdy ją zobaczył,
Lecz przenajświętszy Ojciec stworzenia,
Takiemi słowy cud wytłumaczył:
— Widzisz tę rzeczkę dobry człowiecze,
Co krwią i łzami od wieków ciecze,
Tak właśnie, kogo w ciągu żywota,
Przedemną swemi oskarży łzami
Choć jeden nędzarz albo sierota,
Albo zwiedziona zdradnie dziewica,
Będzie mu z duszy lać się oczami,
Przez całą wieczność ludzka krwawica....

Idą, aż w koło wszystko się zmienia,
Kończy się ziemia, kończy się droga,
Pan Bóg w niebieskie wwiódł go sklepienia,
Gdzie Bóg go przyjął, tak jak on Boga!

Jan Prusinowski.

Maciej Sierota.

Gadka prawdziwa.

Było to przed dziewiętnastu laty, kiedy straszny głód panował w naszej krainie, i z tego wylęgły się okropne choroby i pomory — jakby kara Boża za ludzkie grzechy. Chaty się wypróżniały, jednych wynoszono na cmentarz, drudzy za chlebem poszli między ludzi.

Klęska dotknęła i Wojciecha, majętnego gospodarza we wsi Dąbrowie. Co tylko pochował swoją żonę, sam zasłabł śmiertelnie — i ksiądz z Panem Bogiem przyszedł, by przygotować go do drogi, z której się nikt nie wraca.

Wojciechowi żal było umierać, miał dobrą rolę, sześć wołów, cztery krowy, oprócz drobiazgu — a najwięcej żal mu było dwóch synków, Maciusia i Szymonka — oba byli jeszcze mali, Maciej miał lat dwanaście a Szymonek ośm.

Kazał wyjąć ze skrzyni pieniądze, które uskładał sobie przez całe życie i dał w obec księdza sąsiadowi Jakóbowi Sękatemu, by to było na pogrzeb jego, a dzieciom zostawia całe gospodarstwo, poruczając je wraz z dziećmi jego opiece — co też Jakób przyjął, i obiecał jak najsumienniej opiekować się nad małemi dziećmi i gospodarstwem.

Ksiądz wyszedł prędko, bo jeszcze kilka osób miał do opatrzenia Panem Bogiem.

Za parę godzin po wyjściu księdza Wojciech skonał.

Sąsiad zajął się zaraz przygotowaniem do pogrzebu — i za dwa dni pogrzeb się odbył dosyć suto, Jakób wyprawił ogromną stypę, bo go to nic nie kosztowało, zabrakło pieniędzy, ale w stajni była chudoba, której kilka sztuk poszło do żyda — byle tylko było co pić. Pito przez kilka dni z żałości za go-

spodarzem Wojciechem, kosztem sierót pozostałych — resztę co pozostało w chacie i stajni zabrał Jakób do siebie, mówiąc że w domu lepiej przypilnuje, by ludzie nie zabrali.

I chata została pustą, bo sieroty małe w pustej chacie nie miały co robić — z początku znalazły przytułek u swego opiekuna Jakóba Sękatego, lecz to długo nie trwało, bo zaledwie rok jaki, a później już były mu na zawadzie, bił, wyganiał z domu, mówiąc, że za darmo nie będzie je żywił, choć zboża wziął sporo po nieboszczyku.

Do chaty zaglądał tylko stare psisko, poszczekując i wyjąc, to znowu wybiegał za chłopakami i lizał je po rękach, jakby żałował się nad niemi.

Sieroty nie wiedziały gdzie się podzieć, bo Jakób już nie chciał im dawać jeść ani w chacie nocować — biedne, w pustej chacie razem z psem na gołej ziemi musiały spędzać noce a w dzień chodzić między ludzi prosić o kawałek chleba.

Starszemu się to już sprzykrzyło — wolał nic nie jeść niż chodzić po prośbie. Pewnego razu umówił się z bratem do ucieczki, i już się wybierali w drogę, ale na nieszczęście opiekun spostrzegł to, wykrzyczał, wybił i zamknął w pustej chacie — i z chaty słychać było płacz dzieci wraz z szczekaniem i wyciem psa. Widać psisko miało lepsze serce od opiekuna.

I byliby z głodu poumierali w zamkniętej chacie, gdyby starszemu nie przyszło na myśl oknem wyskoczyć, wysadzając i brata, a za niemi i pies wyskoczył jakby stróż małych sierót. Starszy namawiał wciąż młodszego do ucieczki, który się bał ogromnie opiekuna i nie chciał uciekać.

— Ja nie pójdę — mówił Szymonek do Macieja — bo teraz toby nas pozabijał, jakby nas złapał.

A starszy mu na to:

— To ja sam pójdę, a tak może lepiej o ciebie będzie dbał, żebyś i ty nie uciekł, a ja jak co zarobię i dobrze mi będzie, to po ciebie przyjdę.

Młodszy przystał na to i rozstanie prędko nastąpiło — ucałowali się i pożegnali bracia.

Nadszedł opiekun, a widząc że starszego niema, zaczął się mścić nad młodszym, czemu on nie dał znać że Maciuś

ucieka. Wybiwszy Szymonka, poszedł do karczmy pić dalej nie dawszy nic jeść Szymonkowi — biedny sierota nie śmiał iść między ludzi, bo się bał i nikt nie miał co dawać i nie chciał, bo wszędzie mówiono:

— Idź do swego opiekuna, on zabrał całe gospodarstwo, to powinien o ciebie dbać.

Czasami we dworze pożywiono sierotkę, lecz do dworu było daleko i bał się tam chodzić, bo we dworze były ogromne psiska, przed któremi nie mógł go obronić nawet jego stróż; do tego śnieg mocny zasypał ścieżkę, tak, że mały sierotka nie mógł się tam dostać.

I wrócił się do pustej chaty, ale na nieszczęście opiekun przyszedł wtedy jak go nie było, pozamykał wszystkie drzwi tak, że się nie mógł do wnętrza dostać, by choć od zimna się uchronić, do okna było mu za wysoko — usiadł więc sobie na progu własnej chaty. Poszedł jeszcze do opiekuna Jakóba Sękatego, prosząc, żeby mu dał co zjeść, który go obił i wygnał — sierota płacząc wrócił do pustej chaty i siadł napowrót na progu skuliwszy się we dwoje, drżąc od zimna — a pies przytulał się do niego jakby chciał go ogrzewać.

W nocy mróz zastał sierotkę Szymonka na progu skulonego i tam go zamroził — rano już nie żył.

Gdy ludzie spostrzegli trupa, dali znać Jakóbowi Sękatemu, który nawet nie chciał iść popatrzeć, tylko co prędzej poszedł do księdza, by grób pokropić i pozbyć się z oczu sieroty, któraby się kiedyś mogła upominać o ojcowskie mienie, teraz już do niego należące. Trumienkę małą z czterech deseczek kazał zrobić i zaniósł na cmentarz, ksiądz przyszedł, pokropił i wrzucono Szymonka do grobu.

Maciusiowi poszło dosyć szczęśliwie, choć z początku musiał biedować nim znalazł służbę — przeszedł dziesięć wsi nim w jedenastej trafiło mu się, że go we dworze przyjęli.

Na szczęście pan, pani i panienka byli bardzo dobrzy. Pani kazała go obmyć, dać czystą bieliznę i przyodziewkę, i z początku był przy kuchni, a jak nabrał trochę zręczności to dano go do kredensu — był ciekawy i posłuszny i miał także chęć do nauki, więc go lubiono i panienka zaczęła go

uczyć czytać i pisać — i za dwa lata umiał i jedno i drugie. Gdy podrósł, był za furmana, a jak potrzeba było, to i w polu pracował; nie będąc leniwym, nauczył się orać i siać, kosić i młócić — a wszystko z chęcią robił. A że nie wiedział jakie jego przezwisko, więc go nazwali Maciej Sierota.

We dworze służyła Kasia, którą Maciej polubił, bo była pracowita, porządna, do tego dosyć ładna, a i ona miała się ku Maciejowi.

Raz w lecie przy żniwie wyprzedzili wszystkich żeńców. Kasia wciąż spiewała, a i teraz zanuciła smutną piosnkę:

Biednaż moja biedo,
Jak cię przebiedować,
Ani mam co jeść,
Ani w czem gotować.

Sama jedna w świecie,
Ni ojca, ni matki,
Ni siostry, ni brata,
Ani własnej chatki.

Matuś moja matuś,
Tyś mnie tak pieściła,
A teraz na zawsze
Samąś porzuciła.

Ojca w dół wrzucili,
Ziemią przysypali,
A biedną sierotę
Z chaty mię wygnali.

Było dosyć chleba,
I bogata rola,
A mnie pozostała
Ciężka tylko dola.

Maciejowi łzy ciórkiem się polały i zaczął mówić:

— Przestań Kasiu, bo mi serce pęknie, i powiedz mi, kto cię nauczył tę piosnkę?

— Ludzie — ale dla czegoż ty zapłakany? Może cię piosnka rozczuliła, to już więcej nie będę tak spiewać.

— Dobrze żeś zaspiewała, bom sobie przypomniał, żem miał matkę i ojca co mi pomarli, i brata mam, ale nie wiem czy żyje — a i chata była i rola i chudoba, wszystko to pewno ludzie zabrali. Przyszło do pogadanki, a Maciej który kochał Kasię oświadczył jej, że się z nią chętnie ożeni. Dziewczę zawstydzone przystało, i tak było już po zmówinach.

Po dożynku poszli oboje do państwa, u których służyli, oświadczyć swoją wolę, na co chętnie im zezwolono, i pan nawet chciał mu dać rolę, by pozostał w tej wsi, lecz on podziękował za to, bo miał swoją rolę, którą kochał całem

sercem, gdzie jego ojcowie żyli i umarli i on tam się urodził, więc i tam żyć i umrzeć pragnął.

Państwo nie robili żadnych trudności, ale owszem sprawili im sute weselisko, i pan obiecał dać mu na zagospodarowanie zboża i co z chudoby.

Po weselu poszedł zaraz Maciej do swojej rodzinnej wsi, by odebrać całe gospodarstwo i usiąść na ojców grzędzie.

Wchodząc do wsi, szedł najpierw na cmentarz, by pomodlić się na grobie rodziców. Przed kościołem spotkał dziada, który wyciągał doń rękę prosząc o jałmużnę. Maciej wyjął z kalety dwa grajcary i dał mu, żeby zmówił pacierz za duszę Wojciecha i Maryny. Dziad się jakoś dziwnie popatrzył na dającego. Lecz Maciej zatrzymał się przed dziadem i zapytał:

— Nie znacie wy dziaduniu tu we wsi gospodarza Jakóba Sękatego?

Dziad wybałuszył oczy i odpowiedział po chwili milczenia:

— Znam.

— A czy znaliście gospodarza Wojciecha?

— Znałem ich oboje — dawno już pomarli.

— A Szymonek żyje?

— Umarł dawno, a starszy gdzieś także w świecie zginął.

Maciejowi łzy w oczach stanęły.

— A chata, rola i chudoba czy jest jeszcze jaka?

Dziad się jakoś dziwnie popatrzył i dreszcz przeszedł mu po skórze — wtem ksiądz nadszedł i Maciej zaraz udał się do niego, powiedziawszy mu kto on jest i po co przyszedł. Ksiądz mu powiedział, że wszystko Jakób przepił i rolę sprzedał za bezcen — i zaprowadził go na cmentarz koło kościoła, pokazawszy mu miejsce gdzie leży ojciec, matka i Szymonek, opowiedział mu że z głodu i zimna umarł brat.

Maciej klęknął i zmówil pacierz za dusze rodziców i brata, i wstał z zaciśniętą pięścią jakby do zemsty.

Wtem z boku pokazał się dziad. Ksiądz wskazał palcem Maciejowi.

— Oto ten jest wasz opiekun, co przepił wszystko i Szymonka zagłodził.

Maciej z zaciśniętą pięścią chciał się rzucić na dziada, lecz się zatrzymał, bo ochota zemsty odpadła, i mówił do księdza:

— Chciałem się zemścić na nim, lecz widzę że go Pan Bóg i tak pokarał.

— Oj pokarał go, bo jak przepuścił wasze mienie, tak i jego poszło, żona i dzieci poumierali mu z głodu — a on sam się włóczy po żebrach.

Ksiądz widząc, że Maciej jest człowiek do rzeczy, wziął go do siebie, uczęstował, a później poszli do teraźniejszego właściciela chaty i roli nieboszczyka Wojciecha, jakiegoś kolonisty, co nawet po polsku nie umiał, oświadczając mu, że to nieprawnie nabyta własność. Maciej powiedział mu:

— Nie chcę waszej krzywdy, dam wam tyle ileście wy dali i sami się najdalej za dwie niedziele wyprowadźcie, a jak nie zechcecie zgody, to idę skarżyć was i nic nie dostaniecie a będziecie musieli się wynieść z chaty i roli.

I kolonista rad nie rad musiał się zgodzić na podawane mu warunki, i za dwa tygodnie wyprowadził się z chaty i ze wsi.

Maciej z żoną się sprowadził i zaczął gospodarować, Pan Bóg mu szczęścił we wszystkiem. Zjednał sobie powagę w gromadzie i uchodził za mądrego, bo umiał czytać i pisać. Po niespełna roku gromada obrała go wójtem, ale on przyjmując tę godność postawił dwa warunki:

- Jeżeli gromada przystanie na to, by szkółkę małą wystawić i o profesora się postarać, by uczył dzieci — i drugi warunek, by obok wójta i przysiężnych gromada obierała sześciu opiekunów z najpoczciwszych ludzi, by w razie śmierci którego z gospodarzy, mieli opiekę nad sierotami i majątkiem, żeby opiekunowie co niedzielę się schodzili i radzili co i jak robić przy gospodarstwie osierociałem, tak, żeby i dzieci nie poszły w poniewierkę i dobytek nie rozpadł się marnie.

Gromada z chęcią przystała na to i zaraz wybrała sześciu najsumienniejszych i najpoczciwszych gospodarzy na opiekunów gromadzkich.

I Maciej Sierota, tak się już zawsze nazywał, nauczony swojem nieszczęściem, zapobiegł, by drugim coś podobnego się nie przytrafiło.

Od tego czasu jak który gospodarz umarł, to ci opiekunowie zaraz przychodzili, oglądali i pilnowali to, co pozostało po nieboszczyku, żeby źli ludzie nie zabrali, zajmowali się gospodarstwem, a jeżli bieda była w chacie, to i nieśli pomoc, bo łatwiej zawsze kilkom podratować jednego — a jak nie było czem orać, to zwoływali gospodarzy i wspólnie zorali, zasiali, później zkosili, zeżęli i wymłócili — a sieroty dziękowały Bogu za takich opiekunów.

Józef z Medyki.

Morze lodowate.

(Dokończenie.)

Powróćmy jeszcze do naszych holenderskich żeglarzy i wystawmy sobie, jak zdziwieni zostali widokiem Samojedów, z którymi tylko na migi mogli się porozumieć, i nie wiele się od nich mogli dowiedzieć.

Niezmiernie na siłach podupadli, wszyscy prawie szkorbutem dotknięci, zwątpili czy kiedykolwiek dostaną się do swoich. Szkorbut jest to straszna choroba! dziąsła się psują, zęby wypadają i cały człowiek w taką wpada niemoc, że się ruszyć nie może; a tu ruch koniecznie potrzebny, jako lekarstwo przeciw chorobie; kto się podda gnuśnemu odrętwieniu, umiera!

Pożegnawszy brudnych i głupowatych Samojedów, opuścili wyspę, kierując swe łodzie ku stronie południowo-zachodniej, w zamiarze dostania się do portowego miasta Kola, nad brzegiem Białego morza, gdzie mieli nadzieję spotkać jaki holenderski okręt i ujrzeć na nim drogich sercu ziomków swoich. Po kilku dniach żeglugi, zobaczyli płynącą ku sobie łódź rybacką z rozpiętemi żaglami. Kapitan przybliżył się do rybaków, chcąc się ich rozpytać o drogę, ale się wzajemnie zrozumieć nie mogli, i tylko na migi pokazując, to pieniądze, to beczkę z rybami, potrafili zakupić od nieznajomych owe ryby

i kilka bochenków chleba, aby się od głodnej śmierci uratować; dowiedzieli się także od nich, zawsze pokazując na migi, jak daleko znajdują się jeszcze od morza Białego, które jest częścią Lodowatego oceanu, jakby wielką zatoką w ląd zachodzącą. Na zachodniem wybrzeżu morza Białego mieszkają Lapończykowie podobni do Samojedów.

Dnia 18. sierpnia ujrzeli żeglarze sterczącą nad morzem górę zwaną przylądkiem Kanin, przy samem wejściu do morza Białego. Czekała ich tu ciężka przeprawa, bo wiatr dął gwałtowny, a morze było bardzo wzburzone, ale dla ludzi, którzy tyle złego wycierpieli, i z tylu niebezpieczeństw szczęśliwie wyszli, nie było już nic strasznego. Jakoż, w przeciągu 30tu godzin upłynęli przeszło 70 mil drogi i przybili do lądu. Znaleźli tam kilkanaście chat rybackich, zamieszkanych przez Lapończyków, którzy tu żyją w rozprószeniu, podobni do Samojedów z powierzchowności i z obyczajów.

Tak jak tamci, są żółto-brudnej cery, bo się nigdy nie myją, oczy mają czerwone i zaropiałe, od ustawicznego dymu, którym chaty ich są napełnione, podobne w tem do chałup wiejskich *kurnemi chatąmi* zwanych, jakie i u nas jeszcze widzieć można w niektórych okolicach. W takich chatach ognisko jest w środku izby a nad ogniskiem otwór w dachu, który służy za komin i za okno. Łatwo sobie wystawić, jak w takiej izbie wszystko zakopcone i uwędzone być musi.

Lapończycy nie znają ani rolnictwa, ani rzemiosla, ani fabryk; oprócz polowania i rybołowstwa, jedynem ich zatrudnieniem gospodarskiem jest hodowanie reniferów i dostarczanie im paszy. Ale i o to nie wiele mają kłopotu, bo renifer wyjadłszy w jednem miejscu trawy i mchy, idzie dalej szukać pokarmu i nikogo o pozwolenie nie pyta, a wtedy Lapończyk zabiera swoje manatki i wędruje za stadem.

Takie ludy, które żyją jedynie z trzód swoich, nie zajmują się ani uprawą ziemi, ani handlem, ani rzemiosłami, nie mają ani wiosek, ani miast, i przenoszą się z całym dobytkiem swoim z jednej okolicy w drugą, szukając paszy dla bydła, zowią się ludami *koczowniczemi* od wyrazu *koczować* czyli *obozować*, bo żyją jak w obozie pod namiotami i nie

mają stałej siedziby. Znajdują się i w ciepłych okolicach takie koczownicze ludy, na wielkich stepach, okiem niezmierzonych, wysoką trawą zarosłych. Przybywszy np. rodzina z kilkudziesięciu osób złożona, prowadząca za sobą ogromne stada owiec, koni i bydła, rozbija swoje namioty i zajmuje tę ziemię w posiadłość, dopóki step trawą pokryty.

Ale wielka różnica zachodzi pomiędzy życiem ludów koczujących na stepach, bujną trawą zarosłych, w okolicach południowych, a życiem biednych Samojedów, Eskimosów, Lapończyków, Ostjaków i t. p., którzy na lodowatej ziemi, pod lodowatem niebem, w zadymionych chatach życie swoje pędzą. Te chaty Lapończyków tak są zbudowane, że łatwo je rozebrać i znowu złożyć; podobnież budują swo,e domy Sybiracy i także je z miejsca na miejsce przewożą; lecz zabudowania te różnią się co do kształtu, albowiem sybirskie domy podobne są do naszych chałup, ściany złożone są z okrąglaków z jednej strony wyżłobionych i zachodzących jeden w drugi; taka gruba drewniana ściana utyka się jeszcze mchem, aby ciepło z chaty nie uchodziło a dach robi się z grubych tarcic; kiedy tymczasem lapońskie chaty mają kształt okrągły w ostrosłup zakończony, składają się z ubitych w ziemię żerdzi, powleczonych grubem suknem szwedzkiem, skórami lub po prostu jodłowemi gałęziami; wewnątrz wyścielają chatę futrami, ognisko jest na środku. Pełno tam dymu, a ciepła nie wiele; w takiej jednej izbie mieści się cała rodzina i całe gospodarstwo.

Lapończykowie nie potrzebują tyle miejsca co my; zamiast łóżek i krzeseł, mają posłanie z jedliny pokryte skórami reniferów; wszystko w jednym kotle gotują i wszyscy z jednego kotła jedzą, i nie czując swej nędzy, nie myślą o tem, że mogłoby im być lepiej. Zresztą, przenosząc się często z miejsca na miejsce, nie mogliby tych różnych gratów za sobą wozić, muszą więc poprzestawać na rzeczach do życia niezbędnie potrzebnych. Rozebrawszy dom i zabrawszy wszystko co się w nim znajduje, Lapończyk pakuje to na sanie, zaprzęga renifery i pędzi po śnieżystym stepie, gdzie go potrzeba wyżywienia prowadzi. Sanie ich mają kształt łodzi, a w potrzebie służyć mogą za jedne i za drugie. Lapończyki tak jak Sybiracy

doskonale się ślizgają na łyżwach, podobnych do obówia Samojedów. Przywiązują do każdej nogi wązką deskę, długą na półtora do dwóch łokci, z przodu śpiczasto zaciosaną i zagiętą do góry, jak przód łódki, aby się w śnieg nie wryła: potem w każdą rękę biorą kij zakończony poziomem kołkiem żeby się mógł na śniegu opierać, i taką dopiero ślizgawką puszczają się po lodach i zaspach śniegowych, pędzą lotem strzały i doganiają czasem w biegu umykającego wilka lub niedźwiedzia.

Szwedzi i Duńczycy, jako dobrzy chrześcianie, wiele sobie pracy zadawali, żeby sąsiadów swoich Lapończyków oświecić i religję chrześcijańską u nich zaszczepić, lecz pomimo tego dużo tam jeszcze błędów pogańskich pozostało. I trudno się temu dziwić, kiedy u nas chrześcian, co już tyle niby wieków nawróceni jesteśmy, tyle jeszcze nie chrześciańskich obyczajów i pogańskich błędów się przechowało.

Chociaż pilno było żeglarzom holenderskim dostać się do portowego miasta Kola, zatrzymali się jednak dni parę u gościnnych lubo nieokrzesanych Lapończyków. Posiliwszy się u nich świeżą rybą i zupą z mąki, poszli przejrzeć okolicę, ale znajdując wszędzie kraj smutny i pusty, wsiedli na łodzie i popłynęli dalej. Gwałtowny wicher zmusił ich wysiąść na ląd, z obawy, żeby się zanadto od ziemi nie oddalili, tam dowiedzieli się od Lapończyków, że już tylko mil parę mają do Kola, gdzie się obecnie znajdują trzy holenderskie statki, z których jeden miał właśnie odpłynąć. Uradowany kapitan wysłał natychmiast jednego majtka w towarzystwie Lapończyka do Kola, aby zatrzymać ów okręt który miał odpłynąć do Holandji. Ci dwaj ludzie jadąc bez przeszkody saniami unoszonemi pędem strzały przez reniferów, prędzej stanąć mogli lądem na miejscu, niż płynąc morzem wśród lodów i przeciwnych wiatrów. Wiedział o tem kapitan, dlatego wyprawiwszy posłańców, sam postanowił zaczekać. Po trzech dniach, wrócił Lapończyk bez swego towarzysza i oddał list kapitanowi holenderskiemu. W liście tym była radośna wiadomość, że istotnie niedaleko jest okręt. Udali się tedy tam nasi żeglarze i po tylu trudach stanęli w swojej ojczyźnie, dziękując Bogu za ratunek.

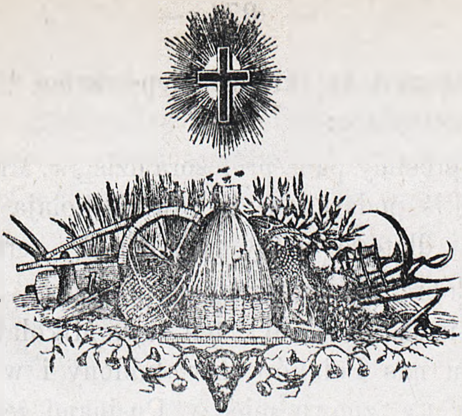
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XV.

Nr. 18.

21. grudnia

1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Mikołaj.

We wsi Soświczy jest szkoła gromadzka bardzo ładna, z ogrodem, sadowiną i pasieką, gdzie dzieci wiejskie uczą się na książkach rozmaitych, a na wiosnę idą po nauce do ogrodu i tam sadzą szczepy, uczą się szczepić, sieją na grzędach różne nasiona: to marchwi, to maku, to pietruszki itd., a znowu jak się w lecie pszczoły roją, to pokazuje sam profesor, jak wyrojone pszczoły zbierać, jak do ula osadzić, potem opowiada jak ule się robią i jakie są najlepsze, a znowu dziewczęta uczą się po nauce szyć ładnie koszule, wyrabiać niciami różne litery na płótnie, albo jakie kwiaty, gwiazdeczki — a to wszystko na to, aby dzieci umiały na książkach dobrze i aby umiały rękami pracować na kawałek chleba.

Otoż tego roku poschodziły się dzieci z Soświczy w sam dzień św. Mikołaja raniutko do szkoły i każde przyniosło w kieszeni jakiś podarunek od św. Mikołaja i zaczęli tam wszyscy szkolarze pokazywać sobie te podarunki od św. Mikołaja z wielką uciechą, aż na to wszedł do izby szkolnej pan profesor i pyta:

— A co to za takie krzyki niepotrzebne?

A dzieci powiadają:

— Bo to prosimy pana profesora dziś św. Mikołaja — każdy z nas dostał jakiś podarunek od św. Mikołaja i każdy to pokazuje drugim i dlatego mamy tyle uciechy teraz.

— A to dobrze! — rzecze pan profesor — ale wy pewnie nie wszyscy wiecie, kto był ten św. Mikołaj i z jakiej to racji jest on u nas Polaków tak lubiony i w każdym domu polskim czczony, a znowu między Rusinami jest on patronem najpierwszym dla nich.

Na to nie odpowiedzieli nic szkolarze, toć pan profesor jął im tak opowiadać:

— Widzicie dzieci! Już to bardzo dawno, bo dobre 1500 lat, jak żyli na świecie rodzice tego św. Mikołaja. A co wam jeszcze dopowiem, że oni nie siedzili nawet w tej części ziemi, gdzie siedzą Polacy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Moskale itd., a co to my nazywamy Europą, ale siedzieli daleko daleko od nas na wschód słonka het! — za Moskalami i Turkami, a my nazywamy tę część całej ziemi znowu Azją. Oni należeli więc do innego rodu ludzkiego, a wtedy rządzili ich krajem poganie Rzymiany i ci poganie zabijali nieraz chrześcian, których było wtedy najwięcej w Azji.

— Toż zmiarkujcie sobie teraz, że i rodzice św. Mikołaja byli ochrzczeni i wierzyli w Pana Jezusa, a mały ich synek Mikołajek chował się przy nich. Ale powiem wam i to jeszcze, że rodzice św. Mikołaja byli mieszczanami, pracowali zawsze uczciwie i sprawiedliwie za życia, lubili dopomagać ubogim, i rękę każdemu podać w każdej biedzie.

A szkolarze poderwali i mówili:

— No! kiedy tak, to pewnie i ten mały Mikołajek był bardzo dobrym...

— Prawdę świętą gadacie, moje dzieci! bo gdzie ojciec i matka są pobożni, miłosierni, pracowici, zgodliwi, tam przy nich rosną ich dziatki na takich samych albo i na lepszych ludzi. A gdzie ojcowie niedobrzy, tam i dzieci wyrosną na takich samych ludzi albo jeszcze gorszych. I mały Mikołajek

był bardzo szczęśliwy z tego, że miał ojca dobrego a matkę jeszcze lepszą.

Toż to od matki pobożnej nauczył się bać zawsze Boga, nauczył się bliźnich kochać i robić im dobrze, nauczył się tak żyć na świecie bożym, aby ani godziny darmo nie zmitrężyć, aby ani godziny na złe nie obrócić, ale aby całe życie robić to, co daje chwałę Bogu, sobie i drugim szczęście i zbawienie wieczne. A wiecie dobrze, czego się Jaś nie nauczy, tego i Jan nie umie, a czego się Jaś wyuczy, to i Jan potrafi. Toż jakim był Mikołajek przy ojcach w domu, takim ba! sto razy łepszym był on na poźniejsze lata.

— No! coż on takiego dobrego potem zrobił? — zapytali szkolarze.

— Pracowici i pobożni ojcowie mieszczanie — rzecze pan profesor — złożyli mu wielki majątek, a jak pomarli, to Mikołajek był dwa razy tak wielkim chłopakiem, jak wy teraz. Ale chodził do szkoły zawsze i opiekun jego dbał bardzo o szkoły dla Mikołajka — pilnował majątku sumiennie, jaki się dostał Mikołajkowi, aż Mikołajek wyszedł na xiędza, odprawił prymicje w domu, a opiekun oddał mu jego majątek i powiada:

— Masz tu xięże pobożny twoją pracę po ojcach, nie brakuje ci tu ani grajcarka jednego, jak stoi w testamencie, a ja oddaję ci to wszystko z ochotą, bo wiem, że na dobre obrócisz, że to zabiorą od ciebie sieroty, wdowy, kaleki albo biedni szkolarze, którzy radziby się uczyć, a nie mają raz jeden z czego żyć.

— A co? dawałże tak ten xiądz Mikołaj ubogim? — pytali szkolarze.

— Oj dawał, dawał moje dzieci! wszystkim bez wyjątku — powiada pan profesor — co miał, to rozdał między ludzi, aby sierotki nie ginęły z głodu, i aby miały się za co uczyć w szkole, a robił on tak, jak to teraz zrobił już niejeden pobożny pan i xiądz polski, który zapisał wielkie pieniądze na dzieci wiejskie, aby za prowizje od tych pienię𝑑zy mogły sieroty i ubogie wiejskie dziatki chodzić do szkoły, aby potem były dobrymi katolikami i Polakami i znowu tak samo pamiętały o sierotach. Toż z takich szkolarzy wyszedł niejeden na dobrego

człowieka! — A co on jeszcze zrobił? jak były gdzie ubogie dziewczątka, to im posyłał albo i ukradkiem przez okno rzucał do izby pieniądze, aby miały na wiano. Toż zmiarkujecie teraz, że tego xiędza Mikołaja lubiły matki pobożne za to, że on tak dbał gorliwie o duszę małych dziatek, że żył jeno dla szczęścia i zbawienia dziatek. A co on dobrego zrobił, to sobie rozpowiadali ludzie daleko i szeroko i prosili za nim Boga.

— Aha! — gadali szkolarze — to to dlatego jest św. Mikołaj patronem małych dzieci, że on tak bardzo lubił dziatki i dopomagał im do dobrego.

— Bardzo dobrze trafiłyście moje dzieci! — rzecze pan profesor — ten św. Mikołaj był ojcem dla wszystkich dzieci. Toż za jego pobożność i dobroć taką wybrali go xięża aż na biskupa w jednem mieście, a dopiero jako biskup rozdawał on cały swój przychód znowu na sieroty i nie zmarnował ani grosza, ale obracał na chwałę bożą i na poratunek ubogich. Ale robił on jeszcze inaczej. Wtedy było chrześcian nie tyle co dziś na świecie — było daleko więcej pogan, którzy takusienko robili z chrześcianami, co robi dziś niedobry moskal z katolikami polskimi.

Toż biskup św. Mikołaj nawracał pogan, a choć mu cesarz pogański rzymski zakazał nawracać i chrzcić, to on powiada:

— Trza prędzej słuchać nakazu bożego niż ludzkiego, a kto raz ochrzczony i uwierzył raz w Pana Jezusa, ten nie może się bać nikogo, ani groźby, ani śmierci za swoją prawdziwą świętą wiarę. I tak dalej robił swoje pocichuteńko, cierpliwie. Ale — jak się o tem dowiedział cesarz pogański Dioklecjan, co to z prostego chłopa został cesarzem, to kazał biskupa św. Mikołaja okuć i wsadzić do aresztu. Ale wiecie dzieci! że kto dobrze robi, ten zawsze zwycięży, toż i biskup św. Mikołaj siedział w areszcie strasznym za to, że robił dobrze, i wyszedł potem z aresztu i znowu dalej robił swoje. A co mu złego narobili poganie, to im tego nigdy nie pamiętał, bo gadał tak:

— Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem, kto ci źle robi, ty proś Boga za nim, aby mu dał upamiętanie i czyń mu zawsze dobrze.

Tak też zrobił raz poganom urzędnikom — tych urzędników obgadał ktoś przed cesarzem i naplotł nieprawdę na nich, ale cesarz nie wiedząc o tem, kazał ich wygnać z urzędu, przez co oni przyszli na wielką biedę. Ci biedacy udali się do biskupa św. Mikołaja o pomoc.

— A czy pomógł on takim niedobrym ludziom? — zapytali szkolarze.

Na to rzecze pan profesor.

— Dobry i pobożny poda każdemu rękę, czy kto dobry, czy zły, bo tak nauczał Pan Jezus, toż i biskup św. Mikołaj prosił za nimi cesarza, udowodnił fałszywe świadectwo i ci poganie urzędnicy dostali znowu urzęda. I wy tak róbcie, dzieci, jak urośniecie. Czyńcie ludziom dobrze, aby oni wam tak czynili. I biskup św. Mikołaj robił tak zawsze aż do śmierci, a za to miał chwałę u Boga i u ludzi, a gdy umarł, został za swoje dobre uczynki świętym patronem dla dzieci i przykładem dla nas wszystkich.

— A gdzież on umarł? — pytali szkolarze.

— On umarł aż w Azji tam, gdzie się urodził i żył tak świątobliwie. I tam był pochowan.

Ale szkolarze zapytali dalej:

— To św. Mikołaj nie żył w naszych krajach?

— A! nie żył on tu nigdy, jak wam już powiadałem. — Jak św. Mikołaj żył w Azji, to nasi pradziadkowie dawni Polacy byli jeszcze poganami w tych krajach naszych. A św. Mikołaja nie była tu nigdy stopa na tej ziemi, ani też wtedy nie znali Polacy nic a nic o św. Mikołaju.

— No! a zkądże wziął się u nas ten św. Mikołaj kiedy on tu nigdy nie był? — gadali szkolarze.

— Opowiem wam i to — rzecze pan profesor. — Nasi pradziadkowie ochrzcili się nie zaraz po śmierci św. Mikołaja. Ale jak się ochrzcili roku 965 toż zostali prędko pobożnymi i prosili Ojca św. aby im dał św. patronów dla kraju. Toż dał im ojciec św. Florjana, od ognia patrona.

Tak samo dał im i tego św. Mikołaja za patrona dla małych polskich dzieci. Widzicie teraz, że ci św. patronowie

urodzili się i żyli w dalekich krajach od nas, a dziś są patronami dla nas, a to na to, aby nam dawali przykład życia i aby za nami prosili Boga.

— Aha! to teraz wiemy o św. Mikołaju — rzekli szkolarze—ale co to są takie podarunki dla dzieci na św. Mikołaja?

— Opowiem wam i to — mówi pan profesor — te podarunki dają wam rodzice na to, abyście były tak miłosiernemi dla drugich, jak był miłosiernym św. Mikołaj dla wszystkich a osobliwie dla sierot, i jak są dobrymi dla was rodzice. Toż u nas jest staropolski zwyczaj, że na św. Mikołaja przebierają się Polacy i chodzą po domach, gdzie są małe dzieci, tam się wypytują co dzieci robią? czy są posłuszne? czy się uczą dobrze? i dobrym dzieciom dają podarunki, a złym zostawiają rózgę. Toż teraz rozumiecie, że św. Mikołaj nie przychodzi tu na ziemię sam do was, ale to są poprzebierani ludzie. A wy dziatki! uczcie się tak, jak św. Mikołaj, abyście były dobrymi urzędnikami, albo xiężami pobożnymi, albo pobożnymi i mądrymi gazdami na wsi.

Xiądz Wojciech z Medyki.

WIESŁAW.

Ułożył Kazimierz Brodziński.

Niedawno temu opowiedział wam xiądz Wojciech z Medyki, kto to był Kazimierz Brodziński i jakie on piękne i mądre rzeczy dla Polaków napisał. Otoż teraz wypisujemy wam tu jedną śliczną powiastkę tego sławnego Brodzińskiego, która ma nazwę *Wiesław.* Nie mogliśmy jej całej wydrukować w „Dzwonku“, bo na to by miejsca nie stało, więc skróciliśmy ją potrosze. Powiastka ta napisana jest do składu wierszem, więc i my ją tak wypisujemy, chyba tam nie, gdzie, jak mówię, trzeba było ukrócić, bo mało miejsca. Posłuchajcież tedy tej ślicznej powiastki.

W naszej Polsce, niedaleko Proszowa żył kmieć Stanisław z żoną Bronisławą. Bóg im pobłogosławił w dobytku, ale za to dotknął ich na ich dziecku jedynem. Mieli oni małą córeczkę,

którą kochali nad życie Naraz wybuchła wielka wojna, nieprzyjacielskie wojsko spaliło wioskę, w której żyli Stanisław i Bronisława, a wśród zgiełku i pożaru zniknęło im gdzieś bez wieści dziecię jedyne i ukochane. Daremno szukali po całej okolicy, dziecko zginęło bez śladu. Nie było innej rady jak zdać się na świętą wolę Bożą — gdy naraz umarł sąsiad Stanisława i zostawił sierotkę, małego synka Wiesława. Stanisław był przyjacielem zmarłego a przytem miłosiernym człowiekiem, więc uradzili z żoną aby przyjąć sierotę Wiesława za własne dziécię. Jakby w nagrodę za ten dobry uczynek urodziła im się wkrótce znowu córka. Gdy Wiesław już urósł w parobka a córeczka Stanisławów miała już lat dwanaście, umyślili Stanisławowie tak, aby po kilku latach, gdy ich córka dorośnie, wydać ją za sierotę Wiesława, którego jak syna pokochali.

Był bo też ten Wiesław chłopiec dzielny i zacny jak mało. Pilny był i pracowity, dobry i bogobojny, choć nieraz poswawolić lubiał jak zwykle młodzi. Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu: zajechać drogę choćby wojewodzie, rej nad muzyką prowadzić w gospodzie, z karczmy rozpędzić cesarskie wojaki, wyśmiać nadwornym góralom chodaki — to były nieraz jego obyczaje. Młodemu wszystko zarówno się zdaje — bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu; pieni się, szumi i wylewa z brzegu, aż dalej cicho płynie w swem korycie, — tak młodzian siłą obdarzon obficie, musi wyszumieć, aż w troskach stateczny, jak jabłoń z czasem traci kwiat zbyteczny.

Otóż jednego razu ów kmieć zacny Stanislaw z żoną wyszedł z komory i wniósł do izby dwa z pieniądzmi wory, czterysta złotych ułożył na ławie i tak powiada:

— Zabierz to Wiesławie! Jedź do Krakowa a za te talary kup mi dwa konie i wybierz do pary! Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty, nie mam z chudobą poufać się komu, ty prawą ręką jesteś w moim domu, a skoro pomrę, tyś rodziny głową, jeźli daj Boże córka się uchowa, ma lat dwanaście, nie skąpo urody, możesz jej czekać, sameś jeszcze młody.

Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi i pojechał według woli swego dobrodzieja do Krakowa, tam krótko się bawił i dobrze się sprawił.

II.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi — gdy Wiesław wracał z końmi kupionemi. Droga go wiodła przez jedną wioskę, a tu z tej wioski rozlega się granie, słychać wesołe pląsy i spiewanie, biją drużbowie w podkówki ze stali, a gdy Wiesława mile powitali; tak rzekł starosta, zarządzca wesela:

— Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela! Witajcież do nas wy z proszowskiej ziemi! Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi!

Wiesław usłuchał radośnie zaprosin i wstąpił do Krakowiaków na wesele. Było tam dziewcząt pięknych bez liku, ale najpiękniejszą była Halina, drużka weselna. Jeno Wiesław spojrzał na nią, zaraz serce jego do niej miłością przylgnęło. Gdy przyszło do tańca, Wiesław wybiera sobie Halinę.

Naprzód wychodzi, przed Haliną staje, Halina w pląsach rękę mu podaje. Za nim się w koło młodzieńcy zebrali — nucą i biją w podkówki ze stali. Wiesław się za pas ujął ręką prawą — przewyższył wszystkich poważną postawą — w skrzypcy i basy sypnął grosza hojnie — ojcom za stołem kłaniał się przystojnie — i tupnął, głowę nachylił ku ziemi, i zaczął spiewać słowy takowemi:

Niechże ja lepiej nie żyję
  Dziewczę, skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
  Milsze mi nad twoje!
Patrzajże mi prosto w oczy,
  Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwie nie wyskoczy
  Serduszko do ciebie!

Bierze Halinę i tak w około przodkując drużbom, tańczy wesoło, a gdy ku skrzypkom znowu powróci, staje i w tańcu tak dalej nuci:

Czemuż ja w proszowskiej ziemi,
  Małe zaznał dziecię,
Byłbym między Krakowskiemi,
  Najszczęśliwszy w świecie!

Krew nie woda, ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi!

Halina w pląsach przed nim ucieka — on w ręce pleszcząc goni zdaleka, a gdy dogoni, z ujętą wróci — staje i w tańcu tak dalej nuci:

Nie uciekaj ptaszku luby
Moje stotysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszczę więcej!

Teraz sam znowu przed Haliną stroni, a ona za nim poskocznie goni — i dogoniwszy, gdy znowu wróci, staje i w tańcu tak przed nią nuci:

Gospodarzu nie dasz wiary,
Jak konie opłacę,
Wydałem ja twe talary
Moje serce tracę!
Grajcie skrzypki, bo się smucę,
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie!

Długo się Wiesław gościnnie weselił — już się też dzionek nad górami bielił — pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie, wciąż mając w uszach i spiewy i granie, w sercu niespokój, a myśli jedynie, krążą niewolne przy pięknej Halinie.

III.

Z tęsknym sercem wracał Wiesław do domu.

Pospieszał szybko i lasem i polem, ale się ostać nie może przed bolem — bo gdy choć jedna chęć w sercu osiędzie, daremny namysł i rozsądek będzie. Przeto co myślał, co czynić przystało, stanowi wyznać otwarcie i śmiało.

Wiesław widząc już teraz, że nie może ożenić się z córką swego dobroczyńcy, postanowił powiedzieć Stanisławowi, że pokochał inną dziewczynę, i że jego zięciem być nie może, a potem umyślił pójść gdzieś hen w świat daleki...

Gdy go Stanisławowie witają serdecznie i pytają czemu taki smutny, on tak rzecze:

— Czemużem w domu nie został na wieki, wdzięczen łask tylu i waszej opieki! Przy waszym pługu chodziłbym spokojny — anibym zaznał trudnej z sercem wojny! Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi — inaczej myśli Bóg o swej czeladzi!

I Wiesław powiada Stanisławowi, że przylgnął sercem do Haliny i że z jego córką już żenić się nie może. Oto tak mówi:

— Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy zabrał mi serce i zniewolił oczy — i tyle sprawił, że odtąd jedynie, sercem i duszą jestem przy Halinie! Ojcowie moi już królują w niebie, wyście sierotę przyjęli do siebie, nie żałowali ni trosków ni chleba, uczyli pracy i bojaźni nieba. Dziś jedynaczkę w swojej własnej chacie dla mnie w zamężcie i z wianem chowacie.. Puśćcie mnie puśćcie z rękoma gołemi — pracować będę pomiędzy obcemi; bo bez Haliny nic już nie zarobię, niezdatny ludziom i niemiły sobie! Prędkobym znalazł koniec życiu memu, pobłogosławić chciejcież ubogiemu, bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni, kogo przekleństwo dobroczyńców goni!

Żałośno i markotno zrobiło się na te słowa Stanisławowi! Oni cieszyli się zawsze tą myślą, że córka ich jedyna będzie szczęśliwą za Wiesławem — a tu tymczasem Bóg chciał inaczej. Rozgniewał się zrazu Stanisław i wyrzucał niewdzięczność Wiesławowi, ale pomodliwszy się i poradziwszy z mądrym sąsiadem Janem, pogodził się z wolą nieba, przemógł żal w sercu i rzecze do Wiesława:

— Dawno już bardzo były myśli moje, bym was przy sobie połączył oboje — ażeby matka kiedyś po mej stracie, teściowej w obcej nie służyła chacie. Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli — przeto Wiesławie oddaję twej woli! Uproszę Jana, niechaj zacznie swaty, jak syn synową przywiedź mi do chaty!

Tak to sobie szlachetnie postąpił kmieć Stanisław.

IV.

Zaraz też na drugi dzień wybrał się Wiesław z mądrym sąsiadem Janem na swaty do matki tej pięknej dziewoji Haliny.

Jan ten był sąsiad cnotliwy i prawy, zdolny do rady, dobry do zabawy — a że za stołem nie jednym już siadał, jak mądrze myślał tak i prawdę gadał.

Przyszli Jan z Wiesławem do chaty Haliny i tu zaspiewali spiewkę taką:

Kwiatami grzęda osuta
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży!
Przyjdzie młodzian z obcej błoni,
Ojcu matce się pokłoni,
Zerwie panna swoje kwiaty
Do teściowej pójdzie chaty!
Raz ostatni rozmaryny
Uwieńczycie skroń dziewczyny,
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie!

Schludna chata choć uboga
Za rządnością pomoc Boga
Skaczy sroka na jaworze
Panna stroi się w komorze,
Otwierajcież, przyszli goście!
I uprzejmie w dom zaproście,
Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu myśl prowadzi!

Wyjrzała oknem od kądzieli matka -- skrzypła zapora, otwarła się chatka. Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały, głową wyniosłą dosięgał powały, a wdowa rzekła:

— Witajcie nam goście! Siądzcie i z Bogiem dobrą wieść przynoście!

Z komory wyszła Halina z rumieńcem, skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem.

Wtedy mądry Jan dobył swą flaszkę z napojem, oświadczył wdowie, matce Haliny, że ją Wiesław prosi za żonę i zapytał Haliny, czyli temu rada. Zawstydzona dziewczyna nie mogła się zaprzeć, więc pyta Jan matkę, czy się zgadza.

Powiada wdowie Jan, że Wiesław choć sierota, będzie miał dobytek, mówiąc:

— Poczciwych ojców widzicie tu syna, chociaż pod ziemią spi jego rodzina, ma przecież ojców, co litością zdjęci, mając kumostwa powinność w pamięci — nie żałowali dla sieroty chleba — uczyli pracy i bojaźni nieba. Sprawiał się godnie, że go synem zowią, w części chudobę dla niego stanowią. Nie jest ci u nich gospodarstwo liche, praca sierpowa nie idzie pod wichę. Czystą pszenicę niesie czarna rola, wełniste owce zabielają pola, w schludnych stajenkach bydełko się chowa a cztery konie jeżdżą do Krakowa. Z ich to poręki ja do was przychodzę: poznał się Wiesław z Haliną na drodze, jak pewno wiecie; i ojcom wyjawił, że swoje serce w jej sercu zostawił.

Halina jeszcze bardziej pokraśniała, a wdowa widząc, że się jej dusza skłania do Wiesława, wykrywa teraz, że Halina nie jest jej córką, ale przybraną sierotką. Kiedy wojna wrzała w tych stronach, dziecię jakieś zabłąkało się do niej, a ona je wzięła z litości i wychowała, tem dziecięciem jest Halina. Rzecze tedy wdowa do swata Jana.

— Gdy wróg się zaciął na tutejszą stronę — szedł mój mąż także na wspólną obronę i już nie wrócił. Wrogi bez litości, grabili dwory zapalali włości, doznał co trwoga kto pomni te czasy — starcy i matki pokryli się w łasy. Dzieci i matki błądziły tłumami, przy drodze na to patrzyłam ze łzami — a że mi dziecię zastąpiło drogę, do serca, płacząc, utulam jak mogę — pytam o imię, rodzinę, mieszkanie — ale daremna prośba i pytanie, dziecię zaledwie znało swoje imię! Ja matka niegdyś, pamiętna na Boga, wzięłam sierotę choć sama uboga — użyłam trosków, lecz była jej godna, wyrosła zdrowa, pracowna urodna — obiedwie teraz pracujem na siebie, w jednych żyjemy troskach i potrzebie!

Gdy swat Jan te słowa usłyszał, mocno się zdziwił i uradował. Ukorzył się w myśli przed Opatrznością, bo zaraz się domyślał, że ta Halina, którą wdowa dzieckiem w dom przyjęła, nie musi być inną, tylko córeczką Stanisławów, którą podczas wojny stracili. I tak też było w istocie! Rzekł Jan tedy:

— Ważne mi, ważne zwiastujecie rzeczy! Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy — chwała mu wieczna! Miła gospodyni, niechaj z ufnością, co powiem, uczyni, bo z serca

idzie szczera moja rada: Uproście koni z wozem u sąsiada, a tę życzliwość hojnie mu wrócimy, bo wszyscy w drogę wybrać się musimy. Szczęścia wspólnego wybiła godzina, pozna Halinę Wiesława rodzina!

Zabrali się tedy i Wiesław i Jan i Halinę z swą opiekunką i przybyli w dom Stanisławów. Stanisławowie poznali w Halinie swą córkę i w radości dziękowali Bogu, który wszystkich uszczęśliwił.

Jak się witała rodzina złączona, jedno drugiemu oddając do łona, jakie pytania, dzięki, odpowiedzi, jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi, tego wam moi mili towarzysze — jakobym pragnął nigdy nie opiszę!...

Piękne przykłady.

Jan Maciąg.

Nie tak dawno temu, jak we wsi Dzikowice, w obwodzie rzeszowskim, żył kmieć jeden, nazwiskiem Maciąg. Miał ten Maciąg syna Janka. Janek, chłopak ciekawy, sprytny i pilny okazywał wiele zdolności, a w szkółce wiejskiej zawsze najlepiej się uczył.

Kiedy ukończył już trzy klasy w szkole wiejskiej, zapragnął biedaczek Janko jeszcze większej nauki i rwał się do książki, jak inne dziatki do figlów i zabawki. Ojciec widząc tę ochotę Janka do nauki, zdobył się na grosz ostatni i wysłał go do szkół do Rzeszowa. Janek na to jak na lato, wziął się do książki z całej siły i uczył się dniami i nocą. Stary Maciąg nie mógł mu doselać dużo pieniędzy na utrzymanie, więc Janek chudzina bywało o głodzie i chłodzie żyje, i chleba nie je, aby się ściągnąć na małą świeczkę do nocnej nauki.

Najciężej było z początku, ale jak podrósł, jak się poduczył, to już sam na siebie zarobić potrafił i ojcu kosztów oszczędzał. Otóż ten Janek, gdy przyjechał do ojca na święta lub wakacje, zawsze się litował nad tym biednym ludem wiejskim, z którego i on wyszedł, i nad jego ciemnotą, jak to

biedni chłopkowie dla braku nauki pomódz sobie w niczem nie mogą, ani w życiu, ani w gospodarce.

Razu jednego wyszedł on na pole, stanął sobie na wzgórku i patrzył, to na wioskę Dzikowiec, to na dalekie pola i westchnął i zapłakał!... Xiądz pleban, który właśnie przechodził tamtędy, zastał Janka ze łzami w oczach i pyta go:

— Janku, czemu ci tak markotno?

— Oj markotno mi, xięże dobrodzieju — rzecze Janek — markotno mi, gdy patrzę na nasze wioski i na nasze pola. Toż to Bóg miłosierny dał Polakom łany żyżne i urodzajne, ziemia święta kryje w sobie skarby prawdziwe, ale cóż kiedy nasz ludek nie umie z tego korzystać! Toć z tej ziemi dziesięć razy więcejby było plonu, gdyby nasi wieśniacy lepiej się znali na gospodarstwie, gdyby mieli naukę, gdyby wiedzieli, co im Pan Bóg dał w tej roli bogatej!

— Pięknie mówisz Janku — rzecze xiądz proboszcz — prawda to święta!

A Janek mówi dalej:

— Serce mi się kraje, gdy widzę biedę naszych kmieci, i gdy pomyślę, że mogłoby być lepiej, gdyby więcej było światła w ich umyśle. U obcych narodów gospodarstwo dziesięć razy więcej zysku przynosi, bo tam chłop każdy lepiej umie chodzić koło ziemi. W Niemczech, Francji, Anglji chłop jest bogaty a u nas w jakich nędznych lepiankach żyją, jak nędznie się karmią, a to nie z lenistwa, bo nasz wieśniak pracowity, jeno z braku oświaty!

Xiądz proboszcz jeno głową kiwał na mądre słowa młodego szkolarza, a szkolarz tak dalej prawił:

— Uczyniłem sobie ślub przed Bogiem, że jak się wyuczę, jak wyjdę na człowieka, to ani się żenić nie będę, ani po pańsku żyć, jeno na chlebie suchym poprzestanę a pieniądze zbierać będę na to, aby później zapisać to na polepszenie gospodarstwa w naszym kraju przez oświatę i naukę!

— Piękny to zamysł — rzekł xiądz proboszcz — niech ci Bóg błogosławi! Ja ci synu daję moje kapłańskie błogosławieństwo na wytrwanie w twych dobrych chęciach!

I ucałował Janka w głowę i pobłogosławił mu.

Dużo lat od tego czasu minęło. Jak Janek Maciąg zamyślał, tak się stało. Bóg mu dopomógł w nauce i pracy; został urzędnikiem z wielką pensją. Jan Maciąg dotrzymał też słowa, żył skromnie i ubogo, a grosz składał do grosza. — I oto przed śmiercią obliczył się z uzbieranemi pieniądzmi i było ich dwadzieścia tysięcy reńskich.

Inni urzędnicy, co byli razem z Janem Maciągiem dziwili się czemu on tak ubogo żyje, czemu sobie wszystkich przyjemności odmawia i szeptali, że on sknera i skąpiec wielki. Ale po śmierci Maciąga wszystko się pokazało. Gdy umarł, odczytano jego testament, a w tym testamencie było powiedziane, że uzbierane dwadzieście tysięcy reńskich zapisuje na szkoły dla gospodarzy wiejskich, aby się uczyli lepiej gospodarować na roli, i to tak: 10 tysięcy dla lwowskiej szkoły, a drugie 10 tysięcy dla krakowskiej. Procent z tej fundacji przeznaczył Maciąg na zapomogę dla czterech biednych chłopaków, którzy się będą uczyć gospodarstwa w szkołach rolniczych, których jest teraz dwie: pode Lwowem w Dublanach, i pod Krakowem w Czernichowie.

W tym zapisie takie słowa wypisał nieboszczyk Maciąg: „Ja niżej podpisany Jan Maciąg, zważywszy iż w Polsce naszej z natury rolniczej, rolnictwo jest głównem źródłem majątku, i dlatego powinno być dobrze pielęgnowane, zważywszy, że to rolnictwo u nas bardzo jest źle prowadzone, tak że w innych krajach rola, choć gorsza, więcej niesie, bo ją lepiej uprawiać umieją, a będąc przekonanym, że bez nauki żaden gospodarz, a osobliwie włościanin dobrze gospodarować nie umie, postanowiłem mój majątek, który przy pomocy Bożej przez pracę i oszczędność uzbierałem, zapisać na naukę gospodarczą, osobliwie między włościanami, do których pochodzeniem mojem należę, jako syn włościanina z Dzikowca, obwodu rzeszowskiego.“

Taki to szlachetny czyn spełnił ten Jan Maciąg! Wieczna mu pamięć za to u rodaków a piękny przykład dla innych!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Dwa dni ledwie minie, a obchodzić będziecie dzień radośny dla serc chrześciańskich, dzień narodzenia Zbawiciela, zasiądziecie w kole rodzinnem do świętej wieczerzy, łomać się będziecie po staropolskim zwyczaju święconym opłatkiem, a głos kolędy wesołej z chat dobywać się będzie aż ku niebieskiemu sklepieniu, ku gwiaździe wieczornej... W tym tak uroczystym czasie i my spieszymy z serdecznem powinszowaniem wesołych świąt i szczęśliwego roku Nowego! Daj nam Boże wszystkim szczęścia i powodzenia — a ojczyźnie, Polsce naszej kochanej, daj błogą dolę i swobodę! Bóg z wami i z waszą pracą kochani kmiotkowie!

Z tym numerem kończy się już półrocze Dzwonka. Przypominamy wam tedy, żebyście na nowo zapisywali to nasze pisemko. Dzwonek tyle kosztuje co zawsze: na cały rok 2 złr. — na pół roku 1 złr. Karteczki, w których macie przysełać pieniądze, jużeśmy wam przedtem posłali.

A teraz jeszcze taką do Was mamy prośbę.

Już długi czas mija, jak Dzwonek drukujemy dla waszej oświaty i zabawy a dotąd jeszcze nie tak dużo naszego ludu wiejskiego, jakby się to godziło, czyta go i zapisuje. Jest chwała Bogu dużo między ludem takich poczciwych gospodarzy, którzy pilnie zapisują Dzwonek i pilnie go czytają, ale więcej jeszcze jest takich, co wolą grosz tracić choćby na gorzałkę, a o pożytecznem czytaniu ani wiedzieć nie chcą. Oby i ci raz uznali, że w dzisiejszych czasach trudno i przy roli obejść się bez nauki i pożytecznych książek!

Prosimy was tedy wszystkich, którzy utrzymujecie i czytacie nasz Dzwonek, abyście i drugim waszym znajomym i sąsiadom doradzali to pisemko, które przecież nie wiele kosztuje, bo jeno 2 reńskich na rok, co wychodzi na tyle, jak nie całe dwie szóstki na miesiąc. Gdyby z was każdy, co już czyta Dzwonek, tylko jednego jeszcze namówił do zapisywania tego pisemka, to jużby z tego i dla ludu samego i dla Dzwonka wielki był pożytek, a dla was samych byłaby zasługa.

Aby tym, co jeszcze nie zapisywali Dzwonka zrobić ulżenie, takeśmy postanowili: ***Każdy, co jeszcze Dzwonka nie trzymał, a teraz go sobie zapisze na rok cały, otrzyma za to w dodatku 3 pierwsze tomy Dzwonka za 1 złr., to jest tak, że jak przyszle 3 złr. to i cały rok Dzwonek odbierać będzie i jeszcze trzy pierwsze duże tomy otrzyma.*** To już tak prawie jak za darmo, bo i sam papier więcej kosztuje. Uwiadomcież też o tem Waszych sąsiadów!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

PRAKTYKI
SZYMKA Z DIABŁEM.

(Gawęda wieczorna.)

Przy ognisku do koła
Siedzi czeladź z robotą,
W tem gospodarz z za stoła
Tak się ozwie z ochotą:

„Czegoż cicho siedzicie,
Kieby mruki lub sowy?
Ej dziewuchy, wy śpicie,
Spróbójwa też rozmowy.“

Na wezwanie, na takie,
Powstał Szymek najprzódy.
„Oto powiem, rzekł, jakie
Miałem z djabłem przygody.“

Furkły żwawiej wrzeciona,
Każdy ucha nadstawił,
I skurczywszy ramiona,
Na miejscu się poprawił.

Szymek fajkę nałożył,
Dobył z ognia węglika,
I na fajce położył,
I przykrywką zamyka.

Potem usiadł na ławie,
Rękę za pas zakłada,
Czeladź słucha ciekawie,
A on tak jej powiada:

„Raz po śmierci Macieja
Nieboszczyka, mojego
Brata a kołodzieja,
I sąsiada dobrego,



z Litografii M. Jabłonskiego we Lwowie J. Gołębiowski rys.



Śniło mi się — kiej było?
To już teraz niepomnę,
Dość że mi się raz śniło,
Co nigdy nie zapomnę,

Że byłem gdzieś za Wisłą,
I śpię sobie na stogu,
W tem zagrzmiało — zabłysło —
Aż nieboszczyk przy brogu!

Ja mu mówię: Macieju!
Ponoście wy umarli?
A on mnie: „Dobrodzieju!
Żebyście mnie wy wsparli.“

Nie trzeba wam powiadać,
Człek za brata swojego,
Skoczy, choćby gardło dać,
I do piekła samego.

Więc ja mówię: człowiecze!
I czegoż wy żądacie?
A to do mnie tak rzecze,
(Cóż wy na to pedacie)?

„Sważyłem się ze żoną,
O czeladkę nie dbałem
Schowałem rzecz kradzioną,
Do wróżki też biegałem,“

„Nie zważałem choć biéda,
Choć sąsiedzi łajali,
Piłem parę u żyda,
I djabli mię porwali!“

Najświętsza panieneczko,
Ratujże mię w potrzebie!
W tem się budzę — słoneczko
Prawie zeszło na niebie.





Co tu robić? hej! gody
    Sprawię ja wam, wy bisy!
Więc święconej łap wody,
    Chlust do dzbanka z pół misy.

Więc niebawem wianeczki
    W koło siebie opaszę,
Nuże świętej kredeczki,
    Płucienicę zakaszę;

Przyobułem hodaczki,
    A że Salka chleb piekła,
Wziąłem ze dwa bochnaczki,
    Ha; i idę do piekła.

Ha, idę, idę — piekło!
    O źle chłopcy! maź śmierdzi.
Już w podeszwy zapiekło,
    A wszystko się tak sierdzi!

Choć mam w ręku siekierkę
I świętości — drzę cały!
Aż mi włosy magierkę
Het do góry wypchały!

Wtem jak skoczy z rogami
Jak nie schwyci za ramię,
Jak nie zgrzytnie zębcami:
„A czego ty tu chcesz hamie?"

Ja zaś kredy dobywszy,
Jak mu zatrę nią czuba,
A za rogi złapiwszy:
Prowadź do belzebuba!

Zjadł śledzia! idziem oba,
Wchodzę w piekło, o ludzie!
A cóż tu za żałoba!
Aj, gwałtu, rety, cudzie!


J. Gołębiowski rys.


12
J. Gołębiowski rys.

Pisk, syk, zgrzyt, huk, jęki —
A tu djabli maź palą,
Wydrzeźniają paszczęki,
Pieką, gryzą, klną, smalą.

Tu duszyczki niebogi
Wyglądają z otchłani,
A u każdej już rogi,
Moi ludzie kochani!

A tu żarem osuty,
Z ogoniskiem jak żmija,
Na łańcuchu przykuty
Spi Ancykryst bestyja!

Hej! dalej do świętości,
Do wianeczek, kropidła;
Jak nie lunę we złości:
Hej wy diabli straszydła!

W imie ojca i syna,
Hej! na łoże Madeja
Zaklinam cię, gadzina!
Oddaj brata Macieja.

W tem lucyper zawoła:
„Łapcie duszę tę hamią!"
Obstępują do koła,
Syczą, tymanią, mamią.

Ale jak ja, mospanku,
Nie zacznę się uwijać,
Jak nie zmaczam we dzbanku,
Jak niepocznę wywijać!

„Stój! stój!„ woła belzebub,
„Stój! bo piekło mi spalisz!
Bój się Boga! mnie nie gub,
Skurę na mnie opalisz!"





Oddaj brata Macieja,
Ty przyklęta gadzina!
Oddaj mi kołodzieja.
W imie Ojca i Syna —

„Już, już“ — woła — „dam brata,
Tylko przestań mordować.
Ale wprzód się, do kata!
Musisz ze mną spróbować.“

„Jeżli wygrasz, widzibóg
Oddam brata Macieja,
Jeżli przegrasz, dalibóg,
Areszt na dobrodzieja.“

O matko częstochowska,
Dyć tu nowa przygoda!
Ha, dziej się wola boska.
Spróbójwa się — no, zgoda!

Stanęliśmy na polu,
Na ogromnej płaszczyznie.
No ty chłopie grondolu,
Kto z nas lepiej zagwiźnie?

Jak zagwiznął — ej Chryste!
Aż bory zaszumiały,
Aże liście naczyste
Z konarów obleciały.

Gwiznąłeś — oto szmata,
Zawiąż sobie nią oczy,
Bo jak gwiznę, do kata!
To ci ślipie wyskoczy.

Miałem w ręku buczaka,
Jak go gwiznę za ucho!
„Aj! ty chłopie sobaka,
Zgłuszyłeś mię psiajucho.“


J. Gołębiowski rys


J. Gołębiowski rys.

„Poczekaj, zjesz mi grzycha,
Przecie djabeł mocniejszy.
Spróbójwa się, u licha,
Kto znas w ręku silniejszy?“

Jak wziął kamień do garści,
A kamień nie mielizna,
Jak ścisnął łapą, ażci
Pokruszył go do izna.

O niepeć! co tu robić?
Czart mi prawił przechwałki.
Ha, trza sztuką nadrobić—
Wziąłem séra z koszałki.

Jak uchwycę w paluchy:
Idź mazgaju do piekła,
Z tamtego masz okruchy,
Z tego — woda pociekła!

Jacy skrobnął się w głowę.
„No, ty chłopie, zawoła,
A kto prędzej na zmowę
Obieży świat do koła?

Przepraszam dobrodzieja,
Niemogę się próbować,
Ja mam brata Macieja,
Muszę go tu pilnować.

„Nic, niestójwa, niepytam,
I brata niedostaniesz,
I za duszę twą chwytam,
Jak na to nieprzystaniesz.“

O źle! widzę czart zdziwia;
Jak mu się tu wywinąć?
Co sprostuję to skrzywia,
Trza się jakoś podwinąć.


J. Gołębiowski


J. Gołębiowski rys:

Słuchaj — ja tu mam z sobą,
Widzisz? kuma mojego,
Ten sprobuje się z tobą.
Cóż? przystaniesz na niego?

A ja, trza wiedzieć, miałem
Dwa w koszyku zające,
Co je idąc schwytałem
Pode dworem na łące.

Więc jednego mu niby
Pokazuję z koszyka.
Panie diable — jeźliby —
Pędź! bo kmoter umyka.

Czart w nogi — zając w nogi.
Hej, jak pójdzie na puste,
Na rozstajne bis drogi,
Zając — prosto w kapustę.

Aż tu niewyszło panie
I pół zdrowaśmaryję,
Ja chcę wytchnąć na sianie,
Masz tam diabła bestyję!

Sciarany, zatałapany,
Jeden róg zbił, nos zwiesił.
Cierniakami zorany,
Jaże jęzor wywiesił.

„Ha! przecie cię mam teraz!
Oddaj duszę, ty smyku!"
O ba! mówię — nie zaraz!
A widzisz ty w koszyku?

Oddaj brata Macieja!
„Nic, nieprawda nie stójwa,
Jeżli chcesz kołodzieja,
Jeszcze się raz sprobójwa."

„Kto z nas wyżej wyciśnie?“
Wziął zaporę od piekła,
Jak nią szmargnie, aż świśnie,
Aż do nieba uciekła!

Patrzę — leci het na sztych.
Już godzina — o bidać
O zaporze ani słych!
I niewidać — niewidać —

Bęc! nareszcie na ziemię .
„Tak rzucają! rozumiesz?
No ty chłopskie tam plemię,
Pokaż teraz co umiesz?“

Dajno ją tu! — więc trzonko
Niby z bliska oglądam,
A tymczasem na słonko
Kiej to niekej poglądam.

„Rzucaj maźlej!“ czart drze się,
„Bo cię z duszę z pośpiechu.“
A ja w słonko patrzę się,
I zawołam: Wojciechu!

„A czego to wołacie?“
Czart się ku mnie pomyka.
O, ciekawyś mój bracie,
Daj-no uciąć języka.

Widzisz słonko, co gore? —
Jest to kowal, brat nowy,
Wyrzucę mu zaporę,
Porobi z niej podkowy.

„Aj! ty chłopie gamonie,
Wystrychnąłbyś rzecz piękną,
Bój się Boga, Szymonie,
Dyć mi diabli uciekną!“



J. Gołębiowski rys.



J. Gołębiowski rys.

Oddaj brata Macieja,
Ty przyklęta gadzina,
Oddaj mi kołodzieja —
W imię Ojca i Syna —

Wtém zaporę wyrwało,
Ledwo com się zadumiał,
Jużci się gdzieś podziało,
Tylko wicher zaszumiał.

W tem za ramię zackliwy,
Obzieram się co duchu,
Aż tu moi poczciwy,
Stoi Maciej w kożuchu!

Więc ja go w pół schwytałem:
A witajże mój bracie! —
No, gadkę powiedziałem,
I cóż za to mi dacie?

SKRZYPKI.

1.

Jak się macie kumotrze, co tam u was słychać?

2.

Tak to tam, człowiek ledwo że może oddychać.

1.

Wszędzie to tak podobno, cóż tam więcej przecie?

2.

Wszystko jedność — jak to tam dziś u nas na świecie,
Deszczu niema, jarzyny coś się nam nieznaczą,
Przyjdzie może i skapnąć, jęczmiona ładaco.

1.

Ej dobryć i Pan Jezus, ja mam w nim nadzieję,

2.

Ha, niech się tam i zresztą jego wola dzieje. —
Z kąd idziecie?

1.

A z miasta.

2.

Coście tam sprawili?

1.

Poniósłem ćwiartkę żyta, żydzi ją kupili.
A wy z kąd?

2.

Ja do dwora zanosiłem grzybki,
A po drodze wstąpiłem pod kościoł po skrzypki,
Do organisty, com mu dał w reparacyą,
Bo mi czerwy pojadły już aplikacyą.

1.

A wzięliście je?

2.

A wziął.

1.

A gdzież wy je macie?

2.

A sprzedałem na drodze.

1.

Cóż wy to pedacie?

2.

Wierzcie albo nie, jeszcze żebyście wiedzieli:
Za siła je sprzedałem, tobyście zgłupieli.
Widzicie wy, pieniądze grube, nie maluśkie?

1.

O jak się biedy boję! a dyć to bieluśkie!

2.

Ino chciejcie wysłuchać całej historyi.
Wyszedłem dziś na pole, wedle plebanii
Już idę, jak to wiécie, w bok maćkowej gruszki.
Myślałem właśnie czem tu opłacić podatek?
Nie trza wam pedać — żona — i kilkoro dziatek.
A skrzypce wystajały pod pachą z łoktuszki,
Wtém idzie jakiś człowiek, w płaszczu - dobre buty!
A miał w garści kij tęgi, na końcu okuty.

Nie trza wam pedać, człowiek nie lada się boi,
Ale mi ta landryga dotąd w myśli stoi,
Chłop człeku, jak linija! — „Pochwalony!“ —
Na wieki! — a na wszyćkie oglądam się strony,
Czy ludzie gdzie są blisko? — a to do mnie rzecze:
„Ojcze, skrzypki na sprzedaj? sprzedajcie człowiecze.“
Nie trza wam pedać, człowiek nie łakomy grosza,
A on panie, dobywa skurzanego trzosa,
I obces tka ci w rękę: „cóż ojcze, nie mało?“ —
Panie! aż mi na ręku śrybło zaciężało!
Ja się mu sumituję, że to już grat stary,
A on panie, dokłada jeszcze trzy talary!
Nie trza wam pedać, że to nie lada trafunek;
Żeby tylko z tąd jaki nie urósł frasunek.
Wiecie, trza to naszemu panu w ucho włożyć.

1.

Wiecie? lepiej to będzie między nami pożyć.
Nie wstąpicie? — bo karczma.

2.

Nie trza sy szkodować.

1.

Ha, to zostajcie z Bogiem.

2.

Ha, to Boże was prowadź.

JANEK I STASZEK.

(powiastka gminna.)

„Tak się zaś niebo zabańduczyło,
Kupi się chmura do chmury,
Wszystkie jak smoła, aż mi niemiło,
Spojrzyjno Staszek do góry.“

„ „Bójże się czego,“ “ — Staszek na Janka,
Schylon ku ziemi zawoła,
Jeszcze i niemasz połowy dzbanka,
A z czemże wrócisz do sioła?“

„Porwonoć licho i z dzbankiem całym,
Byle nie na mnię lunęło.
Widzisz — a słowo stało się Ciałem —
Jak się to na krzyż łysnęło!“ —

„ „Ha! ha! ha! czarci korce mierzają,
Już ćwierć ziemniaków nasuli;
A pódźże, pódźże, kiej cię strachają,
Niech cię matusia utuli.“ “



Jg. Gołębiowſki rys.



Jgn. Gołębiowſki rys

Wybiegli z lasu, dalej krzakami,
Teraz przez błonia, pasieką,
Potem krzemieńcem i potokami,
A mieli jeszcze daleko.

A w chmurze huczy jak na organach,
A cała chmura jak w łunie,
Już i po bliskich kurzy się łanach,
W tém jak z cebra na nich lunie.

Gdzie tu uciekać? tam jakieś drzewo,
Ledwie dostrzegli go okiem,
Nuż na wyścigi, w prawo i w lewo,
Pędzą ku niemu poskokiem.

Stanęli oba pod wielkim bukiem,
Bije straszliwa ulewa,
Co łyśnie piorun uderza z hukiem —
Lecz Staszek gwiżdże i śpiewa.

Spiewa i gwiżdże, udaje zucha,
Zaś Janek ręce złożone
Wznosząc ku niebu a z niemi ducha,
„Pod Twoją, mówi obronę.“ —

„ „O módl się, czekaj, i ja się będę,
Ale inaczej, mospanku,
Niech no ja najprzód jagód dobędę —
Patrzajże teraz — ty — Janku!“ “

I w Imię Ojca i Syna Jego —
Dzbanek do czoła przymierza,
Jeszcze nie skończył: Ducha świętego —
Wtém piorun w niego uderza.

Płakał pobożny brata chłopczyna,
Ojcowie także płakali,
Zaprzęgli woły, powieźli syna,
I dnia trzeciego schowali.

GAWĘDA MYŚLIWSKA.

Z przeproszeniem waszmościów jak tutaj siedzicie,
Może wy tam nie łatwo temu uwierzycie,
Ale powiadam, niech się tu z miejsca nie ruszę,
Że wychodząc zaz z lasu — tak też szaro było,
Kiedy? to chyba później przypomnieć już muszę,
Mróz diabli! jakby dzisiaj, tylko się iskrzyło!
Do pulwersaka — nie ma! — o to panie ładnie!
O do milion diabłów! nuż tu co wypadnie!
Wtem — ajajaj! ciach! ciach! — hoho! ciachu! ciachu!
Chodźmy w lasy! chodźmy w góry!
Bo tam bieży szarobury,
Będzie nasz! nasz! nasz!
Psom skoki,
Panom boki,
A strzelcowi łeb! łeb! łeb! —
Pęc! — „na tu! tu! — pilnuj tam! „woła — ja w strachu“
A tu moje psy znowu: rachu! rachu! rachu!

Ja tu — ledwo mi z złości nieupadną ręce,
Dalej do strzelby, gdzie tam? darmo torbą kręcę —
Coś przecie — jest gwóźdź! tedy pakuję do rury,
Patrzę, lis bestyja kitę postawił do góry,
Pędzi, ja tu — wnet — ja tu — składam — łup! i cicho.
O do bisa,
Nie ma lisa!
Czy licho?
Szukam — tędy — owędy — sak — w spak
miejsca skryte,
Obchodzę wszystkie w koło, już odchodzę z żalem:
Aż tu fortunę casu za czerwoną kitę
Mój pan lis do buczaka przybity bretnalem!

Słuchajcież — to nic jeszcze — tak też szaro było,
Mróz diabli! jakby dzisiaj, wtem czy mi się śniło,
Czy też ktoś tam naprawdę zagadał o wilku,
Dość że we świtanie
Wybieramy się na polowanie.
Już to ja! pan ten — dosyć, było nas tam kilku.
Ledwie wnijdę do kniei, Grzmilas obces wpada,
Ja na przesmyk — w tem, słucham, na miejscu ujada.



J. Gołębiowski rytował.



Co to ma znaczyć? podstępuję blisko,
Aż tu bartnik niedźwiedzisko
Wlazł na drzewo i smacznie miód leśny zajada.
Więc ja rurę
Prosto w górę,
I wypalę.
Lecz po strzale
Dym mię w oczy palnął kłębem,
Lufa w kafel, że nie wiem jak tam z moim zębem,
Ćmi się w oczach, a niedźwiedź z drzewa się nie wali,
Choć był prosto nad lufą o jakie sześć cali!
O do sto tysięcy!
Jakimże on znikł z oczu sposobem zdradzieckim?
Szukam tedy niedźwiedzia wszędy jak ze świeczką,
Krętu wętu, tymczasem zwyczajem strzeleckim,
Dmuchnę w lufę — nie idzie! do zamku z przetyczką,
Aż tu — niechże to waszmość uszu nie obrazi —
Straszne niedźwiedzia łapsko zapałem wyłazi!
W lufę wpadł i nic więcej!
Jeźli nie wierzycie,
Z przeproszeniem waszmościów, jak tutaj siedzicie,
Oto go pod tym szarym kubrakiem widzicie!

SPIEWKA CZAROWNICY.

Ongi był parobek,
Co mu było Sobek,
Kochała go Kasia,
Franusia i Basia.
A Kasia zuchwała,
Nie długo chowała,
O zimowym chłodzie
Utopiła w wodzie.
Hi! hi! hi! hi!

Przez drewnianą kłodę
Szła Kasia przez wodę,
Aż tu z wody prąda
Z pod lodu wygląda,
Wygląda nóżeczka,
Z mokrego łużeczka,
I woła: chrztu! chrztu! chrztu!
Hi! hi! hi! hi!

Na ławie u kmieca,
Stoi koło pieca,
Zdaleka od Bozi,
Ojcu palcem grozi,
Stoi przy okapie
I za nogi łapie,
I woła: chrztu! chrztu! chrztu!
Hi! hi! hi! hi!

NAWJÉDZONA.*

Ach! ach! niemogę się ostać,
Nigdzie w miejscu dostać,
Coś mię od wsi do wsi pędzi,
Coś mi zawsze w duszy zrzędzi.

Porzuciłam chatkę,
W niej z dostatkiem matkę,
Nawet własne dziatki.
Ubrałam się w kwiatki,
Niosąc w ręku piwonią,
Tak z odkrytą głową, szyją,
Chodzę, chodzę, chodzę —
Zawsze w drodze! zawsze w drodze!

*) Między wiejskim ludem pojawiają się czasem kobiety tak zwane nawiédzone, które, czy to fizycznie czy umysłowo cierpiące, dość że w dziwnym znajdują się stanie. Ich głównym znamieniem jest to, iż w ciągłej są podróży,

Nie śmiejcie się ze mnie
Kąpałam się w Niemnie.
Kąpałam się w Wiśle,
Świętą kredą kreślę
Różne gusła i odczyny —
Ach! za jakież grzechy, winy,
Że nic nie pomoże? —
O mój Boże! o mój Boże!

Idę polem i ugorem,
Wschodem słońca i wieczorem,
I na bory, i na lasy,
I przez łąki cudnej krasy.
Zwiedzam grody, miasta, sioła.
Idę ziemią, płynę wodą,
Lecz głos jeden ciągle woła,
Jedne myśli wciąż mnie wiodą,
Jedna dręczy wciąż tęsknota!
Szydzą ludzie — bije słota.

---

utrzymując, że jakiś głos wewnętrzny, niepokojący nigdzie im spocząć i długo na miejscu zatrzymać się nieda. Chodzą więc od wsi do wsi, często w takich pielgrzymkach w dalekie zupełnie im obce zapuszczają się strony. Smutek i bezsenność, jak mówią, trapi ich ciągle. Dość jest spojrzeć, by w nich dostrzedz tak moralne jak fizyczne cierpienie.



Idę polem i ugorem,
Wschodem słońca i wieczorem,
I na bory i na lasy,
I przez łąki cudnej krasy.
Schodzę grody, miasta, sioła,
Idę ziemią, płynę wodą.
Lecz głos jeden ciągle woła,
Jedne myśli wciąż mię wiodą,
Jedna dręczy wciąż tęsknota.
Szydzą ludzie ... bije słota!

Któż tu chory? mówcie proszę,
Bo ja z sobą leki noszę.
Znam ja różne czary, zioła,
Leczę ludzi schodząc sioła.
To na gościec, to na rany,
Na świętego Wita tany,
To na głowę, kiedy boli,
Znow na kolkę, kiedy koli.
To na pomór na oborze,
To gdy dziécie spać nie może.
Któż tu chory? mówcie proszę,
Bo ja z sobą leki noszę.

Gdyście zdrowi, nic niechcecie,
Więc zostajcie z Panem Bogiem!
Więc się żegnam z waszym progiem,
Aby chodzić znów po świecie!
Lecz nim pójdę, posłuchajcie,
Moi ludzie — kwiatów dajcie!
Bo te zwiędły, co mam w dłoni.
A nie kwitną już na błoni.
A mieć muszę kwiaty świeże,
Czy to wiosna, czy mróz bierze,
Ach! me kwiaty, kwiaty u mnie,
Jak na zmarłej dziewki trumnie!
Bo choć chodzę — jam nieżywa,
Ach! jam bardzo nieszczęśliwa!
Zli mi ludzie uczynili,
Spiącej czary podłożyli,
Szczarowali, opętali,
Bądźcie zdrowi! — idę dalej.